

# SARAH MACLEAN

*Uwodziciel  
bez szans*

  
AMBER

*Romans historyczny*

SARAH  
MACLEAN

*Uwodziciel  
bez szans*

Przekład  
Katarzyna Przybyś-Preiskorn





*Doktorowi Howardowi Riinie  
i jego ukochanej żonie.  
Z bezgraniczną wdzięcznością.*

---

---

# Skandale i Nicponie

---

---

Rocznik 1/Numer 1

Niedziela, 10 czerwca 1833



## KSIĄŻĘ NA ŁOŻU ŚMIERCI?

Podobno żywot znanego samotnika, księcia Lyne, dobiega końca. Co więcej, godne zaufania źródło poinformowało naszą redakcję, że jego spadkobierca (niegodziwy i niezwykle intrygujący „nicpoń królewskiej krwi”) został wezwany na północ na ostatnie spotkanie ze swym niedomagającym ojcem. Czy Eversley wyzwoli się z objęć swej najnowszej ukochanej i ruszy do domu? Wygląda na to, że tak, bo as testamentowy zawsze przebija zakochaną damę kier.

Wkrótce nowe wiadomości.



# 1. Wzburzone fale socjety

*Londyn, czerwiec 1833*

Gdyby hrabina Liverpool nie była taką miłośniczką wodnych stworzeń, może wszystko ułożyłoby się inaczej.

Nie byłoby świadków wielkiego skandalu, który wydarzył się trzynastego czerwca na ostatnim, legendarnym ogrodowym przyjęciu tego sezonu. Socjeta powsiadałaby do miliona podróżnych powozów i rozpierzchnęłyby się po brytyjskiej prowincji jak chmara chrząszczy, spragnionych letniej idylli.

Niestety, rok wcześniej hrabina dostała w prezencie pół tuzina ślicznych, pomarańczowo-białych rybek, podobno pochodzących w prostej linii od stadka hodowanego przez szoguna Japonii. Sophie uważała, że to bzdura, bo Japonia kompletnie odseparowała się od reszty świata, ale lady Liverpool była niezwykle dumna ze swoich ulubieńców i opiekowała się nimi z wielkim oddaniem. Z szóstki zrobiły się dwa tuziny, przeniesiono je więc ze szklanej kuli do akwarium wielkości małego stawu.

Rybki niezmiennie pobudzały wyobraźnię hrabiny, dlatego tematem jej ogrodowego przyjęcia miały być Chiny. Wydawało się to trochę zaskakujące, bo gospodyni wiedziała o Chinach jeszcze mniej niż o Japonii. Tłumaczyła więc gościom, witając ich w pięknej szacie z biało-pomarańczowego, lśniącego jedwabiu, wyraźnie przypominającego jej ulubione rybki:

– Wiecie przecież, że nikt nie ma zielonego pojęcia o Japonii, więc japońskie przyjęcie nie miałyby sensu. Zresztą, Chiny są tak blisko, że praktycznie na jedno wychodzi.

Kiedy Sophie oświadczyła, że wręcz przeciwnie, hrabina wybuchnęła perlistym śmiechem i machnęła ręką, migocząc jedwabnymi rękawami jak płetwami:

– Nie przejmuj się, moja droga, w Chinach też pewnie mają rybki.

Sophie posłała matce znaczące spojrzenie, ale bez odpowiedzi. Od tygodni tłumaczyła wszystkim, że Chiny i Japonia to nie to samo, ale nikt nie słuchał. Matka była zachwycona, że zaproszono je na tak niezwykle przyjęcie. Dzięki temu siostry Talbot mogły ubrać się jeszcze bardziej ekstrawagancko niż zazwyczaj. Podobnie jak reszta arystokracji, przyodziały się w czerwienie i złoto, przebogie brokaty i oszałamiające kapelusze, które bez wątpienia przysporzyły mnóstwa pracy legionom londyńskich modystek.

Tylko Sophie oparła się naciskom matki, odmówiła udziału w tej farsie i ku ogólnemu niesmakowi pojawiła się w zwyczajnej, bladożółtej sukni.

Tak więc, owego pięknego czerwcowego dnia lady Liverpool zlitowała się nad biedną, nieciekawą Sophie, która pomimo że należała do rodziny Talbotów, nie potrafiła prowadzić zabawnej konwersacji, kiepsko grała na pianinie i w dodatku nie była zbyt ładna. zaproponowała jej spacer nad sadzawkę.

Sophie z przyjemnością przyjęła zaproszenie, zadowolona, że wymknie się z tłumu rozbawionych arystokratów, którzy starannie omijali wzrokiem całą jej rodzinę. To było nawet gorsze od pełnych wyższości spojrzeń, które stale towarzyszyły jej siostrom od chwili wejścia w towarzystwo. Każda z

nich była mniej popularna od poprzedniej. Z każdym rokiem coraz rzadziej zapraszano je na przyjęcia.

Sophie szczerze żałowała, że matka uparła się zapewnić jej siostrą popularność towarzyską. Efekt był odwrotny od oczekiwanego i w konsekwencji musiała teraz kryć się w ogrodzie hrabiny, udając, że nie słyszy plotek na temat całej czwórki – niegdyś powtarzanych szeptem, a teraz całkiem otwarcie.

Z ulgą ruszyła więc za hrabiną do jej sławetnej oranżerii, olbrzymiej szklanej konstrukcji wypełnionej wspaniałymi okazami roślin i wolnej od plotkarzy.

Szukając sadzawki, błędziła między drzewkami cytrynowymi w donicach i ogromnymi paprociami. W pewnym momencie do jej uszu dobiegł dziwny odgłos, jakby rytmiczny jęk, sugerujący, że w gęstwinie rododendronów ktoś znęca się nad żywym stworzeniem.

Jako osoba obdarzona współczuciem ruszyła na pomoc. Niestety, gdy dotarła do źródła dźwięków, okazało się, że wydająca je dama zdecydowanie nie potrzebowała opieki. Ktoś już zajmował się nią ze szczególnym oddaniem. Tym kimś był szwagier Sophie. Natomiast kobieta wcale nie była jej siostrą.

Dlatego też Sophie, otrząsnąwszy się z szoku, uznała, że powinna interweniować.

– Wasza Wysokość – powiedziała podniesionym głosem pełnym pogardy dla tego człowieka i dla świata, który obdarzył go władzą i pozycją społeczną.

Para znieruchomiła. Zza ramienia mężczyzny wychyliła się śliczna blond główka, ozdobiona czerwonym, jedwabnym kapeluszem w kształcie pagody, ze złotymi frędzelkami na każdym rogu. Zamrugały wielkie, błękitne oczęta.

Książę Haven nawet nie raczył spojrzeć na Sophie.

– Idź stąd.

Sophie nienawidziła arystokracji nade wszystko.

– Sophie? Mama cię szuka... Zaciągnęła kapitana Culbertha na boisko do krykieta i poklepuje biedaka tym swoim ogromnym wachlarzem. Idź go ratować.

Sophie zamknęła oczy, próbując siłą ducha skierować siostrę w inną stronę. Obróciła się na pięcie, żeby ją zatrzymać.

– Sera, nie...

– Och.

Seraphina, księżna Haven z domu Talbot, zatrzymała się jak wryta na skraju zagajnika doniczkowych roślin. Ogarnęła wzrokiem całą scenę i instynktownie osłoniła rękami wystający nieco brzuch, w którym rozwijał się przyszły książę Haven.

– Och – powtórzyła. Sophie dostrzegła w jej oczach zaskoczenie, smutek, a potem lodowaty spokój.

Książę nawet nie drgnął. Nawet nie spojrział na żonę, matkę jego pierworodnego dziecka. Wsunął palce we włosy kochanki i warknął prosto w jej szyję.

– Powiedziałem, wynoście się stąd.

Sophie spojrzała na Seraphinę, wysoką, silną, doskonale maskującą emocje, które na pewno nią targaly. Ogarnęło ją współczucie. Czekwała, aż siostra coś powie. Zacznie walczyć o siebie, o swoje nienarodzone dziecko.

Seraphina odwróciła się, by odejść.

Sophie nie wytrzymała.

– Sera! Nic mu nie powiesz?

Najstarsza z siostr Talbot pokręciła głową. Ten pełen rezygnacji gest sprawił, że Sophie wybuchnęła gniewem i urazą. Spojrzała na swego szwagra.

– Ona milczy, ale ja nie zamierzam. Jesteś odrażający. Nadęty, wstrętny i ohydny.

Książę spojrział na nią z pogardą.

– Mam mówić dalej? – rzuciła.

– Coś podobnego! Zwracać się w ten sposób do księcia! Co za brak szacunku! – Zgorszyła się blondynka w jego ramionach.

Sophie z trudem pohamowała się, by nie zedrzeć jej z głowy tego durnego kapelusza i nie zdzielić nim obojga po twarzach.

– Och, jasne. Co za nietakt z mojej strony.

– Sophie – powiedziała Seraphina cicho, ale z naciskiem, chcąc przerwać tę scenę.

Księżę westchnął cierpiętniczo, odsunął się od swej flamy, opuścił jej spódnicę i zdjął ją ze stołu, na którym siedziała.

– Zmykaj.

– Ale...

– Powiedziałem, idź stąd.

Kobieta zrozumiała, że jej szansa minęła i spełniła polecenie. Po drodze poprawiła kapelusz i wygładziła spódnicę.

Księżę odwrócił się do nich, nie przerywając zapinania spodni. Jego żona odwróciła wzrok, ale Sophie twardo wpatrywała się w niego. Zasłoniła sobą siostrę, jakby chciała jej bronić.

– Oszczędź sobie tych sprośności, nie zastraszysz nas nimi.

Uniósł brew.

– Oczywiście, że nie. Przecież to specjalność waszej rodziny.

Te słowa miały ją zranić i nie chybiły celu.

Przecież to Talbotowie byli największymi skandalistami wśród arystokracji.

Ojciec Sophie ledwie dziesięć lat temu otrzymał tytuł earla od ówczesnego króla. Choć nigdy tego nie potwierdził, prawdopodobnie plotkarze mieli rację: kupił go za pieniądze uzyskane z handlu węglem. Niektórzy twierdzili, że wygrał go w karty, inni, że dostał w nagrodę za spłacenie jakiegoś wyjątkowo kłopotliwego królewskiego długu. Sophie wolała w to nie wnikać. Nie obchodził ją ani tytuł, ani cały ten arystokratyczny świątek.

Gdyby miała wybór, na pewno nie chciałaby żyć wśród ludzi, którzy tak niesprawiedliwie oceniali jej siostry i tak niegodziwie je traktowali.

Uniosła podbródek i spojrzała na szwagra.

– Ale naszymi pieniędzmi jakoś się nie brzydzisz.

– Sophie – powtórzyła siostra karcąco.

Odwróciła się do niej.

– Nie będziesz chyba go bronić. Przecież to prawda! Zanim się z tobą związał, był zubożały. Po co komu księstwo, jeśli leży w ruinie? Powinien ci na kolanach dziękować za to, że uratowałaś jego nazwisko.

– Uratowała moje nazwisko? Czyżby? – Księżę strzepnął pyłek z rękawa surduta. – Nie masz pojęcia, jak to było. Poleciałem twojego ojca wszystkim arystokratycznym inwestorom. Jego interes rozwija się tylko dzięki mnie. A ja z przyjemnością wydaję należne mi pieniądze. – Splunął. – Bo przez małżeństwo z tą ladacznicą, twoją siostrą, stałem się pośmiewiskiem.

Sophie zagryzła wargi na tę obelgę.

Znała wszystkie plotki o tym, jak jej siostra zdobyła księcia. Widziała, że matka aż piała z dumy, jaką napełniło ją księżęce małżeństwo pierworodnej córki. Ale to nie powód, żeby znosić obelgi.

– Przecież nosi twoje dziecko.

– To ona tak twierdzi. – Odsunął je, kierując się do wyjścia z oranżerii.

– Nie wierzysz, że jest w ciąży? – zawołała, zdziwiona. Spojrzała szeroko otwartymi oczyma na siostrę, która wpatrywała się w swoje dłonie, obejmujące brzuch.

Dopiero wtedy Sophie zrozumiała sens jego słów.

Pobiegła za księciem.

– Nie wątpisz chyba, że to twoje dziecko?

Obrócił się na pięcie. Wzrok miał lodowaty, pełen pogardy.



Ale nie patrzył na Sophie, tylko na swoją żonę.

– Nie dowierzam ani jednemu słowu, które padnie z tych kłamliwych warg. – Odwrócił się znowu.

Sophie spojrzała na siostrę, dumnie wyprostowaną i pełną chłodnej rezerwy. Tylko jedna jedyna, spływająca po policzku łza zdradzała jej emocje.

W tym momencie Sophie nie wytrzymała. Nienawidziła tych zasad, pogardy i tego okropnego świata, w którym się znalazła wbrew swej woli i który znienawidziła.

Gnana żądzą zemsty, ruszyła za swoim szwagrem.

Odwrócił się, słysząc rozpaczliwy krzyk Seraphiny i dziki, gniewny okrzyk Sophie, która nie mogła już dłużej znieść napięcia.

Popchnęła go z całej siły.

Gdyby nie to, że właśnie się odwracał i stracił równowagę...

Gdyby nie to, że Sophie zaatakowała z rozpędu...

Gdyby ścieżka nie była taka śliska, bo ogrodnicy rano starannie podlali rośliny...

Gdyby hrabina Liverpool mniej dbała o swoje rybki...

– Ty gadzino! – wrzasnął książę, lądując w środku sadzawki. Włosy przylepiły mu się do czaszki, oczy rzucały iskry z gniewu. – Zniszczę was! – syknął. Zresztą nie musiał tego mówić na głos, to było oczywiste.

Sophie wzięła głęboki wdech. Nagle zdała sobie sprawę, że skoro zabrnęła już tak daleko, może sobie teraz pozwolić na wszystko.

Skrzyżowała ramiona i stanęła nad sadzawką, spoglądając z góry na swego szwagra.

– Spróbuj – odpowiedziała z uśmiechem.

– Sophie. – W głosie siostry dźwięczały przerażenie, żal i smutek.

– Och, Sera. – Odwróciła się do niej, nie dbając o pełne wściekłości posapywanie mężczyzny. – To było piękne. Nie mów, że ci się nie podobało.

Od przyjazdu do Londynu nie była tak zadowolona z siebie.

– Owszem – przyznała cicho siostra. – Niestety, nie tylko mnie.

Wskazała ręką za siebie. Sophie odwróciła się i ku swemu przerażeniu ujrzała całą londyńską socjetę wpatrującą się w nią przez olbrzymią, szklaną ścianę oranżerii.

Napiętnowano ją niemal natychmiast. Nieważne, że jej szwagier zasługiwał na każdą kroplę wody, która zniszczyła jego nieskazitelne odzienie i skórzane buty. Nieważne, że człowiek, który nie krył swych romansów przed ciężarną żoną i jej siostrą, był odrażającym bydlakiem. Nieważne, że skandal wywołało jego naganne zachowanie.

Książąt skandale się nie imają.

Natomiast do sióstr Talbot lgnęły jak muchy do miodu.

Gdy tylko Jack Talbot został earlem Wight i cały Londyn zwrócił swoje pogardliwe oczy na nieokrzesaną, prostacką, nowobogacką rodzinę, skandal zadomowił się u nich na stałe. Fortuna nowo mianowanego earla pochodziła z handlu węglem, więc żartom nie było końca. Dziewczęta przezwano Smoluchami. Sophie uznała, że to sprytnie, bo imiona całej piątki zaczynały się też na literę S: Seraphina, Sesily, Seleste, Seline i Sophie, według starszeństwa.

Szczerze mówiąc, wołała je od tego drugiego, mniej pochlebnego, które szeptano w salach balowych, w herbaciarniach, a szczególnie w męskich klubach. Było zasłużone, co do tego nie miała złudzeń. Od kiedy Seraphina usidliła swego księcia, wszyscy zaczęli być wobec nich ostrożni. Wiadomo: pieniądze mogą kupić tytuł, dom w eleganckiej dzielnicy Mayfair, piękne – choć ekstrawaganckie – suknie, najlepsze konie, przesadnie połączane powozy, ale nigdy nie kupią prawdziwego pochodzenia, więc dziewczęta będą próbowały znaleźć mężów z arystokracji i w ten sposób wejść do socjety.

Feralne Siostry.

Od tej pory nazywano tak jej trzy pozostałe, niezamężne starsze siostry, do których zalecali się niesłychanie ekstrawaganccy kawalerowie. Tyle że ich stałość ciągle była pod znakiem zapytania. Sesily była ogólnie znana jako muza Dereka Hawkinsa, znanego artysty, właściciela i gwiazdora Teatru Hawkinsa. Nie mógł się pochwalić tytułem, ale chwalił się wszystkim innym i to wystarczyło, by podbić serce Sesily. Sophie nie miała pojęcia, co jej siostra widzi w tym nieznośnym człowieku.

Seleste uwikłała się w emocjonalny i szeroko komentowany związek z niesłychanie przystojnym i bardzo zubożałym earlem Clare. Trudno było wyobrazić sobie bardziej dramatyczną parę: kłótnie przed całą salą balową na przemian z padaniem sobie w ramiona. Seline, czwarta z kolei, została wybranką Marka Landry'ego, właściciela domu aukcyjnego Landry's Bloodstock, zajmującego się zwierzętami hodowlanymi i konkurującego z samym Tattersallem. Landry był prostacki, głośny i nie miał nic wspólnego z arystokracją, ale gdyby poślubił Seline – co wydawało się bardzo prawdopodobne – stałaby się najbogatszą ze wszystkich sióstr.

Zaloty skupiały na sobie uwagę całej socjety, komentowano je szeroko, a wszystkie siostry rozkoszowały się skandalami, starając się, by pisano o nich w gazetach. Matka była niepokieszona. Każdy komentarz, każde pełne dezaprobaty spojrzenie przyzwoitki zachęcało je do nowych wyskoków. Wszystkie, z wyjątkiem Sophie. Miała już dwadzieścia jeden lat i jak do tej pory nie wywołała ani jednego skandalu. Pewnie dlatego, że nie dbała o socjetę, jej dyktaty i opinię, a socjeta jakimś cudem to rozumiała.

Ale w chwili, gdy książę Haven wygramolił się z sadzawki, ozdobiony wodną roślinnością czepiającą się jego nieskazitelnych do niedawna pantalonów, socjeta skupiła uwagę na Sophie Talbot, do tej pory znanej jako „ta najspokojniejsza” z Feralnych Sióstr.

Z płonącymi policzkami, unosząc wysoko głowę, Sophie wyszła z oranżerii. Zatrzymała się na progu, mierząc wzrokiem tłum gości. Nie brakowało nikogo. Księżne, markizy i hrabiny wpatrywały się w nią z leniwie poruszających się wachlarzy. Ich szepty brzmiały jak cykady w letni wieczór. Nagle powiało chłodem. Reakcja dam nie była niczym niezwykłym. Sophie nieraz widziała damy plotkujące i odgrzewające skandale sprzed lat.

Najgorsi byli mężczyźni.

Jak wiadomo, londyńscy dżentelmeni nie zajmowali się plotkami, zostawiając je swoim żonom. Woleli męskie rozrywki. Ale – jak się okazało – nie w przypadku, gdy zaatakowano jednego z nich. Oni także mierzyli Sophie spojrzeniami – earlowie, markizowie i książęta, jeden bardziej szacowny od drugiego. W ich oczach było coś więcej niż zgorszenie.

Często mówi się, że pogarda jest zimna. Tego wieczoru paliła żywym ogniem. Sophie zasłoniła się ręką jak przed powiewem gorąca.

– Sophie! – Nadbiegła matka z szerokim uśmiechem, zagłuszając szepty zgorszonych gości. Miała na sobie szkarłatną suknię, wystarczająco skandaliczną nawet bez koszmarnego kapelusza tej samej barwy, który górował nad jej drobną postacią w – podobno – prawdziwie chińskim stylu.

Ale teraz lady Wight w ogóle nie myślała o swoim kapeluszu. We wzroku, jakim zmierzyła najmłodszą córkę, tliła się panika. Trzy siostry szły jej śladem jak dziwacznie przyozdobione kaczęta.

– Sophie! – syknęła. – Co to za sceny!

– W końcu dołączyłaś do nas – skomentowała sucho Sesily. Jej obfity biust wylewał się z dekoltu niezwykle dopasowanej, kiczowatej sukni. Jakimś cudem wyglądała w niej niezwykle kusząco. – Haven miał minę, jakby chciał cię zamordować.

Zniszczę was.

– Pewnie by to zrobił, gdyby nikt nie widział – odparła Sophie.

– Niestety, widzieli to wszyscy – warknęła matka.

Sesily uniosła brew i strzepnęła niewidzialny pyłek z dekoltu.

– I gdyby nie był taki mokry.

– Nie musisz tak eksponować swojego biustu, Sesily. Każda z nas ma taki – mruknęła sucho Seleste z za złocistego welonu, który spływał spod umocowanej na głowie złocistej tiary.

Seline prychnęła pogardliwie.

– Dziewczęta! – syknęła hrabina.

– Doskonale ci poszło, Sophie – stwierdziła Seline. – Kto by pomyślał, że siedzi w tobie coś takiego?

Sophie zmierzyła ją morderczym spojrzeniem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie teraz, dziewczęta – wtrąciła się matka. – Nie rozumiecie, że to może nas zrujnować?

– Bzdura – odparła Sesily. – Kiedy ty wreszcie uwierzysz, że jesteśmy jak koty?

– Nawet kot ma tylko dziewięć żywotów. Musimy naprawić tę szkodę. Natychmiast – powiedziała hrabina Wight. Nagle uświadomiła sobie, że słucha ich cała londyńska socjeta i dodała na cały głos: – Wszyscy widzieliśmy, co się tu stało. Biedny książę!

Sophie zamarła ze zdziwienia.

– Biedny?

– Ależ oczywiście! – Głos księżnej wzniósł się wyżej o całą oktawę, choć wydało się to niemożliwe.

Sophie zamrugła.

– Lepiej się z tym pogódź – poradziła jej Seline. Siostry otoczyły ją jak wielkie, pozłacane kormorany, trzepocąc wachlarzami i kołysząc frędzlami. – Bo inaczej mama umrze ze strachu przed wygnaniem.

– Nie ma strachu – stwierdziła Seleste. – Nikt nas nie wygania. Do tej pory z nami wytrzymywali.

Sesily skinęła głową.

– Dokładnie tak. Uwielbiają nasze niegodziwe przedstawienia. Co oni by robili, gdyby nie my?

Miała całkiem sporo racji.

– I tak wyładujemy dużo lepiej niż większość z nich. Popatrz na Seraphinę.

– Tylko że ona wyszła za kompletnego dupka – stwierdziła Sophie.

– Sophie! Jak ty się wyrażasz! – Matka o mało nie zemdląła ze strachu.

Siostry przytaknęły.

– Trzeba będzie zwrócić na to większą uwagę – przyznała Sesily.

– Wszyscy widzieli, że się pośliznął i wpadł do sadzawki! – zawołała matka rozpaczliwie, wybałuszając oczy tak, że o mało nie wyszły z orbit. Przez chwilę Sophie widziała oczyma duszy, jak matka maca po trawniku w poszukiwaniu gałek ocznych, a kapelusz spada jej z głowy pod własnym ciężarem.

To by dopiero była scena.

Teraz z kolei ona prychnęła śmiechem.

– Sophie! – zasyczała hrabina przez zęby. – Ani mi się waż!

Prychnięcie przeszło w chichot.

Hrabina Wight piała dalej, kładąc dłoń na sercu.

– O, nieszczęsny Haven!

Sophie w końcu nie wytrzymała. Nie wybuchnęła śmiechem tylko dlatego, że zdławił ją gniew. Od nadania tytułu jej rodzina kompletnie się zmieniła. Arystokracja musiała zaakceptować ich w swoim kręgu ze względu na tytuł i niezmierne bogactwo. I nagle kobiety, których nigdy by nie podejrzewała o fascynację blichtrzem i pieniędzmi, zaczęły się tym wszystkim przejmować. Nie docierała do nich prosta prawda, że Talbotówny mogą poślubić nawet książąt krwi, a i tak nigdy nie zostaną zaakceptowane przez socjetę. Arystokraci znoszą ich obecność, bo potrzebna jest im wiedza i przemyślność nowo mianowanego earla albo pieniądze, wnoszone w wianie przez jego córki. Przecież zawieranie małżeństw to jedna z kluczowych gałęzi brytyjskiej gospodarki.

Rodzina Sophie doskonale o tym wiedziała.

Wyżywali się w tej grze i we wszystkich manipulacjach.

Sophie nie życzyła sobie brać w niej udziału. Nigdy. Przez pierwszych dziesięć lat dzieciństwa żyła w idyllicznym świecie bogatych, nieutyłowanych ludzi. Biegała po zielonych wzgórzach Mossband. Piekła z babcią ciasta w wielkiej kuchni rodzinnego domu Talbotów, bo ojciec uwielbiał je do herbaty. Jeździła konno do miasta po mięso od rzeźnika i ser od serowara. Nawet nie marzyła o utytułowanym mężu. Zaplanowała sobie sensowne, realistyczne życie u boku syna piekarza.

Wtedy ojciec został earlem i wszystko się zmieniło. Od dziesięciu lat nie była w Mossband, bo matka zamknęła dom i przeniosła się do Mayfair. Babka zmarła w rok po ich przeprowadzce. Ciasteczka były zbyt prostackie dla earłów. Rzeźnik i serowar dostarczali swoje wyroby kuchennymi drzwiami pięknej londyńskiej kamienicy. A syn piekarza...

Stał się odległym, zamglony wspomnieniem.

Pozostali członkowie rodziny świetnie dostosowali się do świata, w którym Sophie nigdy nie chciała być. O który nigdy nie prosiła. Nikogo nie obchodziło, jak bardzo go nienawidzi.

Właśnie tam, w ogrodach Liverpoolów, przed całą londyńską śmietanką towarzyską, Sophie przestała udawać, że należy do towarzystwa. Do tego miejsca i tych ludzi. I że pragnie ich akceptacji.

Miała pieniądze. I wszędzie mogła dojść na własnych nogach.

Popatrzyła na siostry, pewne siebie i przekonane, że kiedyś będą rządzić tym światem. Uświadomiła sobie, że nigdy taka nie będzie. Nie będą ją bawić skandale. Ma dosyć tego świata i jego blichtru.

Dlaczego ma tańczyć, tak jak jej zagrają?

Po tym, co się wydarzyło, i tak nikt nie będzie chciał mieć z nią do czynienia. Dlaczego więc nie pójść o krok dalej i raz w życiu nie powiedzieć im prawdy prosto w oczy?

Ojciec lubił powtarzać, że „jak się powiedziało A, trzeba powiedzieć B”.

Omiotła wszystkich spojrzeniem.

– Oczywiście. Nieszczęsny książę, który zhańbił naszą siostrę tak, że musiałam pomścić jej honor, bo żaden z tak zwanych dżentelmenów nawet palcem nie kiwnął – odparła, podnosząc głos tak, żeby cały Londyn ją słyszał. – Nieszczęsny książę, wychowany w świecie, który ludzi się, że tytuł jest równoznaczny ze szlachetnością, a w rzeczywistości jest pełen arystokratycznych chamów. A nawet gorzej.

Matka otworzyła szeroko oczy.

– Sophie! Damy nie mówią takich rzeczy!

Ile razy napominano ją, że nie zachowuje się jak dama? Ile razy próbowano wtłoczyć ją w idealną formę, choć ten arystokratyczny świat i tak nie chciał jej zaakceptować? I nigdy nie przyjmie żadnej z nich, chyba że za pieniądze?

– Nie zwracaj sobie tym głowy – odpowiedziała przed całym Londynem. – Oni i tak nie uważają nas za damy.

Siostry znieruchomiały.

– Sophie – odezwała się Seline z niedowierzaniem i całkiem sporą dozą szacunku.

– Tego nikt się nie spodziewał – zawtórowała jej Sesily.

Hrabina ściszyła głos do szeptu.

– Co ja ci mówiłam o wygłaszaniu własnego zdania? Zrzuńujesz się! I swoje siostry przy okazji. Będziesz potem żałować!

Sophie odpowiedziała pełnym głosem.

– Żałuję tylko jednego: że ta sadzawka była za płytka. I że nie było w niej rekinów.

Nie wiedziała, jakiej reakcji powinna się spodziewać. Może odezwą się zgorszone westchnienia. Albo szept. Przenikliwe damskie piski. Albo basowe pochrząkiwanie mężczyzn.

Dobrze byłoby, żeby parę osób zemdlało.

Nie spodziewała się tylko ciszy.

Odpowiedziała jej chłodna, wykalkulowana obojętność. Do głowy jej nie przyszło, że wszyscy goście po prostu odwrócą się i odejdą, jakby nie odezwała się ani słowem. Jakby jej nie było.

Albo jakby nigdy nie istniała.

Więc i jej łatwo przyszło odwrócić się do nich plecami i odejść.



## 2. Ucieczka Eversleya. Hrabia wściekły z powodu despektu

Sophie wkrótce się zorientowała, że odwrócenie się plecami do arystokracji podczas przyjęcia ma pewne wady. Poza zrujnowaną reputacją, co było oczywiste, zaczynają się całkiem praktyczne trudności. Niemile widziany gość powinien niezwłocznie wyjść i udać się do domu, najlepiej na własną rękę, bo ukrywanie się w rodzinnym powozie trudno nazwać pełnym godności odwrotem.

Zresztą, gdyby matka zastała ją w powozie, pewnie popełniłaby dzieciobójstwo. Trzeba będzie samej znaleźć drogę ucieczki i trzymać się z daleka od rodziny, dopóki nie zdecyduje się na przeprosiny.

Jeżeli w ogóle kiedykolwiek to zrobi.

Nienawidziła całego świata, ludzi i ich docinków na temat prostactwa Talbotów, ich pieniędzy, kupionego tytułu i małżeństwa siostry. Nienawidziła tych wszystkich zadowolonych z siebie twarzy, ich złośliwości i stylu życia. Zachowywali się, jakby byli pępkiem świata.

Co gorsza, jej rodzinie wcale to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie, świetnie się z tym czuli. Nie miała ochoty przeproszać za słowa prawdy. Ani wysłuchiwać z ust sióstr peanów na cześć arystokracji.

Nie ukryła się więc w powozie, tylko w odległym końcu ogrodu, zastanawiając się, co dalej począć. Nagle, tuż obok jej głowy przeleciał wielki, czarny but. Podniosła głowę i tylko dzięki temu uchyliła się przed następnym skórzanym pociskiem. Z niejakim zdziwieniem obserwowała, jak z okna na drugim piętrze śladem obuwia wylatują grafitowy surdut i długi, płócienny fontaż. Spadając, zaplątał się w pędach róż wspinających się po drewnianym trejażu na ścianie domu.

W chwilę potem pojawił się mężczyzna.

Sophie szeroko otwartymi oczyma obserwowała, jak długa, odziana w rajtuzy noga wysuwa się z okna, stopa w skarpetce znajduje oparcie na kratownicy, a potem zza framugi wychyla się tors odziany w płócienną koszulę. Mężczyzna siadł okrakiem na parapecie. Sophie ujrzała muskularne, imponujące naprężone udo, a na nim równie imponujące coś, czego zdecydowanie nie powinna dostrzec.

Nad parapetem śmignęła druga noga i mężczyzna zszedł na dół tak sprawnie, jakby całe życie niczego innego nie robił. Nic dziwnego, z takim wyglądem na pewno przeżył niejedną romantyczną eskapadę.

Zeskoczył na ziemię odwrócony do niej plecami i schylił się, żeby pozbierać rozrzucone części odzieży. W tym momencie drugi mężczyzna wychylił się przez okno. Sophie ze zdziwieniem rozpoznała w nim earla Newsom.

– Ty łajdaku! Skrócę cię o głowę!

– Nie masz szans i dobrze o tym wiesz – odpowiedział ten drugi i wyprostował się na całą długość, trzymając w rękach ubranie i but. Sięgnął po fontaż. – Ale pewnie musiałeś to powiedzieć na głos.

Jego przeciwnik zakrztusił się ze złości i zniknął, wydając niezrozumiałe odgłosy.

– Tchórz – mruknął uciekinier, potrząsnął głową i zaczął szukać drugiego buta.

Sophie go uprzedziła, bo solidny trzewik leżał tuż u jej stóp. Kiedy się wyprostowała, mężczyzna stał na wprost niej, przyglądając się jej na poły z ciekawością, na poły z rozbawieniem.

Westchnęła z irytacją.

Jasne, któż mógłby uciekać po różanym trejażu z magnackiej willi, jak nie markiz Eversley. Jak widać, nie bez powodu zwano go nicponiem królewskiej krwi.

– To pan – powiedziała obcesowo, pewnie pod wpływem pełnych napięcia wydarzeń tego wieczoru.

– Jak widać – odpowiedział z szerokim uśmiechem i wykwintnym ukłonem. Pewnie z powodu swej ogólnie znanej arogancji.

Przycisnęła but do piersi.

– Czym pan sobie zasłużył na tę defenestrację? – spytała, ruchem głowy wskazując drugie piętro.

Uniósł brwi.

– Co takiego?

Westchnęła.

– Defenestrację. Wyrzucenie przedmiotu przez okno.

Po mistrzowsku wiązał fontaż. Długie pasma tkaniny migąły mu w dłoniach. Zdziwiło ją, że radzi z tym sobie bez lokaja ani lustra.

– Po pierwsze, nikt mnie nie wyrzucił – odparł po chwili. – Wyszedłem z własnej woli. Po drugie, kobieta, która jest na tyle inteligentna, by używać takich słów jak „defenestracja”, bez trudu odgadnie, co robiłem przed opuszczeniem tego budynku.

Rzeczywiście był taki, jak mówiono. Typowy skandalista. Rozpustnik. Kompletny nicpoń. Budził zgorzsenie socjety, na równi z jej podziwem. Tak samo jak jej szwagier. I w ogóle wszyscy arystokraci. Typowy mieszkaniowiec świata, w którym kazano jej żyć.

Znienawidziła go w jednej chwili.

Wyciągnął rękę po but. Cofnęła się o krok.

– Więc plotkarskie pisma mówią prawdę.

Przechylił głowę.

– Nie czytuję tych szmatławców, ale gwarantuję, że w plotkach na mój temat nie ma ani krzty prawdy.

– Piszą, że rujnuje pan małżeństwa.

Wygładził rękawy.

– Kłamstwo. Mężatek nie tykam.

W tym momencie z okna wychyliła się utrefiona główka damy.

– Zszedł na dół!

Na to ostrzeżenie markiz zaczął zbierać się do odwrotu.

Wyciągnął rękę do Sophie.

– Miło było panią poznać, milady. Poproszę mój but.

Sophie przycisnęła but mocniej i spojrzała w górę.

– To przecież Marcella Latham!

Naręczona – a raczej była naręczona – earla Newsom pomachała jej wesoło ręką.

– Dziękuję ci, Eversley!

Puścił do niej oczko.

– Cała przyjemność po mojej stronie, złotko. Baw się dobrze.

– Mogę powiedzieć przyjaciółkom, prawda?

– Mam nadzieję, że się wkrótce do mnie odezwą.

Lady Marcella zniknęła z okna. Ich rozmowa była dziwnie przyjazna i koleżeńska jak na osoby przyłapanie w niedwuznacznej sytuacji przez utytułowanego, bogatego narzeczonego damy.

– Milady – przypomniał się markiz Eversley.

Sophie spojrzała na niego.

– Zniweczył pan ich małżeństwo.

– Raczej zaręczyny. – Wyciągnął rękę. – A teraz oddaj mi but, słonko. Bardzo cię proszę.

Zignorowała go.

– Zatem interesują pana wyłącznie narzeczone.

– Tak jest.

– A to pewnie wielka różnica.

Czy wśród arystokracji nie znajdzie się ani jedna sensowna osoba?

– Łajdak z pana.

– Tak mówią.

– Niegodziwiec.

– To też mówią – potwierdził, wpatrując się uważnie w coś ponad jej ramieniem.

– Bez żadnych skrupułów.

W końcu coś do niego dotarło.

Popatrzył na nią, jakby dopiero teraz ją zauważył.

– Wyglądasz, jakbyś stanęła nos w nos z jakimś ogromnym robalem.

Zdała sobie sprawę, że marszczy nos.

– Przepraszam – skłamała.

– Nie szkodzi.

Nagle, przyglądając się temu eleganckiemu, tylko częściowo obutemu mężczyźnie, oświeciło ją, że mimo że jest taki podły, może jej się bardzo przydać. Podwiezie ją do domu, choć będzie trzeba wytrzymać w jego niemiłym towarzystwie niemal całą godzinę.

– Powinien się pan stąd w miarę szybko zabrać, jeśli nie chce pan konfrontacji z lordem Newsomem.

– Niezmiernie się cieszę, że pani to w końcu zrozumiała. Jeśli odda mi pani but, wszystko pójdzie dużo szybciej. – Znowu wyciągnął rękę. Postąpiła kolejny krok do tyłu. – Milady – zaczął twardo.

– Zdaje mi się, że znalazł się pan w szczególnej sytuacji – odparła. – Ja zresztą też.

Zmrużył oczy.

– O co chodzi?

– Możemy ponegocjować.

Za rogiem rozległ się donośny okrzyk i markiz spojrział w tamtą stronę, spodziewając się nadejścia swego przeciwnika. Korzystając z okazji, Sophie umknęła na tyły domu, gdzie za szpalerem drzew i krzewów krył się niski, kamienny murek a za nim lśnił rząd powozów, czekających na swoich właścicieli.

Ruszył za nią. Musiał, bo przecież miała jego but.

A on miał powóz.

Idealna sytuacja. Gdy znaleźli się za zasłoną drzew, odwróciła się do niego.

– Chcę panu coś zaproponować, lordzie Eversley.

Uniósł brwi.

– Dziś już nie przyjmuję żadnych propozycji, lady Sophie. Poza tym, nawet ja nie odważę się pokazywać publicznie z jedną z Feralnych Sióstr.

A więc ją poznał.

Zarumieniła się z gniewu i wstydu. Gniew wziął górę.

– Przecież, gdyby pan był kobietą, już dawno zostałby pan wygnany z towarzystwa.

– Tak, tylko że nie jestem kobietą. Dzięki Bogu.

– To prawda, niektórzy z nas nie mają tego szczęścia. Inni znowu mają mniej swobody niż pan.

Spojrzał na nią, poważniejąc w jednej chwili.

– Nie ma pani bladego pojęcia, czym jest swoboda.

Nie dała się zbić z tropu.

– Wiem, że ma jej pan dużo więcej, niż ja będę miała kiedykolwiek w życiu. I wiem też, że bez tej swobody muszę się uciec do... – Zabrakło jej słów.

– Niegodziwości? – podrzucił. Jego powaga zniknęła w jednej chwili, tak szybko, że Sophie niemal

nie zwróciła na to uwagi. Przypomniała sobie natychmiast, że nie powinna sobie zawracać głowy nastrojami tego irytującego człowieka.

– Nie ma w tym nic niegodziwego.

– Jesteśmy na osobności, milady. Jeśli zamierza mnie pani wykorzystać w taki sposób, jak pani sławetna siostra wykorzystwała swego ówczesnego narzeczonego, a obecnie małżonka, będzie to niegodziwość.

Co za bezczelność. Tupnęła nogą w gęste poszycie porastające ziemię.

– Mam dosyć wysłuchiwania historii nieszczęsnego Havena usidlonego przez moją siostrę.

– Wcale nie zamierzał się w to pakować.

– To po co otwierał pudełko? – zdenerwowała się.

Wybuchnął śmiechem, a Sophie zmieniła zdanie na jego temat. Nie był irytujący. Był po prostu koszmarny.

– Uważa pan, że to zabawne?

Przycisnął dłoń do piersi.

– Proszę mi wybaczyć. – Prychnął i znowu się roześmiał. – Po co otwierał pudełko!

Skrzywiła się.

– To było pana porównanie.

– Ale pani zrobiła z niego prawdziwe cacko. Słowo honoru, gdyby zrozumiała pani podtekst, zgodziłaby się pani ze mną w całej rozciągłości.

– Wątpię.

– Niechże pani przyzna mi rację. Bo pomyślę, że jest pani niezabawna.

– Jestem zabawna! – zdenerwowała się.

– Jak to, przecież pani jest Sophie, najmłodsza Talbotówna, prawda?

– Prawda.

– Ta niezabawna.

Aż się wyprostowała na te słowa. A więc tak ją określano? Co za przygnębiające słowo. Sugeruje smutek, wahanie, a nawet cień obawy. Niestety, jest w tym trochę racji.

– Nie ma takiego słowa jak „niezabawny”.

– Tak samo pięć minut temu nie było takiego słowa jak „defenestracja”.

– Oczywiście, że było! – wykrzyknęła.

Zakołysał się na piętach.

– To pani tak twierdzi.

– To prawdziwe słowo – nadeła się i dopiero wtedy zauważyła przekorny błysk w jego oku. – Aha. Rozumiem.

Rozłożył szeroko ręce na potwierdzenie swojej teorii.

– Niezabawna – ogłosił światu.

– Jestem bardzo zabawna – upierała się bez przekonania.

– Obawiam się, że nie. Niech pani spojrzy na siebie. Ani jednego orientalnego akcentu.

Skrzywiła się.

– To idiotyczny temat przyjęcia, którego goście nie mają pojęcia o Chinach i w ogóle się nimi nie interesują.

– Niech pani uważa, żeby to nie dotarło do lady Liverpool.

Wyprostowała się.

– Ponieważ rzeczona lady Liverpool przebrała się za japońskiego karpia, podejrzewam, że moja opinia w ogóle ją nie obejdzie.

Uniósł brwi.

– Czy to miała być drwina, lady Sophie?

– Tylko uwaga.

Cmoknął z dezaprobatą.

– No właśnie. Jednak, mimo wszystko, niezabawna.

– A pan jest niemiły. I to jest prawdziwe słowo.

– Pani pierwsza mi to mówi.

– Niemożliwe. Czyżbym była pierwszą rozsądną kobietą, z którą pan rozmawia?

Zaśmiał się ciepło i dziwnie zapraszająco. Miło. Z aprobatą.

Odsunęła tę myśl od siebie. Nie obchodziła go jej aprobata. Ani to, co o niej myślał. I co myślał o niej

cały jego okropny, pusty, arystokratyczny świat. Uważają, że jest niezabawna? Niech tak myślą, jej to nie obchodzi. Ten człowiek miał być tylko środkiem do celu.

– Wystarczy tego – stwierdziła. Nieraz obserwowała ojca podczas negocjacji i wiedziała, kiedy trzeba przejść do konkretów i załatwić sprawę. – Rozumiem, że zamierza pan wyjść wcześniej z przyjęcia?

Pytanie zaskoczyło Eversleya.

– Owszem, tak.

– Proszę mnie ze sobą zabrać.

Wyraźnie go zatkało.

– Och. Nic z tego.

– Dlaczego nie?

– Z wielu powodów, słońko. Między innymi dlatego, że nie zamierzam się wrobić w małżeństwo ze Smoluchem.

Zeszywniała na to przezwisko. Używano go tylko za ich plecami, ale po tym okropnym człowieku można się było spodziewać wszystkiego.

– Nie zamierzam pana łąpać na męża, lordzie Eversley. Zapewniam pana, nawet gdybym miała taki zamiar, nasza rozmowa by mnie od niego odwiodła raz na zawsze – odparła, machając dłonią. Wzięła głęboki oddech. – Potrzebuję się stąd szybko wydostać. Musi pan to zrozumieć. Jest pan w tej samej sytuacji.

Popatrzył na nią.

– Co się stało?

Odwróciła wzrok na wspomnienie zimnych spojrzeń socjety.

– Nieważne.

Uniósł brwi.

– Jeśli siedzisz tu ze mną w krzakach, moja miła, raczej było to ważne.

– To zwykły zagajnik, nie żadne krzaki.

– Jak na kogoś, kto mnie potrzebuje, za bardzo się stawiasz.

– Nie potrzebuję pana.

– To proszę oddać mi but i zaraz mnie tu nie będzie.

Zacisnęła mocniej dłonie na cholewce.

– Potrzebuję powozu. Tylko o to mi chodzi.

– Powóz będzie mi potrzebny do czego innego – odparł.

– Proszę mnie po prostu podwieźć do domu.

– Ma pani cztery siostry, matkę i ojca. Proszę jechać z nimi.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

Duma mi nie pozwala.

No, tego na pewno mu nie powie.

– Będzie pan musiał mi uwierzyć.

– Reputacja, jaką cieszą się damy z pani rodziny, nie zachęca do zaufania.



Nie udawała, że go nie rozumie.

– Aha, a pan jest ideałem szacownego obywatela.

Uśmiechnął się.

– Ale ja nie handluję reputacją.

Nienawidziła go coraz bardziej.

Skinęła głową.

– Trudno. Nie zostawia mi pan innego wyboru. Muszę iść na całość.

Uniósł brwi.

– Proszę mnie zawieźć do domu, bo straci pan but.

Obserwował ją z uwagą przez dłuższą chwilę. Zmusiła się do spokoju. Starła się nie zauważać, jakie ma piękne, zielone oczy, prosty, arystokratyczny nos i pełne, wygięte wargi. W szczególności wargi.

Na myśl o nich przełknęła ślinę, a jego wzrok natychmiast powędrował ku podstawie jej szyi.

– Niech pani go sobie weźmie.

Drgnęła, przypominając sobie, o czym właściwie rozmawiali.

Zanim zdążyła odparować, wszedł między drzewa, przeskoczył przez mur i ruszył ku pojazdowi.

Gdy dobiegła do muru, stał już przy swoim wielkim, eleganckim powozie. Przyglądała mu się przez moment w nadziei, że w coś wdepnie nieobutą nogą. Wydawało jej się, że przepzęga konie, sprawdza coś przy uprzęży i przy lejcach. Dziwne, miał przecież ludzi od tego.

Kiedy obejrzał całą szóstkę, wszedł do powozu. Sophie obserwowała, jak młody foryś w liberii zamyka drzwi i rusza przodem, by utorować drogę wśród innych pojazdów, kompletnie zastawiających przejazd.

Westchnęła.

Markiz Eversley nie miał pojęcia, że jako bogaty mężczyzna cieszył się niezwykłą wolnością. Wyobrażała sobie, jak padł na poduszki swego luksusowego powozu, niby uosobienie arystokratycznej swobody, i zastanawiał się nad drzemką, by wypocząć po trudach wieczoru.

Leniwy, nieporuszony.

Na pewno już o niej zapomniał. Pewnie nikim nie zawracał sobie zbytnio głowy. W jego życiu było aż za dużo kobiet. Twarzy służby też pewnie nie pamiętał.

Musnęła wzrokiem postać drugiego służącego – dzieciucha, który był za młody na forysia, a co dopiero na lokaja. Nadawał się chyba tylko na pazia. Stał na uboczu, patrząc, jak stangreci powoli wracają na kozły i zaczynają manewrować powozami, żeby zrobić drogę dla zaprzęgu Eversleya. W dłoni zaciążyła jej torebka, w której miała pieniądze.

„Nigdy nie wychodź z domu bez broni i to takiej, żebyś z każdym wygrała”, powtarzał im ojciec do znudzenia, choć było mało prawdopodobne, by arystokratyczne damy wdawały się w bójki.

Sophie nie była głupia i dobrze wiedziała, że chodziło mu o londyńskie potyczki towarzyskie. Na pewno uznałyby, że dobrze robi, wydając pieniądze, by zapewnić sobie ucieczkę z tego przyjęcia.

Podeszła do lokajczyka.

– Przepraszam na chwilę.

Odwrócił się i zamarł, zaskoczony widokiem młodej lady z męskim butem w dłoni. Skłonił się pospiesznie.

– P...panienko?

Był rzeczywiście bardzo młody. Młodszy od niej.

Sophie odmówiła krótką modlitwę dziękczynną do Stwórcy.

– Kiedy stąd odjedziecie? – spytała, starając się, by zabrzmiało to beztrąsko.

Był wyraźnie wdzięczny za to proste pytanie.

– Za kwadrans, milady. Nie dłużej.

Trzeba było się pospieszyć.

– Pracujesz u markiza?

Skinął głową, muskając przelotnym spojrzeniem but w jej dłoni.

– Dzisiaj jeszcze tak.

Schowała but za siebie, nie kryjąc zdziwienia w głosie.

– Tylko dzisiaj?

Pokręcił głową.

– Wysyłają mnie na nową posadę. Gdzieś na północ.

Posmutniał. Czyżby czegoś żałował?

Chwyciła się tego. Wpadła na pewien pomysł, choć nie przemyślała go zbyt dokładnie.

– A ty chciałbyś zostać w Londynie?

Chłopak zaczął sobie uświadamiać, że nie powinien rozmawiać z arystokratką na takie tematy.

– Z radością będę służył markizowi wszędzie, gdzie mnie wyśle, milady.

Skinęła głową. Służbę ciągle przenoszono z jednego majątku do drugiego. Eversley na pewno nie zastanawiał się, czy jego ludzie chcą pracować tu, czy tam. Kierował się własnymi kapryсами. Tacy jak on nigdy nie myślą o innych.

Sophie bez większych wyrzutów sumienia zaczęła wprowadzać swój plan w życie.

– To może wolałbyś służyć u hrabiego?

Otworzył szeroko oczy.

– Milady?

– Mój ojciec to hrabia Wight.

Zamrugął.

– Pracowałbyś tu, w Londynie.

Chłopiec wyraźnie oniemiał na tę propozycję. Nic dziwnego. Sophie podejrzewała, że pażom rzadko zdarzają się propozycje nowej pracy w takich okolicznościach.

Naciskała dalej.

– Najpierw pracował przy węglu brunatnym. Jak jego ojciec i dziadek. Nie jest takim zwykłym arystokratą.

Żadnego efektu. Sophie zaczęła z innej beczki.

– Bardzo dobrze płaci służbie. Dostaniesz dwa razy tyle, co u markiza. – Zamilkła na moment, a potem podwyższyła stawkę. – Albo więcej.

Chłopak przechylił głowę.

– I zostaniesz w Londynie – dodała.

Ściągnął brwi.

– Dlaczego akurat ja?

Uśmiechnęła się.

– Jak masz na imię?

– Matthew, milady.

– Może po prostu masz szczęście, Matthew. Co ty na to?

Nie przekonała go, ale widać było, że rozważa ofertę. Spojrzał przez ramię na powóz markiza i spytał:

– Dwa razy tyle, panienko?

Skinęła głową.

– Podobno pokoje dla służby w Wight Manor są najlepsze w całym Londynie – mruknął. Udało się.

Pochyliła się ku niemu.

– Możesz sam sprawdzić. Już dzisiaj.

Zmrużył oczy.

– Zajdź tam wieczorem, po balu. Powiedz, że chcesz rozmawiać z panem Grimesem. To sekretarz mojego ojca. Powiedz, że to ja cię przysłałam. Ja to potwierdzę.

Sięgnęła do torebki, wyjęła kartkę, ołówek, a potem napisała na niej adres pałacyku w Mayfair i prośbę, żeby go przyjęto. Jeszcze raz sięgnęła do torebki i wyjęła dwie monety.

Podowała mu kartkę i pieniądze.

– Masz tu dwie korony.

Spojrzał na nią z otwartą gębą.

– Taką forszę płacą za miesiąc roboty!

– Ojciec zapłaci ci więcej. Obiecuję.

Zacisnął wargi.

– Nie wierzysz mi – powiedziała.

– Mam wierzyć babie?

Pominęła milczeniem grubiańskie słowa i spojrzała mu w oczy.

– Za ile byś mi uwierzył? – Ściągnął brwi, więc zaproponowała sama: – Za funciaka?

To była ogromna kwota, ale Sophie aż za dobrze wiedziała, jaką moc mają pieniądze. Sięgnęła do torebki i wyjęła resztę pieniędzy. Bez wahania zapłaciła chłopcu, pewna, że za chwilę będzie w domu i uzupełni zapas gotówki.

Zacisnął monety w pięści. Udało się.

– Tylko musisz zrobić dla mnie jedną rzecz – powiedziała z lekkim poczuciem winy.

– Wszystko, co panienka zechce.

– Wszystko? – spytała, nie potrafiąc ukryć nadziei.

– Wszystko – przytaknął.

Wzięła głęboki oddech, wiedząc, że kiedy zacznie realizować swój plan, nie będzie już odwrotu. I że jeśli ją ktoś przyłapie, będzie skompromitowana.

Spojrzała za siebie. Pałac wznosił się nad drzewami jak bramy piekieł. Z żalem i goryczą przypomniała sobie, co się zdarzyło na przyjęciu. Oranżeria. Ten bydlak, jej szwagier. I cały Londyn po jego stronie. Przeciwno niej. Odwrócili się od niej. Okryła się wstydem.

Musiała się stąd wynieść. I to szybko. Zanim się zorientują, jak bardzo ją to zabolalo. Był na to tylko jeden sposób.

Odwróciła się do Matthew.

– Potrzebna mi będzie twoja liberia.

### ***3. Znalezione suknię lady Sophie! Rodzina obawia się najgorszego***

Sophie za późno się zorientowała, że powóz wcale nie kieruje się do Mayfair.

Gdyby wiedziała o tym, zanim wcisnęła się w liberię i ukryła włosy pod kapeluszem Matthew, może starczyłoby jej siły ducha, by zeskoczyć. A już na pewno przyjęłaby zaproszenie stangreta, by siąść obok niego na koźle.

Niestety, nie wpadła na to, pomimo uniesionych brwi starszego mężczyzny i jego sceptycznych słów:

– A rób se, jak chcesz!

Wskoczyła więc na schodek z tyłu powozu i złapała się mocno uchwyty, w całkiem wesołym nastroju.

Nie zorientowała się nawet na końcu długiego podjazdu do pałacu, gdy powóz skręcił w lewo, a nie w prawo.

Nawet wiejski krajobraz po obu stronach drogi nie dał jej do myślenia. Zamiast tego wciągnęła głęboko w płuca wiejskie powietrze i poczuła powiew swobody, po raz pierwszy od chwili, gdy upchano ją w powozie z siostrami i powieziono do Londynu.

Świetnie się przy tym bawiła.

Masz za swoje, ty okropny arystokratyczny nicponiu.

Wybuchnęła śmiechem na myśl, że markiz siedzi tam w środku i nie ma pojęcia o pasażerce na gapę. Biedaczysko, nie wiedział, że ona zawsze postawi na swoim. Jaka szkoda, że nie będzie świadkiem chwili, gdy ona zeskoczy ze stopnia i ruszy do bramy domu. Zapłaciłaby spore pieniądze, żeby zobaczyć, jak jego wymuskana gęba otwiera się ze zdziwienia.

Zaśmiała się jeszcze raz, spoglądając w błękitne niebo i wiejski krajobraz, upstrzony stadkami owiec, zagajnikami i stogami siana. Była szczęśliwa, że uciekła bez niczyjej pomocy. Niestety, nikomu nie będzie mogła o tym opowiedzieć. Kiedy tylko wróci do domu, pozbędzie się kiepsko dopasowanej odzieży Matthew i zmyśli jakąś bajkę o swoim powrocie. A potem przekupi chłopaka, by dotrzymał tajemnicy.

Ale na razie, z dala od miejskich zabudowań, które majaczyły w oddali, mogła zapomnieć o popołudniu i jego nieprzyjemnych i z pewnością długotrwałych konsekwencjach, i rozkoszować się swoim triumfem.

Uśmiechała się tak szeroko, że zabolą ją policzki. A potem zaczęła odczuwać ból w innych miejscach. Z początku go ignorowała. Wystarczy jej sił, żeby wytrzymać tych parę mil, aż dojadą do Mayfair. Na ulicach powóz będzie się co chwila zatrzymywał, a po godzinie będzie już w domu.

Potem rozbolały ją nogi w jedwabnych pantofelkach. Okazało się, że buty Matthew są za małe na jej „płetwy”, jak je nazywał ojciec, niepomny, że dam nie obdarza się tak wątpliwymi komplementami.

Jak się okazało, jedwabne pantofelki nie nadawały się do jazdy na stopniu. Sophie zresztą też. Po półgodzinie rozbolały ją ręce, w których kurczowo ścisnęła pałąk z tyłu pojazdu. Nie spodziewała się, że będzie jej tak niewygodnie. Zaciśnęła zęby, mówiąc sobie, że inni mają gorzej. Ludzie budują mosty. Rodziny przenoszą się na inne kontynenty. W jej rodzinie byli przecież węglarze. Ojciec. Dziadek. Sophie Talbot wytrzyma z tyłu tego powozu te dwie marne mile dzielące ją od domu.

Powóz przyspieszył, jakby niebiosa usłyszały jej słowa i pokazywały, że jest w błędzie. Spojrzała w dół, zastanawiając się, czy nie lepiej będzie zeskoczyć i pójść do domu pieszo. Ale szybkość, z jaką droga mknęła pod jej nogami, zniechęciła ją od tego pomysłu. Chciała pożegnać się z socjetą, nie ze światem.

– Do diaska.

Sophie. Nie wyrażaj się. Pomimo paniki, gdzieś w umyśle zadźwięczały napomnienia matki. Uznała jednak, że ma pełne prawo przeklinać: wisiała uczepiona pojazdu, w przebraniu służącego i czekała ją pewna śmierć.

Nagle powóz minął pocztowy dyliżans pełen ludzi. Dzieciak siedzący na imperialu wyszczerzył do niej zęby.

Dopiero wtedy zrozumiała, że jej powóz wcale nie jedzie do Londynu.

– Do diaska – powtórzyła. Na cały głos.

Dzieciak zamachał ręką.

Nie odważyła się puścić pałaka, żeby odmachnąć. Ścisnęła go mocniej i przytuliła czoło do zimnej ściany powozu.

– Do diaska, do diaska, do diaska – powtarzała jak litanie.

Powóz, jakby chciał ją ukarać, wyskoczył z koleiny. Gwałtowne szarpnięcie niemal nie zrzuciło jej na ziemię.

Krzyknęła ze strachu. Złapała się mocniej. Ręce zaboląły jeszcze bardziej.

Tylko jedno mogło ją uratować. Musiała zsiąść z powozu. Natychmiast. Do domu miała tylko milę, najwyżej dwie. Dojdzie tam piechotą, jeśli uda jej się zeskoczyć.

– Mówiłem, żebyś siadał ze mną! – zawołał stangret.

Zamknęła oczy.

– Kiedy się zatrzymamy?

Odpowiedź dotarła po długich sekundach.

– Mamy pogodę, więc pewnie za jakieś trzy–cztery godziny – padła przerażająca odpowiedź.

Jęknęła. Nie ma wyjścia, trzeba będzie zeskoczyć.

– Może jednak zmienisz zdanie i przyjdiesz do mnie na kozioł? – zawołał stangret.

Pewnie, że zmieni. Ależ z niej idiotka. Gdyby nie uparła się uciec z tego głupiego balu, dawno byłaby już w domu. A już na pewno nie tutaj – o krok od śmiertelnego wypadku.

– To co, mam stanąć!?

Ledwie do niej dotarła końcówka zdania.

O Boże. Tak. Błagam, zatrzymaj się.

– Tak!

Powóz zwolnił, a ją ogarnęła fala ulgi, pozwalając na moment zapomnieć o strachu. Na bardzo krótki moment.

– Dziwiłem się, że chcesz cały dzień jechać z tyłu.

Mógł jej to powiedzieć od razu. Wtedy nie wpakowałyby się w tę kabałę. Gdyby przeszło jej przez głowę, że markiz nie jedzie do Mayfair, nawet nie dotknęłyby tego powozu. Postanowiła nie tracić czasu na rozpamiętywanie pomyłki, tylko zająć się jej naprawieniem. Puściła pałak, wyprostowała się i wzięła głęboki oddech, gotowa zsiąść i powiedzieć im, że Matthew dalej nie jedzie. Ona też nie. Wolność to wspaniała rzecz.

Zastanawiała się przez chwilę, jaką minę zrobi markiz, kiedy się zorientuje, że pojechała z nim na gapę. Przydadzą mu się takie niespodzianki, żeby od czasu do czasu otrząsnął się z aroganckiej bezczelności. To będzie piękna scena.

Niestety, nie miała okazji się nią rozkoszować, bo nogi się pod nią ugięły i upadła na ziemię jak kupka łachmanów.



– Do diaska. – Przyczepiło się do niej to powiedzonko.

Stangret szeroko otworzył oczy. Trudno go było winić. Głównym zadaniem forysiów była przecież jazda z tyłu powozu.

– Wstawaj, gamoniu – huknął z kozła. – Nie będę czekał na ciebie cały dzień.

Cała satysfakcja gdzieś się rozwiała.

Podobnie jak poczucie wolności.

Podniosła się na czworaki. Wszystkie mięśnie paliły jak ogniem. Wstała powoli, tyłem do powozu. Rozprostowała obolały kręgosłup.

– Obawiam się, że będziesz musiał poczekać – odparła – bo zamierzam porozmawiać z markizem.

Stangreta zamurowało, bo do głowy by mu nie przyszło, że prosty sługa może zażądać rozmowy ze swoim panem. Ale się zdziwi, gdy do niego dotrze, że Eversley nie jest żadnym panem. A ona sługą.

Z lekkimi wyrzutami sumienia pomyślała, że będzie musiał wrócić do Londynu, żeby ją odwiedzić, bo pewnie jest tak samo zmęczony podróżą, jak ona.

– Zwariowałeś? – zapytał z niedowierzaniem.

Spojrzała na niego.

– Skądże. – Podeszła do powozu i zastukała pięścią w drzwi. – Otwieraj, milordzie.

W środku nikt nie drgnął. Drzwi pozostały zamknięte.

– Zwariowałeś! – wykrzyknął stangret.

– Przysięgam, że nie – odparła. – Eversley! – krzyknęła, ignorując ból dłoni, którą walnęła w drzwiczki wielkiego, czarnego powozu. Pewnie zasnął. – Otwieraj te drzwi!

Pewnie się wścieknie na jej widok, ale nic ją to nie obchodziło. Miała wielką ochotę dać nauczkę temu bezczelnemu, nieznośnemu arystokracie. Była pewna, że nikt się jeszcze na to nie odważył. Nikt nie śmiał zirytować wielkiego markiza Eversleya, którego powszechnie nazywano Kingiem. Ten nadęty typ uzurpował sobie najwyższy tytuł w Anglii. I cały Londyn na to przystał. Wszyscy go tak nazywali. Miał też inne przezwisko – nicpoń królewskiej krwi – i traktował je jak komplement, a nie jak obelgę.

A od niej socjeta odwróciła się tylko dlatego, że powiedziała parę słów prawdy o księciu. Do gniewu dołączyło się jeszcze inne uczucie, ale nie podobało jej się wcale, więc wolała się nim nie zajmować.

Obrzuciła powóz gniewnym spojrzeniem, jakby ponosił odpowiedzialność za swego butnego właściciela, któremu nikt nie śmiał się sprzeciwić.

Oprócz niej.

– Jego tu nie ma.

Popatrzyła na stangreta.

– Co takiego?

Był wyraźnie zirytowany i prawdopodobnie uznał ją za wariatkę, a raczej wariata.

– Markiza nie ma w powozie. Chyba w głowie ci się coś przestawiło od tych wybojów. Siadaj na kozioł. Jesteśmy na kompletnym pustkowiu. Nie będę tu marudził aż do zmierzchu, ty durniu.

Popatrzyła na drzwi, nie wierząc w jego słowa.

– Jak to, nie ma go w powozie?

Popatrzył na nią z niesmakiem.

– Nie ma go. W środku – wycedził. – Rozumiesz?

– Widziałem, jak wsiadał!

Stangret odpowiedział spokojnie, jakby rozmawiał z dzieckiem.

– Spotkamy się z nim po drodze.

Zamrugła.

– Gdzie?

Zdesperowany stangret westchnął i odwrócił się do koni.

– Mówiłem, że nie chcę ruszać w drogę ze smarkaczem, którego nie znam. Rób, co chcesz. Nie mam

czasu czekać, aż ci rozum wróci.

Strzepnął lejcami. Konie ruszyły, a powóz potoczył się za nimi.

Sophie została na drodze.

Sama.

Na łasce i niełasce obcych ludzi.

Do diaska.

– Nie! Zaczekaj na mnie! – krzyknęła.

Powóz zatrzymał się i ruszył, ledwie wskoczyła na kozioł.

Przez moment chciała wyznać wszystki stangretowi i zdać się na jego miłosierdzie, w nadziei że zawiezie ją do domu. Dom... Przed oczyma przemknął jej obraz zielonych wzgórz ciągnących się całymi milami, dolin, lasów i barwnych zachodów słońca. Nie Londynu. Na pewno nie Mayfair, gdzie jedyną barwną rzeczą były jedwabne suknie, które kazano jej nosić na co dzień, na wypadek gdyby ktoś przyszedł na herbatę.

Londyn nie był jej domem. Przez tych dziesięć lat wcale go nie polubiła. Nie zносиła eleganckiej rezydencji w Mayfair, którą matka i siostry pokochały, jakby zapomniały o przyszłości. Jakby nienawidziły ich dawnego życia. Jakby nie tęskniły za tym, co było.

Nieproszone, ciepłe łzy napłynęły jej do oczu. Sama, bez rodziny, na koźle obcego powozu, pędzącego Bóg jeden wie dokąd, przebrana za lokaja. Zrobiło jej się smutno, ale tylko na myśl o powrocie do Londynu.

Siedziała więc cicho, wsłuchując się w stukot kopyt i skrzypienie kół.

W kilka godzin później, kiedy zaszło słońce, zaczęły się prawdziwe trudności. Przebranie się za lokaja i podróż powozem były niczym w porównaniu z przyjazdem do przydrożnej gospody.

Obserwowała z kozła, jak stangret zsiada i robi w stajni miejsce dla koni i dla powozu. Nigdy się nie zastanawiała, co się dzieje z powozami, gdy właściciele ich nie potrzebują.

– Będiesz tam tkwił jak panisko czy zleziesz na dół i weźmiesz się do roboty?

Słowa stangreta wytrąciły ją z zamyślenia. Spojrzała na niego.

Jego irytacja ustąpiła miejsca podejrzliwości.

Na to nie mogła sobie pozwolić. W każdym razie nie teraz, dopóki nie obmyśli dalszych etapów swojego planu.

Planu... a raczej sposobu wyplątania się z tej koszmarnej, katastrofalnej sytuacji.

– Gdzie jesteśmy? – spytała, obniżając głos. Nie mógł się przecież zorientować, że jest kobietą. Zeskoczyła z kozła, niby to gotowa do pracy. Pochyliła głowę i w ostatniej chwili powstrzymała się, by nie dygnać. Lokaje nie dygali. To akurat wiedziała.

– Najważniejsze, że zajechaliśmy tu przed markizem.

– A gdzie on jest? – spytała bez zastanowienia. Sama zorientowała się, że to było niewłaściwe pytanie, zanim powiedział jej to lodowate spojrzenie stangreta.

– Nie mam pojęcia, co w ciebie wstąpiło, chłopcze – powiedział. – Ale lepiej się ogarnij. Służba nie zadaje pytań swoim panom i nie wtyka nosa w nie swoje sprawy. Służba ma im tylko usługiwać.

Na tym oczywiście polegał problem. Sophie nie miała pojęcia, jak się to robi.

– Jasne. Zaraz się wezmę w garść.

Skinął głową i na odchodnym rzucił przez ramię:

– Najwyższy czas.

Nie miała wyboru, musiała go zapytać:

– Ale... co ja mam robić?

Zatrzymał się i odwrócił powoli, a potem powiedział jak do dziecka:

– Swoją normalną robotę.

Niespecjalnie jej to pomogło.

Wzięła głęboki oddech, przypominając sobie, co normalnie robią lokaje w takiej sytuacji. Stary odwrócił się do koni, a jej spojrzenie pobiegło ku drzwiom wielkiego, pustego powozu. Tylko że on nie był pusty. Eversley na pewno nie wyruszył w taką podróż bez przygotowania. Na pewno ma bagaż. Torby, walizy.

A lokaje odnoszą bagaż na pokoje.

Z tą myślą otworzyła drzwi i wsiadła do środka, gotowa zabrać przygotowane dla służby sakwojaże i zanieść je na pokoje. Znieruchomiała w ciemności. Pojazd rzeczywiście był ogromny – jeden z największych, jakie w życiu widziała. W środku zmieściłyby się pewnie bez trudu ze trzy rzędy siedzeń. Zamiast tego był tylko jeden, a cały tył załadowano drewnianymi kołami. Było ich z dziesięć albo nawet ze dwanaście. Po co Eversley zabierał je na północ? Czyżby tam brakowało kołodziejów?

Na siedzeniach nie było bagaży, tylko stosik eleganckiej odzieży, tej samej, która wyleciała z okna pałacu hrabiny.

Gdzie on się podział?

– Chłopcze!

Westchnęła z rezygnacją. Stangret zaczął się stawać kłopotliwy.

– Tak, proszę pana? – odpowiedziała, zaciskając zęby.

– Lenisz się tak samo, jak przedtem!

Ku jej przerażeniu złapał ją w pasie i wyciągnął z powozu. Pisnęła rozpaczliwie, gdy postawił ją na ziemi i zatrzasnął drzwiczki. Od dawna nikt nie potraktował jej tak bezceremonialnie.

Kiedy zaczął reprimendę, wiedziała, że to koniec. Dobrze, że Matthew postanowił zmienić pracę, bo z pewnością po tym wszystkim nie zagrażałby miejsca u Eversleya.

– Czyś ty rozum stracił?!

Dłuższa przemowę na temat jej inteligencji – a raczej jej braku – przerwał ogłuszający hurgot powozów, tętent i sapanie koni oraz radosne męskie okrzyki. Odwróciła się akurat na czas, bo w tym momencie na dziedzińcu gospody wpadły dwukółki, rozpedzone jakby były na ostatniej prostej przed metą, a nie na zatłoczonym gościńcu przydrożnej gospody.

Krzyknęła i odskoczyła, przyciskając się do ściany. Szeroko otwartymi oczyma patrzyła, jak hamujący powozik balansował na jednym kole, o mało się nie przewracając. Drewniana szprycha trzasnęła i poleciała na kamienie, gdy powożący wykonał zgrabny półobrót, ustawiając się frontem do nadjeżdżających w ślad za nim towarzyszy. Mężczyzna wstał energicznie, choć po takiej jeździe nogi powinny się pod nim uginać, założył ręce na piersi i obserwował hamujące powozy.

Białe zęby zaśniły w szerokim, pewnym siebie uśmiechu. Resztę twarzy zasłaniało rondo kapelusza. Dziwnie pociągający był ten uśmiech.

– Jak widać, wygrałem, panowie. Po raz kolejny.

Odpowiedział mu chór niechętnych pomruków.

Sophie pierwszy raz w życiu była w gospodzie po zmroku, więc nie wiedziała, czy to normalne wydarzenie, czy ewenement. Nie przyszłoby jej do głowy, że dżentelmeni dla zabawy ścigają się dwukółkami po północnym trakcie.

Dla zabawy.

Przypomniało jej to Eversleya, który nazwał ją niezabawną.

Właśnie, że jest zabawna, i to bardzo.

Przecież znalazła się tutaj, prawda? Przebrana za chłopaka, na dziedzińcu gospody, wśród ludzi, którzy zdecydowanie potrafili się bawić.

Mężczyzna wyskoczył z dwukółki i rozkołysanym krokiem podszedł do dobranych maścią, karych koni, by podziękować im za wysiłek. Zdyszane, robiące bokami zwierzęta pochyliły się, przyjmując pieszczoty swego pana. Sophie zafascynowała ta scena i mężczyźni, których był przywódcą. Nigdy nie widziała, by dżentelmeni ubierali się w ten sposób – całkiem na czarno i bardzo swobodnie – w kurtki narzucone na

płócienne koszule, bez fontazi i krawatów. Spodnie lśniły w blasku latarni, jakby były ze skóry. Jakie to dziwne. I bardzo fascynujące.

Jej uwagę przyciągnęły długie, umięśnione nogi mężczyzny. Był świetnie zbudowany. I to wszędzie. To już drugi tego dnia.

Zakasłała się na tę myśl. Policzki oblało jej gorąco. Zwróciła tym na siebie jego uwagę.

Choć oczy miał w dalszym ciągu osłonięte rondem kapelusza, przyjrzał jej się badawczo, jak nikt dotąd. Była wdzięczna losowi za liberię Matthew, która ukrywała jej płeć. Opuściła wzrok na jego buty, żałując że nie może stać się niewidzialna. Właśnie wtedy zauważyła, że ich nie ma. To znaczy jednego z nich.

Do diaska.

Markiz Eversley we własnej osobie.

Podszedł do niej tak blisko, że zaczęła się obawiać zdemaskowania. Poruszał się tym samym kołyszącym chodem, co wcześniej – pewnie przez ten but. Uparcie wbijała wzrok w ziemię, w nadziei, że ją zignoruje.

Nic z tego.

– Chłopcze – odezwał się, podchodząc bliżej. Za blisko.

Przestąpiła z nogi na nogę, próbując siłą woli skierować go w inną stronę.

Bez powodzenia.

– Słyszałeś mnie? – spytał.

O mało co znowu nie dygnęła. Nie wolno się silić na uprzejmość wobec tego kobieciarza, który reprezentował sobą wszystko, czym gardziła – całą tę socjetę, która odwróciła się od niej tak pośpiesznie. On też się od niej odwrócił. Gdyby jej pomógł wcześniej, nie wpakowałyby się w kłopoty.

– Głuchy jesteś? – warknęła.

Wyprostowała się, odkaszlnęła i przycisnęła podbródek do piersi, by obniżyć głos.

– Nie, milordzie – odparła. O mało się nie zakrztusiła.

Nie wiadomo, czym by się to skończyło, gdyby nie nadszedł jeden z jego kompanów.

– Do diabła, King, ty naprawdę nie znasz strachu. Myślałem, że się zabijesz na ostatnim zakręcie.

Sapnęła ze zdziwienia – nie z powodu słownictwa, bo dzieciństwo spędzone wśród węglarzy uodporniło ją na wulgaryzmy, ale na dźwięk szkockiego akcentu. Podniosła wzrok i znalazła się oko w oko z księciem Warnick, legendarnym zawadiaką i nieokrzesanym Szkotem, który nieoczekiwanie odziedziczył książęcy tytuł. Przyprawił tym cały Londyn o atak paniki. Rzadko bywał w stolicy, bo był tam niemile widziany.

A teraz stał tuż obok, rechotał i walił markiza Eversley, gratulując mu straceńczej odwagi. Eversley uśmiechał się równie szeroko, arogancko i bezczelnie.

– Złamałem dwie szprychy w prawym kole – pochwalił się. Zrozumiała, dlaczego podróżował powozem wypełnionym kołami. – Ale, jak widać, trzeba ryzykować, żeby wygrać.

Warnick roześmiał się.

– Myślałem o tym, żeby cię przegonić na ostatniej ćwiartce mili.

– Nawet gdybyś mnie dogonił i tak byś stchórzył i mnie nie wyprzedził – odpalił Król.

Sophie pomyślała sobie, że to żadne tchórzostwo, tylko zdrowy rozsądek, ale powstrzymała się od komentarzy. Odsunęła się ukradkiem, żeby markiz jej nie rozpoznał w świetle i nie skompromitował jej do reszty. Szybko zorientowała się, że całe to towarzystwo doskonale wie, kim są siostry Talbot.

Książę podszedł do Eversleya i zapytał z groźbą w głosie.

– Nazwałeś mnie tchórzem?

– A jakże. Kiedy ostatnio byłeś w Londynie? – spytał Eversley z naciskiem. Dostrzegł kątem oka, że Sophie próbuje się wycofać, wycelował w nią palcem i rzucił: – Nie ruszaj się stąd.

Nie miała innego wyjścia. Czekwała, aż skończą rozmowę. Zaczęło do niej docierać, jak źle traktowana

jest służba. Miała przecież pracę do zrobienia. Wprawdzie nie do końca wiedziała jaką, ale na pewno ważniejszą niż gapienie się na te dwa kapuściane łby.

Książę przechylił głowę.

– Sam jesteś dobry w unikaniu wrażeń tubylców.

Eversley odpowiedział uśmiechem.

– Jestem w tym mistrzem.

Warnick sięgnął do kieszeni i wyciągnął monetę.

– Wygrana.

Rzucił ją w stronę Eversleya, który pochwycił ją w locie i schował do kieszeni.

– Z przyjemnością zgram twoje pieniądze.

– Jasne – prychnął książę. – Masz je gdzieś. Zależy ci tylko na wygranej.

Sophie o mało co nie wzniosła oczu do nieba. To było chyba oczywiste. Ona od razu się zorientowała, że Eversley chce tylko wygrywać.

Bardzo chciałaby doprowadzić do jego przegranej i to na całej linii.

Ale zanim zagłębiła się w marzenia o jego klęsce, książę wbił ostatnią szpilę.

– I tak nie zwróci ci się za but. Przyznaj się, zostawiłeś go na pamiątkę w miejscu swego ostatniego zlecenia.

Serce Sophie zabiło na te słowa, które przypomniały jej o reputacji Eversleya i o swojej własnej głupocie, która przywiodła ją aż tutaj, daleko od domu i bez żadnego sensownego planu powrotu.

Co teraz?

Będzie musiała poprosić o pomoc kogoś z gości. Ubłaga, żeby zabrał ją do Londynu, choć to nie będzie łatwe. Będzie musiała obiecać, że zapłaci tuż po przyjeździe.

– Bez trudu go odzyskam.

Na te słowa oprzytomniała i instynktownie podniosła wzrok, by spojrzeć w oczy osłonięte rondem kapelusza. Czyżby jednak ją rozpoznał?

– Poślę po niego chłopaka.

Znieruchomiała. Nawet oddech zamarł jej w płucach.

Została rozpoznana.

Książę wybuchnął śmiechem, nieświadomy rozgrywki toczącej się w jego obecności. Ruszył w stronę swojej dwukółki, rzucając na odchodnym:

– Chłopak mógłby się zgorszyć, gdyby zakradł się do buduaru tej damy.

Sophie westchnęła z niesmakiem.

Naturalnie, Marcella stała się obiektem krytyki, podczas gdy markiz napawał się podziwem swoich okropnych kompanów.

Eversley posłał jej przekorne spojrzenie.

– Mam nadzieję, że but znajdzie się w powozie.

Z trudem powstrzymała się, by nie powiedzieć mu, gdzie może sobie go wsadzić. Zamiast tego odegrała rolę idealnego sługi.

– Obawiam się, że nie, milordzie.

Uniósł brew.

– Nie?

Szkoda, że nie mogła spojrzeć mu w oczy. Wprawdzie ich spojrzenie było niezmiernie irytujące, ale przynajmniej mogłaby odgadnąć zamiary Eversleya. Zadarła podbródek i dzielnie brnęła dalej. Zauważył jej determinację.

– Nie.

Zniżył głos.

– W takim razie gdzie jest?



– Podejrzewam, że tam, gdzie go zostawiłam. W żywopłocie hrabiny – odparła równie cicho. Spodobało jej się, że bezgłośnie przełknął ślinę w ciszy, jaka zapadła po jej słowach.

– Zostawiłaś mojego botforta w żywopłocie!

– Tak samo jak pan mnie – odparła.

– Nie byłaś mi do niczego potrzebna.

– Ja tego botforta też nie potrzebowałam.

Wpatrywał się w nią dłuższą chwilę, a potem zmienił temat.

– Wyglądasz idiotycznie.

Miał rację.

Uniosła ramię, potem je opuściła.

– To pańska liberia.

– Dla lokaja! A nie dla rozpuszczonej dziewczuchy, która szuka przygód.

To ją rozzłościło.

– Nic pan o mnie nie wie. Wcale nie jestem rozpuszczona. I wcale nie szukam przygód.

– Naprawdę? W takim razie wytłumacz mi, dlaczego ukradłaś tę liberię i zabrałaś się moim powozem na gapę. Masz pewnie bardzo dobre powody.

– Owszem, mam. I wcale nie jechałam w powozie, tylko na koźle.

– Razem ze stangretem, któremu chyba wzrok odebrało. Dlaczego to zrobiłaś?

Skrzywiła się.

– Bo lokaje nie jeżdżą w powozach, milordzie. Zresztą powóz, o którym rozmawiamy, jest cały zapchany jakimiś kołami. Właściwie po co?

– Na wymianę – odparł bez wahania. – Gdzie jest mój lokaj? Dałaś mu w łeb i zostawiłaś gołego w żywopłocie razem z moim butem?

– Oczywiście, że nie. Matthew ma się świetnie.

– Założył twoją suknię?

Zarumieniła się.

– Skądże. Odkupił ubranie od jednego ze stajennych hrabiny.

Pytanie padało za pytaniem.

– A ty? Rozebrałaś się do naga przed całym Londynem?

– Skądże znowu! – zdenerwowała się. – Jeszcze nie zwariowałam.

– Pewnie, że nie. Ani trochę.

– Naprawdę nie! – syknęła, starając się nie zwracać niczyjej uwagi. – Przebrałam się w naszym własnym powozie. Zapłaciłam Matthew za tę liberię, a potem posłałam go do ojca, żeby go zatrudnił.

Znieruchomiał.

– Ukradłaś mi lokaja.

– To nie była kradzież.

– Rano go miałem. Teraz go nie mam. I to nie ma być kradzież?

– Nie. Przecież nie był pańską własnością – upierała się.

– Płaciłem mu!

– Widocznie ja zapłaciłam mu więcej.

Zamilkł. W jego oczach dostrzegła zniechęcenie.

– No i dobrze – odpowiedział. Kiwnął głową, odwrócił się i poszedł.

No cóż. Tego się nie spodziewała. Kiepsko wyszło, bo nie miała przecież ani grosza, a on był jedyną osobą, która mogła pomóc jej w dostaniu się do domu. Dzięki temu zniknęłaby z jego życia na zawsze.

Westchnęła. Był jej mimo wszystko potrzebny.

– Chwileczkę! – zawołała, przyciągając uwagę stangreta i kilku jego towarzyszy. Markiz nawet się nie obejrzał.

Ignorował ją, i to celowo.

Pobiegła za nim, choć żwir dokuczał jej stopom w cienkich pantofelkach.

– Jeszcze jedno. – Stał i odwrócił się do niej. Podeszła bliżej, nagle świadoma jego wzrostu i tego, że jej czoło znalazło się na wysokości jego zaciśniętych warg. – Źle na tobie leży.

– Słucham? – spytała, mrugając.

– Liberia źle leży. Jest za ciasna.

Najpierw powiedział, że jest mało zabawna, a teraz, że za gruba. Sama o tym wiedziała, ale nie musiał jej wytykać, że nie jest szczupłą jak witka. Przełknęła ślinę i odcięła się:

– Proszę wybaczyć, chodząca doskonałości. Nie miałam czasu, by wpaść po drodze do krawcowej.

Nie przeprosił jej za swoje zachowanie – zresztą nie spodziewała się tego, więc brnęła dalej.

– Muszę wrócić do domu.

– Owszem, już to dzisiaj słyszałem.

A potem odmówił jej pomocy i wpakował w kłopoty. Wprawdzie to nie była do końca jego wina, ale Sophie wolała o tym nie myśleć.

– Nic się od tej pory nie zmieniło.

– Z mojej strony także nie. To nie moja sprawa.

Zaskoczyło ją to.

– Ale... – przerwała, nie wiedząc, co powiedzieć. – Ale ja...

Nie czekał na odpowiedź.

– Ukradłaś mojego botforta i mojego lokaja. Podejrzewam, że chciałaś w ten sposób zwrócić na siebie moją uwagę, a potem złapać mnie na męża. To bardzo prawdopodobne, sądząc po zachowaniu twoich starszych sióstr. Mam nadzieję, że teraz lepiej rozumiesz, czemu nie chcę ci pomóc.

Przerwał, a gdy się nie odezwała, dodał:

– Szczerze mówiąc, twój problem jest poważny, ale to w dalszym ciągu nie mój problem.

Zabrzmiało to bardzo ostro. Do tego odwrócił się od niej z taką obojętnością, jakby była niczym, jakby się nie liczyła, nie zasługiwała nawet na myśl. Może innego dnia nie zabolaloby ją to tak bardzo jak dziś, kiedy cała londyńska socjeta potraktowała ją jak intruza.

Przed oczyma przemknęły jej sceny w oranżerii. Tłum arystokratów, który poparł swego beniaminka księcia, choć racja była po jej stronie.

Do oczu napłynęły nieproszone łzy.

Wzięła głęboki oddech, by je powstrzymać.

Nie będzie przy nim płakać.

Oczy ją zapiekły. Pociągnęła nosem, jakby nie była damą.

Odwrócił się gwałtownie.

– Nie licz na moje dobre serce. Nic z tego.

– Proszę się nie obawiać – odparła. – Do głowy by mi nie przyszło, że ma pan serce.

Obserwował ją w milczeniu przez dłuższą chwilę.

Nagle z góry odezwał się stangret, który odczepiał lejce od kozła.

– Milordzie, czy ten chłopak panu przeszkadza?

– Owszem – odparł markiz, nie spuszczać z niej oczu.

Stangret posłał jej gniewne spojrzenie.

– Zmykaj do stajni, daj koniom jeść i pić. Może z taką robotą dasz sobie radę.

– Ja...

Eversley wszedł jej w słowo.

– Posłuchaj Johna, bo się zdenerwuje – poradził.

Spoglądała to na jednego, to na drugiego.

– Jak skończysz, znajdź sobie jakieś miejsce do spania – dodał stangret. – Może sen przywróci ci

rozum.

– Miejsce do spania – powtórzyła, obserwując, jak wargi markiza drżą z rozbawieniem.

– Na stryszku jest siano. – Stangret powiedział to powoli, z naciskiem, jak do idiotki. Potem zeskoczył na ziemię, wyprzągnął konie i poprowadził je do stajni. Sophie i Eversley zostali na pustym dziedzińcu.

– Będzie ci tam przytulnie – mruknął markiz z przekąsem. – Ja chyba też pójdę spać. Trochę mi zimno w stopę. Rozgrzeję ją przed kominkiem.

Jej też było zimno w obolałe stopy. Jedwabne pantofelki nie były stworzone do jeżdżenia na stopniu powozu ani do pracy. A w gospodzie pewnie płonął ogień na kominku. Nie była pewna, co znajdzie na stryszku. Pewnie siano, więc nikt tam nie pali ognia.

Może trzeba się ujawnić. Zdjąć z głowy kapelusz i pokazać ludziom te durne pantofelki. Przedstawić się jako lady Sophie Talbot i zdać się na łaskę gości Lisa i Sokoła, a potem poprosić, żeby podwieźli ją do domu.

Eversley odgadł jej myśli, zanim zdążyła poukładać je sobie w głowie.

– Świetny pomysł. Przyczep się do kogoś innego. Przecież Warnick też jest księciem.

Nie udawała, że nic nie rozumie.

– Nie wyszłabym za pana, nawet gdyby był pan ostatnim mężczyzną na świecie.

– Mówisz tak, bo przejrzałem twój głupi plan.

– Wcale czegoś takiego nie planowałam.

– Jasne. Feralne Siostry nie stosują przecież takich brudnych sztuczek – zadrwił. Znienawidziła go jeszcze bardziej. Za to, że używa tego okropnego przezwiska, że jest taki jak inni. I nie rozumie, że ona wcale nie chce takiego życia. Że uważa się za lepszego od wszystkich, a szczególnie od niej. Za to, że nie dostrzega jej inności. Ani tego, że wcześniej była szczęśliwa. Że nienawidzi tytułów, rezydencji w Mayfair i całej tej etykiety. Etykiety, która okazała się dla niej niewolą.

Przełknęła ślinę.

– Myślałam, że pan jedzie do Mayfair – wyjaśniła, karcąc się w myśli za drżenie głosu.

Bez wahania wskazał na drogę.

– Londyn jest trzydzieści mil stąd. Może trafi ci się dyliżans.

– Nie mam pieniędzy na dyliżans.

– Nie trzeba było oddawać wszystkiego mojemu lokajowi.

– Dla niego akurat dobrze się złożyło, prawda? – W jej głosie zabrzmiała nietajona złośliwość. – Nie będzie musiał panu służyć do końca swoich dni.

Wykrzywił wargi.

– W takim razie przed tobą szmat drogi. Jeśli wyruszysz od razu, zajdziesz do domu jutro przed kolacją.

Był naprawdę okropny. Wprawdzie ona sama nie grzeszyła łagodnością, ale ten człowiek przekraczał wszelkie granice.

– To prawda, co o panu mówią.

– Co konkretnie?

– Że nie jest pan dżentelmenem.

Powoli przesunął wzrokiem po jej ciele, odzianym w za ciasną liberię. To spojrzenie jeszcze bardziej ją przygnębiło.

– Wybacz, kochanie, ale dziś wieczór ty także niewiele masz w sobie z damy.

Z tymi słowami zniknął w drzwiach gospody, zostawiając jej decyzję – czy ruszyć do stajni, czy w drogę do Londynu.

W deszcz czy pod rynną.

## **4. Smolarka porwana! Podejrzewamy pewnego nicponia!**

W kilka godzin później, gdy w gospodzie zrobiło się cicho i ciemno, Kingscote, markiz Eversley, przyszedł księżę Lyne i znany powszechnie nicpoń, dumny ze swej podejrzanej reputacji, przewracał się z boku na bok, nie mogąc zasnąć.

Był coraz bardziej zirytowany.

Popsuła mu całą radość z wygranej.

A on najbardziej ze wszystkiego lubił wygrywać. Nieważne co – serce kobiety, bójki, wyścigi, karciane rozgrywki. Liczyło się samo zwycięstwo.

Problem nie był taki prosty. Nie chodziło o samą przyjemność, choć mogło się tak wydawać. Nie zależało mu na rozrywkach ani zabawie. Niektórzy czerpali z wygrywania satysfakcję, a Kingowi wygrane były niezbędne do życia. Emocje związane ze zwycięstwem były mu potrzebne jak powietrze i pożywienie. Tylko wtedy czuł się wolny.

Wygrywając, zapominał o tym, co utracił.

Tym razem wygrał wyścig dwukółek, pokonując sześciu rywali. Wszyscy byli mistrzami w tym sporcie. Pędzili po północnym trakcie z zapierającą dech w piersi szybkością, żwir tryskał spod kopyt, w żyłach pulsowała krew i szaleńcza radość, pozwalając zapomnieć o celu podróży na północ. O tym, co go czekało na końcu drogi.

O przeszłości.

To było ciężko wywalczone zwycięstwo. Rywale świetnie sobie radzili, następowali mu na pięty, mało brakowało, a byłby przegrał. Tym słodsza i bardziej satysfakcjonująca była wygrana. Ulotna, chwilowa, kusząca wolnością.

Po takiej wygranej czekał go spokojny sen i godziwy wypoczynek przed następnym, trudnym dniem.

Nic z tego.

Nie zmruży oka nawet przez godzinę.

Bo pierwszą osobą, jaką spostrzegł po triumfalnym wjeździe na dziedziniec Lisa i Sokoła, była lady Sophie Talbot oparta o jego własny powóz, przebrana w liberię Eversleyów.

W jednej chwili popsuła mu całą zabawę.

Z początku wmawiał sobie, że to niemożliwe. Żadna kobieta nie zdobędzie się na coś aż tak głupiego. Ale rozum podpowiadał, że zdesperowane kobiety potrafią zrobić wszystko, byleby dostać to, czego zapragną. Doskonale to rozumiał.

Więc naturalnie, lady Sophie, najmłodsza z osławionych siostrzyczek, której odmówił podwiezienia do domu, nie mogła na tym poprzestać.

Zabrała się jego powozem na gapę.

W dodatku przebrała się za lokaja, więc pewnie nie wsiadła do powozu, tylko usadziła się obok stangreta.

Wielki Boże.

Mogła przecież spaść z kozła.

Mogła się zabić, a on miałby to na sumieniu.

Zamknął oczy. Przez moment widział inną dziewczynę, bezwładną i nieruchomą, z włosami jak aureola otaczająca twarz leżącą na zakurzonej drodze. To było tak dawno temu...

Zaklął cicho, odrzucił ciężką kołdrę i wstał, żeby się czegoś napić i odegnać widma przeszłości. Drżącą ręką nalał sobie scotcha i wychylił szklanekę do dna. Popatrzył na opustoszały dziedziniec.

Parę godzin wcześniej stała tam, otwierając szeroko oczy, bardzo zdziwiona, że ją rozpoznał.

Musiałby być martwy, żeby jej nie poznać.

Jak to się stało, że nikt inny jej nie zdemaskował?

Gdzie się teraz podziała?

Nieważne. Sophie Talbot nic a nic go nie obchodzi. Powiedział jej to prosto w oczy.

A ona się popłakała.

Starał się nie myśleć o tym, że od łez błękit jej oczu jeszcze się pogłębił. Ależ ona miała gęste rzęsy. Nieważne. Próbowwała go zmanipulować. Przecież wszystkie Talbotówny polują na Bogu ducha winnych arystokratów, żeby ich usidlić.

Najstarsza złapała księcia, więc najmłodsza pewnie chciałaby pójść w jej ślady.

Tyle że kiepsko trafiła.

Wylądowała w tej gospodzie, przekupiła lokaja, jakimś cudem przetrwała jazdę na kozle. Cokolwiek by mówić, Sophie Talbot nie była wążką mimozą. Wiedział o niej tylko tyle, że jest najpoważniejszą z siostr. Co zresztą nie było trudne, zważywszy na ich ekstrawagancję, próżność i pogardę dla wszelkiej przyzwoitości.

Jak na razie jej zachowanie miało niewiele wspólnego z powagą, a znacznie więcej z głupotą.

W odróżnieniu od niej, nie był głupi.

Nie zamierzał się do niej zbliżyć.

To nie jego problem.

Sama tu przyjechała i sama wróci do domu.

On miał co innego do roboty. Musiał dotrzeć do Cumbrii przed śmiercią ojca. Znowu się napił, starając się pogodzić z myślą o śmierci starego. Żeby umrzeć, trzeba mieć serce, a księżę Lyne był tak ponury, że w jego żyłach z pewnością nie płynęła ani kropla krwi.

*Przyjeżdżaj prędko. Ojciec bardzo chory.*

Krótką notatką napisaną starannym pismem Agnes Graycote, która od niepamiętnych czasów była gospodynią w zamku Lyne. Służyła księciu z oddaniem od wielu dziesiątków lat. Została z nim po wyjeździe markiza, kiedy starszy pan przestał odwiedzać Londyn i poniechał prób pogodzenia się z synem.

Jakby to w ogóle było możliwe. Jakby nie zniszczył mu życia przez tę głupią, arystokratyczną dumę. Jakby nie otrzymywał od niego takiej samej odpowiedzi na wszystkie listy. Tych sześć słów było jedyną karą, jaką markiz mógł wymierzyć za wszystkie swoje krzywdy.

Mało brakowało, a nie usłuchałby wezwania Agnes.

Ale mimo wszystko znalazł się tutaj, na północnym trakcie do Szkocji, w gospodzie o trzydzieści mil od Londynu. Spojrzy umierającemu ojcu prosto w oczy i powie na głos te same sześć słów, co zwykle.

„Nasz ród zakończy się na mnie”.

Znowu zaklął w ciemnościach. Dokończył scotcha, odstawił szklanekę na parapet i wrócił do łóżka. Zamknął oczy i próbował zmusić się do snu. Ale niepokorne myśli nie chciały ucichnąć. Markiz odepchnął od siebie wspomnienia z dzieciństwa, wiedząc, że myśli o ojcu poprowadzą go mroczną ścieżką, której nie miał ochoty przemierzać. Bezpieczniej było powrócić do wspomnień o wyścigu. O

zwycięstwie.

I o osobie, która je zniweczyła.

Nie.

Starał się wyrzucić ją z myśli. Zapomnieć o jej prośbach, o jej wyglądzie. O tym, jak niezgrabnie wyglądała w liberii. Spodnie były za ciasne, koszula dopinała się na obłych piersiach. Boże. Do tego te idiotyczne pantofelki.

Lokaj pewnie nie chciał się pozbyć butów.

Przetoczył się na plecy i położył dłoń na gołej piersi.

Dlaczego nie założyła normalnych butów? I dlaczego stangret nie zauważył, że ten niby-lokaj ma na nogach damskie pantofle?

Idiota, bez dwóch zdań.

Zresztą, nie warto tym sobie zawracać głowy.

Zasłużyła na to wszystko, prawda? Ona pierwsza ukradła mu but.

Pewnie bolą ją teraz stopy.

Ale to nie jego problem.

Nieważne, czy znalazła jakieś miejsce do spania.

Nic go to nie obchodzi.

Może śpi na sianie? Wśród mężczyzn różnego autoramentu? Na pewno któryś z nich zauważył, że to kobieta. Może nikt tam nie zasnął.

Ogarnęła go fala niechcianych emocji.

Poczucie winy. Strach. Panika.

– Niech to szlag trafi.

Skoczył na równe nogi, sięgnął po skórzane bryczesy.

Może i to nie jego problem, ale nie może pozwolić, żeby kobieta była narażona na Bóg wie jakie traktowanie. Założył koszulę, nie dbając, by zawiązać troki, wypadł za drzwi i zaczął jej szukać.

W gospodzie panowała cisza. W kuchni było ciemno. Kurki w beczkach pozakręcano, ogień w palenisku w jadalni ledwo się tlił. Jego wzrok padł na zegar stojący w kącie. Druga nad ranem. O tej porze niejeden już się wpakował w kłopoty.

Wyszedł z gospody. Panująca wokół wiejska cisza jeszcze bardziej go zdenerwowała. Ruszył ku stajni, wyobrażając sobie, co o tej porze mogło się przytrafić niebaczonej Sophie Talbot.

Usłyszał męskie głosy i niemal biegiem wpadł do budynku. Było ich pewnie z sześciu. Rechotali, wrzeszczeli i wygadywali głupoty. Zatrzymał się poza kręgiem złocistego światła, żeby się zorientować, co się dzieje.

Od razu usłyszał jej wyraźny, pełen zaciekawienia głos.

– Jak mam to zrobić? Wziąć do ust oba naraz?

Markiz znieruchomiał, gdy z ust mężczyzny padła rozbawiona odpowiedź:

– A jakże.

– Chyba mi się nie uda.

Chryste Panie.

– Wręcz przeciwnie – namawiał tamten. – Zrób to szybko. Wtedy się uda.

– Dobrze już, dobrze – odpowiedziała. Jej sceptyczny głos utonął w chórze radosnych okrzyków, który pchnął markiza do działania. Nieważne, że sześciu na jednego to proporcja nie do pokonania, szczególnie że ta szóstka składała się z wyposzczonych, pijanych drągali.

– Łapy precz od tej damy – warknął, wchodząc w krąg światła. Jego pojawienie się śmiertelnie przeraziło nie tylko podpitych, ale raczej niegroźnych mężczyzn, ale i damę, której tak gorączkowo poszukiwał. Siedziała przy stole w korytarzu między boksami, w dalszym ciągu odziana w liberię.

Zakrzuszyła się piwem, które starała się wypić do dna. Odsunęła od ust kufel, ochlapując się pianą i

postawiła go na stole z takim impetem, że przewrócił się i resztki piwa wylały się na porozrzucane karty do faro.

Wstała gwałtownie, podobnie jak dwóch innych mężczyzn. Odskoczyli na bok, by uniknąć ochlapania płynem z niewielkiego kieliszka, który wylądował z kufła i spadł na ziemię, cudownym sposobem unikając stłuczenia. Potoczył się efektownie i zatrzymał dopiero pod stopami Kinga.

Popatrzył na całe towarzystwo. W uszach zabrzmiały mu słowa, które wypowiedział przed chwilą: „Chyba mi się nie uda...”.

Uczyli ją, jak wypić naraz whisky z piwem. Napitek, który zwala z nóg i zapewnia głęboki sen.

Wcale nie chodziło im o to, czego się najbardziej obawiał.

Odchrząknął.

– Chyba coś ci się pomyliło, Eversley – huknął książę Warnick tym swoim szkockim akcentem. – Przysięgam, że nazwałś tego chłopaka damą.

Oczywiście, Warnick też urzędował w stajni. Jak zwykle przedkładał prostaków nad ludzi ze swojej sfery. Tytuł arystokratyczny był dla niego wyjątkowym obciążeniem. Mimo wszystko, niedobrze się stało, że był świadkiem szalonej przebieganki Sophie i jej bezsensownego planu.

Czemu, do licha, nie poszła spać, gdy tylko zorientowała się, że książę przyszedł do stajni? Sophie poszukała wzrokiem jego spojrzenia. Policzki, zarumienione pod wpływem alkoholu, zaczerwieniły się jeszcze bardziej ze wstydu. W błękitnych oczach malowało się błaganie, ale je zignorował. Miał dosyć tej kobiety i jej kłopotów. Chciał ją trzymać z daleka od siebie.

– Nic mi się nie pomyliło. To jest kobieta. Trzeba być ślepym, żeby tego nie widzieć.

Sądząc po pootwieranych ze zdziwienia gębach wszystkich obecnych, znalazł się wśród samych ślepców. Na szczęście nie ogluchli, więc mogli wysłuchać potwierdzenia z ust samej zainteresowanej.

– Jak pan mógł? – zaatakowała go, zaciskając ze złości pięści. Stała naprzeciw niego, sztywna jak deska. – Wszystko pan popsuł!

– Ja wszystko popsuję? – powtórzył, równie zirytowany jak ona. – Myślałaś, że te wszystkie głupoty ujdą ci na sucho?

– Zaraz. To naprawdę dziewczyna? – spytał jeden z mężczyzn.

– Widzę, że do kogoś to wreszcie dotarło – mruknął książę z rozbawieniem.

– Przecież jest w liberii – zdziwił się tamten z pijacką logiką.

– To fakt – odpowiedział książę. – Ale jak się dobrze przyjrzeć...

– Dość tego! – Sophie podniosła z podłogi płócienną torbę, przewiesiła ją przez ramię, odsunęła markiza i wyszła.

Markiz spojrział na księcia.

– Nie nie gap się na nią więcej.

– Tylko raz spojrziałem.

– Miałaś na to ładnych parę godzin i nie zauważyłaś nawet, że jest w pantoflach.

Książę uniósł brwi, a reszta mężczyzn głośno dała wyraz swemu niedowierzaniu.

– Przecież byśmy zauważyli! – zaśmiał się jeden z nich.

– I tu się mylisz – odparł markiz. Nie miał pojęcia, jakim cudem nie zorientowali się, że mają do czynienia z kobietą.

– Kto to jest? – spytał książę.

– Nikt ważny. – Markiz nie zamierzał zdradzać tajemnicy.

– Raczej wątpię.

– No cóż, mimo to będziesz musiał pogodzić się z tym faktem.

King nie zamierzał wdawać się w słowne pojedynki z tym Szkotem. Odwrócił się i poszedł szukać dziewczyny.

Znalazł ją na drodze, nieopodal wyjścia. Dziarsko maszerowała przed siebie, z wysoko podniesioną

głową.

- Proszę zostawić mnie w spokoju.
- Jest środek nocy. Dokąd ty się wybierasz?
- To chyba oczywiste – odparowała. – Chcę się znaleźć jak najdalej od pana.
- Piechotę?
- Moje stopy są w doskonałym stanie.
- To się zmieni już za kwadrans. Dlaczego nie wzięłaś jego butów?

Nie odpowiedziała.

- Nie starczyło ci pieniędzy?
- Starczyło.
- Więc?

Potknęła się i jęknęła z bólu.

– Widzisz? – Nie starał się ukryć wyższości w swoim głosie. Może zresztą jej nie zauważył. Tak czy owak, Sophie zdenerwowała się po raz kolejny.

– W ciągu ostatnich dwunastu godzin nazwał mnie pan nieinteligentną, słabą na umyśle, sugerował, że chcę pana złapać na męża, stwierdził, że jestem nieinteresująca i czepiał się pan mojej figury.

– Co takiego? Niczego się nie czepiałem.

Skrzyżowała dłonie na piersi.

– Chodziło o liberię, milordzie. Stwierdziłeś, że jest przyciasna.

– Bo jest.

Westchnęła z irytacją i machnęła ręką.

– Nieważne. Zważywszy na to wszystko, nie rozumiem, dlaczego uparł się pan za mną łączyć, kiedy wreszcie postanowiłam znaleźć się jak najdalej od pana, milordzie. Zresztą, zgodnie z pana życzeniem.

King też nie wiedział, po co za nią poszedł. Tak wyszło.

– Wcale nie mówiłem, że jesteś nieinteligentna.

– Użył pan słowa niezabawna, które jest jeszcze gorsze.

– To wcale nie to samo.

– Jak widać, jestem za głupia, żeby znaleźć różnicę.

Odwróciła się i ruszyła dalej przed siebie. Wyraźnie utykała. Nic dziwnego, bo droga oznaczona głębokimi koleinami była ledwo przejezdna dla pojazdów, a co dopiero dla pieszych.

Postanowił, że rano wsadzi ją do pierwszego dyliżansu zmierzającego do Londynu. W gospodzie na pewno będą mieli jakąś suknię na sprzedaż. Trzeba będzie przepłacić, ale wreszcie wyśle tę kłopotliwą pannę do Londynu.

– Wracaj do gospody – poprosił. – Znajdziemy ci jakieś łóżko, a jutro wyśle cię do domu.

– Sama trafię – odparła. – Proszę się mną nie przejmować.

Westchnął, nie kryjąc desperacji.

– Mogłabyś podziękować i przyjąć moją pomoc.

– Proszę wybaczyć, ale nie będę padać plackiem, bo jakiś arystokrata zniżył się do tolerowania mnie, żeby nie zaszkodzić swej reputacji.

Ciekawe. Trafił we wrażliwe miejsce. Nie mógł się oprzeć, by nie drażyć tego tematu.

– Ktoś musi przejąć za ciebie odpowiedzialność. Pakujesz się w coraz gorsze tarapaty.

Zatrzymała się.

– W nic się nie pakuję.

Uniósł brwi.

– Bez przerwy wymyślasz coś nowego, kochanie.

– Nie jestem żadnym kochaniem. A już na pewno nie pańskim – warknęła, zaciskając pięści.

– W żadnym razie. Ja wolę bardziej kobiece charaktery – odparł bez zastanowienia.



Jej ramiona opadły na moment – tak krótki, że niemal niezauważalny – i natychmiast zapragnął cofnąć te słowa. Nie były prawdą. Była bardzo kobieca. Dostrzegł to dopiero teraz, kiedy zranił ją swymi słowami. Zresztą, wcale go to nie obchodziło. Kobieca czy nie, była uparta jak osioł i niewarta fatygi. A on przecież nie znosił kłopotliwych kobiet.

Szkoda, że zranił jej uczucia. Zaniepokoiło go to, bo nie należała przecież do osób, które są przeczulone na swoim punkcie. Znowu ruszyła przed siebie, wyprostowana jak świeca, napięta i gotowa do obrony.

To był podstęp, żeby ukryć przed nim prawdę.

Znał się na tym, bo sam tak postępował. Naprawdę była fascynująca.

– Przecież nie pójdziesz pieszo do Londynu – zawołał w ślad za nią.

– Nic o mnie nie wiesz – odparła, nie zmieniając tempa. – Wcale nie idę do Londynu, tylko na północ.

– To wybrałaś niewłaściwy kierunek – odparł i dopiero wtedy dotarł do niego sens jej słów. – Zaraz.

Na północ? Po co?

Zatrzymała się.

– Tam jest północ.

– Skądże. Południe – sprostował.

Popatrzyła w mrok.

– Jesteś pewny?

– Całkiem. Dlaczego chcesz iść na północ?

Zawróciła na pięcie i ruszyła w przeciwnym kierunku.

– Bo tam jest mój dom.

Nie sposób było z nią dojść od ładu.

– Londyn jest na południu.

– Wiem. Posiadam ogólną znajomość geografii.

– Obawiam się, że za wyjątkiem stron świata.

Nie wytrąciło jej to z równowagi. Przeszli kilka minut w milczeniu, aż znaleźli się znowu w kręgu światła gospody.

King nie wytrzymał.

– Jeśli twój dom nie jest w Londynie, to gdzie?

– W Cumbrii.

Znieruchomiał. Skąd wiedziała? Przecież on jechał do domu do Cumbrii.

Feralne Siostrzyczki.

Przypomniały mu się wszystkie plotki o tej rodzinie. Byli bogaci, ale prostacy. Kobiety z takich rodzin albo kupowały sobie utytułowanych mężów, albo zdobywały ich podstępem. Najprostszym sposobem było ukartowanie niedwuznacznej sytuacji w ramionach arystokraty i ujawnienie jej publicznie. Na przykład wyruszenie z kimś w podróż do Cumbrii prywatnym powozem.

Rzeczywiście feralna sytuacja.

Chryste. Miał rację. Ta dziewczyna na niego dybie. Zamiast wcześniejszego poczucia winy ogarnął go gniew.

– Więc taki był twój plan. Chcesz mnie złapać na męża.

Ściągnęła brwi.

– Słucham?

– Skąd wiedziałaś, że jadę do Cumbrii? Od mojego lokaja?

– Ty też jedziesz do Cumbrii? – spytała, niebotycznie zdumiona.

Zmrużył oczy.

– Nieśmiałość do ciebie nie pasuje, Sophie. – Celowo zwrócił się do niej po imieniu.

– A ja tak bardzo chciałam ci się spodobać...

Uniósł brew.

– Powiedz mi prawdę.

– To bardzo proste. Mój dom jest w Cumbrii. Całe dzieciństwo spędziłam w Mossband.

Zaśmiał się niewesoło.

– W życiu nie słyszałem większego kłamstwa.

– Mówię prawdę. Zresztą, dlaczego miałoby cię to obchodzić?

– Dobrze. Kupuję to – warknął. – Dlatego, że ja spędziłem dzieciństwo w Longwood. Ale przecież dobrze o tym wiesz.

Pokręciła głową.

– Tam nie ma żadnego majątku Eversleyów.

Skrzywił się.

– Nie ma. Ale jest zamek Lyne.

Po mistrzowsku odegrała zdziwienie.

– Co ma piernik do wiatraka?

– Szkoda, że porzucasz Londyn. Zrobiłabyś karierę w teatrze – zadrwił. – Teraz ja mam powiedzieć, że mój ojciec jest księciem Lyne, a ty będziesz zaskoczona. Prawda?

– Co takiego? – Naprawdę świetnie udawała.

– Co za niespodzianka – zadrwił, przeciągając słowa. Miał już jej dosyć. – Naprawdę myślisz, że jestem aż tak głupi i uwierzę, że jedna z Feralnych Sióstr nie wie o tym, że tytuł markiza Eversley jest tylko kurtuazyjny?

– Może i jesteś głupi. Nie miałam pojęcia, że dziedziczysz tytuł księżęcy.

– Wszystkie panny w Londynie to wiedzą.

– Zapewniam cię, że niektóre mają w nosie takie sprawy.

Zignorował jej ostrą ripostę.

– Wszyscy uważają, że jestem najbardziej pożądanym kandydatem na męża w całym Londynie.

Prychnęła pogardliwie.

– Na pewno, głównie z powodu twojej skromności. Zapewniam cię, milordzie, że jesteś beznadziejny.

– A ty kłamiesz jak z nut. Wspomniałaś o podróży na północ tylko po to, żebym cię tam podwiózł, bo będę miał po drodze, prawda?

– Nieprawda.

– Nie udawaj naiwnej. – Pogroził jej palcem przed nosem. – Przejrzałem cię na wylot. Chciałaś to sprytnie rozegrać.

Zamrugęła.

– Jak to?

Uśmiechnął się chytrze.

– Na pewno wiesz, o co mi chodzi. Wy wszystkie stosujecie tę sztuczkę.

W końcu dotarło do niej, o co chodzi.

– Nie pozwoliłabym ci się nawet dotknąć. Nie lubię cię.

– A co to ma do rzeczy? – Przez głowę przemknęły mu rozkoszne wizje wspólnej podróży na północ. – Nieważne. Nie obchodzi mnie cel twojej podróży. Nie złapiesz mnie na męża. Jestem mądrzejszy niż reszta londyńczyków. A ty jesteś dużo mniej atrakcyjna niż twoje siostry.

Po tych słowach zapadło milczenie.

Sapnął z irytacją. Niepotrzebnie był taki okrutny. Owszem, była najbrzydszą z sióstr. Przez to miała najmniejsze szanse na małżeństwo. Jeśli ją ktoś zechce, to tylko dla pieniędzy.

Najdziwniejsze było to, że teraz wyglądała całkiem atrakcyjnie, gdy stała na środku północnego traktu w przyciasnej liberii, śmiesznych pantofelkach, z włosami rozjaśnionymi księżycowym blaskiem.

Cisza przeciągała się, a markiz czuł się coraz bardziej nieswojo. Chyba powinien przeprosić, zanim

ona robi coś okropnego – na przykład wybuchnie płaczem.

Wielce się mylił. Lady Sophie Talbot wcale się nie rozpląkała, mimo że tkwiła w środku nocy na pocztowym trakcie, o wiele mil od bliskich, pomocnych ludzi, u boku człowieka, który jej nie znosił i niezasłużenie obrażał.

Zamiast tego wybuchnęła serdecznym śmiechem.

Markiz zamrugał.

Tego się nie spodziewał.

– Chciałam tylko, żebyś mnie podwiózł do Mayfair – wyjaśniła mu powoli, jak dziecku. – Kiedy odmówiłeś, wzięłam sprawy we własne ręce. Przyznaję, że nie poszło mi najlepiej. Ale teraz wszystko zaczyna się układać. Mam pewien plan. Plan, w którym nie ma miejsca ani dla ciebie, ani dla twojej pomocy, ani dla twojej uprzejmości. Na szczęście, bo jak do tej pory nie okazałeś się ani pomocny, ani uprzejmy. Uosabiasz wszystko, czego nienawidzę u arystokratów: arogancję, próżność i bezczelność. Jesteś kompletnie bezmyślny, inteligencja służy ci tylko do uwodzenia kobiet i wygrywania bezsensownych wyścigów. Na wypadek, gdybyś nie zauważył, informuję cię, że świetnie sobie radziłam tam w stajni, do chwili, gdy się tam nie wpakowałeś i nie ujawniłeś, że jestem kobietą. A kiedy postanowiłam samodzielnie ruszyć w drogę, poleciałeś za mną z własnej woli! Na tej podstawie uważasz, że chcę cię złapać na męża? – przerwała. – Nie wiem, jak ci to powiedzieć, żebyś zrozumiał. Odczep się ode mnie.

King doskonale wiedział, co o nim mówią. Ciężko pracował na taką reputację. Był nicponiem królewskiej krwi, uroczym, ale mało ambitnym. Kochał skandale, a plotki szły za nim krok w krok. Dzięki temu kobiety nie oczekiwały po nim niczego, poza krótkim romanssem. Nie zamierzał się żenić.

Sophie Talbot kilkoma słowami zburzyła całą tę troskliwie budowaną legendę. Zraniły go bardziej, niż można by się spodziewać. Przecież ta brzydka, niepozorna dziewczucha w ogóle się nie liczy.

Najlepiej niech każde z nich pójdzie swoją drogą. On musi się spotkać z umierającym ojcem. Czeka go mnóstwo obowiązków. Będzie musiał stawić czoło widmom przeszłości. Trzeba jak najszybciej zapomnieć o tej dzierlatce. Ale to on będzie miał ostatnie słowo.

– Miałaś szczęście, że za tobą poleciałem, bo przez całą noc maszerowałąbyś na południe.

Zmrużyła oczy.

– Oczywiście. Szczęście nie odstępuje mnie ani na krok od chwili, kiedy o mało co nie trafiłeś mnie butem w głowę.

Gdyby nie był wściekły, pewnie by go rozbawiła jej sucha uwaga. Zamiast tego zmierzył ją spojrzeniem, zatrzymując wzrok na pantofelkach.

– Pożałujesz, że nie przyjąłeś mojej pomocy, kiedy ci ją proponowałem.

– Nie przyjąłabym od ciebie pomocy, nawet gdybym zdychała z głodu, a ty leciałbyś za mną z herbatką i bułkami na tacy.

Odwrócił się na pięcie i zostawił tę cholerną babę samą na drodze. Niech sobie radzi. To nie jego problem. Chce być sama, proszę bardzo.

Niech sobie idzie tą pustą drogą.

Bez pieniędzy.

Bez ubrania.

Bez butów.

Mimo wszystko zawahał się. Odwrócił się do tej niewdzięcznicy i spytał:

– Jak zamierzasz się tam dostać?

– Normalnie. Dylizansem.

– W takim razie zapomniałaś chyba, że za przejazd trzeba zapłacić.

Teraz ona poprosi go o pieniądze. A on je da. Ale dopiero po przeprosinach.

Ku jego zdziwieniu i rozczarowaniu lady Sophie Talbot tylko się uśmiechnęła. Białe ząbki zalśniły w

blasku księżycyca.

– Zapłacę.

Zaniepokoił się nieco.

– Sześć godzin temu nie miałaś przy sobie ani grosza.

Wzruszyła ramionami.

– Wszystko się zmienia.

Ogarnęło go przerażenie.

– Co zrobiłaś?

– Może nie jestem aż tak atrakcyjna jak moje siostry, milordzie, ale jakoś sobie radzę – odparła niby to układnie.

Co to miało, do diaska, oznaczać?

Wskazała brodą gospodę.

– Dobranoc.

Tego już było za wiele. Ruszył do gospody, powtarzając sobie, że ta kobieta nie jest jego problemem.

Następnego ranka okazało się, że jednak się mylił. Wyszedł na dziedziniec gospody, niewyspany i zirytowany. Ruszył do stajni, mijając swoich wczorajszych kompanów, którzy przygotowywali dwukółki do kolejnego wyścigu, tym razem trasą do Londynu. Plan miał prosty. Zmienić koło, zaprząć konie i pognać na północ, byle dalej od tego miejsca i od tej kobiety, która jakimś cudem załaziła mu za skórę jak zadra.

Kiedy otworzył drzwi do powozu, okazało się, że zapasowe koła gdzieś zniknęły. Zostało po nich tylko puste miejsce.

Z okropnym uczuciem pustki w żołądku odwrócił się i spostrzegł księcia Warnicka, który przyglądał mu się z szerokim uśmiechem, oparty o swoją elegancko wyszykowaną dwukółkę.

– Zgubiłeś coś, Eversley?

Markiz posłał mu podejrzliwe spojrzenie.

– Co z nimi zrobiłeś?

– Z czym? – Książę udawał, że nie ma pojęcia, o co chodzi.

– Doskonale wiesz z czym, ty tępy góralu. Co zrobiłeś z moimi kołami?

– Nie z twoimi, tylko z moimi. Kupiłem je – odparł pogodnie książę.

– Niemożliwe. Nie były na sprzedaż.

– Twój lokaj powiedział mi co innego. – Książę przerwał na chwilę. – Mam ją dalej nazywać lokajem? Czy jakoś inaczej? Nie ma takiego słowa jak lokajka. To jakoś nieprzyzwoicie brzmi.

Do diaska.

– W ogóle o niej nie wspominaj – odparł, czując, jak ogarnia go wściekłość. – Oddaj mi te koła.

Książę potrząsnął głową.

– Nie. Zapłaciłem za nie. I to całkiem spore pieniądze.

– Wystarczające, żeby zapłacić za dyliżans, prawda?

Warnick wybuchnął śmiechem.

– Nawet i na sto dyliżansów. Dobrze się targowała.

King pokręcił głową.

– Koła nie były własnością tej damy i dobrze o tym wiesz.

– Więc to jednak była dama?

Markiz miał ochotę kopnąć coś z całej siły, gdy roześmiany książę wsiadał do dwukółki.

– Tak czy owak, to twój problem, Eversley. Nie mój. Zapłaciłem za koła brzęczącą monetą. I na tym koniec.

– Na nic ci się nie przydadzą – warknął markiz. – Pasują tylko do mojej dwukółki.

Każdy szczegół powoziku był robiony według jego dokładnych wskazówek.

– To jest akurat mało ważne. Szczerze mówiąc, wydałem te pieniądze tylko po to, żeby ci przeszkodzić w startach. Prawda, chłopaki? – Warnick przesunął spojrzeniem po swoich kamratach.

Odpowiedział mu chór potakiwań.

– Przecież nie zostawisz mnie tu bez kół.

– Oczywiście, że zostawię. – Księżę skinął głową i zebrał lejce. – Masz wygodny powóz, który zawiezie cię na miejsce.

Kinga ogarnęło przerażenie na myśl o przepastnym, mrocznym powozie.

– Boisz się, że znowu wygram.

Warnick wzruszył potężnymi ramionami.

– Nie zawsze da się grać uczciwie. Wio! – krzyknął i odjechał, zostawiając za sobą chmurę kurzu. Reszta dwukółek poszła w jego ślady. Na dziedzińcu została tylko połamana dwukółka, pusty powóz i King, płonący żądzą zemsty.

Odwrócił się i poszedł szukać stangreta.

Jednak nie skończył jeszcze porachunków z lady Sophie Talbot.

## 5. *Dyżans w opałach.*

### *Północny trakt drogą przez mękę*

Dyżans okazał się zdecydowanie niewygodny. Sophie kręciła się na siedzeniu, starając się unikać kontaktu wzrokowego z licznymi podróżnymi, słoczonymi w przepastnym wnętrzu powozu. Niezbyt jej się to udawało z powodu ciasnoty.

Większość pasażerów stanowiły kobiety z dziećmi, niechętnie wdające się w pogawędki. Sophie przypadkiem spotkała się wzrokiem z jakąś młodą kobietą po przeciwnej stronie powozu. Tamta od razu spuściła oczy.

– Aj! – pisnął mały chłopiec, którego niechący trąciła łokciem, chcąc wyciągnąć zegarek z kieszeni liberii.

– Bardzo przepraszam – odpowiedziała.

Zamrugał, a potem spojrzał na zegarek.

– A co to? – zapytał.

– Czasomierz – odpowiedziała zdziwiona.

– Do czego to?

Niełatwo było znaleźć odpowiedź.

– Żeby wiedzieć, która jest godzina.

– Po co? – Włączyła się dziewczynka siedząca na podłodze u stóp Sophie. Wyciągnęła szyję, żeby popatrzeć na cyferblat.

– Żeby wiedzieć, jak długo jedziemy.

– Po co?

Sophie spojrzała ponownie na chłopca.

– Żeby wiedzieć, kiedy dojedziemy.

Dziewczynka była wyraźnie zdziwiona.

– Przecież jak dojedziemy, to będziemy wiedzieć, że dojechaliśmy.

– Właśnie. – Chłopiec skrzyżował ramiona i poprawił się na siedzeniu. – Szkoda czasu na takie myślenie.

Sophie nigdy w życiu nie spotkała tak krytycznie nastawionych dzieci.

Szczerze mówiąc, nie powiedziała im całej prawdy. Nie sprawdzała, kiedy dojadą, tylko jak bardzo oddaliła się od markiza Eversley, który na pewno wpadnie w furję, gdy dowie się, że przehandlowała koła od jego dwukółki.

Zasłużył sobie na to, ale pewnie nigdy to do niego nie dotrze. Nie zrozumie też, że to wcale nie była kradzież. Zamierzała mu przecież zwrócić te pieniądze. Ale najpierw trzeba było dotrzeć na północ.

Podjęła tę decyzję poprzedniej nocy, kiedy przewracała się z boku na bok na stryszku, przykryta starą gazetą zamiast koca. W końcu usiadła i zaczęła ją czytać, bo sen nie przychodził. Okazało się, że to plotkarskie czasopismo sprzed paru miesięcy. *Feralna Siostrzyczka na schadzce z Derekiem*, krzyczał jeden z tytułów. Poniżej spekulowano, czy Sesily była sam na sam z Derekiem Hawkinsem na jaskółce w

jego teatrze. Czy *Sesily wywoła teatralny skandal?* – zapytywał kolejny tytuł. Jakby jeden artykuł nie wystarczył. Zresztą, wszystko to było nieprawdą.

Akurat tamtego dnia Sesily zachowywała się jak na damę przystało. Sophie doskonale o tym wiedziała, bo towarzyszyła jej jako przyzwoitka i ze znudzeniem słuchała monologu Hawkinsa na temat jego niezrównanego talentu. W pewnym momencie ten bufon zupełnie serio oświadczył, że właściwie mogliby go mianować premierem.

Sesily spytała go tylko, czy uważa ją za swoją żonę. Odpowiedział bezczelnie, że nie potrzebuje nikogo i sam sobie jest żoną. To był najbardziej skandaliczny akcent tego wieczoru. Ale dziennikarzy nie interesowała prawda, tylko sensacja. Siostry też ją uwielbiały. Sophie przypomniała sobie, z jaką satysfakcją Sesily czytała ten artykuł na głos. Sophie wcale się nie spodobał. Ze złością zmięła gazetę i zaczęła szukać wyjścia z tej całej sytuacji. Było tylko jedno. Kobiety w tych czasach nie miały wyboru. Miały robić, co im każą, i jeszcze być za to wdzięczne.

Decyzję podjęła dopiero później, kiedy stała na zwirowanym podjeździe Lisa i Sokoła i patrzyła, jak nieznośny markiz Eversley odwraca się od niej plecami i odchodzi – elegancki jak zwykle, pomimo braku buta.

Nie pójdzie utartą drogą. Wybierze własną ścieżkę.

Ścieżkę, która prowadzi na północ.

Tam nikt jej nie oceniał, nie obrażał, nie ranił ani nie próbował zniszczyć. Tam pozwalano jej być sobą. Nie brzydką, mało zabawną, nieciekawą Talbotówną, ale Sophie, dziewczynką, która marzyła, by kiedyś otworzyć księgarnię.

Spędzi resztę życia z dala od blichtru i plotek londyńskich salonów, z dala od plotkarskich gazet i arystokracji. I będzie szczęśliwa. Zapomni o butnych mężczyznach, którzy dyktują kobietom normy przyzwoitości i poprawności.

Poinformuje rodzinę o swojej decyzji i osiedli się w Cumbrii. Zrobi to z radością. Ojciec przyśle jej pieniądze i jej życie potoczy się spokojnie, z dala od wszystkich markizów tego świata.

Oparła się o czyjaś kanciastą paczkę, której róg uwierał ją w szyję. Nie zwróciła na to uwagi, zajęta planowaniem nowego, szczęśliwego życia. Z dala od lodowatego, bezosobowego wzroku socjety.

Będzie wynajmować pokoje nad jednym ze sklepów w Mossband. Na pewno ją tam pamiętają i powitają ją jak swoją. Kupiec bławatny, rzeźnik, piekarz. Ciekawe, czy państwo Lander wciąż pracują i pieką cytrynowe bułeczki z miodem. I czy Robbie wciąż mieszka z nimi.

Syn piekarza był wysoki i szczupły. Uśmiechał się wesoło i przekornie. Był od niej dwa lata starszy. Spędzali razem popołudnia na zabawie. Wymykał się z piekarni, podbierając matce te smakowite bułeczki. Rozmawiali długie godziny, snując plany na przyszłość.

Robbie obiecał jej, że kiedy dorosną, wezmą ślub. On będzie piekarzem, a ona otworzy księgarnię. Będą wstawać do pracy o świcie, weseli i szczęśliwi, i cały dom będzie pachniał świeżymi bułeczkami.

Sophie postanowiła, że naprawdę otworzy tę księgarnię. Ojciec przyśle jej pieniądze, a ona uczyni z Mossband kulturalne centrum całej północy. Nigdzie w okolicy nie było księgarni. Kiedy była mała, książki do domu przychodziły pocztą albo przywoził jej ojciec, kiedy podróżował w interesach do Newcastle. Zawsze pamiętał o dziewczynkach i kupował im prezenty. Wstążki do włosów dla Seraphiny, sukienki dla lalek Seleste, barwne jedwabne nici dla Sesily, słodczyki dla Seline. Ale Sophie chciała tylko książki.

Ojciec nigdy nie nauczył się czytać, choć na liczbach znał się doskonale, więc kupował co popadnie: traktaty o hodowli bydła, dysertacje ekonomiczne, książki o podróżach, poradniki dla myśliwych, cztery różne wydania modlitewnika. Kiedyś przywiózł przedziwną kolekcję szkiców z Indii, które guwernantka natychmiast wyrwała Sophie z ręki i głęboko schowała.

Każdą inną dziewczynkę znudziłyby te książki. Ale dla niej były czystą magią, przygodami oprawnymi w skórę, drogą do odległych światów, niezwykłych ludzi i wiedzy. Czystym szczęściem. Gromadziła je w

sypialni najpierw na prostych półkach, potem na podłodze, a w końcu w bibliotecznych szafach, które matka poleciła tam wstawić. Ale książek napływało coraz więcej, więc Sophie uznała, że matka nie ma nic przeciwko zdobywaniu wiedzy. Aż do balu u hrabiny, kiedy Sophie w końcu powiedziała, co myśli.

Na to wspomnienie znowu zrobiło jej się zimno. Już tam nie wróci. Odwiedzi krainę swego dzieciństwa i tam zacznie nowe życie.

Może Robbie wciąż na nią czeka i spełni swoją dawną obietnicę? Wezmą ślub. Na tę myśl coś ukłuło ją w sercu. Miał taki piękny uśmiech. I zawsze cierpliwie słuchał, kiedy opowiadała mu o książkach i wykladała swoje poglądy.

Nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie, zawsze będzie miała swoje książki. To też będzie wspaniałe. Otworzyła oczy i napotkała wzrok młodej kobiety siedzącej naprzeciwko. Tamta nie odwróciła wzroku, tylko z ciekawością przechyliła głowę. Powiodła spojrzeniem w dół i zatrzymała się w pobliżu dekoltu. Sophie odruchowo spuściła wzrok. Jeden z guzików się rozpiął, odsłaniając damską koszulkę i dwa wzgórki, których żaden lokaj zdecydowanie nie powinien mieć.

Sophie pośpiesznie poprawiła kurtkę, zapięła guzik i spojrzała kobiecie w oczy. Tamta wskazała wzrokiem jej kapelusz.

– Włosy ci widać.

Rzeczywiście, spod runda wysunęło się długie pasmo brązowych loków.

Sophie otworzyła usta, żeby się wytłumaczyć, ale nie znalazła słów, więc tylko wzruszyła ramionami.

Kobieta uśmiechnęła się, a potem szepnęła:

– Zastanawiałam się, czemu służący jakiegoś wielkiego pana jedzie dyliżansem.

Sophie nie przypuszczała, że liberia może zwracać na siebie uwagę tych ludzi. W świecie arystokracji służący byli niewidoczni.

– Widać chyba, że nie jestem służącym.

– Tylko, jeśli ktoś potrafi patrzeć. Mało kto to umie. – Kobieta spojrzała na chłopca siedzącego obok Sophie. – Oddaj to, John.

Sophie spojrzała na malca. Uśmiechnięty, bawił się jej zegarkiem.

– I tak bym go nie zabrał – wyjaśnił.

– Tego nie wiemy – odparła kobieta. – Poza tym, obiecałeś, że nie będziesz już kradł.

Chłopiec oddał zegarek.

– Dziękuję. – Sophie trochę za późno uświadomiła sobie, że nie należy dziękować komuś, kto zabrał jej własność.

– Nie ma za co. – John pochylił się ku niej i powiedział: – Gdybym naprawdę chciał cię okraść, zacząłbym od tej torby.

Sophie pochyliła się szybko wzięła torbę na kolana.

– Dzięki za ostrzeżenie.

Chłopak uchylił czapki.

Nieznajoma roześmiała się.

– Mam na imię Mary. To jest Bess – dodała, wskazując ruchem podbródka dziewczynkę siedzącą na podłodze. – A z Johnem już się zapoznałaś.

Sophie chciała się przedstawić, ale tamta przerwała jej ruchem ręki.

– A ty jesteś służącym jakiegoś wielkiego pana.

Przypomniała jej, że dla reszty podróżnych dalej powinna odgrywać rolę lokaja.

Sophie skinęła głową.

– Matthew – odparła, przepraszając w duch nieszczęsnego chłopaka, którego wykorzystała po raz kolejny.

Pomimo tłoku i smrodu podróz zaczęła jej się podobać. Może wszystko pójdzie dobrze.

Ledwie zdążyła to pomyśleć, powóz zwolnił.



– Dojechaliśmy na miejsce! – ucieszyła się Bess.

Jej sąsiadka wyrzała przez okno. Na zewnątrz słychać było stłumioną rozmowę.

– Jesteśmy na kompletnym pustkowiu. Czy ktoś cię szuka? – spytała.

– Mam nadzieję, że nie – odparła Sophie, zastanawiając się, czy to przypadkiem nie markiz Eversley, od którego pożyczyła przecież sporą sumę pieniędzy.

– Wysiadać! – rozkazał donośny męski głos.

– Chryste Panie – mruknęła Mary pod nosem.

Sophie ogarnęło przerażenie. Eversley ją odnalazł. Jak tylko ją dopadnie, zabierze jej pieniądze i odeśle do Londynu. Pod warunkiem że będzie w dobrym humorze. W przeciwnym razie zostawi ją po prostu na poboczu. Po raz kolejny.

– Wysiadaj, dziewucho! Nie będziemy tu stać cały dzień!

Na zewnątrz stała grupka kobiet z dziećmi. Wszyscy pytali, co się dzieje. Nie było się nawet gdzie schować. No cóż, trzeba będzie zdobyć się na odwagę. Wyprostowała się i wysiadła, omijając dziewczynkę. Chwyciła za klamkę.

– Czeka! – krzyknęła Mary.

Odwróciła się do niej.

– Nie mam szans. Wie, że tu jestem.

– Nie otwieraj tych drzwi – odpowiedziała tamta ponuro. – Jak raz otworzysz, nigdy ich już nie zamkniesz.

Sophie skinęła głową ze smutkiem. Wzruszyła ją ta nieznajoma, która próbowała jej bronić.

– Wiem. Ale naraziłam mu się parę razy i teraz chce się zemścić.

Z tymi słowy otworzyła drzwi i wyszła naprzeciw Eversleya.

Tylko że to nie był Eversley.

Żaden z trzech mężczyzn, którzy czekali na zewnątrz. Uczucie ulgi szybko zniknęło, kiedy się im przyjrzała. Zamrugła.

– Kim jesteście?

– To ja będę zadawać pytania, smarkaczu – oświadczył jeden z nich. – Nie strugaj bohatera, tylko odsuń się i daj nam wziąć to, po co przyszliśmy.

Wreszcie zrozumiała.

– Jesteście bandytami.

– Nie całkiem – odpowiedział.

– Zatrzymaliście dyliżans, żeby nas obrabować i pewnie potem pozabijać – stwierdziła, ignorując rozpaczliwy wrzask z wnętrza powozu. – Więc jesteście bandytami. Gdzie się podział woźnica?

– Zwiął, jak to oni zwykle.

Niedobrze.

– Nie daj im nas pozabijać! – rozległ się dziecięcy krzyk.

Przywódca postąpił o krok do przodu.

– Nie chciałem cię zabijać, ale mnie denerwujesz. Zjeżdżaj, sługusie, bo w końcu dam ci w łeb.

Sophie nie miała pojęcia, skąd się u niej wzięło tyle odwagi.

– Czego tam szukasz?

– Mnie – odpowiedziała Mary z wnętrza powozu. Wyszła na zewnątrz i odezwała się do opryszka martwym głosem: – Nie rób ludziom krzywdy, Niedźwiedziu.

– Nie chcę ciebie, tylko chłopaka – odparł z niesmakiem.

Chodziło mu o Johna.

Sophie musnęła wzrokiem wnętrze powozu. Siedzenie było puste.

– Nie ma go tutaj – powiedziała Mary, schodząc ze stopnia.

– Gówno prawda – warknął Niedźwiedź, a zgorszona Sophie aż westchnęła. – Zabrałaś go, choć go

potrzebuję. Najlepiej obrabia pijaków ze wszystkich moich ludzi.

– Mówię ci, że nie ma go ze mną.

Mężczyzna przysunął się do niej.

– Ale mała jest tutaj.

Sophie usłyszała w jego głosach groźbę: jeśli nie dostanie tego, co chce, może skrzywdzić Bess.

Zeskoczyła ze stopnia i stanęła obok Mary, twarzą do tego potwora.

– Odsuń się od niej.

Spojrzał na nią, niebotycznie zdumiony.

– Bo co?

Sophie była przerażona, ale w głowie dźwięczały jej słowa ojca: „Szarżuj, ile wlezie, aż twój blef stanie się prawdą”. Wyprostowała się.

– Bo pożałujesz.

Niedźwiedź się uśmiechnął.

– To raczej ty pożałujesz.

Uderzenie było nieoczekiwane, błyskawiczne i potężne. Gwiazdy rozbłysły jej w głowie. Zanim zdążyła się zorientować, już leżała na ziemi.

Mary odsunęła się o krok i stanęła w otwartych drzwiach powozu.

– Do diabła, powiedziałam ci, żebyś nie krzywdził ludzi.

– Następnym razem znajdź sobie obrońcę, który wytrzyma mój cios – poradził. – Oddawaj chłopaka.

Sophie otworzyła oczy i spostrzegła chłopca przycupniętego pod powozem. Wpatrywał się w stopy Mary przerażonymi, szeroko otwartymi oczyma.

– Mówię ci, że go tu nie ma – powiedziała kobieta.

Sophie usłyszała uderzenie; Niedźwiedź trzasnął Mary w policzek, aż krzyknęła z bólu, ale nie upadła.

Bess rozplakała się w powozie, a John zamknął oczy.

– Mówię ci, draniu, że go tu nie ma – powtórzyła Mary.

Drugie uderzenie powaliło ją na ziemię.

Sophie dostrzegła kątem oka, że John się poruszył. Chciał wyjść na zewnątrz.

– Czekaj! – krzyknęła. Zmusiła się, żeby wstać, zanim Niedźwiedź wsiądzie do powozu, żeby go przeszukać.

Odwrócił się do niej.

– Przestań strugać bohatera, mały. Nie wygrasz ze mną.

Sophie stanęła między nim a nieprzytomną Mary. Skrzyżowała ręce na piersi. Nie wiedziała, co robić, wiedziała tylko, że nie pozwoli mu skrzywdzić dzieci.

– Przestanę strugać bohatera, jak ty przestajesz robić z siebie bydlaka. Ale to będzie nieprędko, co?

Znowu się roześmiał.

– Śmierci chyba szukasz.

– Pod warunkiem, że to będzie twoja śmierć – odparła z nienawiścią.

Odwrócił się od niej, rozkładając szeroko ramiona. Spojrzał na swoich kompanów i zarechotał cicho.

Wyciągnął zza pasa pistolet.

Sophie znieruchomiała.

– Mam cię dosyć – powiedział, a potem wycelował w jej głowę.

Zamknęła oczy, spodziewając się, że ogarnie ją fala przerażenia.

Ale tak się nie stało. Zamiast tego w głowie pojawiła się tylko jedna, spokojna myśl.

Jaka szkoda, że hrabinie Liverpool tak się spodobały te japońskie rybki.

King najbardziej na świecie nienawidził powozów. Targał z irytacją swój fontaż, jakby brakowało mu

powietrza. Dopisał w myśli tę przejażdżkę do długiej listy karygodnych przewin lady Sophie Talbot. Planował błyskawiczną podróż w dwukółce na północ i krótkie, ostatnie widzenie z ojcem, który zrujnował mu życie. Podejdzie do jego łoża i odniesie ostateczne zwycięstwo w wojnie, którą toczyli od dziesięciu lat. Nasz ród zakończy się na mnie. Dręczące go demony w końcu go opuszczą.

Zamiast tego włókł się na północ wielkim, pustym powozem, przypominającym trumnę. Gdyby nie tupot kopyt, chyba popadłby w panikę.

Trzeba było pojechać wierzchem. Wprawdzie musiałyby ciągle zmieniać konie i znosić okropną angielską pogodę, ale przynajmniej byłby na świeżym powietrzu.

– Przecież to powóz, idioto. Nic dziwnego, że się rusza – powiedział do siebie na głos.

Przymknął oczy w nadziei, że łatwiej poradzi sobie z koszmarem.

Właśnie wtedy koło wpadło w głęboką koleinę. Impet rzucił go na bok. Zobaczył przed oczyma smugę światła.

Będzie wypadek.

Ona umrze.

To będzie twoja wina.

Zalała go fala paniki i wstał, żeby zastukać w dach i zatrzymać powóz, ale zanim zdążył to zrobić, powóz zwolnił sam z siebie, jakby ta wielka, rozpędzona masa drewna i metalu odgadła jego uczucia. Otworzył drzwi i wyskoczył, zanim się zatrzymali na dobre.

Stangret spojrział na niego z kozła, zaciekawiony i zaskoczony. King wściekł się jeszcze bardziej, bo poczuł falę ciepła na policzkach. Nie chciał, żeby ktokolwiek był świadkiem jego przerażenia.

– Dlaczego stanęliśmy? – warknął, żeby odwrócić uwagę od siebie.

– Ktoś tam jest na drodze, milordzie – odparł stangret.

King powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem. Jakiś zdyszany człowiek biegł w ich stronę, wymachując rękami.

– Milordzie, pomocy! Napadli nas bandyci!

Markiz zawahał się. Niejeden podróżny wpadł w pułapkę w podobnych okolicznościach. Ale ten człowiek był albo doskonałym aktorem, albo napad zdarzył się naprawdę.

– W dylizansie jest pełno kobiet z dziećmi. Pozabijają je! Albo gorzej...

W dylizansie.

Chryste Panie.

Był gotów postawić całą fortunę na to, że Sophie Talbot jechała właśnie tym dylizansem.

– Jechał z wami służący? W liberii? – spytał, spoglądając w oczy mężczyźnie.

– Szczerze mówiąc... – zaczął tamten, zdziwiony.

Markiz ruszył biegiem, zanim tamten zdążył skończyć zdanie.

Była irytująca, to prawda, ale nie mógł zostawić jej na łasce przestępców grasujących po północnym trakcie. Do cholery, przecież była damą z urodzenia. Kiepskiego urodzenia, to prawda, ale żadna dama nie wytrzyma nerwowo napadu rzezimieszków. Pewnie zaczęła piszczeć, gdy tylko zatrzymali dylizans. Albo zemdląca ze strachu. To byłoby najlepsze. W ten sposób nie wpakuje się w żadne kłopoty.

Znając ją, na pewno jednak w coś się wpakowała...

Przyspieszył biegu.

Dopadnie ją, tak jak sobie przyrzekał. Uratuje ją. Potem sama będzie go błagać, żeby ją odesłał do Londynu. I będzie w końcu miał spokój.

Za zakrętem rzeczywiście stał dylizans. Ale o spokoju należało zapomnieć.

Lady Sophie Talbot bynajmniej nie leżała nieprzytomna w otchłani powozu ani też nie krzyczała histerycznie. Zamiast tego stała w środku całej sceny, z rękami na biodrach, jakby prowadziła spokojną konwersację.

Jakby największy z tych drani nie mierzył jej w głowę z pistoletu.

Do diaska.

King jeszcze przyspieszył, myśląc tylko o jednym – żeby jej dopaść.

– Nie! – krzyknął w nadziei, że odwróci uwagę rzezimieszka. Ale zanim tamten spojrzał w jego stronę, spod powozu wyskoczyło jakieś małe stworzenie i rzuciło się ku Sophie.

Markizowi wydało się, że słyszy dziecięce „Nie!” jak echo swojego własnego okrzyku.

Może to zresztą był krzyk Sophie, która jednym skokiem znalazła się między dzieckiem a bronią, jakby kule się jej nie imały.

Ryknął dziko, bo zorientował się, że nie zdąży. Lufa tamtego pistoletu skierowała się ku leżącej na ziemi Sophie. Czas zwolnił. Potem zawsze wydawało mu się, że widział kurek opadający powoli, całymi minutami, albo nawet godzinami, i dopiero potem rozległ się huk wystrzału, budząc echa wśród drzew i niosąc się daleko w czystym powietrzu.

A on wciąż nie mógł jej dopaść.

Rozległ się krzyk. Jeden albo więcej. Nigdy się tego nie dowie, bo przybiegł na miejsce zbrodni jedno uderzenie serca za późno. Z rykiem obalił mężczyznę na ziemię, okładając go z całej siły, aż tamten stracił przytomność. Wstał i rzucił się na jego kompanów. Błyskawicznie załatwił jednego. Drugi uciekł. King zastanawiał się chwilę, czy za nim nie pobiec, żeby się zemścić za napad na niewinne kobiety i dzieci. Za ten strzał.

Dobry Boże.

Strzał.

Czy ona żyje? Odwrócił się do niewielkiej grupki osób na drodze. Leżąca na ziemi kobieta chyba właśnie odzyskała przytomność. Przy schodkach dylizansu kuliła się Sophie, trzymając w ramionach chłopca, na oko siedmioletniego.

– Jesteś ranny? – pytała.

Dźwięk jej głosu przyniósł mu olbrzymią ulgę, którą natychmiast zastąpił gniew.

Sophie przesunęła dłonią po rękach i nogach chłopca.

– Jesteś pewien? Nie trafił cię?

Chłopiec potrząsnął głową.

– Nie jesteś ranny? – powtórzyła. King dobrze wiedział dlaczego. On też powtarzał sobie w myślach podobną litanię, ale na jej temat. Sophie troszczy się o dziecko, więc nic jej nie jest.

Szybko odzyskał oddech i kazał obu stangretom związać napastników. Potem znowu odwrócił się do Sophie.

Zakłopotany chłopak próbował się wydostać z jej objęć.

– Zostaw mnie! – zawołał. – Nic mi nie jest!

– Nie waż się tak do niej odzywać, Jonathanie Mortonie – napomniała go druga kobieta, siadając na ziemi. – Uratowała ci życie.

Chłopiec zamrugał.

– Ona?

Sophie uśmiechnęła się.

– Ty też uratowałeś mi życie. Jesteśmy teraz przyjaciółmi, więc możesz poznać moją tajemnicę.

Zmarszczył brwi.

– Jesteś dziewczyną.

– To prawda.

Wyraz zakłopotania na jego buzi zastąpił szacunek.

– Ale stawiałaś się Niedźwiedziowi, żeby nas bronić.

Spojrzeli oboje w stronę leżącego rzezimieszka. Sophie po drodze natrafiła wzrokiem na buty

Eversleya i podniosła na niego oczy. Opuchlizna wokół jej prawego oka już siniała, a oka prawie nie było widać. Uderzył ją. Markiza znowu ogarnął gniew, tym razem na mężczyznę. Chętnie by go pobił drugi raz.

Zrobił krok w jej stronę.

– Na to wygląda – powiedział do chłopca.

– Przecież nas nie znasz – zdziwił się mały.

– Ty mnie też nie znasz, a przecież próbowałeś mnie uratować, prawda? Nie trzeba kogoś znać, żeby słusznie postępować.

Jej słowa trafiły do chłopca. Skinął głową i wstał, żeby pomóc młodej kobiecie, której napastnik wymierzył brutalny cios w głowę.

King nie wytrzymał. Powiedział pierwsze słowa, które przyszły mu do głowy pod wpływem gniewu i strachu.

– To była niesłychana głupota.

Sophie powoli wstała.

– Już mi zaczynało brakować twoich obelg. Pewnie przyjechałeś po swoje pieniądze.

Przyjechałem, żeby cię uratować, wariatko, miał ochotę powiedzieć. Żebyś była bezpieczna. Ale to nie byłaby prawda. Przyjechał po swoje pieniądze. I żeby się zemścić za jej dziecinne zachowanie poprzedniej nocy.

Na szczęście nic jej się nie stało, więc nie był to jego problem.

– Między innymi – odpowiedział.

Potrząsnęła głową.

– Nie mogę ci oddać wszystkiego. Potrzebuję trochę na podróż. I na utrzymanie, zanim ojciec przyśle mi jakąś sumkę. Ale zwrócę ci wszystko. Z procentem.

Skrzyżował ramiona na piersi.

– Zwrócisz już teraz. A ja zapłacę za twój przejazd do Londynu. Dzisiaj. Żadnych dyliżansów. Pojedziesz bezpiecznie, powozem, i nie życzę sobie, żebyś postawiła stopę na ziemi, dopóki nie znajdziesz się w granicach miasta. Z daleka ode mnie.

Uniosła podbródek.

– Nie.

– Nie masz wyboru. Ukradłś mi te pieniądze. I tak będziemy wzywać magistrackich pachółków do tych durniów – wskazał ruchem głowy na związanych mężczyzn. – Jeśli będzie trzeba, ustrzelę trzy ptaszki za jednym zamachem. Ciekawe, co na takim pustkowiu robią ze złodziejkami – szepnął, pochylając się do niej.

Wzdrygnęła się.

– Nie odważysz się.

– Przekonaj się – odparł, mrużąc oczy.

– Rujnujesz moje plany.

Rozłożył szeroko ramiona, rozkoszując się widokiem jej pobladłej twarzy.

– Taki już jestem, kochanie.

Zachwiała się. Wcale nie była blada, tylko śmiertelnie biała. Zrobił krok do przodu i złapał ją, boby upadła. Ogarnęło go przerażenie.

– Sophie?

Pokręciła głową.

– Nie pozwoliłam ci się tak... spoufalać.

– W takim razie na pewno nie spodoba ci się to, co zaraz zrobię. – Przytrzymał ją jedną ręką a drugą rozpiął guziki jej kurtki.

– Zwariowałaś? – Odepchnęła jego dłoń.

Ignorując ją, odsunął tkaninę.

– Szlag by to trafił.

– Do tego jeszcze przeklinasz w mojej obecności. – Zamknęła oczy. – Źle się czuję.

– Nic dziwnego. Postrzelił cię.

– Co takiego? Skądże znowu.

Opierała się, gdy kładł ją na ziemi i zdejmował jej kurtkę. Złapała go za rękę.

– Nie postrzelił mnie.

– Dobrze – mruknął, wracając do swego zajęcia. – Nie postrzelił cię.

– Wiedziałabym przecież.

– Na pewno.

Ujął w dłonie brzeg płóciennej koszuli, żeby ją rozedrzeć i dostać się do rany.

– Przestań! – krzyknęła, gdy dotknął gołej skóry. – Łajdaku! Nie masz prawa mnie tam dotykać!

Roześmiałby się, gdyby sprawa nie była tak poważna.

– Zapewniam cię, że rzadko muszę drzeć koszule, by pogłaskać kobiece piersi.

Spuściła wzrok. Ucichła.

– Ja krwawię.

– Bo cię postrzelił – odpowiedział. Wyciągnął z kieszeni czystą chusteczkę i docisnął do rany w jej ramieniu. Potem spojrzął na plecy. – Kula została w ciele. Trzeba poszukać chirurga.

Nie odpowiedziała. Zajrzał jej w twarz i przekonał się, że zemdląca.

– Szlag by to trafił – powtórzył. – Do diaska, Sophie. – Poklepał ją po zdrowym policzku. – Sophie.

Oprzytomniej.

Otworzyła oczy na moment, ale zaraz zamknęła je znowu.

Do diaska.

– Nie! – krzyknęła tamta kobieta. – To niemożliwe! Nic jej nie było! Odzywała się!

Za dużo krwi straciła jak na kogoś, komu nic nie jest.

Chryste panie.

No i miał problem.

Miał z nią problem.

– Ona nie może umrzeć! – krzyczała kobieta.

Nie wolno jej umrzeć.

– Nie umiera – odpowiedział. Wziął ją w ramiona i zaniósł do powozu, obliczając w myśli odległość do najbliższego miasta. Albo najbliższego chirurga.

– Halo! – zawołała za nim tamta. Nie obejrzał się. Ruszyła jego śladem.

– Dokąd ją pan zabiera?

– Do lekarza.

– To nasza znajoma . My się nią zajmiemy.

Odwrócił się i spojrzął na dziewczynę, która zdążyła go już dogonić.

– Nie znasz jej.

– Znam. Uratowała życie Johna. I moje.

– Proszę się nie martwić. Zajmę się nią.

– Skąd mam wiedzieć, że nic jej się nie stanie?

Szkoda było czasu na wyjaśnienia, że nie jest bandytą i można mu zaufać. Trzeba było szybko zająć się Sophie.

– Będzie ze mną bezpieczna.

– Aha. Skąd mam to wiedzieć?

Spojrzął na nieprzytomną kobietę w swoich ramionach i powiedział jedyną rzecz, która mogła zakończyć dyskusję. Jedyną rzecz, która ich uspokoi. Nieważne, że to było kłamstwo i że może ich oboje

zniszczyć.

– Bo to moja żona.

## 6. *Sophie ranna.*

### *Trwają poszukiwania chirurga*

Ocknęła się półnaga w powozie pędzącym na złamanie karku po drodze, która była chyba najbardziej wyboista na całym bożym świecie. Powóz szarpnął, wywołując ostry ból w ramieniu. Krzyknęła z bólu, a potem z przerażenia.

Leżała w ramionach markiza Eversley. Na jego kolanach. W ciemnym powozie.

Spróbowała usiąść.

Przytrzymał ją w żelaznym uścisku.

– Ale to przecież... – jęknęła, czując kolejne ukłucie bólu i dopiero potem dokończyła – ... nieprzyzwoite.

Zaklął.

– Mówiłem, nie ruszaj się. Wypij to. – Przysunął butelkę do jej ust.

Bez wahania przełknęła wodę, aż do chwili, gdy uświadomiła sobie, że to jednak nie woda. Wypluła płyn, który palił jej gardło żywym ogniem.

– To alkohol.

– Najlepszy scotch w całej Brytanii – potwierdził. – Nie marnuj go.

– Nie chcę. – Pokręciła głową.

– Będiesz za niego wdzięczna, kiedy chirurg zacznie ci dłubać w ramieniu, szukając kuli.

Na te słowa wszystko jej się przypomniało. Złapała butelkę i pociągnęła solidny łyk.

– Czy ja umieram?

– Nie – odparł bez wahania.

Skierowała spojrzenie na miejsce, gdzie spoczywała jego ręka poplamiona krwią.

– Wygląda, jakbym umierała.

– Ale nie umierasz. – Odczytała te słowa z jego warg. Wszystko w jego twarzy emanowało pewnością.

Zaciśnięte szczęki i usta, mocny dotyk. Tak jakby w razie potrzeby mógł zatrzymać jej śmierć siłą woli.

– Nie masz nade mną władzy, choć przezywają cię Kingiem.

– W tej sprawie mam.

– Jesteś taki zadufany, że mam ochotę umrzeć tylko po to, żeby udowodnić, jak bardzo się myliłeś.

W jego zielonych oczach błysnęło zaskoczenie i przerażenie. Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, a potem odpowiedział cicho i groźnie:

– Jeśli próbujesz udowodnić, że nikt nie musi tobą rządzić, to nie najlepiej ci idzie.

W powozie zapadła cisza. Sophie pomyślała o swojej przyszłości. Pewnie będzie raczej krótka. A może nie. Może już nigdy nie zobaczy siostr. Umrze w tym powozie, w ramionach mężczyzny, któremu na niej nie zależało.

Ale przynajmniej nie zostawił jej samej.

Do oczu napłynęły jej łzy, więc pociągnęła nosem w nadziei, że je powstrzyma.

– O co ci chodzi z tą północą? – spytał, chcąc odwrócić jej uwagę.



Przez chwilę nie rozumiała, o co pyta.

– Z północą?

– Tak, dlaczego chcesz jechać do Cumbrii?

– Londyn mnie już nie chce.

– Nie wierzę – odparł, spoglądając przez okno.

– Ja też już nie chcę Londynu.

– To brzmi bardziej prawdopodobnie. Skąd ta decyzja?

Pomyślała, że może mu wszystko opowiedzieć, bo przecież i tak niedługo umrze.

– Zwzywałam księcia Havena od dziwkarzy. Przed wszystkimi gośćmi.

Zamiast poważnej nagany, której się spodziewała, usłyszała wybuch śmiechu.

– Wyobrażam sobie, jaki był wściekły.

Chciała zrelacjonować dalsze wydarzenia, ale los jej przeszkodził. Powóz wpadł w wyjątkowo głęboką koleinę. Targnął nią tak przenikliwy ból, że aż krzyknęła. Eversley zaklął w ciemności i przyciągnął ją do siebie.

– Zaraz będziemy na miejscu – obiecał przez zaciśnięte zęby, jakby też czuł ból.

– To znaczy gdzie? – spytała.

– W Sprotbrough.

Nie miała pojęcia, co to jest Sprotbrough, ale to nie było ważne.

Zamilkli znowu. Zaczęła szukać jakiegoś tematu, by nie myśleć o śmierci.

– Czy to prawda, że rozdziewiczyłeś lady Grace Masterson w powozie?

Rzucił jej karcące spojrzenie.

– Myślałem, że nie czytujesz brukowców.

– Mam siostry – wyjaśniła. – Więc jestem na bieżąco.

– O ile dobrze pamiętam, lady Grace Masterson jest obecnie markizą Wile – stwierdził.

– Owszem – odparła. – Ale miała być księżną Północy.

– Księżę Północy jest w wieku jej dziadka.

– A markiz Wile jest biedny jak mysz kościelna.

Przechylił głowę i przyglądał się jej przez dłuższą chwilę.

– Ale jej to nie przeszkadzało.

– Natomiast jej ojcu ta bieda bardzo się nie podobała.

– Tylko że jej ojciec nie miał nic do powiedzenia w tej sprawie.

Po krótkim czasie Sophie stwierdziła:

– Zrzuć ją w oczach księcia.

– A może zrobiłem to dla markiza?

Sens jego słów jakoś do niej nie dotarł. Przeszkodził jej ból ramienia. Postanowiła usiąść. Oparła się o jego udo i poczuła pod palcami skórzaną nogawkę.

– Twoje bryczesy.

Uniósł brwi, więc się zaczerwieniła.

– Przepraszam. Nie powinnam zauważać takich rzeczy.

– Naprawdę?

– To nie jest w dobrym tonie.

– Leżysz mi na kolanach, krwawisz z rany postrzałowej. Dajmy sobie na moment spokój z dobrym tonem.

– Są ze skóry.

– To prawda.

– To chyba skandaliczne.

– Niewątpliwie, kochanie. A ty potrzebujesz butów.

– Ja...

Dotknął dłonią jej stóp w pantofelkach, pogładził przetarty jedwab.

– Nie powinnaś ruszać w drogę bez butów. Trzeba było zabrać je lokajowi.

Pokręciła głową, wpatrując się w brudne, żółte pantofle.

– Nie pasowały. Mam za duże stopy.

Przytulił ją do siebie.

– Jak dojedziemy, znajdziemy ci jakieś.

– A ty znalazłeś coś dla siebie?

– Na szczęście mój lokaj okazał się bardzo przezorny.

– Dlaczego tu go nie ma?

– Nie lubię podróżować w towarzystwie. Miał na mnie czekać w następnej gospodzie.

– Aha. – Pewnie ta cała sytuacja też mu się nie podobała. – Gdzie jest Sprotbrough?

– Tam gdzie diabeł mówi dobranoc.

– To na pewno czeka tam na nas cały zespół wybornych chirurgów.

Spojrzał na nią. W innej sytuacji byłaby dumna, że tak go zaskoczyła.

– Czy ktoś ci już mówił, że masz ostry język?

Uśmiechnęła się lekko.

– To znaczy, że nie jestem aż tak nudna, prawda?

– Nie powiedziałbym, że jesteś aż tak nudna. Właściwie wcale nie – odparł z powagą.

Coś zakłuło ją w piersi – nie ból od postrzału, nie strach, że pomimo wszystkich zapewnień Kinga może umrzeć. Coś, co nie całkiem rozumiała.

– Więc co byś o mnie powiedział?

Wydawało jej się, że czas zwolnił. Żłocistoczerwony promień słońca oświetlił jego twarz i Sophie nagle koniecznie zapragnęła usłyszeć odpowiedź. Odezwał się w końcu, twardo i stanowczo:

– Że jesteś głupia.

Zatkało ją. Nie spodziewała się tego.

– O, przepraszam. Ten potwór chciał zabrać ze sobą chłopca. Bóg jeden wie, co by z nim zrobił. Nie miałam innego wyjścia.

Nagle zrobiło jej się ciepło. Ogarnęło ją zmęczenie. Wzięła głęboki oddech, na próżno starając się napełnić płuca. Oparła mu głowę na ramieniu, tak jak przedtem, zanim odzyskała przytomność.

– Czyżbym usłyszała w twoim głosie szacunek?

Jego pierś unosiła się i opadała w sennym rytmie.

– Może odrobinę.

Zanim powóz dotarł do Sprotbrough, zrobiło się ciemno. Miasteczko ledwie zasługiwało na tę nazwę, bo składało się z paru drewnianych domków i ratusza, mniejszego od kuchni w rezydencji Talbotów w Mayfair.

Mimo wszystko musi tu być jakiś lekarz, zaklął w myślach King. Nawet gdybym musiał go wykopać spod ziemi.

Wyskoczył z powozu. Natychmiast obok pojawił się stangret John, oświetlając latarnią niepokojąco bladą Sophie.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że to dziewczyna – powiedział. – Czy ona już... – zawahał się, nie kończąc zdania.

– Nie – warknął King.

Obiecał jej, że nie umrze. Tym razem się uda. Niemożliwe, żeby kolejna dziewczyna zmarła w ciemnościach, będąc pod jego opieką, i żeby nie udało jej się uratować.

Dlatego, że za mało się o nią troszczył.

Nie potrafił jej obronić.

Wziął ją w ramiona i wysiadł z powozu. Jakiś młody człowiek przyglądał się tej scenie.

– Szukamy lekarza – powiedział King.

Chłopak skinął głową.

– Za rogiem. Kryty słomą dom po lewej.

A więc był tu lekarz. King nie czekał, aż chłopak skończy mówić, tylko ruszył przed siebie, rzucając stangretowi:

– Znajdź gospodę. Wynajmij pokoje.

– Pokoje? – spytał sługa. Widocznie wątpił, czy drugi pokój będzie konieczny. Myślał, że Sophie nie przeżyje nocy. King posłał mu ostre spojrzenie.

– Dwa pokoje.

Po chwili stał pod drzwiami doktora, myśląc tylko o tym, by przekazać Sophie pod jego opiekę. Zastukał nogą, bo ręce miał zajęte. Nie dbał o to, że zachowuje się prostacko i hałaśliwie, i może źle nastawić do siebie lekarza. Pieniądze temu zaradzą. Jak zwykle.

Gdy nikt nie odpowiedział, kopnął mocniej. Za trzecim razem zaatakował drzwi z taką siłą, że wpadły do środka budynku.

King doliczył szkody do rachunku i przeszedł przez próg. W półmroku dostrzegł wysokiego mężczyznę w okularach. Był młodszy od Kinga, miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. I do tego był niezwykle przystojny.

– Szukam lekarza.

Tracąc cenny czas, młody człowiek zdjął okulary i przetarł je starannie.

– Zdemolował mi pan drzwi – powiedział.

– Zapłacę za nie – odpowiedział King i podszedł w jego stronę. – Jest ranna.

Lekarz nawet nie spojrział na Sophie.

– Przede wszystkim trzeba było ich nie niszczyć. Proszę ją tam położyć – dodał, wskazując stół w drugim pokoju.

King spełnił polecenie, z pewnym żalem wypuszczając Sophie z ramion. Pogładził po jej nodze, jakby dotykiem można było utrzymać ją przy życiu.

Doktor założył okulary i pochylił się nad nią.

– Stracił dużo krwi. Co się stało?

– Została postrzelona.

Skinął głową. Przełożył ją na bok, spojrział na plecy. Kiedy układał ją z powrotem na stole, jej głowa opadła bezwładnie.

– Kula została w środku.

Podszedł do stojącej obok dużej skórzanej torby i wyciągnął z niej butelkę oraz długi, metalowy instrument, który od razu nie spodobał się Kingowi.

– Nie podoba mi się, że jest nieprzytomna.

– Mnie też nie – odparł King, obserwując, jak lekarz ogląda ranę.

Młody człowiek machnął w stronę kredensu.

– Proszę mi podać ręczniki i miskę z wodą. Będzie obficie krwawić, kiedy wyciągnę kulę.

Nie budziło to zaufania.

– Czy jest pan jedynym lekarzem w tym mieście?

– Jedynym w promieniu dwudziestu mil.

King skrzywił się.

– Gdzie się pan uczył rzemiosła?

– Włamał mi się pan do domu. To chyba nie najlepsza rekomendacja, by kwestionować moje

umiejętności.

King przełknął ślinę, bo lekarz miał rację.

– Jest pan bardzo młody.

– Nie aż tak młody, by nie zauważyć, że pana... – przerwał i przesunął wzrokiem po nietypowym przydzwiewku Sophie... – lokaj?

– Żona – sprostował King bez wahania.

– Naturalnie. – Lekarz wsunął okulary na nos. – Że pana żona ma kulę w ramieniu i trzeba ją wyjąć.

Czy woli pan poczekać na zewnątrz, aż będzie przejeżdżał bardziej doświadczony lekarz?

Pytanie nie wymagało odpowiedzi.

– Umrze? – Nienawidził tego pytania i drżenia w swoim głosie, gdy je zadał. Nie umrze. Ale czy na pewno?

– Rany w ramię nie bywają groźne dla życia. Miała szczęście.

– Więc nie umrze.

– Na pewno nie od kuli. Tak jak mówiłem, nie podoba mi się, że straciła przytomność. Ale mam na to sposób – i przechylił butelkę nad raną.

– Co to takiego?

– Gin.

King postąpił o krok.

– Co to ma być za lekarstwo, do jasnej cholery?

– Takie, które boli jak wszyscy diabli.

Zanim King zdążył go powstrzymać, lekarz wylał pół butelki na ramię Sophie.

Natychmiast otworzyła oczy i usiadła na stole, wrzeszcząc:

– Do diabła!

Lekarz uśmiechnął się.

– Jak miło. Co za powitanie.

Jej oczy były zamglone i dzikie.

– Piecze – powiedziała.

– To prawda. Ale wróciła pani przytomność. Bardzo mnie to cieszy.

– Kim pan jest? – spytała.

– To lekarz – odpowiedział King.

Spojrzała na niego.

– Nie wygląda.

– Nie jestem pewny jego umiejętności.

Przeniosła spojrzenie na lekarza.

– Proszę, niech pan mnie nie zabije.

Skinął głową.

– Zrobię, co się da.

– Naprawdę trzeba było polewać tym ranę? – spytała. – Nie było to miłe.

– Przypuszcza się, że alkohol przeciwdziała zakażeniom – odpowiedział lekarz. – Mam nadzieję, że to prawda, bo szkoda by mi było zmarnować pół butelki ginu.

Nie rozbawił tym żadnego z nich, ale chyba nie o to mu chodziło, bo uniósł swoje dziwne urządzenie.

– Niech pan ją trzyma – rzucił do Kinga. – Obawiam się, że to też będzie piekło – ostrzegł Sophie.

Ledwie King zdążył zacisnąć dłonie, zabrał się do wyciągania kuli.

Sophie wrzasnęła, krew poląła się z rany, a King poczuł się jak skończony idiota, że doprowadził do takiej sytuacji. Wyrывała mu się z objęć, więc przywołał resztkę sił, żeby ją trzymać. Wolałby wyrwać ją ze szponów doktora i przerwać jej mękę.

– Zrobione – powiedział w końcu lekarz. Wyciągnął kleszcze z rany i pokazał Kingowi kulę a potem

wytarł kałużę krwi i ponownie podszedł to torby.

King podtrzymał Sophie, która zamknęła oczy i osunęła się na stół z westchnieniem, przeradającym się w cichutki jęk. O mało nie pękło mu serce. Z trudem się pohamował, by nie udusić tego przystojnego smarkacza, który udawał chirurga. Szkoda, że tego nie zrobił, bo lekarz wrócił z igłą i nicią w ręku.

– Madame, napije się pani, zanim zacznę szyć pani ranę? To powinno stępić ból.

Sophie jeszcze bardziej pobieląca i skinęła głową.

– Tam jest whisky. – Lekarz wskazał kredens ruchem podbródka.

King złapał butelkę i otworzył.

– Ponieważ to lekarstwo, a nie przyjemność, nie będę szukać szklanki – powiedział i przyłożył butelkę do jej warg. Przechyliła głowę i pociągnęła solidny łyk.

– Grzeczne dziecko – pochwalił, zanim zakasłała. Alkohol na pewno zapiekł ją w gardle.

Pokręciła głową.

– Do diaska z tym!

Uśmiechnął się.

– Przyzwyczaiłaś się do tego przekleństwa.

Popatrzyła na igłę.

– Jestem bardziej córką węglarza niż damą z towarzystwa.

Zaśmiał się, ale przerwał, słysząc, jak jęknęła z bólu, gdy doktor zaczął szyć. King postanowił odwrócić jej uwagę.

– Tęsknisz za tym?

Spojrzała mu w oczy.

– Za życiem przed wyjazdem do Londynu? – Skinął głową. Odwróciła się, żeby popatrzeć, jak lekarz szyje. – Owszem, tęsknię. W Londynie nigdy nie czułam się na swoim miejscu. – Uśmiechnęła się. – Teraz nie mogę już tam wrócić. Nie pogodzą się z tą blizną po kuli w ramieniu.

Uśmiechnął się w odpowiedzi, bo gdyby Sophie Talbot postanowiła wrócić do Londynu, znalazłby sposób, żeby ją z powrotem przyjęto do socjety.

– Co nabroiłaś u hrabiny?

– Powiem ci, jeśli ty opowiesz mi w zamian o sobie.

Uniósł brwi.

– Przecież wiesz o wszystkim.

– Ale nie o tym, co zdarzyło się wcześniej.

– Nietrudno zgadnąć.

– Pewnie tak – westchnęła. W jej głosie zabrzmiała krytyka. I rozczarowanie.

King nieraz był obiektem pogardy, ale przedtem nic go to nie obchodziło. Uwielbiał swoją reputację. Jej słowa sprawiły jednak, że poczuł się jak marny robak, chociaż nie zrobił nic złego.

– Doskonale – wtrącił lekarz, pozornie nieświadomy ich rozmowy. Zawiązał supełek na rządku idealnie równych szwów i ku zdumieniu Kinga wyciągnął skądś słoik miodu.

– A to po co?

– Do smarowania rany – odpowiedział i pokrył szwy złocistą mazią, jakby to było całkowicie normalne.

– To nie grzanka.

– Starożytni Egipcjanie stosowali miód, by zwalczać infekcje.

– Mam uwierzyć, że to wystarczający powód, żeby stosować go teraz?

– A ma pan lepszy sposób?

Kingowi nie podobał się ten facet.

– To działa?

Lekarz wzruszył ramionami.

– Nie zaszkodzi.

– Jest pan szalony.

– Królewskie Kolegium Chirurgów jest tego samego zdania.

– A co oni o panu wiedzą?

– W zeszłym roku wykreślono mnie z listy członków. Jak pan myśli, czemu tkwię w Sprotbrough?

– Bo jest pan równie głupi, jak nazwa tego miasteczka! – King złapał go za gardło. – Postawmy sprawę jasno. Ona nie może umrzeć.

– Beze mnie ma marne szanse, więc niech pan mnie puści.

Jasna cholera. King puścił doktora, ale powtórzył:

– Nie może umrzeć.

– Rana nie jest śmiertelna – powiedział doktor.

– Ciągłe pan to powtarza.

– Bo to prawda. Rana jej nie zabije.

– A co?

Przez chwilę lekarz milczał, skupiając się na bandażowaniu rany. Gdy skończył, umył ręce w miednicy i odpowiedział:

– Nie mogę zagwarantować, że nie umrze z powodu konsekwencji.

Sophie otworzyła oczy i z lekkim uśmiechem popatrzyła na lekarza.

– To mu się nie spodoba.

Odpowiedział uśmiechem.

– Mnie się też tak wydaje.

– Jest pan bardzo przystojny, jak na lekarza.

Roześmiał się.

– Dziękuję pani. Naturalnie, wolałbym sam komplement, bez tego „jak na lekarza”.

Przyglądała mu się przez chwilę, a potem skinęła głową.

– Racja. Jest pan bardzo przystojny. Koniec, kropka.

King miał ochotę coś połamać, kiedy doktor roześmiał się znowu.

– Teraz lepiej.

Lekarz przyłożył jej dłoń do czoła i Kinga znowu poniosło. Tym razem miał ochotę komuś przyłożyć. Pewnej konkretnej osobie.

– Musi ją pan tak ciągle dotykać?

Doktor, niezrażony, odpowiedział:

– Obawiam się, że tak, jeśli mam sprawdzić, czy ma gorączkę.

– A ma?

– Nie. – Lekarz odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Kinga rzadko traktowano tak lekceważąco, więc miał ochotę udzielić lekcji młodemu człowiekowi. Zmienił jednak zdanie, gdy spojrzał na Sophie. Obserwowała go z półuśmiechem na wargach.

– Widzisz? Świat nie zawsze jest posłuszny twoim kaprysom. Ja też może umrę.

– I sprawi ci to wielką satysfakcję.

– Lepsza satysfakcja niż co innego.

Nie powinien pytać. Później zastanawiał się, co kazało mu zadać to pytanie.

– Co innego?

Błysk w jej oczach był czytelny i niepokojący.

– Niż strach.

To słowo wstrząsnęło nim do głębi i przywołało wspomnienia z przeszłości. Tamta dziewczyna. Też

się tak bała. Stała przed nim, błagając, by ją ratował. Wtedy był chłopcem, a nie mężczyzną. Ona umarła, ale Sophie przeżyje.

– Ty nie...

Potrząsnęła głową.

– Tego nie wiesz.

Opuścił głowę i przelotnie spojrzął na jej skórę pokrytą zaschniętą krwią. Była taka młoda, bogata. Nie powinna nosić blizn. Powinna cieszyć się życiem, śmiać się z siostrami, daleko stąd. Daleko od niego.

Przeniknięty żalem, wyjął z miednicy płócienny ręcznik, wyjął go i zaczął zmywać krew.

– Co robisz? – spytała.

– Zmywam krew – wyjaśnił.

– Sama to zrobię.

– Nie wolno ci się ruszać.

Wpatrywali się w siebie przez dłuższą chwilę. Z trudem powstrzymał się, by nie powiedzieć: „Zaopiekuję się tobą”. Te słowa by się jej nie spodobały. Do diabła. Jemu też się nie podobały. Ale i tak by je wypowiedział.

Na szczęście nie musiał. Odwróciła się, więc zaczął zmywać jej skórę delikatnie, troskliwie, żałując, że nie ma sposobu, by przywrócić jej tę krew, której tyle straciła. Że nie da się zawrócić czasu. Zmienić wszystkiego, co się wydarzyło.

– Powinieneś już jechać – powiedziała cicho.

Spojrzął na nią.

– Co ty mówisz?

– Zostaw mnie tutaj. Masz swoje życie. Jechałeś na północ, zanim pokrzyżowałam ci plany.

– Owszem, jechałem. I dojechałem tutaj.

– Chcę po prostu powiedzieć, że dam sobie radę sama. To nie twój problem – stwierdziła.

Zabolały go te słowa. Tyle razy je sobie powtarzał w duchu. Tyle razy powtarzał je do niej.

– Nie zostawię cię samej.

– Doktor wydaje się sympatyczny – odpowiedziała. – Na pewno pozwoli mi tu zostać, dopóki...

Po moim trupie, pomyślał.

– Nie zostaniesz u niego.

Wzięła głęboki oddech i powiedziała zmęczonym głosem:

– Nie mam twoich pieniędzy.

– Jak to?

– Jeśli z tego powodu chcesz ze mną zostać. Były w torbie. Zostawiłam ją w powozie. Pewnie już jej tam nie ma.

Pieniądze w ogóle go nie obchodziły.

– Dlatego za mną jechałeś, prawda? Z powodu pieniędzy.

– Nie – poprawił. – Jechałem za tobą dla zasady. Nie można tak po prostu odsprzedać komuś cudzych kół. Właściciel może ich potrzebować.

– Po co ci było aż tyle?

– Na wypadek, gdybym je połamał, ratując niewinną damę z rąk bandytów.

Roześmiała się cichutko, ale zaraz jęknęła, bo zabolęło ją ramię.

– Nie ruszam się stąd – powtórzył.

W tym momencie wrócił lekarz, z kubkiem w jednej dłoni i woreczkiem w drugiej.

– Gorączka może pojawić się później – powiedział do Sophie, jakby Kinga nie było w pokoju. – Te zioła mogą ją zbić.

– Mogą? – zdenerwował się King. – Za co właściwie wyrzucili pana z tego Kolegium?

– Za niepopularny pogląd, że infekcje powodowane są przez niewidoczne dla oka stworzenia.

King uniósł brew, a doktor uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Za późno, by rezygnować z mojej pomocy. Kuli już nie ma.

Pomógł Sophie usiąść.

– Zioła mogą pomóc w zniszczeniu tych stworzeń. Proszę je parzyć w gorącej wodzie i pić trzy razy dziennie. A to jest pierwsza dawka. – Podał jej parujący kubek.

Wypiła, a on zwrócił się do Kinga:

– Nawet normalny lekarz radziłby, żeby państwo zatrzymali się tu na parę dni.

– To samo jej mówiłem – przytaknął King.

– Świetnie. Będą państwo potrzebowali pokoju.

– Już wynajęliśmy.

To ją zaskoczyło. Tym bardziej że lekarz powiedział:

– Pani mąż jest bardzo zaradnym człowiekiem, madame.

Zakrztusiła się ziołową herbatką.

– Mój... kto?

To nie był najlepszy moment, żeby ujawnić kłamstwo Kinga. Tym razem jednak świat stanął po jego stronie, bo nagle rozległ się przenikliwy okrzyk:

– Pani Matthew?

Do pokoju wbiegł chłopiec. Za nim dreptała nieduża dziewczynka.

– John, nie można tak po prostu wejść do cudzego domu – skarciła go młoda kobieta, która pojawiła się w progu. King natychmiast ich rozpoznał: Sophie o mało nie zginęła przez nich na drodze. Kobieta spojrzała na lekarza i otworzyła szeroko oczy.

– Jejku, ale pan jest przystojny – powiedziała.

Dlaczego każda musiała to zauważyć?

Doktor się uśmiechnął.

– Dziękuję.

– Drzwi były otwarte – tłumaczył się John.

– Właściwie wcale ich nie było – sprostował sucho lekarz. – Rozumiem, że przyszłście zobaczyć się z pacjentką?

– Pani Matthew! – wykrzyknął chłopiec na widok Sophie. – Żyje pani!

Kim do diabła jest pani Matthew?

– Jak widać.

– Jak nas tu odnaleźliście? – spytał King, próbując opanować sytuację.

– To proste – odparła Mary. – Ona jest ranna, więc pojechaliście szukać lekarza. A to jest najbliższe miasteczko.

– No i jesteście! – wykrzyknął John z dumą.

– Cudownie – odparła Sophie i oddała pusty kubek lekarzowi.

– Po co przyjechaliście? – spytał King mimo woli.

– Bo martwiliśmy się o pana żonę – odparła Mary.

– O kogo niby? – spytała Sophie, badając wzrokiem jego twarz.

– O moją żonę – powtórzył King po prostu i zmienił temat: – Lekarz się już nią zajął.

– Wyjąłem kulę i opatrzyłem ranę. Państwo Matthew zostaną tu przez kilka dni, żeby móc się zająć leczeniem.

Mary skinęła głową.

– To świetnie. My też się tu zatrzymamy.

– Nie – sprzeciwił się King.

– Och, kochanie – odparła Sophie, rzucając mu znaczące spojrzenie. Dla osoby z zewnątrz wydałoby



się pewnie niewinne i słodkie jak ulepek. Tylko King widział w jej oczach irytację. – Mój mąż zapłaci za wasz pokój, Mary.

Nawet postrzelona próbowała go oskubać z pieniędzy.

– Tak nie można – zaproponowała kobieta.

– Właśnie, że tak. Jest bardzo bogaty. A ty przyczyniłaś się do uratowania życia jego żony.

Do diaska.

– Oczywiście, zapłacę – przytaknął, nie mając innego wyjścia.

– To świetnie – odparła Sophie i niemal natychmiast zapadła w sen.

Zaniepokojony King spojrział na lekarza.

– Zioła działają też nasennie – wyjaśnił medyk. – Czy potrzebuje pan pomocy, żeby ją przenieść do gospody?

– Nie – uciał King. Do diabła, sam poniesie swoją niby-żonę. Byle dalej od tego szalonego doktora. – Ile się należy za dzisiejszy zabieg, doktorze?

Nie odpowiedział, bo bacznie przyglądał się Mary.

– Ma pani okropny siniak z boku głowy.

Przyłożyła dłoń do tego miejsca. Jej policzki poróżwiały.

– Nic takiego.

Odwrócił się i wyjął coś z szuflady.

– Bynajmniej. To poważna sprawa.

Otworzył trzymany w ręku słoiczek i wyciągnął dłoń do jej twarzy.

Uchyliła się instynktownie.

– Nie uderzę pani.

Zaróżowione policzki oblały się czerwienią. King miał dziwne wrażenie, że powinien odwrócić oczy i nie patrzeć, jak lekarz smaruje jej twarz jakąś miksturą.

Odchrząknął i sięgnął do sakiewki, żeby zapłacić. Tylko że sakiewki nie było.

– Szuka pan czegoś, milordzie? – spytał John, kołysząc się na piętach.

– John – skarciła go Mary, szybko odsuwając się od doktora. – To bardzo miło, że chce pan spełnić życzenie swojej żony, panie Matthew. – Jej słowa dotarły do niego mimo szoku z powodu zniknięcia sakiewki. – Mam nadzieję, że nie poniecha pan tego zamiaru gdy się pan zorientuje, że to John ukradł panu pieniądze. – Chłopiec podał mu sakiewkę.

– I tak bym jej sobie nie wziął.

Szalony doktor i szkółka kieszonkowców. To ona wpakowała go w to wariackie towarzystwo. Uniósł brew i przyjrzał się chłopcu.

– Jeszcze nie spotkałem kieszonkowca, który nie chciałby zostawić sobie łupu. Ty jesteś pierwszy.

Chłopiec wbił wzrok w swoje buty.

– Taki mam nawyk.

– To złe przyzwyczajenie.

John spojrział na doktora i podał mu długi złoty łańcuch.

– To pana zegarek.

Ręka lekarza powędrowała do kieszeni kamizelki.

– Nawet nie poczułem.

Malec uśmiechnął się.

– Jestem najlepszy w całym Londynie. Aż szkoda, że wchodzę na nową drogę.

Niezbyt przekonał tym Kinga.

– Musisz nią trochę dalej pójść.

Zanim włożył sakiewkę do kieszeni, wyjął z niej parę monet i zapłacił lekarzowi. Potem delikatnie wziął Sophie w ramiona. Wszyscy w pokoju przesunęli się, by zrobić mu miejsce, oprócz małej

dziewczynki, która cały czas wpatrywała się w nią uważnie i wreszcie powiedziała:

– Jest jak Śpiąca Królewna.

King spojrzał na Sophie. Była blada i miała zamknięte oczy. Rzeczywiście wyglądała jak Śpiąca Królewna z baśni. Przez chwilę zastanawiał się nad ciągiem dalszym tej historii. Tu nie będzie żadnego księcia.

– W odróżnieniu od królewny, ta dama się obudzi – obiecał, bardziej sobie niż dziecku.

– Pewnie. Wystarczy ją pocałować – padła odpowiedź.

Gdyby nie był tak zmęczony tym całym dziwnym towarzystwem, może by się nawet roześmiał. W żadnym razie nie zamierzał całować Sophie Talbot. To także oznaczałoby kłopoty, tylko trochę innego rodzaju.

## 7. Śpiąca królewna się budzi; całus niepotrzebny

Sophie obudziła się następnego dnia. Promienie popołudniowego słońca wpadały przez szybę z mętnego szkła, w świetle tańczyły drobinki kurzu, a wokół unosił się nieco niepokojący zapach, odmienny od lekkiej stęchlizny, jaką zwykle czuć było w pokojach gościnnych Pod Czyżykiem, czyli w miejscowym pubie.

– Obudziła się.

Doskonale wiedziała, kto wypowiedział te słowa, choć nie widziała jego sylwetki.

Został razem z nią.

Podciągnęła się, żeby usiąść, ale ból w ramieniu był tak przenikliwy, że krzyknęła. Dotknęła ręką bandaża. Rana paliła żywym ogniem.

Markiz Eversley w jednej chwili znalazł się przy jej łóżku.

– Do diabła, kobieto. Czy ty nie potrafisz na siebie uważać? – Podłożył jej rękę pod plecy i pomógł położyć się znowu.

– Właśnie uważam. Gdy dama spostrzeżga w swej sypialni znanego gagatka, natychmiast powinna wstać z łóżka.

– Z tego co wiem, zazwyczaj bywa odwrotnie – odparł sucho.

– No cóż, wszystko zależy, w jakim towarzystwie się przebywa.

Ramię zaczęło pulsować.

– Jak długo spałam?

– Około osiemnastu godzin. Pamiętasz, że obudziłaś się na herbatę?

Napłynęło mętne wspomnienie Mary, która pochyliła się nad nią z kubkiem w dłoni.

– Mniej więcej.

– Bardzo cię boli?

Poruszyła się na próbę.

– Do wytrzymania.

– Ciekawe. Powinno boleć jak wszyscy diabli.

Tak właśnie było, ale nie zamierzała się do tego przyznać.

– Nie powinieneś kląć w obecności damy.

– Nie? O ile się nie mylę, sama używasz brzydkich słów.

Zarumieniła się.

– Jednego.

– Jedno w zupełności wystarczy. Boli cię?

Jak cholera.

– Kobiety są znane z tego, że dobrze znoszą ból.

– Aha. I pomyśleć, że uważa się was za słabą płęć.

Rzuciła mu ostre spojrzenie.

– Pewnie wymyślił to człowiek, który nigdy nie widział, jak się rodzi dziecko.

Uśmiechnął się z przekąsem.

– Jak widać, czujesz się dużo lepiej.

Trochę się rozkleiła. Dobrze, że King podszedł do drzwi, żeby porozmawiać z kimś po drugiej stronie, bo dzięki temu miała czas, żeby wziąć się w garść.

– Posłałem po tego stukniętego doktora, wbrew zdrowemu rozsądkowi. Zaraz przyniosą więcej herbaty.

Pomyślała o doktorze.

– Jak dla mnie, wcale nie był stuknięty.

– Posmarował cię miodem i nasączył whisky. Nie odmówiłbym wprowadzić ciastka, które tak potraktowano, ale jak na zabieg medyczny wydało mi się to trochę dziwne.

Pochylił się nad nią.

– Skoro już oprzytomniałaś, pozwól mi spojrzeć na to ramię.

Odwróciła głowę i delikatnie pociągnęła nosem. Gin i miód. Zdaje się, że to nie gospoda tak dziwnie pachniała.

– Nie podchodź! – powstrzymała go ruchem ręki.

– Niby dlaczego?

– Bo to nieprzyzwoite!

Uniósł brew.

– Zapewniam cię, milady, że nie zamierzam cię deprawować. Zresztą i tak zaraz będzie tu lekarz.

Jakby na jego wezwanie, w drzwiach pojawił się doktor, a za nim Mary z parującym kubkiem herbaty. Sophie uświadomiła sobie, że medyk jest niezwykle przystojny. Naturalnie. Nieszczęścia chodzą parami. Zwykle żaden z przystojnych dżentelmenów nie zaszczycił jej spojrzeniem dłużej niż sekundę potrzebną do zorientowania się, że szukają kogo innego, a teraz miała ich dwóch na usługi, tylko że leżała w łóżku i cuchnęła. Los się chyba na nią wziął.

– Pani Matthew! – ucieszył się lekarz. – Mam nadzieję, że pani dobrze wypoczęła.

Zapomniała, że nadal jej to nazwisko.

– Owszem, doktorze... – przerwała. – Przepraszam, nie pamiętam, jak się pan nazywa.

– Bo się nie przedstawiłem – odpowiedział po prostu i z oszłamiającym uśmiechem wziął herbatę z rąk Mary. Podał ją Sophie. Poczekał, aż się napije i spytał: – Jak tam samopoczucie?

– Nie najgorzej.

– Jestem pewny, że nie mówi pani prawdy. Zobaczmy, jak to wygląda.

Opadła na poduszki, myśląc tylko o jednym: że śmierdzi.

– Wolałabym...

Nie słuchając, położył jej rękę na czole.

– Świetnie. Nie ma gorączki.

Zanim zdążyła się ucieszyć z tego werdyktu, dodał na cały głos:

– Wąchałem już gorsze zapachy, madame.

Sophie zarumieniła się, a Eversley wzniósł oczy do sufitu.

– Dlatego nie chciałaś, żebym do ciebie podchodził?

– Sam mówiłeś, że doktor polał mnie ginem i miodem – broniła się.

– Chodziło mi o te szalone metody, nie o twój smród!

Mary otworzyła szeroko usta.

Sophie też by to pewnie zrobiła, gdyby nie była tak wściekła. Zamiast tego obrzuciła go rozzłoszczonym spojrzeniem.

– Mój smród? – powtórzyła.

Zakołysał się na piętach nieco zbity z tropu.

– Nie chodziło mi...

Miała tego dosyć.

– Ze wszystkich niegodnych dżentelmena rzeczy, jakie do tej pory do mnie powiedziałeś, milordzie, a było ich wiele, ta jest chyba najgorsza.

Chciał coś odpowiedzieć, ale się zreflektował. I bardzo dobrze, bo doktor wybrał właśnie ten moment, żeby oderwać bandaż. Sophie zawyła z bólu.

– Zabolą ją – warknął Eversley.

– Zauważyłem – odparł medyk, nie odrywając się od pracy. – Nie ma śladu infekcji.

Sophie ogarnęła ulga.

– To znaczy, że przeżyję?

Spojrzał jej prosto w oczy.

– Dzisiejszy dzień na pewno.

– Chryste Panie – mruknął Eversley. – Potrafisz pan pocieszyć jak nikt inny.

Lekarz odwrócił się do niego.

– Mówię prawdę. Brak gorączki i infekcji w dzień po urazie to dobry znak. Ale medycyna to bardziej sztuka niż nauka. Ona wciąż jeszcze może umrzeć.

Spojrzał na Sophie.

– Wciąż grozi pani śmierć.

– Och – szepnęła tylko w odpowiedzi.

Wyjął z torby kolejną porcję ziół i położył na nocnym stoliku.

– Nie wiedziałem, czy warto je przynosić. Ale teraz mam więcej nadziei.

Pewnie chciał jej w ten sposób dodać pewności siebie, ale nie do końca mu się udało.

– Proszę dalej pić zioła, po tej mieszance nie będzie już pani tak długo spała, i dbać o czystość rany. Koniecznie smarować ją miodem. Po każdej kąpieli – zwrócił się do Eversleya.

– Mogę się kąpać? – ucieszyła się.

– Oczywiście. Najlepiej codziennie, w czystej, gorącej wodzie. I proszę mnie natychmiast wezwać, jeśli poczuje się pani gorzej albo rana zacznie zmieniać wygląd.

– A kiedy będziemy mogli stąd wyjechać? – spytała.

Wszyscy spojrzeli na nią ze zdumieniem.

– Macie państwo wolną wolę, pani Matthew – odparł lekarz. – Ale wolałbym mieć panią na oku co najmniej przez tydzień.

– Cały tydzień – jęknęła. Planowała być już wtedy na północy i zacząć nowe życie.

– Nie podoba się pani nasze miasteczko?

Spojrzała na Eversleya. On też śpieszył się na północ.

– Tydzień to długo – odparła. – Mój mąż ma ważne sprawy w Cumbrii – wyjaśniła, ignorując jego ostrzegawcze spojrzenie.

– No to jedźcie. – Lekarz wzruszył szczupłymi ramionami.

– Ruszymy stąd dopiero, jak będzie zdrowa – uciął Eversley. – Po czym poznamy, że już nie ma zagrożenia?

Lekarz zaczął zbierać swoje rzeczy.

– Po tym, że rana się zagoi, a dama nie umrze – odparł.

Eversley wyglądał, jakby chciał go udusić.

Sophie się uśmiechnęła.

– Dzięki, doktorze.

– Mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze, zanim pani wyjedzie. Do widzenia, panie Matthew. – Skinął głową Eversleyowi i wyszedł.

Eversley skrzywił się.

– Dlaczego nazywają nas Matthew?

– Od imienia mojego lokaja – wyjaśniła, z trudem kryjąc ziewnięcie.

– Chciałaś powiedzieć, mojego lokaja.

Machnęła ręką.

– Nieważne. Musiałam się jakoś przedstawić w dyliżansie.

– A ja powiedziałem, że jesteśmy małżeństwem.

– To było głupie.

– Owszem, szczególnie teraz, kiedy wiem, że nasze nazwisko odziedziczyliśmy po lokaju.

– Ale po dobrym lokaju – ziewnęła, wyczerpana.

– Koszmarnym – poprawił i pomógł jej ułożyć się na poduszkach. – Gdyby był dobry, oświadczyłby, że nie rozmawia z damami i zająłby się pracą. Kiedyś go znajdę i wpakuję mu kulę w ramię, bo bez jego pomocy byłabyś nietknięta.

Czyżby się o mnie martwił?

– Jestem nietknięta – odpowiedziała cicho. – Choć, jak słyszałam, przydałaby mi się kąpiel.

– Chryste – mruknął. – Nie chciałem powiedzieć, że śmierdzisz.

Zamknęła oczy, wzdychając.

– Uważaj, milordzie, bo teraz możesz się z tego wyplątać tylko na dwa sposoby. Albo mnie obrazisz, albo skłamiesz.

Była coraz bardziej senna. Jak przez mgłę usłyszała pytanie:

– Po co jedziesz na północ? Co tam masz?

– Księgarnię... Mossband... bułeczki z cynamonem... Robbiego. – Słowa same popłynęły jej z ust.

– Robbiego?

– Hm? – Ciężko jej szła ta rozmowa.

– Kto to jest Robbie?

Napłynęło wspomnienie, zamglone i miłe: blond włosy i rumiane policzki. Przyjaciel. Jedyny prawdziwy przyjaciel. Kiedyś obiecał jej, że wezmą ślub. Uśmiechnęła się. Miło byłoby pobrać się z przyjacielem. Może ją nawet pokocha. Miło byłoby być kochaną. Może się pobiorą. Może będą szczęśliwi. W końcu jej to wszystko obiecał.

– Pobierzemy się – powtórzyła głośno, pod baczny spojrzeniem markiza Eversley.

## 8. Notatki brudasa: *Pobudka... kąpiel... zakochanie?*

Zapadła noc. King pozwolił jej pospać kilka godzin, zanim zadzwonił po wannę i zimną wodę, a potem, gdy zaczęła się budzić, po gorącą. Czekał, aż Sophie się przebudzi, obserwował w blasku świecy jej twarz.

Ciekaw był, czy ojciec jeszcze żyje. List Agnes był nagły. Być może King był już księciem Lyne. Być może stracił szansę, by po raz ostatni zemścić się na tym, który go tak okrutnie potraktował. Zniszczył jego marzenia o rodzinie. Szczęściu. Miłości.

Przypomniało mu się, jak ojciec zaprowadził go do zamkowego labiryntu i nauczył go, jak się stamtąd wydostać. Przy okazji opowiedział mu historię o Tezeuszu i Minotaurze.

– A kim my jesteśmy? – chciał wiedzieć King.

– Tezeuszem, oczywiście! Jesteśmy wielkimi bohaterami – zaśmiał się książę.

King aż się skrzywił.

Bohaterowie. Wierutna bzdura.

Pochylił się nad Sophie. Marnował czas na dziewczynę, która okazała się największą skandalistką ze wszystkich. Londyńska socjeta okrzyknęła ją prostytutką i nudziarą. Zaśmiał się pod nosem. Szkoda, że nie mogli jej widzieć teraz, z raną po kuli w ramieniu, pod przybranym nazwiskiem, śpiącą spokojnie w karczmie w jakiejś zapadłej mieścinie. Nie, Sophie Talbot w żadnym razie nie była nudna.

Planowała wyjść za mąż.

Dlaczego, do licha, nie powiedziała mu tego na samym początku?

Znał kobiety, które wychodzą za mąż z miłości. Sam był obiektem takiego uczucia.

Kim był wybranek Sophie? Jeśli planowała uciec z Londynu i miała konkretne plany na przyszłość u boku tego całego Robbiego, dlaczego nic o tym nie wspomniała?

Zresztą i tak nic go to nie obchodziło.

Usiadł obok niej na łóżku. Tłumacząc sam sobie, że musi sprawdzić, czy Sophie ma gorączkę, położył dłoń na jej chłodnym czole. Zanim zdążył się powstrzymać, pogłodził kciukiem zmarszczkę bólu między jej brwiami. Rozpogodziła się pod jego dotykiem. Dumny z siebie, dotknął jej policzka. Skarcił się w myśli, bo i tak miał dość kłopotów i nie powinien się tak nią przejmować. Ale nie odsunął ręki.

– Sophie – powiedział cicho, tłumacząc sobie w myśli, że przecież musi ją obudzić na tę kąpiel i że wcale nie ma ochoty zobaczyć, jak ona otwiera te swoje ciemnobłękitne oczy.

Westchnęła, ale się nie obudziła.

– Sophie – powtórzył, nie dbając o to, że podoba mu się dźwięk jej imienia, że nie powinien jej głaskać, myśleć o miękkości jej skóry, o cieniu, jaki rzęsy rzucały na policzki, o różowych wargach...

Zabrał rękę jak oparzony i skoczył na równe nogi.

Dość tego.

Prosiła o kąpiel, więc ją przygotował. Na tym koniec. Będzie trzymał swoje ręce i myśl na wodzy.

– Sophie – powiedział głośniej.

Otworzyła oczy w jednej chwili, patrząc wprost na niego.

– Kąpiel gotowa.

Podciągnęła kołdrę pod szyję.

– Przynieśli wannę, gdy spałam?

– Owszem.

Zniżyła głos do szeptu.

– Ktoś mnie widział?

Uśmiechnął się.

– Czy to ważne?

– Oczywiście!

– Nie widzieli. Zasłoniłem łóżko parawanem.

– Dziękuję. – Skinęła głową.

– Ale ja cię widziałem – powiedział, by jej dokuczyć. – To ci nie przeszkadza?

– Ty się nie liczysz – odpowiedziała.

Nie spodobało mu się to.

– Słucham?

– Ty mnie nie lubisz.

– Nie lubię?

Potrząsnęła głową.

– Nieraz mi to powiedziałaś.

Usiadła z trudem, krzywiąc się.

– Ale na szczęście postanowiłeś zrobić coś z najbardziej kłopotliwym powodem swojej niechęci.

– Lubię cię i to bardzo.

– Akurat wierzę.

Bardzo ją lubił, kiedy nie zachowywała się tak irytująco, jak teraz. Zmienił temat.

– Znalazłem też podomkę.

Spojrzała na prostą, szarą sukienkę wiszącą na parawanie.

– Możesz zawołać Mary?

– Po co?

– Będę potrzebować pomocy.

– Sam ci pomogę.

Potrząsnęła głową.

– Nie mogę się kąpać z tobą, milordzie.

Na pewno nie próbowała go uwodzić. Dobry Boże, była ubrudzona kurzem, krwią, ginem i Bóg jeden wie, czym jeszcze. Ale jak wiadomo, do kąpieli trzeba było się rozebrać. Na samą myśl o jej nagości ogarnęło go napięcie i podniecenie.

Przecież ona ma niedługo wyjść za mąż.

– Pomogę ci – mruknął szorstko.

Potrząsnęła głową.

– Nic z tego.

– Dlaczego nie?

Spojrzała na niego jak na głupka.

– Bo jesteś mężczyzną.

– Myślałem, że się nie liczę.

Przewróciła oczyma.

– W tym przypadku się liczysz.

Powinien jej posłuchać, pójść po Mary i zostawić je obie w spokoju.



– Mary nie ma.

– A gdzie jest?

– W pokoju, który dla niej wynająłem, na twoją prośbę.

– Należało ci się, za to, że bez mojego pozwolenia ogłosiłeś nas małżeństwem.

– Miałem czekać, aż odzyskasz przytomność?

– Trzeba było powiedzieć prawdę.

– Naprawdę? Myślisz, że to by poprawiło twoją sytuację?

Westchnęła. Zrozumiał, że wygrał.

– Jest środek nocy, a Mary ma dwójkę małych dzieci pod opieką – stwierdził rzeczowo. – Jeśli chcesz

się wykapać, musisz zgodzić się na moją pomoc.

Wydęła wargi, ale z tęsknotą spojrzała na parującą wodę.

– Ale nie wolno ci podglądać.

– Nie zamierzam. – Nigdy w życiu nie powiedział tak oczywistego kłamstwa.

O dziwo, uwierzyła. Skinęła głową, odsunęła kołdrę i wstała. Z trudem powstrzymał się, by nie pomóc jej przejść przez pokój.

– Jak się czujesz? – zapytał gardłowo. Odchrząknął.

– Jak postrzelona. Ni mniej, ni więcej.

Uniósł brew.

– Bardzo zabawne.

Uśmiechnęła się.

– Boli mnie ramię i czuję się, jakbym spała od tygodnia.

Podszedł do kominka, obok którego stała wanna i zawiesił czajnik na haczyku.

– Jak się wykąpiesz, zrobię ci herbaty – obiecał. – Mamy też coś do jedzenia.

Od razu zaburczało jej w brzuchu. Zaczerwieniła się, więc się uśmiechnęła.

– Rozumiem, że jesteś głodna.

– Na to wygląda – odpowiedziała.

– Zjesz po kąpieli. Potem herbata i znowu do łóżka.

Spojrzała mu w oczy.

– Jesteś bardzo władczy.

– To jeden z moich talentów.

– Nic dziwnego, że nazywają cię King.

– Imię to przeznaczenie.

Nie odpowiadając, podeszła do wysokiej, miedzianej wanny.

– Dziękuję.

– Nie ma za co – odparł i wrócił na swoje miejsce pod ścianą.

Zanurzyła długie palce w ciepłej wodzie i westchnęła z zadowolenia. Długie, kobiece westchnienie czystej rozkoszy. Cudowne.

King zeszywniał. Nie interesowały go przyjemności tej damy.

Szkoda tylko, że jego ciało miało na ten temat inne zdanie.

– Nie kąpiesz się? – spytał, widząc, że Sophie stoi przy wannie i czeka.

Uniosła brwi.

– Jak tylko się odwrócisz.

Wcale nie miał na to ochoty.

– A jeśli będziesz potrzebować pomocy w wannie?

– Nie będę.

– Kto wie – upierał się, mrużąc oczy.

– Wtedy będziesz o parę kroków obok, gotów, by mnie uratować, pomimo wszystko.

Skrzywił się i usłuchał. Obserwowanie, jak Sophie się rozbiera byłoby czystym masochizmem. Rzeczywiście, lepiej było się odwrócić.

Niestety, okazało się to okrutną torturą.

Przekonał się o tym natychmiast, w chwili, gdy zaczęła zdejmować odzież. Słyszał szelest tkaniny na skórze, przyspieszony oddech, gdy starała się nie urazić rany, cichutki, niemal niesłyszalny okrzyk bólu, gdy jej się to nie udało.

– Pomóc ci? – spytał nienaturalnie gardłowym głosem.

Zamilkła na moment, a potem cicho zaprzeczyła.

Odchrząknął.

– Uważaj na ramię.

– Uważałam.

Chryste Panie, powiedziała to w czasie przeszłym. To znaczy, że już miała gołe ramiona.

W tym momencie usłyszał ostateczny dowód – szelest sukni zsuwanej z bioder. Zacisnął pięści i oparł się o ścianę, puszczając wodze wyobraźni.

Potem usłyszał szuranie stołeczka, cichy odgłos jej stóp, gdy się na niego wspinała i plusk wody, a potem westchnienie pełne rozkoszy.

To była najgorsza noc w jego życiu.

Musiał przywołać całą siłę woli, by się nie odwrócić. Nie podejść do niej. Nie zaparzeć się w jej ciało, poróżwiać w kąpieli. Pod jego wzrokiem.

Chryste.

Wcale jej przecież nie pragnął.

I w dodatku miała wyjść za męża.

Za jakiegoś prostaka imieniem Robbie.

Gdzie ona go poznała, do diabła? Jakim cudem zaplanowała małżeństwo z kimś w Cumbrii? Wsadził rękę do kieszeni. Nie jego sprawa.

Była nudna, przyzwoita i nieciekawa.

Co za kłamstwo.

Wtedy zaczęła się myć. O mało nie krzyczał z frustracji, słysząc plusk wody wokół jej ciała, wyobrażając sobie jej ramiona i nogi wystające z wanny, a potem ruch myjki po delikatnej, bladej skórze. Odchyliła głowę, zlewając wodą szyję i pierś. Myjka nacierała skórę wolno, zmysłowo, rozkosznie – nad wodą, a potem pod nią, po wszystkich krągłościach i zagłębieniach, coraz niżej, aż zniknęła, i było widać tylko te ręce, te długie palce, szukające wilgoci innego rodzaju...

– Dlaczego nazywają cię King?

O mało nie wyskoczył ze skóry na te słowa.

– Tak mam na imię.

Woda chlupnęła

– Rodzice nazwali cię Królem?

– Nie. Mam na imię Kingscote.

– Aha. – Umilkła na chwilę. – Ekstrawaganckie.

– Moja rodzina szczydzi się ekstrawagancją.

– Kiedyś byłam w ogrodach zamkowych w Lyne.

Nie miał ochoty wspominać rodzinnego domu. Nie odpowiedział, ale i tak mówiła dalej.

– Był tam labirynt. Zgubiłyśmy się tam z siostrami na pół dnia, ale ja w końcu znalazłam jego serce i przesiadziałam tam ze dwie godziny, czytając książkę. Nie znaleźli mnie.

– Jest uważany za jeden z najtrudniejszych labiryntów w Wielkiej Brytanii – powiedział. – Jestem pod

wrażeniem, że znalazłaś drogę. Ile miałaś lat?

– Siedem, a może osiem. To magiczne miejsce. Pewnie je uwielbiałeś w dzieciństwie.

Labirynt był tam od wielu pokoleń, pielęgnowany troskliwie, ale rzadko używany. King wędrował po nim wieczorami niezliczoną ilość razy, bez trudu chowając się tam przed nauczycielami i guwernantkami. Tylko ojciec potrafił go tam znaleźć.

Odchrząknął.

– To było moje najbardziej ulubione miejsce w całej posiadłości.

– Nietrudno sobie wyobrazić.

W jej głosie brzmiał podziw. Wbrew swej woli zobaczył ją tam oczyma wyobraźni, przy marmurowej rzeźbie gniewnego Minotaura. Pomyślał sobie, że gdyby ją tam teraz odnalazł, nie miałaby czasu na czytanie.

Nic z tego.

Pożegna się z nią raz na zawsze, gdy tylko dojdzie do siebie.

– Często bywasz w domu?

– Nie – wycedził.

– Aha... A kiedy byłeś tam ostatni raz?

– Piętnaście lat temu.

– Aha – powiedziała jeszcze ciszej, z wyraźnym zaskoczeniem. – Dlaczego więc jedziesz tam teraz?

– Ty chyba naprawdę nie czytujesz brukowców.

– Matkę bardzo to denerwuje. – W jej głosie słyhać było uśmiech. Miał ochotę sprawdzić, czy rzeczywiście się uśmiechnęła. – Nie podoba mi się, co wypisują o moich siostrach.

– Jesteś bardzo lojalna.

Odwróciła wzrok.

– Nie powinnam się tym przejmować. Moje siostry uwielbiają „plotki o Talbotkach”. Ciągłe rywalizują, która będzie największą skandalistką.

– I kto wygrywa?

Woda plusnęła. Widocznie Sophie zmieniła pozycję w wannie.

– Aktualnie Seline. Ta zaręczona z Markiem Landrym. Znasz go?

– Owszem.

– Kilka tygodni temu „Skandale” doniosły, że pan Landry uczył Seline jazdy konnej na wspaniałej karej klaczy, a potem jej podarował tego konia. Na wieść o tym mój ojciec zaczął nalegać na ich ślub.

– Z powodu hojnego prezentu?

– Z powodu tego, że klacz nazywa się Godiva. Co sugeruje, że uczył Seline jeździć nago, w prywatnej stajni w swoim majątku.

– To brzmi jak wierutna bzdura.

– To brzmi jak coś bardzo niewygodnego. – W jej głosie brzmiało rozbawienie.

Roześmiał się.

– Nietrudno się domyślić, że Seline była zachwycona tą historią. Pan Landry także.

– Jak wiadomo, Landry kocha ostentację.

– Dlatego tak świetnie do siebie pasują z moją siostrą – odparła. – Pewnie kupowałeś od niego konie.

– Owszem. Chodzimy też do tego samego klubu.

– Trudno uwierzyć, że Landry jest mile widziany u White’a. Co chwilę mówi coś nieprzyzwoitego.

– Nie chodzi o White’a. Bywamy w tej samej szulerni.

– Och – odparła cicho. – Nie znam się na szulerniach.

– Podobałoby ci się tam – odparł. – Wszyscy plotkują, skandalizują, a czasem do siebie strzelają.

Zaśmiała się.

– Na pewno by mnie tam nie zaprosili. Jak już ustaliliśmy, dociera do mnie za mało plotek. Wracając

do początkowego pytania: po co wracasz do domu?

Beztraska atmosfera nagle się rozwiała.

– Mój ojciec umiera.

Znieruchomiała w kąpielni. W pokoju zapadła głucha cisza.

– Przykro mi – powiedziała w końcu Sophie.

– A mnie nie – odparł szczerze. Dlaczego tak łatwo było powiedzieć jej prawdę?

Zamilkła na dłuższy czas.

– Nie jest ci przykro?

– Wcale. Mój ojciec to łajdak.

– I mimo wszystko wracasz do domu?

Nie miał pojęcia, dlaczego jej odpowiedział.

– Bo mnie wezwał. A ja mam mu coś do powiedzenia.

Znowu zamilkła. W końcu powiedziała cicho:

– Skończyłam.

Dzięki Bogu.

Nie odwrócił się, gdy wstawała, ani nawet, gdy woda plusnęła, a ona z powrotem usiadła w wannie z cichym jękiem. Ani kiedy sytuacja się powtórzyła. Zapytał tylko:

– Czy coś się dzieje?

– Nie – odpowiedziała.

Zaryzykował spojrzenie przez ramię.

To był błąd.

Nad krawędzią głębokiej wanny zobaczył tylko jej głowę, ale wystarczyło spojrzeć na policzki, by domyślić się, że jest cała różowa, czysta i doskonała.

– Nie patrz! – zawołała.

– O co chodzi?

– Ja... – zawahała się – ...nie dam rady wyjść.

– Dlaczego nie?

– Jest za ślisko – odparła ponuro. – A ja nie mogę podeprzeć się ręką.

Oczywiście. Świat sprzysiągł się przeciwko niemu.

Odwrócił się, ściągając surdut.

– Nie odwracaj się! – krzyknęła, zanurzając się w wodę.

Nie dbając o jej słowa, podszedł do niej. Podwinął rękawy.

Wprowadził intymne części ciała rękami, ale efekt był wręcz przeciwny. W dodatku jeden kosmyk długich włosów opadł jej na ramię i kusił, by go odsunąć. I nakryć to miejsce swoimi wargami.

Czyste szaleństwo.

Wbił wzrok w jej twarz – byle tylko nie stracić opanowania.

– Muszę cię przecież podnieść.

Otworzyła szeroko oczy.

– Ale ja jestem...

– Doskonale sobie zdaję sprawę z twojej sytuacji, milady.

Nazwał ją oficjalnym tytułem, żeby trochę ochłonić, bo inaczej dołączyłby do niej w tej kąpielni.

– Zamknij oczy – zażądała.

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo nie zamierzam cię upuścić.

Zanim zaprotestowała, pochylił się i wyciągnął ją z wanny, ociekającą wodą, która zmoczyła mu koszulę, spodnie i polała się na podłogę.

Pisnęła, kiedy ją podnosił i rzeczywiście zamknęła oczy, instynktownie chwytając go za ramiona, pewnie po to, by odzyskać równowagę. Niestety, to był błąd, bo odsłoniła w ten sposób resztę ciała.

Miękkiego i różowego.

Już nie mógł patrzeć jej w twarz.

Sophie w końcu otworzyła oczy i spostrzegła, co się dzieje. Różowa skóra przybrała odcień szkarłatu.

– Postaw mnie!

Posłuchał, odsuwając się, jakby parzyła, a ona natychmiast owinęła się ręcznikiem.

– Powiedziałeś, że nie będziesz podglądać!

– Skądże. Powiedziałem tylko, że nie zamierzam.

Odsunęła się jak najdalej, siadając po przeciwnej stronie łóżka. To był kolejny błąd, bo wspomnienie jej różowego ciała w połączeniu z łóżkiem nie do końca ostudziło jego zapały.

Ale oczywiście trzymał się w ryzach.

Do diabła, przecież nie pragnął lady Sophie Talbot.

Szczerze mówiąc, pragnął. Ale nie chciał tego.

– To jest łapanie za słówka.

Czyżby powiedział to na głos? Nie, chodziło jej o podglądanie.

– Madame – powiedział z wielką powagą. – Żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie dotrzymałby takiej obietnicy.

Ciaśniej owinęła się ręcznikiem.

– Chyba że byłby dżentelmenem.

Zaśmiał się chrapliwie.

– Zapewniam cię, że nie. Nawet najpobożniejszy ksiądz by nie wytrzymał.

Zacisnęła wargi w cienką linię.

– Jesteś mokry. Lepiej idź się przebrać w coś suchego.

Odesłała go. Ta wyniosła panienka, goła jak ją Pan Bóg stworzył.

Ktoś bardziej pokorny pewnie by usłuchał. On też powinien. Powinien zostawić ją samą, żeby się ubrała i schowała pod kołdrę. Dać się nacieszyć czystością. Przynieść jej coś do jedzenia. Zadbąć o siebie.

Dżentelmen pewnie by tak zrobił.

Tylko że on nie był dżentelmenem.

– Zaraz się wysuszę – zgodził się, radując się w duchu jej miną. Przytaknęła, a w niebieskich oczach błysnęła radość ze zwycięstwa.

Do chwili, gdy nie rozpiął koszuli i nie ściągnął jej przez głowę.

– Co ty wyprawiasz? – niemal krzyknęła.

– Przebieram się w suche rzeczy.

– Może wygodniej byłoby ci iść do swojego pokoju?

– To jest mój pokój – odparł, wskazując swój niewielki kuferek stojący pod ścianą.

Szeroko otworzyła oczy.

– Mieszkamy w tym samym pokoju?

– Jeszcze gorzej – dokuczył jej. – Tu jest tylko jedno łóżko.

Zgromiła go wzrokiem.

– Nie zrobiłeś tego.

– Nie zrobiłem – zgodził się. – Twój zapach mnie zniechęcił.

Skłamał. Tak się o nią martwił, że nawet oka nie zmrużył. Ale nie musiała o tym wiedzieć. Zamiast tego zaczął rozpinać spodnie, zadowolony, że skupiła wzrok na tym, co robił.

– Sophie, damy nie podglądają.

Natychmiast przeniosła spojrzenie na jego twarz. Policzki zapłonęły jej czerwienią. Gdyby nie był tak

zirytowany, miałby z tego niezłą zabawę.

– Teraz ty powinnaś się odwrócić.

Nie zrobiła tego. Pomyślał, że jest twardsza, niż na to wygląda. A on myślał, że to prosta, nieciekawa dziewczyna. Zmrużyła oczy.

– Nic z tego, ty arogancki draniu. To moja sypialnia, a ty pozwalasz sobie tutaj na bezczelne, nicpońskie wyskoki.

– Nie ma takiego słowa jak „nicpońskie”.

Nie zawahała się ani chwili.

– Gdyby ci, co wymyślają słowa, zawarli z tobą znajomość, to by było. Jestem tego pewna. Razem z określeniem „niezabawne”, które wpisaliby do słownika na moją cześć.

Zamilkła i wyprostowała się na całą wysokość.

– Radzę, żebyś znalazł sobie inny pokój, milordzie. Nie jesteś tu mile widziany.

Do twarzy jej było z tym gniewem. Stała przed nim, mokra i ranna, ale gotowa do boju.

Pragnął jej.

Ale to było zbyt niebezpieczne. Dla nich obojga.

Miał jej tylko pomóc dojść do zdrowia. I na tym koniec.

Podszedł do kominka i nalał jej herbaty, pozwalając, by w pokoju zapadło milczenie. Podszedł do niej. Nie odsunęła się. Tkwiła tam wyprostowana, zaciskając zbielałe pięści na ciasno owijającym ją ręczniku.

Ominął ją, odstawił parujący kubek i wziął słoik z miodem. Jego naga pierś niemal się o nią otarła.

Musiał użyć całej siły woli, żeby jej nie dotknąć.

Nawet nie drgnęła, choć pewnie serce tłukło jej się w piersi tak samo, jak jemu. Uniosła podbródek. W jej oczach lśniła nieufność, irytacja i coś jeszcze... czego wolał nie nazywać.

– Siadaj – polecił szorstko.

Spojrzała z ukosa na łóżko.

– Po co?

– Bo poprzysiągłem, że nie umrzesz pod moją opieką i zamierzam dotrzymać słowa.

Popatrzył na jej ramię. Na szczęście ani śladu zakażenia. Szalony lekarz albo miał szczęście, albo jednak wiedział swoje.

– Sama sobie poradzę, milordzie.

– Siadaj.

Usłuchała, poprawiając ręcznik. Zapadła cisza. Oboje patrzyli na jego palce, wcierające miód w okolice blizny. Skóra na jej ramieniu była gładza nawet od balsamu. Zużył go prawie całkiem, ale nie potrafił oderwać się od swego zajęcia. Żeby oprzytomnieć, poszukał bezpieczniejszego tematu.

– Kto to jest Robbie?

Milczała przez chwilę.

– Robbie?

Słowo honoru, nie miał ochoty rozmawiać o tym człowieku. Nie teraz, gdy Sophie siedziała obok, naga po kąpieli i pachnąca czystością i letnim wiatrem.

– Robbie. Twój narzeczony.

W jej oczach pojawiła się niepewność, ale zniknęła tak szybko, że nie był tego pewny.

– Ach, Robbie. Znamy się od dziecka – odparła zdawkowo.

– Kto to jest? – nalegał.

– Piekarz w Mossband.

Piekarz. Pewnie kulawy i szczerbaty.

– A ty będziesz prowadzić księgarnię.

Balsam się skończył. Powinien się od niej odsunąć.

Skinęła głową.

– Właśnie.

Życie w sam raz dla niej. Żona piekarza i właścicielka księgarni.

Wyobraził ją sobie wśród książek, rozczochraną i trochę zakurzoną. Za bardzo spodobał mu się ten obraz.

Spojrzał na swoją dłoń, lśniąca od miodu. Ona też.

– Idź umyć ręce.

Powinien. Tuż obok była pełna wanna, a jeszcze bliżej umywalnia z czystą wodą. Zamiast tego podniósł dłoń do ust i zlizął miód z palców, patrząc jej prosto w oczy.

Nie odwróciła wzroku, choć jej źrenice się rozszerzyły.

Wtedy zrozumiał. Gdyby zapragnął ją pocałować, nie próbowałaby mu przeszkodzić. A potem nic by go już nie powstrzymało.

Feralna Siostra.

– Tam jest sukienka – powiedział.

– Słucham?

– Sukienka – powtórzył. Wstał i rzucił ją na łóżko. – I buty. Koniecznie załóż buty.

Po chwili już go nie było w pokoju.

## 9. Odnaleziona w Sprotbrough?

**P**od Czyżykiem w porze śniadania panował zadziwiający tłok. Sophie sama się o tym przekonała w trzy dni później, gdy zeszła na dół, odziana w prostą szarą suknię, którą markiz Eversley dał jej, zanim zniknął.

Od sławetnej kąpieli nie widziała go ani razu. Gdyby go nie znała, pomyślałaby, że zostawił ją wreszcie i pojechał na północ, do ojca. Ale Mary i lekarz, który co rano odwiedzał swoją pacjentkę, twierdzili, że pozostał w miasteczku, choć wyraźnie nie interesowała go poprawa zdrowia Sophie.

I bardzo dobrze.

Starła się zignorować rozczarowanie, jakie budziła w niej ta myśl. Czuła się lepiej i ciągle była głodna.

Gdy weszła do pubu, zobaczyła go pod oknem. Jadł śniadanie.

Nie zwrócił na nią uwagi, więc ona też ominęła go wzrokiem. Przecież wcale nie byli przyjaciółmi. Ledwie znajomymi.

Ale uratował mi życie.

Na tę myśl wyprostowała się gwałtownie. Wyraźnie go to nie obchodziło, więc czemu ona ma się przejmować.

Pragnęłaś jego pocałunku.

Odepchnęła tę zdradziecką myśl. Była wtedy zmęczona kąpielą i wdzięczna za pomoc. Teraz już doszła do siebie.

Ignorując go w dalszym ciągu, podeszła do właściciela, pulchnego człowieczka, który tkwił za kontuarem.

– Przepraszam, potrzebuję posłańca, który zawiezie wiadomość do Londynu.

Mruknął coś niechętnie.

Nie zniechęciło jej to.

– Szczodrze zapłacę.

Miała pieniądze, bo Mary oddała jej wczoraj pełną sakiewkę. Na szczęście John, wierny swym nawykom, zgarnął ją z siedzenia, gdy tylko powóz się zatrzymał. Gdyby nie to, znowu byłaby bez grosza. Właściwie, to nie były jej pieniądze...

Z poczuciem winy spojrzała w stronę Kinga. Otworzył gazetę i spokojnie czytał, jakby jej nie było w sali. Zirytowana, postanowiła oddać mu wszystko co do grosza. Pochyliła się do barmana.

– Naprawdę dobrze zapłacę. Panu i posłańcowi.

Nie patrząc na nią, odpowiedział:

– Dwa funciaki.

Zamrugnęła.

– To ogromne pieniądze.

Wzruszył ramieniem.



– Taka jest cena.

Odczekała chwilę i dodała:

– Będę też potrzebować miejsce w dyliżansie na północ.

– Jasne – mruknął.

– Gratis – dodała.

Spojrzał, nie rozumiejąc.

– Za darmo.

Skinął głową.

– Dobra.

No cóż. Przynajmniej tyle wytargowała. Położyła na barze pieniądze i zapieczętowaną kopertę.

– Za tę cenę spodziewam się, że jutro dotrze do adresata.

Wyglądał na urażonego.

– Oczywiście.

– Kiedy będzie następny dyliżans?

– Jutro.

Świetnie. W takim razie, nie ma powodu, dla którego nie miałyby się nim zabrać.

– Poproszę miejsce.

Mężczyzna sięgnął pod kontuar i położył na blacie bilet. Wsunęła go do kieszeni i zaczęła się zastanawiać, co dalej.

– Mam trzy pytania – rozległ się przy jej uchu cichy głos, przenikając ją dreszczem.

Zmusiła się, by się o niego nie oprzeć. Nawet się nie obejrzała.

– Och. Dzień dobry, milordzie.

– Dzień dobry.

– Postanowiłeś jednak zwrócić na mnie uwagę.

– Milady, gdybym nie zwracał na ciebie uwagi, pewnie bym nie tkwił tyle czasu w Sprotbrough.

Zacisnęła wargi. Rzeczywiście była dla niego tylko ciężarem.

– Co chcesz wiedzieć?

– Za co płaciłaś barmanowi?

Przeszła obok niego w stronę kredensu, żeby wziąć sobie herbatę i suchara. Dobrze, że nie chodziło mu znowu o Robbiego, który nie wiedzieć czemu ostatnio awansował do roli jej narzeczonego. Będzie musiała powiedzieć Kingowi prawdę. Z drugiej strony, niech mu się nie wydaje, że nikt jej nie pragnie.

Odwróciła się z powrotem. Czekał, gotów poprowadzić ją pod rękę do swojego stołu.

– No więc? – przypomniał. – Za co mu płaciłaś?

– Dlaczego pytasz?

– Ciekaw jestem, jak to mąż.

Powoli sączyła herbatę.

– Na szczęście dla nas obojga nie możesz mieszać się w moje sprawy, milordzie.

– Nie? – spytał beztrąsko, rozsiadając się w krześle. – Czyimi pieniędzmi mu zapłaciłaś?

Jej policzki oblało gorąco.

– Czy to twoje drugie pytanie?

– Tak, ale nazwijmy je retorycznym. Rozumiem, że bohaterski złodziejaszek oddał ci sakiewkę z moimi pieniędzmi?

Przełknęła ślinę i położyła torebkę na stole.

– Wydałam parę funtów – szepnęła. – Zwrócę ci je.

Nawet nie dotknął woreczka.

– Jakim cudem? Masz tylko moje pieniądze.

Pochyliła się ku niemu.

– Wysłałam do ojca list, w którym opisałam, co się stało, i poprosiłam o pieniądze.

Też się pochylił.

– Myślisz, że ojciec sam nie zaczął cię szukać?

– Nie rozumiem, dlaczego miałyby to robić.

Ciemne brwi powędrowały do góry.

– Nie rozumiesz?

Potrząsnęła głową.

– Jestem inna niż moje siostry.

– Co to ma znaczyć?

Gdyby go nie znała, pomyślałaby, że się zdenerwował.

– Jedynie to, że jestem mniej interesująca niż one. Wszystkie dobrze powychodzą za mąż i będą miały piękne, bogate dzieci, które będą się wspinać po trejżach w różnych pałacach jak ozdobne pnącza.

Wyjrzała przez okno. Para wołów ciągnęła solidny wóz. Po drugiej stronie jacyś ludzie zaprzęgali konie do furgonu.

– Ja nie umiem się wspinać.

Przyglądał jej się w milczeniu przez dłuższą chwilę, aż poczuła się zobowiązana, by wyjaśnić.

– Rozumiesz? Mówiłam ci, że nie chcę cię złapać na męża.

– O ile dobrze pamiętam, powiedziałaś, że nie wyszłabyś za mnie, gdybym był ostatnim mężczyzną na całym bożym świecie.

– Obawiam się, że to brutalna prawda.

– Chętnie spytałbym czemu, ale twoja szczerłość mogłaby mnie zranić. – Po chwili dodał: – Założymy się?

– O co?

– Że ojciec już cię szuka.

Uśmiechnęła się.

– Na pewno nie. Matthew widział, jak wsiałam do twojego powozu. Ojciec wie, że nic mi nie jest.

King uniósł brew.

– Pewnie podejrzewa, że zrujnowałem twoją reputację.

Pokręciła głową.

– O to się nie bój. To rozsądny człowiek i zrozumie, kiedy mu wszystko wyjaśnię. Nie zostaniesz zmuszony do małżeństwa.

– W ogóle się tym nie przejmuję.

Zastanowiła się.

– Pewnie nie musisz. Nieraz już byłeś w takiej sytuacji i uniknąłeś małżeństwa.

– Nigdy się nie ożenię i w nosie mam rozgniewanych tatusiów.

– Dlaczego nie? – Nie mogła się powstrzymać, ale kiedy jego twarz natychmiast pociemniała, pożałowała tego pytania. – Nieważne. Nie powinnam pytać.

Po chwili milczenia powiedział:

– Ojciec już cię szuka, milady. Tak brzmi zakład.

Pomyślała, że to świetnie. Nawet jeśli zaczął poszukiwania, jutro dostanie list i je odwoła. Nic nie szkodzi. Uśmiechnęła się, ciesząc się całą sytuacją.

– Na pewno mnie nie szuka. O co się zakładamy?

– A co byś chciała?

– Księgarnię. Na głównej ulicy Mossband.

– Doskonale. A jeśli ja wygram, wybiorę, co zechcę.

Ściągnęła brwi.

– Trochę drogo.

– Drożej niż ufundowanie księgarni?

Przechyliła głowę na bok.

– Pewnie nie. Dobrze, zgadzam się.

Uśmiechnął się chytrze i ukradł jej kawałek sucharka.

– Powiem wprost: jesteś głupia, jeśli uważasz, że twój ojciec nie wynajął co najmniej dwóch tuzinów ludzi, żeby przeczesał pół Anglii i sprowadził cię do domu.

– Właśnie jadę do domu.

– Do domu w Londynie.

– Właśnie o to chodzi. Londyn nie jest moim domem.

– Tylko Mossband?

– Właśnie.

Tak musi być. To jedyna szansa.

– Nawet nie pamiętasz tej miejsciny.

– Doskonale pamiętam – zirytowała się. – Pamiętam rynek, piekarza, kupca bławatnego i pocztę konną.

I maik, przybrany wstążkami, długie letnie popołudnia i zachody słońca nad rzeką. Pamiętam, że było tam lepiej, piękniej i... – przez chwilę szukała właściwego słowa – uczciwiej niż w Londynie.

– Bardzo romantycznie. Mówisz to o miasteczku czy o swoim narzeczonym?

Zmrużyła oczy, zła, że nie wiadomo po co się z niej wyśmiewa. Jakby chciał jej udowodnić, że nie wie, co robi.

Jakby działała pochopnie.

Jakby miała jakiś wybór. Londyn przecież nie przyjmie jej z powrotem. Zresztą, nigdy jej tam nie akceptowano. Miała nadzieję, że w Mossband będzie mile widziana.

– I o jednym, i o drugim. Biją na głowę i Londyn, i ciebie.

King dopił herbatę.

– Jak na damę, która korzysta z tutejszych wygód dzięki mojej szczodrobliwości, niezbyt dwornie zachowujesz się w mojej obecności.

Odpowiedziała sztucznym uśmiechem.

– Przykro mi, milordzie. Nie jestem taka, jak inne twoje wybranki.

– W żadnym wypadku – odparł, biorąc z powrotem gazetę.

Był okropny. Prychnęła z irytacji.

– Jakie jest trzecie?

– Co trzecie? – zdziwił się.

– Pytanie. Mówiłeś, że masz trzy.

– Owszem.

– Słucham?

– Co właściwie zrobiłaś księciu Haven?

Ojej.

– A skąd ty... – zaczęła, ale przerwała, bo samo pytanie stanowiło już potwierdzenie jej zachowania. – Sama ci powiedziałam.

Pokręcił głową.

– Nie. Powiedziałaś mi tylko, że go zwyzywałaś przy wszystkich.

– Owszem.

Rzucił gazetę na te okropne sucharki.

– Ale co zrobiłaś przedtem, Sophie?

Spojrzała na gazetę. Tytuł krzyczał: „Feralna Siostrzyczka wykąpała księcia!”.

A więc to nie była gazeta sprzed tygodnia.

– Prasa dziwnie szybko dociera do Sprotbrough.

– Kto by pomyślał, że to taka metropolia – stwierdził.

– Niepotrzebnie dali wykrzyknik – mruknęła.

– Napisz list z pretensją do redakcji. Co mu zrobiłaś?

Oddała mu gazetę.

– Tam na pewno wszystko jest napisane.

– Podobno o mało co go nie utopiłaś. Podejrzewają, że chciałaś go zabić.

Przewróciła oczyma.

– Na litość boską. Wylądował na tyłku, a woda miała ze dwie stopy głębokości.

King wybuchnął serdecznym śmiechem, zdumiewająco szczerym i otwartym. Jaka szkoda, że tak rzadko się śmieje.

– Ty go popchnęłaś? – zapytał w końcu.

– Zasłużył sobie na to.

– Nie wątpię. Co za nadęty dupek. Co ci zrobił?

– Nie mnie – wyjaśniła. – Gdyby to o mnie chodziło, dałabym mu spokój.

Wpatrywał się w nią bacznie.

– Więc komu?

– Romansował w oranżerii – odpowiedziała.

– Co dalej?

– Ale to nie była moja siostra.

– Aha – powiedział tylko. Nie osądzał jej, ale chyba nie zrozumiał, o co chodzi.

– Też uważasz, że nie zasłużył sobie na to.

– Tego nie powiedziałem.

– Ale też nie zaprzeczyłeś.

Kiedy nie odpowiedział, zirytowała się na dobre.

– Wy wszyscy chyba jesteście członkami jakiegoś sekretnego klubu.

– My wszyscy? – spytał tylko.

– Wy, uwodziciele, którzy rozbijacie cudze małżeństwa.

– Powiedziałem ci, że nie tykam mężatek.

– Tylko narzeczone.

– To różnica.

Za każdym razem, kiedy zaczynał jej się wydawać w miarę przyzwoitym człowiekiem, przypominał jej sam, że jest inaczej. Rzuciła w niego gazetę.

– Owszem. Różnica. – Zamilkła na moment, a potem dodała: – Lady Elizabeth, córka markiza Twillery.

– Imię brzmi znajomo.

– Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej. Zrujnowałeś jej planowane małżeństwo z earlem Exeter.

– Ano, tak. Zaczynam sobie coś przypominać – odparł, poprawiając się na krześle.

– Wyszła za maszalerza swojego ojca.

– I o ile wiem, są bardzo szczęśliwi.

– Nie miała wyboru, kiedy zerwałeś jej zaręczyny.

– Miłość zwyciężyła. Czy to nie najważniejsze? – odpowiedział z niezmaconym spokojem.

– Oczywiście, możesz sobie żartować do woli. – Nachmurzyła się. – Jesteś przecież mężczyzną.

– A co to ma do rzeczy?

– Twoja reputacja tylko zyskuje na takich przygodach. A reputacja biednej lady Elizabeth została zrujnowana na zawsze.

– Sama lady Elizabeth może mieć inne zdanie na ten temat. – Znowu spojrział na gazetę z artykułem o jej sprzeczce z Havenem. – Natomiast ty, jak widać, zrujnowałaś się sama.

– Świadkowie tej sceny nie byli zachwyceni.

– Można sobie to wyobrazić. Teraz wiemy już wszystko.

Spojrzała na niego, zdziwiona.

– Co takiego wiemy?

– Przed czym uciekasz.

– Wcale nie uciekam. Zresztą, to nie twoje zmartwienie. Kupiłam bilet na jutrzejszy dyliżans. Chętnie pozbędę się twojego towarzystwa i jestem pewna, że ty też masz mnie dosyć.

– Nigdzie nie pojedziesz dyliżansem – powiedział po prostu, jakby go pytała o pozwolenie. Rzuciła mu spojrzenie z ukosa.

– Zachowujesz się tak, jakbyś miał nade mną władzę. Nie zamierzam cię słuchać.

Ledwie skończyła mówić, ktoś otworzył drzwi od ulicy. Eversley rzucił okiem na przybyszów. Przyglądał im się tak długo, że i ona miała ochotę się odwrócić.

Zamiast tego pochyliła się ku niemu.

– A może ty naprawdę jesteś królem? – zadrwiła.

– Pewnie myślisz, że żarty z mojego imienia są zabawne?

– Owszem – odparła ze złośliwym uśmiechem.

– Nie gryź ręki, która cię karmi – ostrzegł.

– Uważasz mnie za psa?

– Skądże – odparł. – Posłuszeństwo nie leży w twojej naturze.

Miała zamiar powiedzieć mu dokładnie, które z nich bardziej przypomina psa, gdy ujął ją za rękę z miłym uśmiechem.

Serce zabiło jej mocniej.

Ale jego palce przytrzymały ją z żelazną siłą. Powiedział na cały głos, tak, żeby go wszyscy słyszeli:

– Wygrałem, kochanie.

Zmarszczyła brwi.

Co takiego wygrał? I dlaczego tak się do niej zwraca? Pochyliła się ku niemu.

– Oszalałeś?

Uśmiechnął się tajemniczo, jakby znali się od wielu lat i dzielili wspólne sekrety. Podniósł jej dłoń do ust i ucałował wszystkie palce po kolei.

Serce jej biło jak młotem. Co się z nim stało?

– Przepraszam, że przeszkadzam.

Z początku nie usłyszała tych słów, była zbyt zafascynowana tym dziwnym, uwodzicielskim mężczyzną siedzącym naprzeciwko niej. Ale Eversley był czujny za nich oboje. Nie odwracając od niej oczu, zapytał:

– O co chodzi?

– Szukamy zaginionej kobiety.

Przyszli po nią.

Mocny, spokojny uścisk Eversleya nie zelżał i tylko dzięki niemu nie krzyknęła ze zdziwienia. W jego oczach malowało się pytanie. Dał jej szansę, by się ujawniła.

Spojrzała na dwóch okrytych kurzem jeźdźców, których wcześniej nie zauważyła.

– Kto zaginał? – spytała, chwytając się dłoni Eversleya jak koła ratunkowego w czas sztormu. – To straszne!

Może to nie o mnie chodzi.

Ledwie to pomyślała, jeden z mężczyzn odpowiedział:

– Lady Sophie Talbot.

Znaleźli ją. Wszystkie jej plany spełzną na niczym. Eversley miał rację. Ojciec posłał ludzi na jej poszukiwanie. Zawiozą ją z powrotem do Londynu, na łono rodziny. Będą jej dokuczać, doprowadzą ją

do porządku i znowu zaczął wprowadzać w towarzystwo. Ależ to będzie wstyd.

Na zawsze zostanie niezabawną Sophie, jedną z Feralnych Sióstr.

Jeszcze kilka dni temu pogodziłaby się z losem, ale teraz wiedziała, że ma alternatywę. Wolność. Mossband. Może nawet małżeństwo z Robbiem, jeśli jest jeszcze kawalerem. Może czekał na nią przez te wszystkie lata. Może tęsknił.

A może nie.

Zawsze jeszcze był Eversley.

Rzuciła mu przelotne spojrzenie. Z kim będzie toczyć słowne potyczki, jeśli odjedzie z tymi ludźmi? Czy jeszcze go kiedyś zobaczy?

Ojciec zawsze ją uczył, że trzeba umieć przegrywać. Ograniczyć straty. Nie palić za sobą mostów. Przyznać się do klęski, wrócić i następnym razem wygrać.

Milczała, zbierając się na odwagę. Nie każ mi wracać – powtarzała w myśli jak litanię.

Mężczyzna odezwał się znowu.

– Podobno podróżuje z markizem Eversley.

Skąd wiedzieli?

Matthew.

Pewnie przyszedł do rezydencji ze swoim listem polecającym i ojciec natychmiast go dokładnie przepytął.

– Tak? – spytał spokojnie Eversley, jakby go to nie dotyczyło. – Uciekli, żeby się pobrać?

– Zrobimy wszystko, żeby do tego nie dopuścić – odparł mężczyzna. Pochylił się i zapytał: – Jak się państwo nazywacie? Jeśli wolno spytać?

Palce Eversleya mocniej zacisnęły się na jej dłoni. Błagała go w myślach, by skłamał. By ją obronił, choć wiedziała, że to przecież nie jego problem. Ciągle jej to przecież powtarzał.

– Matthew – odparł ze spokojem. – Państwo Matthew. Niedawno wzięliśmy ślub – dodał z uśmiechem.

Mężczyzna przyglądał im się do chwili, gdy Sophie czule przykryła swobodną dłonią ich splecione ręce i uśmiechnęła się serdecznie. Znowu postanowił ją uratować. Nie wiedziała, dlaczego to zrobił, ale chyba zaczynała go lubić.

Eversley wstał od stołu w chwili, gdy nowo przybyły ruszył w stronę baru. Wiedział, że nie do końca przekonali go tą bajeczką o zakochanych po uszy nowożeńcach. Pewnie będzie próbował kupić informacje od właściciela. Co gorsza, Sophie właśnie zapłaciła za wysłanie wiadomości do Londynu. Zaklął pod nosem i nie puszczając dłoni Sophie, pomógł jej wstać od stołu. Szepnął do niej:

– Nie są nas pewni. Udawaj zakochaną.

– W jaki sposób? – zapytała, mrugając.

Była niewinna jak dziecko.

– Wyobrażaj sobie, że jestem Robbiem – odpowiedział.

W jej oczach błysnęło zdziwienie i wtedy odgadł prawdę. Wcale nie kochała tego piekarczyka.

Zresztą, wcale go to nie obchodziło.

Wyprowadził ją z sali. Na chwilę zatrzymali się u podnóża schodów. Wiedział, że mają niewiele czasu.

– Jak twoje ramię? – spytał, choć powinien to zrobić wcześniej. Wprawdzie codziennie pytał Mary i lekarza o nowiny, ale nie widział się z Sophie od trzech dni.

Zaskoczyło ją to pytanie.

– Wszystko w porządku, dziękuję. Jest trochę sztywne, ale bez śladów zapalenia.

Skinął głową.

– To świetnie.

– Wiedziałaś, że tu są – szepnęła. – Dlatego się ze mną założyłaś.

Nie wiedział, ale nie sprostował tego.

– Nie powinnaś się ze mną w ogóle zakładać!

– Bo jesteś nicpoń?

– Bo nigdy nie przegrywam.

Ktoś odsunął stołek od kontuaru. Rozległy się kroki.

King przycisną ją do siebie, obejmując w talii. Pisnęła z zaskoczenia. Nie miał czasu, by ją ostrzec.

Zdążył tylko powiedzieć:

– Teraz odbiorę wygraną. Zachowuj się naturalnie, pani Matthew. – I przycisnął wargi do jej ust.

Na moment zamarła, zaciskając usta w ciekłą kreskę. Próbowwała go odepchnąć, w gardle wezbrał okrzyk protestu.

Położył dłoń z tyłu jej szyi i pomasaował, aż się rozluźniła, wzdychając z zadowolenia.

Nie zamierzał zatracać się w tym pocałunku.

Chciał go tylko zamarkować, by przekonać pościg, że naprawdę są małżeństwem. Ale to westchnienie wszystko zmieniło.

Musnął ją wargami jeszcze raz i przycisnął do siebie. Uwielbiał się całować. Zachwycała go intymność tego uroczego wstępu do dalszych karesów.

Sophie rozchyliła usta. Chyba nie wiedziała, co mu daje, ale wziął to z rozkoszą. Skubał dolną wargę zębami, pieścił językiem. Poczował na nim smak olejku bergamotki z herbaty i coś jeszcze słodsze – o wiele lepszego, niż sobie wyobrażał.

Znowu westchnęła, więc przycisnął ją mocniej, zachwycony jej zaskoczeniem.

Chryste, ależ to było wspaniałe.

Sama zaczęła go pieścić językiem. Była świetną uczennicą.

Tylko że pocałunek zaczął wymykać się spod kontroli. Przerwał go, bojąc się, że namiętność poniesie ich oboje.

Sophie wciąż miała zamknięte oczy i palce zaplątane w jego włosach. Nie sposób było się od niej oderwać.

Musnął wargami jej policzek, podbródek i szyję. Pocałował ją delikatnie, a potem mocniej, aż lekko krzyknęła. Zamruczał gardłowo do wtóru.

Objęła go mocniej i wyszeptała jego imię. Nie tytuł markiza, ale imię, z którego tak często żartowała:

– King.

Zachwyciło go to. Uśmiechnął się prosto w jej szyję.

– Jak mnie nazwałaś?

– Nie wyobrażaj sobie za wiele.

– Teraz jest już za późno.

Wyobraził sobie mnóstwo rzeczy i na wszystkie miał wielką ochotę. Wsunął dłoń pod jej okrągłe pośladki, uniósł udo i przycisnął mocniej do siebie.

Sapnęła ze zdziwienia, ale nie odsunęła się. Wręcz przeciwnie, przytuliła się mocniej z niskim, uwodzicielskim pomrukiem.

Jej zachwyt z nawiązką wynagradzał brak doświadczenia. King najchętniej zamknąłby się z nią w pokoju na górze na jakiś tydzień, by ją wtajemniczyć w to i owo, słuchając jej jęków, szeptów i pomruków.

Tylko że za ścianą był człowiek wysłany na jej poszukiwanie. To nie było właściwie miejsce ani czas na takie doświadczenia. Jakby przywołany jego myślami pojawił się właśnie na progu i bez skrupowania zaczął się na nich gapić.

King zasłonił ją przed jego wzrokiem.

– Szukasz pan kłopotów – warknął na przybysza, który odwrócił się dopiero po dłuższej chwili. Zrobił krok w jego stronę. – Nie zrozumiałeś, co powiedziałem?

– Zrozumiałem. Tylko że pana żona bardzo przypomina lady Sophie.

– Moja żona to pani Louis Matthew. Chyba powiedziałem to wystarczająco wyraźnie. A pańska obecność coraz bardziej mnie irytuje.

Mężczyzna jeszcze raz obrzucił Sophie badawczym spojrzeniem. W końcu uchylił kapelusza.

– Bardzo przepraszam, pani Matthew.

– Nie szkodzi – odparła cicho.

– Lepiej nie róbcie tego w publicznych miejscach – mruknął tamten do Kinga, budząc tym jego furję.

– Dzięki za radę – odpowiedział lodowato, powstrzymując się z całej siły, by go nie uderzyć.

Kiedy tylko mężczyzna wrócił do wspólnej sali, King złapał Sophie za rękę i pociągnął ją na schody, a potem do ich pokoju.

– Zorientował się.

– Dlaczego nie powiedziałeś mu prawdy?

– Bo i tak by w nią nie uwierzył.

– Dziękuję. Zresztą, wystarczy przeciągnąć tę grę tylko jeden dzień. Do przyjazdu dyliżansu.

Spojrzał w sufit.

– Do diabła, nigdzie nie pojedziesz dyliżansem. Szczególnie teraz.

– Dlaczego nie? Przecież nie będą mnie tam szukać.

Pewnie miała rację, ale miał dość jej beztróskiego zachowania.

– Bo za często do ciebie strzelają w dyliżansach.

– To nie zdarzyło się w dyliżansie.

– I kto tu kogo łapie za słówka? Zawiozę cię do Mossband. I oddam prosto w omączone ramiona twojego piekarza. – Musiał to powiedzieć, szczególnie teraz, gdy wiedział, że okłamywała go od początku.

– Bardzo sprytnie.

– Owszem, znany jestem z tego.

Założyłby się o wszystkie pieniądze, że nie było żadnego piekarza. Sophie po prostu uciekała i mogła liczyć tylko na niego. Tak jak tamta dziewczyna, wiele lat temu.

Do diabła, przynajmniej jej nie zawiedzie.

Rozległo się krótkie stukanie do drzwi i do pokoju weszli Mary z Johnem i Bess.

– Ktoś na dole pyta o zaginioną dziewczynę – powiedziała bez ceregieli.

– Tak, widzieliśmy się z nim.

– Mówi, że dziewczyna nazywa się Sophie. I pochodzi ze szlachty.

Sophie przyglądała jej się bez słowa.

Mary popatrzyła na Kinga.

– I że podróżuje z arystokratą.

Nic nie odpowiedział.

– Nam się zdaje, że to wy – dodał John.

– Powiedzieliście mu o tym? – odezwał się w końcu King.

– Nie – odparł chłopiec. – Umiemy dotrzymywać tajemnic.

– Dzięki – odparła Sophie.

– Dlaczego cię ścigają?

Sophie uśmiechnęła się, a King z trudem powstrzymał się, by nie wziąć jej w ramiona.

– Bo chcę żyć inaczej niż oni.

– Dobrze to rozumiemy – odparła Mary, przytulając do siebie Bess.



Chryste. Nimi też będę się musiał zaopiekować. Przecież ich tak nie zostawię. Mary jest młoda, a ta dwójka złodziejasków to przecież dzieci.

– Musicie jechać. I to bez zwłoki – ponagliła Mary.

Podał jej parę monet z sakiewki.

– Pojedziecie za nami. Moim powozem.

Uniosła brwi.

– A czemu to?

Zrozumiał, że powoduje nią duma i że nie przyjmie jałmużny.

– My weźmiemy inny powóz. Wy zmylicie trop, jadąc naszym na północ, do Szkocji.

– Żeby wziąć ślub! – odezwała się Bess po raz pierwszy.

Sophie spojrzała na nią.

– Co ty wiesz o ślubach?

– Właściwie nic – odparła mała szczerze. – Ale po to się jeździ do Szkocji.

– Szczerze mówiąc, oni chyba myślą to samo, co ty – zwrócił się King do dziewczynki.

– A to prawda? – spytała Mary.

– Nie! – wykrzyknęła Sophie bez wahania.

– Tylko nie zrób jej, panie, krzywdy, bo cię znajdę i wypatroszę.

Zamrugął, zadowolony, że dziewczyna nie wie wszystkiego, bo wyraźnie mówiła serio. Być może nawet znała się na takiej robocie. Nigdy nie wiadomo.

– Nie zrobię – obiecał z powagą.

Mary skinęła głową.

– Co mamy robić?

– Zostańcie tutaj. Spróbujcie zmylić trop, by dać nam jak najwięcej czasu. Jeśli chcecie, zostańcie tu parę dni. – Dołożył jeszcze kilka monet z sakiewki. – Za to możecie tu mieszkać parę tygodni. Jak będziecie gotowi, mój stangret zawiezie was do mojej rezydencji.

Mary straciła pewność siebie.

– Chcieliśmy dostać się do Yorkshire. Jest tam takie jedno bezpieczne miejsce.

Pokręcił głową.

– W Cumbrii też będziecie bezpieczni. Albo w Walii. Ty i dzieci. Będziecie pod opieką księcia Lyne.

– Ale numer! – wykrzyknął John.

– Księcia? – zdziwiła się Mary.

Pewnie niedługo nim zostanę. I z całych sił będę starał się opiekować bezbronnymi. Może w końcu mi się to uda.

– Dziękuję – odezwała się Sophie.

– Podziękujesz, jak będzie już po wszystkim – odparł, popychając ją lekko w stronę szafy. – Ubieraj się. Wyjdiesz stąd tak samo, jak przybyłaś.

– Nieprzytomna i z kulą w ramieniu? – spytał John.

King podał Sophie poplamioną liberię.

– Nie. W przebraniu lokaja.

## 10. Chinina: lek na chorobę lokomocyjną

W niespełną godzinę Sophie z Kingiem byli już w drodze, a Mary z Johnem robili wszystko, by odwrócić uwagę pościgu. Sophie obserwowała to ze swego miejsca z tyłu wynajętego powozu, zadowolona, że ma doświadczenie w jeździe na stopniu.

Gdy tylko odjechali wystarczająco daleko, powóz zatrzymał się, a ona wsiadła do środka. King zastukał w dach i znowu ruszyli.

– Jedziemy bez postojów do samej Cumbrii, będziemy tylko zmieniać konie – stwierdził. – Podczas przerw nie będziesz wysiadać z powozu. Jeśli podejrzewają, że jesteś ze mną, i tak skierowali się już do zamku.

Pokręciła głową.

– Jutro ojciec dostanie mój list, w którym napisałam mu o Mossband i moich planach. Nie będzie cię już więcej niepokoił.

King uniósł brwi.

– Podejrzewam, że będzie chciał mojej głowy. Szczególnie gdy się dowie, że cię postrzelili, gdy byłaś pod moją opieką.

– Bzdura. Nie było cię wtedy ze mną.

– A powinienem – odpowiedział, rozsiadając się wygodnie. Zanim zdążyła się zastanowić nad sensem jego słów, zapytał: – Zabrałaś ze sobą te zioła?

– Tak.

– A miód i bandaże?

– Nie jestem dzieckiem, milordzie. Rozumiem, co to są najpotrzebniejsze rzeczy.

Wyjrzał przez okno, a ona starała się nie myśleć o tym, co zaszło tego dnia.

Ale nie wytrzymała.

– Znowu mnie uratowałeś.

– To nie był ratunek.

– Owszem, był. Wiesz, że nie chcę wracać do Londynu.

Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

– Kiedyś nauczę się zostawiać cię samej sobie. Ale jeszcze nie teraz.

Gdyby nie on, zabrano by ją przemocą do Londynu. Dał jej szansę zdobycia wolności. I pocałował ją. W ciemnym korytarzu gospody, gdy najemnicy jej ojca deptali im po piętach. Nie tak wyobrażała sobie swój pierwszy pocałunek.

Ale i tak było wspaniale.

Na nim to chyba nie zrobiło wrażenia, więc dlaczego ona była tak poruszona? Pocałował ją tylko dla zmylenia pogoni. Dla zachowania pozorów.

Dla niej nie był to pozorowany pocałunek. Nieważne. Lepiej do tego nie wracać. Spojrzała na niego ukradkiem.

Otworzył jedno oko.

– Wygodnie ci?

– Tak – odpowiedziała, udając, że stara się wygodnie ułożyć nogi na siedzeniu.

Obserwował ją przez chwilę, a potem znowu zamknął oczy.

Zakasłała.

Znów otworzył oczy, wyraźnie zirytowany.

– Przepraszam, milordzie – powiedziała ze słodyczą. – Przeszkadzam ci?

– Nie – uciał, wyraźnie chcąc zapaść w drzemkę.

W tym momencie powóz wziął ostry zakręt.

– Chryste Panie – mruknął King i przyłożył dłoń do czoła, zieleniejąc na twarzy.

– Niedobrze ci? – spytała, opuszczając nogi na podłogę. – Sesily, jedna z moich sióstr, też źle znosi podróż powozem.

– Która to?

Gdyby tak okropnie nie wyglądał, pewnie wyklócałaby się, że to przecież dość znane osoby i powinien je rozróżniać. Ale wyjaśniła tylko:

– Druga z kolei. – Żeby go zająć rozmową, dodała: – Ponieważ niezły z ciebie ladaco, na pewno słyszałeś, jak ją nazywają za plecami.

– Jak?

– Nie udawaj, że nie wiesz. Skoro ja to słyszałam, to ty pewnie też.

Rzucił jej spojrzenie z ukosa.

– Czy kiedykolwiek przyłapałaś mnie na kłamstwie?

– Nieważne – odparła, rumieniąc się.

– Mów, śmiało.

– Ale to nieładne przezwisko.

– W to nie wątpię, skoro używają go za plecami.

Popatrzyła na niego.

– Mówią na nią Sexily. Lady Sexily. Za plecami.

Przez chwilę nie odpowiadał. Nawet nie drgnął.

W końcu otworzył oczy i przeszył ją wściekłym spojrzeniem.

– Każdy, kto ją tak nazywa, jest piramidalnym osłem. A ten, kto używa tego przezwiska w twojej obecności, powinien dostać w twarz. Kto to był? – spytał, pochylając się ku niej.

– Nieważne – odpowiedziała, zaskoczona.

– Bardzo ważne, zapewniam cię – odpowiedział. – Powinni cię traktować z większym szacunkiem.

Szacunek. Jakie to odległe pojęcie. Odwróciła wzrok.

– Feralne Siostrzyczki nie zasługują na szacunek, milordzie. Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Zaklął w duchu.

– Przepraszam cię za wszystko, co mówiłem.

– Naprawdę?

– Chyba cię to aż tak nie dziwi.

– Moim siostrom takie traktowanie nie przeszkadza, więc osoby z towarzystwa w ogóle się nie przejmują.

– Ale ty się przejmujesz.

Wzruszyła ramionami.

– Jak już wcześniej ustaliliśmy, nie przywiązuję wagi do tego, co piszą w brukowcach.

Obserwował ją przez dłuższą chwilę, aż wreszcie powiedział:

– Przejmujesz się tym z innych powodów.

– To prawda – przyznała. – Przejmuję się, bo nas to degraduje. To są moje siostry. My też jesteśmy

ludźmi. Mamy uczucia. Mamy swoje życie. A świat jakoś tego nie zauważa. Nie dostrzega ich.

– Nie zauważa ciebie – sprostował.

Właśnie.

– Nie chcę, żeby mnie zauważano – skłamała. – Po prostu chcę być od tego wolna.

Pochłaniał ją wzrokiem.

– Ja cię zauważyłem, Sophie.

Potrząsnęła głową, zmieniając temat na bezpieczniejszy.

– Pomijając wszystko, Sesily bardzo źle znosi jazdę powozem.

Zacząła się rozglądać za czymś, w co King mógłby w razie potrzeby zwymiotować. Podała mu leżący na siedzeniu kapelusz.

– Jeśli będziesz chorować, możesz go użyć.

Otworzył oko.

– Chcesz, żebym zwymiotował do własnego kapelusza?

– Wiem, że to nie najlepszy wybór, ale jesteśmy w trudnej sytuacji.

Potrząsnęła głową.

– Nie będę wymiotował. Nie mam choroby lokomocyjnej. Ja... po prostu nie znoszę siedzieć wewnątrz powozu.

– Nie rozumiem.

– Źle się czuję w zamknięciu.

– Więc nie podróżujesz?

– Oczywiście, że podróżuję, jak zresztą widać.

– Ale długa jazda musi być dla ciebie trudna do zniesienia.

– Nie chcę być trudny – powiedział po chwili milczenia.

Zaśmiała się.

– Zdaje się, że jesteś trudny wyłącznie z powodu swojej awersji do powozów?

Uśmiechnął się słabo.

– Ostatnio bywam trudny głównie z powodu twojej obecności.

– Żartujesz sobie – zaśmiała się. – Ja jestem łatwa jak niedzielna modlitwa.

– Nie chodzę do kościoła.

– Czy w takim razie mam się pomodlić za twoją duszę?

– Strata czasu.

Milczeli długą chwilę. King był coraz bardziej niespokojny i napięty.

– Może wolałbyś usiąść na kozle obok stangreta? – spytała w końcu.

Pokręcił głową.

– Tu jest mi dobrze.

– Dlaczego właściwie ruszyłeś w dalszą drogę powozem, a nie dwukółką?

– Bo została rozmontowana i jest w drodze do zamku Lyne.

Otworzyła szeroko oczy.

– Dlaczego?

Chyba nie ze względu na nią. Miło było jechać w towarzystwie, ale on miał przecież swoje życie.

– Bo nie mam do niej porządných kół – wyjaśnił sucho.

Oczywiście.

– Przykro mi – szepnęła.

W jego zielonych oczach błysnęło zaskoczenie.

– Może to i prawda.

Skinęła głową.

– Dlaczego cię to tak zaskoczyło?

– Mało kto mnie przeprasza. A już prawie nikt nie robi tego bezinteresownie – odpowiedział po prostu.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc znowu zmieniła temat.

– Nigdy w życiu nie widziałam, żeby ktoś tak po wariacku powoził.

– To było po wariacku?

– W pewnym momencie jechałeś na jednym kole. Mogłeś się wywrócić.

– Już mi się to kiedyś zdarzyło. Przeżyłem.

Wyobraziła sobie, jak wypada z powozu na pobocze, połamany i okrwawiony. Zmarszczyła brwi.

– Mogłeś tego nie przeżyć.

– Ale przeżyłem.

Jego słowa zabrzmiały dziwnie ponuro. Szkoda, że miał zamknięte oczy, bo może odgadłaby coś z ich wyrazu.

– Naprawdę mogłeś się zabić.

– To jest część całej zabawy.

– Ryzyko śmierci to zabawa?

– Nie rozumiesz tego?

– Pomimo że parę dni temu o mało nie umarłam od postrzału, jakoś tego nie dostrzegam.

W końcu na nią spojrział, ale w jego oczach nie było wesołości.

– To nie to samo.

– Bo nie z własnej ręki?

– Wiele osób tak twierdzi.

Powóz podskoczył na wybojach. King zacisnął zęby.

– Boisz się śmierci? Teraz? Dlatego nie lubisz powozów?

Przez chwilę milczał.

– To bardzo mały powóz.

Powóz był zupełnie normalny.

– Dlaczego?

Jego spojrzenie pociemniało na wspomnienie czegoś strasznego. Z trudem się powstrzymała, by współczująco nie położyć mu ręki na ramieniu. Nie spodziewała się odpowiedzi. I jej nie dostała. Pokręcił tylko głową i stwierdził:

– Nie mam ochoty rozmawiać na ten temat.

– To o czym chcesz porozmawiać?

– Rozumiem, że sen nie wchodzi w grę?

– Wyglądasz, jakbyś za chwilę miał stąd wyskoczyć – odparła. – Prędzej ja zacznę latać, niż ty zaśniesz.

Spojrzał na nią, mrużąc oczy.

– Gdybyś była mężczyzną, w ogóle bym się do ciebie nie odzywał.

Co za uparciuch. Schyliła się i wyciągnęła z torby książkę. Otworzyła ją w nadziei, że będzie ciekawa.

Nachylił się do niej. Poczwała jego zapach. Nie знаła tych perfum, ale były bardzo przyjemne.

Odchrząknęła i spojrziała na stronę tytułową. *Popularny i praktyczny traktat o murarstwie i kamieniarstwie*. Wielki Boże. Nic ciekawego.

Czy naprawdę cały świat sprzysiągł się przeciwko niej?

Mimo wszystko zaczęła lekturę.

– Skąd wzięłaś tę książkę?

Drgnęła, zaskoczona dźwiękiem jego słów. Zarumieniła się, ale nie podniosła wzroku.

– Myślałam, że nie chcesz rozmawiać.

– Bo nie chcę. Ale jestem ciekawy.

– Była w szufladzie szafki nocnej.

Zdecydowanym ruchem przewróciła stronę, jakby chciała go wyrzucić z myśli tym ruchem.

Nie udało jej się.

Naturalnie, prawie wszystko na świecie jest ciekawsze od traktatu o murarstwie i kamieniarstwie.

Zacięła zęby i walczyła dalej.

Milczenie przedłużało się, pojazd toczył się na północ, a Sophie czytała i czytała. Mozolnie, powoli, odrywając się od lektury po każdym szarpnięciu pojazdu, które sprawiało, że dotykała Kinga swoim ciałem.

W końcu jej determinacja została nagrodzona. King odezwał się pierwszy.

– Ciekawe? – spytał.

– Bardzo – odparła. – Nie wiedziałam, że murarstwo jest takie fascynujące.

– Naprawdę? – odparł sucho. – No cóż, nie powinno mnie dziwić takie stwierdzenie z ust niezabawnej panny Talbot.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie, zauważyła uśmiezek na jego twarzy i stwierdziła, że skoro on nie chce być miłym towarzyszem podróży, ona też nie będzie się na to silić.

– To bardzo kształcąca pozycja, milordzie. Dużo się można nauczyć.

Uśmiezek pogłębił się.

– Owszem, niektóre pozycje bywają dość kształcące.

Zignorowała jego słowa i by go ukarać, zaczęła czytać na głos:

– „Jest to pierwsze i jedyne dzieło w Anglii traktujące o sztuce kamieniarskiej, od dawna pożądane przez szeroką publiczność”.

Przysunął się bliżej, by spojrzeć na okładkę.

– Niewątpliwie Peter Nicholson, czyli szanowny autor, był o tym głęboko przekonany.

Zignorowała rozkoszny dreszcz, który przeszył ją, gdy dłoń Kinga musnęła jej rękę i ponownie otworzyła książkę.

– Myślę, że miał rację. Kilka obszernych rozdziałów opisuje podstawowe i szczegółowe zasady geometrii niezbędne w pracy każdego dobrego kamieniarza. Fascynujące, prawda? Czy wiedziałeś, że „przygotowując kamienie do budowy ścian, wystarczy tylko ociosać je tak, by każdy z ośmiu kątów bryłowych zawierał się w trzech kątach prostych?”.

Uśmiezek zmienił się w grymas, więc ucieszyła się, że udało jej się znaleźć tylko tę książkę. Była z siebie coraz bardziej zadowolona.

– Posłuchaj, co on pisze o druidach i ich kamiennych budowlach.

– Nie mam ochoty. Ani słowa więcej o murarstwie.

Zamknęła książkę i spojrzała na niego, udając niezadowolenie.

– Trudno. Na jaki temat wolałbyś w takim razie porozmawiać?

W jego zielonych oczach błysnęło zrozumienie, potem irytacja i na koniec odrobina szacunku.

– Ty przemyślna lisico.

– Słucham?

– Zrobiłaś to specjalnie.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

– Żeby mnie skłonić do wyboru tematu rozmowy.

Otworzyła oczy tak szeroko, że o mało nie wyszły jej z orbit.

– Naturalnie, jeśli masz ochotę to zrobić, milordzie... nie odważę się unikać rozmowy. Mam tylko nadzieję, że nie wybierzesz murarstwa.

Zaśmiał się cicho i oparł nogi na przeciwnym siedzeniu powozu. Spojrzał na ich nogi. Obok jego wysokich butów z cholewami ułożyły się jej nieduże szare buciki. Powinna ich nie lubić, bo były używane i nie na miarę, ale spodobały jej się, bo on je wybrał.

- Wygodne są? – zapytał.
- Całkiem, całkiem – odparła.
- Lekarz powinien obejrzeć też twoje stopy.
- Nic im nie jest.
- Powinnaś zabrać ze sobą lepsze buty.
- Nie planowałam takiej wyprawy.

Popatrzył na nią.

- To znaczy, że postanowiłaś pojechać do swego przyszłego męża pod wpływem kaprysu?

No, ładnie. Wcale nie miała ochoty rozmawiać na ten temat. Naprawdę nie zamierzała go okłamywać.

Ale teraz zabrnęła tak daleko, że byłoby jej głupio wyznać prawdę. Ta podróż zaczęła się bez żadnego celu; dopiero teraz okazało się, że jest poszukiwaniem wolności.

Ale markiz Eversley niełatwo pogodziłby się z myślą, że uratował ją przed bandytami podczas podróży dla takiego kaprysu. Więc skinęła głową i skłamała.

- Tak jest. Czasem, kiedy coś wpadnie do głowy, trzeba od razu za tym pójść.

Uniósł brew.

- A co zamierzasz dokładnie robić? Zalecać się do niego?

Spuściła wzrok i zaczęła bawić się kartkami trzymanej na kolanach książki.

- A może zaloty już są za nami? Skąd wiesz?

Założył nogę na nogę, muskając po drodze jej stopę.

- Bo nie jedziesz do Mossband w eleganckim powozie, w towarzystwie matki i sióstr.

Nie potrafiła powstrzymać rozbawienia.

- Co cię tak śmieszy?

– Pomyśl, że matka i siostry wyjechałyby z Londynu do takiej dziury jak Mossband, nawet gdyby tam miał się odbyć mój ślub. – Pokręciła głową. – Od wyjazdu dziesięć lat temu nie byliśmy tam ani razu.

Obserwował ją przez dłuższą chwilę.

- Nie widziałaś Robbiego od dziesięciu lat? – spytał w końcu.

- Nie – odparła, czując się jak w pułapce.

- To pewnie pisaliście do siebie całe tomy listów?

Żeby nie skłamać, pominęła pytanie milczeniem.

- Dlaczego nie chcesz wrócić do domu? – spytał dużo łagodniejszym tonem.

Mimo to nie mogła się zmusić, by powiedzieć mu prawdę.

- Jadę do domu.

- Mam na myśli Londyn i waszą wspaniałą rezydencję w Mayfair.

Potrząsnęła głową.

- To nie jest dom.

- A zapyziałe rolnicze miasteczko nim jest?

Przywołała na myśl prostych, uczciwych ludzi z Mossband. Swoje życie przed nadaniem tytułu hrabiowskiego. Życie, do którego można będzie powrócić. I w końcu powiedziała prawdę:

- Tylko tam czułam się wolna.

Do tej chwili.

- Co to znaczy?

Nie odpowiedziała.

Opuścił nogi na podłogę i usiadł naprzeciwko niej, żeby lepiej widzieć jej twarz.

- Spójrz na mnie, Sophie.

Jego oczy błyszczały w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

- Co to znaczy? – powtórzył.

Usiadła podobnie jak on i bawiła się okładką książki, nie wiedząc, od czego zacząć.

– Miałam dziesięć lat, kiedy ojciec otrzymał tytuł earla. Wpadł do domu i zawołał: „Witajcie, szlachetne damy!”. Śmiał się, aż huczało. Ależ to była zabawa! Matka płakała, siostry piszczały, a ja... – umilkła. – Ich radość była zaraźliwa. Wkrótce spakowaliśmy się i przenieśliśmy do Londynu. Pożegnałam się wtedy z moim życiem. Domem. Przyjaciółmi. Nawet z kotem.

Zmarszczył brwi.

– Nie pozwolili ci zabrać kota? – Potrząsnęła głową.

– Źle znosiła podróż.

– Tak samo jak twoja siostra?

– Strasznie wyła.

– Sesily?

Sophie roześmiała się z żartu.

– Szparaga. Wbijala pazury w oparcie siedzenia i wyła. Matka nie mogła tego znieść. Więc musiałam ją zostawić.

– Twój kot miał na imię Szparaga?

– Wiem, to głupie. Co ma piernik do wiatraka?

Znowu się uśmiechnął.

– Już drugi raz użyłaś tego powiedzonka.

Odpowiedziała uśmiechem.

– To przez ojca – odparła.

– Zawsze go lubiłem, wiesz?

Uniosła brwi.

– Naprawdę?

– Dziwi cię to?

– Jest prostakiem w porównaniu z resztą towarzystwa.

– Jest uczciwy w porównaniu z resztą towarzystwa. Kiedy go poznałem, od razu palnął wprost, że nie znosi mojego ojca.

Pokiwiała głową.

– Cały tatko.

– Mów dalej. Zostawiłaś więc Szparagę.

Znowu wyjrzała za okno.

– Prawie o niej zapomniałam przez te wszystkie lata. Była cała czarna. Miała białe łapki i nos. – Potrząsnęła głową, by przegnać wspomnienie. – Tak czy owak, wyjechaliśmy i nigdy nie wróciliśmy. Gdzieś tam w Walii jest większe miasto, ale nigdy tam nie jeździliśmy. Matce zależało na wejściu do prawdziwej arystokracji. Chciała piąć się w górę. Przysięgła nam, że za kilka lat idealnie dostosujemy się do całej śmietanki towarzyskiej. I rzeczywiście, siostrom się to udało. Zorientowały się, że dzięki urodzie będą ulubienicami brukowców. One doskonale potrafią się wspinać na szczyt. Tylko... – umilkła.

– Tylko? – podrzucił, żeby podjęła swoją opowieść.

– Tylko ja tego nie umiem. Nie pasuję. Nie jestem doskonale piękna. Nie ma we mnie nic wartościowego. Sam to powiedziałeś.

– Kiedy? – spytał z oburzeniem.

– Jestem ta brzydka. Ta nudna. Ta niezabawna.

Machnęła ręką. Wciąż miała na sobie tę liberię. Jeszcze niedawno powiedział jej wprost, że wygląda w niej grubo.

– Zdecydowanie nie jestem piękna.

Zaklął cicho i chciał zaprzeczyć, ale powstrzymała go gestem.

– Nie przepraszaj. To prawda. Nigdy nie czułam się tam na miejscu. Tylko w Mossband mnie lubiano. Ucieczka z Londynu dodała mi pewności siebie. A kiedy pojawił się pościg i pomogłeś mi umknąć,



poczułam się wolna jak nigdy. I ceniona. Przedtem nawet palcem byś nie kiwnął, żeby mi pomóc.

– To bzdura – stwierdził tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Czyżby? Na balu zostawiłeś mnie samą pod żywopłotem, z twoim butem w ręku – przypomniała.

– To nie to samo. Potraktowałem cię jak wartościową osobę.

– Nieprawda. Jak utytułowaną. A to różnica.

Otworzył usta, by się spierać, ale przerwała mu z irytacją.

– Nie oczekuję od ciebie zrozumienia, milordzie. Ty jesteś bezcenny. Przecież nawet na imię dali ci

King.

Na moment zapadła ciężka cisza.

– Aloysius – powiedział w końcu.

Zamrugła.

– Słucham?

– Aloysius Archibald Barnaby Kingscote. Markiz Eversley. Przyszły książe Lyne. Do usług – powiedział, podkreślając swoje słowa eleganckim gestem.

Żartował. Albo i nie.

– Nie – szepnęła, powtarzając w myślach te imiona. Zasłoniła ręką usta, rozpaczliwie starając się ukryć swoją reakcję, ale nie wytrzymała. Wybuchnęła śmiechem.

Uniósł brew i rozparł się na poduszkach.

– Jesteś jedyną osobą, która zna moje wszystkie imiona. Na wypadek gdybyś szukała powodów, śpieszę donieść, że nawet ja wiem, gdzie leży granica bombastycznej sztuczności.

– To jest takie... – wykrztusiła, nie mogąc przestać się śmiać.

– Okropne? Śmieszne? Absurdalne?

– Niepotrzebne – odpowiedziała, opuszczając rękę.

– To też.

Znowu zachichotała.

– Aloysius.

– Nie igraj z ogniem, milady.

– Nikt inny nie wie?

– Pewnie wiedzą. Przecież to jest napisane czarno na białym w almanachu Burke’a, ale nikt nie wspomina o tym w moim towarzystwie. Przynajmniej od czasów szkolnych, kiedy jasno dałem do zrozumienia, że nie chcę, by mnie tak nazywano.

– Koledzy tak po prostu się zgodzili na twoją prośbę?

– Popartą umiejętnościami bokserskimi.

Kiwnęła głową.

– Pewnie nie spodziewali się, że ktoś, kto ma na imię Aloysius, potrafi się bić.

Przybrał swój najbardziej arystokratyczny ton.

– W niektórych kręgach uważa się, że to królewskie imię.

– W których konkretnie?

Uśmiechnął się.

– Nie jestem pewny.

Odpowiedziała uśmiechem.

– W takiej sytuacji też bym wybrała imię King.

– Widzisz? Teraz powinno ci się mnie zrobić żal.

– Już mi jest żal! – odparła tak szybko, że oboje wybuchnęli śmiechem. Nagle uświadomiła sobie, że lubi jego śmiech. – Lepiej się czujesz – powiedziała, pochylając się ku niemu. Ruch powozu już nie przyprawiał go o mdłości.

Zaskoczyła go ta uwaga.

– Rzeczywiście. Jesteś bardzo miłą rozrywką.

Zarumieniła się i też pochyliła ku niemu. Powinna się cofnąć, ale nie chciała. Dotknął dłonią jej policzka. Byli tak blisko siebie... Jego oczy lśniły głęboką zielenią, wargi kusiły miękkością. Ciekawe, co by się stało, gdyby pochyliła się jeszcze bardziej. Nagle King szepnął:

– On nie ma pojęcia, że przyjedziesz, prawda?

Wyprostowała się, ale nie próbowała udawać, że nie rozumie.

– Dlaczego zadajesz mi te wszystkie pytania?

– Bo na nie odpowiadasz.

– Ja też bym ci chciała parę zadać.

Skinął głową.

– Dobrze, ale najpierw ty mi odpowiedz. Skąd ci przyszedł do głowy ten piekarz? Rozumiem księgarnię i potrzebę wolności, ale piekarz? Minęło dziesięć lat. Czemu akurat on?

Wyjrzała oknem, obserwując uprawne pola, owce i stogi siana. Wszystko tu było prostsze i swobodniejsze niż w Londynie. Otworzyła książkę i zaraz ją zamknęła. W końcu odpowiedziała.

– Był moim przyjacielem. Daliśmy sobie słowo.

– Jakie słowo?

– Że się pobierzemy.

– Dziesięć lat temu.

Co ja narobiłam? Dokąd właściwie jadę? Co wyniknie z tej szalonej przygody? Tych pytań nie mogła mu zadać. Nie chciała, by je usłyszał. Więc tylko spojrzała mu w oczy i powiedziała:

– Słowo pozostaje słowem.

Przyglądał się jej dłuższą chwilę, zanim mruknął:

– Wiesz, że to się źle skończy.

– Niekoniecznie. Mam nadzieję, że zakończenie będzie szczęśliwe.

Znieruchomiał. Wydało jej się, że się na nią rozgniewał. Rzeczywiście, kiedy się odezwał, w jego głosie dźwięczała pogarda:

– Naprawdę myślisz, że usycha z tęsknoty za córką earla, która wyjechała z miasteczka przed dziesięciu laty?

– To całkiem możliwe – warknęła. – Poza tym, nigdy tak naprawdę nie byłam córką earla. Właśnie o to chodzi. To mój przyjaciel. Byliśmy razem szczęśliwi.

– Szczęście – parsknął pogardliwie. – Nie masz pojęcia, co ze sobą zrobić, gdy odzyskałaś wolność, prawda?

Skrzywiła się.

– Nie obchodzi mnie, co myślisz.

– Założymy się?

– O to, że mnie nie obchodzisz? Bardzo chętnie.

Uśmiechał się krzywo.

– O to, że ty nie obchodzisz Robbiego.

Zmrużyła oczy, patrząc na jego pewną siebie minę.

– O co zakład?

– Jeśli tam dojedziemy i on cię zechce, wygrasz. Kupię ci tę księgarnię. W prezencie ślubnym.

– Ekstrawagancki prezent – powiedziała. – Ale przyjmuję. Tylko że chcę coś jeszcze do tego.

Uniósł brwi.

– Coś oprócz księgarni?

Przechyliła głowę.

– Uważaj, milordzie, bo pomyślę, że nie jesteś pewny wygranej.

– Nigdy nie przegrywam.

– W takim razie czemu nie zgodzisz się na dodatek?

– Mów śmiało.

– Jeśli wygram, powiesz o mnie coś miłego.

Ściągnął brwi.

– Co to ma znaczyć?

– Jedyne to, że przez cały tydzień wytykałeś mi wszystkie wady. Brak inteligencji, brak atrakcyjności, kiepską figurę, brzydotę. I że nie potrafię złapać męża.

– Nie mówiłem przecież...

Uniosła rękę.

– To mają być wyjątkowo przekonujące komplementy.

Zapadła cisza, w której wymruczał z wielką niechęcią:

– Umowa stoi.

– Wspaniale. Myślę, że będę na to czekać z większą niecierpliwością niż na oświadczyzny Robbiego.

Uniósł brew.

– Jak widać, ślub z piekarczykiem jest świetnym pomysłem. – Pochylił się i zniżył głos. – Sophie, pamiętaj tylko, że jeżeli dojedziemy i nic z tego nie wyjdzie...

Serce zabiło jej mocniej.

– To co wtedy?

– Wtedy wygram. I będziesz musiała powiedzieć o mnie coś miłego.

Zanim znalazła odpowiedź, powóz zaczął zwalniać, a stangret wydał przenikliwy okrzyk. Znieruchomiała. Strach przyćmił jej triumf. Rzuciła mu niespokojne spojrzenie.

– Bandyci?

– Nie. – Dotknął jej kostki. – Dojechaliśmy do następnej gospody.

Ramię ją bolało, więc ucieszyła się z postoju.

– Zanocujemy?

Pokręcił głową.

– Zmienimy tylko konie i pojedziemy dalej. Musimy się oddalić od twoich prześladowców.

Z tymi słowy otworzył drzwi i zniknął w złocistym blasku popołudniowego słońca.

## 11. Sophie i Eversley: porwanie czy uwiedzenie?

Dzięki Bogu, że akurat wtedy wypadł postój. Jeszcze kwadrans, a King nie ręczyłby za siebie. Niech go Pan zachowa przed podróżami w towarzystwie niemożliwych, niesamowitych kobiet, które doprowadzają go do szału. Jak miał się powstrzymać przed pocałunkiem? Przed porwaniem jej w objęcia? Za każdym razem, gdy otwierała usta, pragnął jej coraz bardziej.

Do tego jeszcze powiedziała, że jest bezwartościowa. Powiedziała, że dopiero teraz, gdy uciekła z Londynu, czuje się wolna. Czuje, że żyje.

Tak jakby musiała to obwieszczać publicznie. Tak jakby on nie chłonał każdego jej ruchu i słowa.

Choć wiedział, że w ogóle nie powinien na nią patrzeć. Od kiedy ją poznał, u stóp tego cholernego trejażu u hrabiny Liverpool, sprawiała same kłopoty. Mimo to jakoś nie mógł się od niej oddalić. Była jak Minotaur, a on błędził w jej labiryncie.

Postanowił wyliczyć w myśli wszystkie jej wady. Była przeciwieństwem kobiet, jakie mu się podobały.

Wiedział, że okłamuje sam siebie.

Zirytowany, zabrał się do wyprzęgania zmęczonych koni. Doskonale zdawał sobie sprawę, że mężczyźni, którzy dogonili ich w Sprotbrough, mogli być wystarczająco głupi, żeby uwierzyć w przebieraną za lokaja, ale na pewno wcześniej czy później zorientują się, że Sophie wyjechała z gospody. Nie można było zwlekać. I całe szczęście, bo kiedy przed chwilą spytała, czy będą tu nocować, całe jego ciało stanęło w gotowości.

Tak, najlepiej w tym samym pokoju. W tym samym łóżku. I bez snu.

Jeśli Sophie tak chce być wolna, pokazałby jej prawdziwą wolność. Prawdziwe szczęście. Ale to niemożliwe.

Klnąc pod nosem, oddał pierwszego konia z czwórki w ręce stangreta i zajął się drugim.

Sophie wystawiła głowę przez okno.

– Milordzie? – zapytała i schowała się w głębi powozu.

– Do diaska – mruknął.

Chryste. Teraz zaczął nawet kłąć tak jak ona.

– Milordzie! – W jej głosie zabrzmiała panika.

Odprowadził drugiego konia i odwrócił się do niej.

– O co chodzi?

– Muszę wejść do oberży.

– Nikt nie powinien cię widzieć. Siedź w powozie.

Zacisnęła wargi.

– Ale muszę. Mam konkretny powód.

Westchnął.

– I chyba powinnam w coś się przebrać. Ta liberia stała się zbyt... rozpoznawalna.

Oczywiście, miała rację. Wyglądała jak lokaj, którego przeciągnięto po błocie, postrzelono i zostawiono na pewną śmierć. W sumie dość dobrze opisywało to jej sytuację. W dodatku spod czapki

zaczęły wysuwać się długie, brązowe włosy. Każdy ją zapamięta. I opowie o niej ludziom, którzy przyjadą za nimi i zaczną rozpytywać.

– Zajmij się swoimi potrzebami. Ja poszukam sukni.

Oczarował właścicielkę paroma monetami i udręczonym westchnieniem i wrócił do powozu z suknią, jedzeniem i bukłakiem pełnym gorącej wody.

Sophie już była z powrotem, więc rzucił jej rzeczy i podał bukłak.

– To do parzenia ziół.

Zamknął drzwi, zanim zdążyła mu podziękować i poszedł pomagać stangretowi przy zaprzęgnięciu.

– Będziemy musieli jeszcze raz zmienić konie, zanim zajedziemy do Longwood – powiedział stangret.

– Najlepiej w nocy.

– Ty też będziesz potrzebował zmiennika – rzucił King, trzy razy sprawdzając uprząż.

– Do zmiany koni wytrzymam.

– Doskonale, John.

Stangret uśmiechnął się.

– W nocy najlepiej się powozi.

King doskonale to wiedział. Wiedział też, że noc to najgorszy czas na podróżowanie powozem. Nocą powracała przeszłość, tym żywsza, im bardziej zbliżali się do Cumbrii. Otworzył drzwi z większą siłą, niż zamierzał. Sophie pisnęła, przyciskając dłonie do piersi. Była ubrana w zieloną suknię przybraną koronką i wstążkami.

– Jeszcze nie jestem gotowa – powiedziała.

– Dlaczego?

– Bo nie – odparła, jakby to było oczywiste.

Uniósł brew i nawet nie drgnął.

– Potrzebuję jeszcze pięć minut – dodała i wypchnęła go z powozu. Nogą.

Wtedy zrozumiał. Spojrzał na jej dłonie i wstążki gorsetu na piersi.

– Nie dajesz rady się zasznurować? – spytał.

Poczerwieniała jak burak.

– Wcale nie – pisnęła.

– Straszna kłamczucha z ciebie.

Rzuciła mu ponure spojrzenie.

– Normalnie nie muszę uciekać się do kłamstw, sir. Mało kto zadaje mi takie... mało dżentelmeńskie pytania.

– Chcesz powiedzieć: nicpońskie?

– Właśnie.

Uśmiechnął się.

– Czy potrzebujesz pomocy, milady?

– W żadnym razie. Po prostu poprzednia właścicielka tej sukni była nieco mniej...

Zamknij drzwi, nakazał sobie w duchu. Nie słuchaj tego do końca.

Niestety, ręce nie posłuchały.

Wtedy ona dokończyła:

– ...biuściasta.

Chryste.

– Masz pięć minut – uciał. – Potem ruszamy.

Zamknął drzwi i wrócił do koni. Posprawdzał wszystko jeszcze raz, licząc do trzystu. Zanim doszedł do trzydziestu sześciu, już wyobraził sobie jej biust. Przy dziewięćdziesięciu sześciu przeklinał się za to, że nie przyjrzał mu się lepiej przy poprzedniej okazji. Przy stu siedemdziesięciu przebiegł myślą wszystko, co wydarzyło się tego dnia, z przyjemnością i poczuciem winy zarazem. Przy dwustu

dwudziestu pięciu stwierdził, że jest łajdakiem, ale w końcu to przecież ona pierwsza wspomniała o biuście. Jest gorsza od wszystkich łobuziaków na świecie.

Dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć.

Trzysta.

Otworzył drzwi i wszedł, starając się na nią nie patrzeć. Nie piszczała, więc pewnie jej się udało. Postukał laską w sufit i powóz ruszył.

Jechali w milczeniu przez dobrych dwadzieścia minut, zanim się odezwała:

– Pamiętasz mnie?

Spojrzał na nią. I to był błąd.

Była piękna. Nawet w taniej, za ciasnej sukni. Rzeczywiście, musiała ją mocno zasznurować w talii, co sprawiło, że biust wylewał się górą, jakby chciał się wyrwać na wolność. Jakby ona tego chciała.

Zmusił się, by podnieść wzrok i spojrzeć jej w oczy.

– Nie wychodziłem na długo.

Uśmiechnęła się, więc zrobiło mu się miło. Wielki Boże. Poczł się jak dzieciak, pragnący jej akceptacji.

– Nie chodziło mi o dziś. Pytałam, czy pamiętasz nasze wcześniejsze spotkanie.

– Jakie spotkanie?

Jej uśmiech nieco zbladł.

– Tańczyliśmy raz ze sobą. Na balu.

Uniósł brwi.

– Pamiętałbym przecież.

– To był kadryl. W Beaufetheringstone.

Potrząsnął głową.

– Mylisz się.

Zaśmiała się cicho.

– Milordzie, jak widać, pamiętam cię lepiej niż ty mnie.

Znowu to robiła.

– Przestań.

– Co mam przestać?

– Przestań wierzyć w to, co ludzie mówili o tobie przez te wszystkie lata. Nie ma w tobie nic przeciętnego. Na litość boską, ten ostatni tydzień był najbardziej pamiętny w moim życiu. Z twojego powodu. Przestań sobie wyobrażać, że jesteś kimś innym, niż jesteś.

Otworzyła szeroko oczy. Natychmiast poczuł się jak idiota.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała.

Nie miał ochoty odpowiadać. I tak już wyszedł na durnia. Powiedział więc tylko:

– Tylko tyle, że powinienem zapamiętać nasz taniec.

Zamilkła na długo, więc pomyślał, że znowu ją tym zranił.

– Teraz będę cię pamiętał.

To było ogromne niedopowiedzenie.

– To mogę ci zadać moje pytanie? – spytała po chwili.

To, na które miał jej odpowiedzieć przed postojem. Zanim o mało co jej nie pocałował. Zanim zauważył jej piersi.

– Proszę.

– Powiedziałaś, że jedziesz do ojca, żeby mu coś powiedzieć przed śmiercią.

– Tak.

– Kiedy widziałeś go po raz ostatni?

Ogarnęło go znowu złe samopoczucie, tym bardziej że na dworze zmierzchało. Nadchodziła ciemność,

a z nią wspomnienia. I demony. Ta kobieta nie pozwoli mu o nich dziś zapomnieć.

– Piętnaście lat temu.

– Ile wtedy miałeś lat?

– Osiemnaście.

– Dlaczego nigdy już do niego nie wróciłeś?

Westchnął przeciągle i poprawił się na siedzeniu, żałując, że nie usiadł obok niej. Podobało mu się, jak siedzieli poprzednim razem, stykając się udami, a ona czytała tę koszmarną książkę o kamieniach.

– Nie chcę się z nim widywać.

– Czy był bardzo okrutny?

Nie odpowiedział, więc po chwili dodała:

– Przepraszam. Nie powinnam pytać.

Znowu zapadła cisza. Sięgnął do koszyka, który przyniósł, gdy zmieniali konie. Otworzył go, wyjął butelkę wina, chleb i ser. Odłamał kawałek pieczywa, dołożył ser i podał jej.

– Dziękuję.

Książę Lyne był dobrym ojcem, jak na arystokratę. Inni ojcowie ciągle przebywali w Londynie, przesiadywali w klubach i udawali, że nie mają rodzin. On wolał swoją posiadłość i dużo czasu spędzał z Kingiem.

– Nie był okrutny. Nie wobec mnie.

– Więc dlaczego...? – przerwała, uświadamiając sobie, że nie powinna przekraczać tej granicy.

Pociągnął solidny łyk wina, powtarzając sobie, że utopi w nim niechciane spojrzenia.

– Jak twoje ramię?

– Dokucz, ale jest do wytrzymania – odparła, a potem wzięła głęboki oddech i powtórzyła pytanie: –

Więc dlaczego nie chcesz go widzieć?

Powinien się domyślić, że ona się tak łatwo nie podda.

– Jesteś jak pies z kością.

– Znowu wyzywasz mnie od psów?

Uśmiechnął się niewesoło.

– Nie tylko okrucieństwem niszczy się synów. Oczekiwania potrafią nieraz zrobić taką samą krzywdę.

– A czego twój oczekiwał?

– Że dobrze się ożenię.

Rzuciła mu przelotne spojrzenie i skomentowała sucho:

– Jakże to straszne! – Kiedy nie odpowiedział, spytała: – Dlaczego nie ożeniłeś się z żadną z dam, których reputację zrujnowałeś?

Bo żadna go nie chciała. Tego nie mógł jej jednak powiedzieć. Zamiast tego powiedział prawdę:

– Nigdy się nie ożenię.

– Masz tytuł. Czy przekazanie go dzieciom nie powinno być celem twojego życia?

– Kobiety tak uważają? – odparł, rzucając jej ostre spojrzenie.

– Mężczyźni tak myślą o kobietach? – odparła ze sprytnym uśmieszkiem.

– Nie zależy mi na tym. Ale ojcu bardziej. Tytuł księcia Lyne przechodził z pokolenia na pokolenie, zawsze zachowując nieskazitelną, arystokratyczną czystość. Wszystkie księżne pochodziły ze wspaniałych rodów i odebrały wykształcenie odpowiednie do swej pozycji. Błękitna krew, idealne maniery i eteryczna uroda.

– Nigdy nie słyszałam o twojej matce. Nawet kiedy mieszkaliśmy w Mossband.

Wyjrzał przez okno i zapatrzył się w niebo poznaczone różowymi i czerwonymi pasmami na zachodzie.

– Zmarła przy porodzie. Ojciec się załamał.

– Bardzo ją kochał?

Pytanie było tak naiwne, że King się roześmiał.

– Nie. Był załamany, bo nie zdążyła mu urodzić drugiego potomka, zastępcy pierworodnego, na wszelki wypadek.

– Mógł się ponownie ożenić.

– Pewnie tak.

– Ale tego nie zrobił. Może jednak ją kochał.

Napłynęły wspomnienia.

– Nie. Żaden książę Lyne nie ożenił się nigdy z miłości. Zawsze z obowiązku i dla potomstwa. Tego mamy pragnąć. Tak nas wychowują.

– A ty? Czego ty pragniesz?

Nikt go jeszcze o to nie pytał. On sam zadał sobie to pytanie dawno temu, kiedy pojawiła się szansa znalezienia odpowiedzi. Potem szansa zniknęła. Przez arogancję ojca i z powodu jego własnej beztroski.

Powiedział jej prawdę, pewnie z powodu nadciągającej ciemności.

– Chcę spojrzeć ojcu prosto w oczy i zniweczyć wszystkie jego marzenia.

Nasz ród zakończy się na mnie.

Ile razy pisał te słowa w listach do ojca? Ile razy powtarzał je w duchu?

Mimo to, zaboląły go teraz z nową siłą.

– Przykro mi – powiedziała cicho.

Nie chciał jej litości. Napił się, a potem podał jej butelkę i spytał:

– Czy twoi rodzice się kochają?

– Bardzo – odpowiedziała. Zajrzała do koszyka. – Jest tam może kieliszek?

Pokręcił głową, więc otarła szyjkę spódnicą. Przez moment chciał jej przypomnieć, że mieli już ze sobą bliższy kontakt niż przy picciu z jednej butelki, ale zanim zdążył, zaczęła mówić dalej:

– Ojciec jest prostakiem, interesuje go tylko węgiel, a matka też jest na swój sposób prostaczką, ale bardzo zależy jej na bywaniu w towarzystwie. Mimo wszystko są jednak nierozłączni. Dlatego żadna z nas jeszcze nie wyszła za mąż. Bo wiemy, na czym nam zależy.

Na szczęście.

Nie powiedziała tego słowa, ale i tak je usłyszał.

– Z wyjątkiem Seraphiny... ona jest inna.

– Złapała księcia na męża – przypomniał, patrząc, jak Sophie pije. – Chyba nie zależy jej na miłości.

Potrząsnęła głową i oddała mu butelkę.

– Nie rozumiem, co się stało. Sera też czekała na miłość... bardziej niż którakolwiek z nas.

– A ty?

Nie miał pojęcia, czemu o to zapytał. Przecież go to nie obchodziło.

Otworzyła książkę. Potem ją zamknęła. I tak parę razy.

– To część wolności, prawda? – Nie odpowiedział, więc dodała: – Nigdy sobie nie wyobrażałam takiej wolności, jaką pewnie daje miłość.

Uśmiechnęła się, ale w jej oczach dostrzegł smutek.

– Mam nadzieję, że kiedyś ją poznam. W całej rozciągłości.

– Z twoim piekarzem. – Nie spodobały mu się te słowa.

– W naszej księgarni, sprezentowanej przez pewnego markiza, który zasypywał mnie komplementami – odpaliła bez wahania.

Zaśmiał się.

– Nie ustawiaj książek, póki jeszcze są w paczkach, milady – mruknął i po dłuższej chwili dodał: – To nie bajka ani poezja.

– Księgarnia?

– Miłość. Nie rób tego błędu. Miłość nie ma nic wspólnego z wolnością. To najgorsza ze wszystkich pułapek.



W jej oczach błysnęło zaskoczenie. Sam się sobą zdziwił. Skąd mu to przyszło do głowy?

– Skąd wiesz? – spytała.

– Ano, wiem – odpowiedział.

– Przecież księżęta Lyne nie żenią się z miłości.

– Zgadza się. Nie jestem przecież żonaty.

– A zakochany? – szepnęła przenikliwie. – W Marcelli?

– Kto to jest Marcella?

– Lady Marcella Latham.

– Ach. – Pamięć mu wróciła. Lady Marcella z balu u hrabiny Liverpool. – Nie.

Spojrzała na niego groźnie.

– Nie powinieneś zapominać o kobietach, którym rujnujesz reputację.

Napił się znowu.

– Zapewniam się, że gdyby między lady Marcellą a mną zaszło coś rujnującego, na pewno bym ją zapamiętał.

– Uciekałeś od niej po trejazu!

– Dokładnie tak, jak mi poleciła.

– Szczerze wątpię.

– To prawda. Tak się umówiliśmy.

– Tym bardziej powinieneś ją zapamiętać. Grzeczność tego wymaga. – Sięgnęła do koszyka. – PIEROŻKI z ziemniakami! – wykrzyknęła. Wyjęła jeden, przełamała i podała mu połowę. – PIEROŻKI to wspaniałe jedzenie. Szkoda, że w Londynie go nie dają.

– Dlaczego nie? Chyba macie kucharkę?

Skinęła głową i odpowiedziała z pełnymi ustami. Z trudem ukrył uśmiech. Po zachodzie słońca jej maniery wyparowały.

– Tak, ale to Francuzka. A pierożki szkodzą na linię.

– Masz całkiem przyzwoitą linię – odparł bez zastanowienia. Zamarła w pół kęsa. Nie powinien zauważać takich rzeczy. Wzruszył ramionami. – Jest normalna.

Znowu zaczęła żuć. Przełknęła.

– Chyba powinnam podziękować.

– Nie ma za co.

Przepłukała usta winem.

– Więc nie kochasz lady Marcelli.

Napiła się akurat tyle, żeby być ciekawska, ale za mało, żeby zapomnieć o temacie wcześniejszej rozmowy.

– Nie kocham.

– Ale, ogólnie rzecz biorąc, doznałeś tego uczucia osobiście.

Owszem, i nie chcę już nigdy więcej tego przeżywać.

– Tak.

– Dlaczego nie ożenisz się z tą biedaczką?

Próbował. Bardzo chciał. Nawet przywiózł ją na spotkanie z ojcem. Chciał ją pokazać. Udowodnić wielkiemu księciu Lyne, że miłość istnieje. Był młody i głupi.

A ojciec to wszystko zniszczył.

„Wolałbym, żebyś się nigdy nie ożenił, niż wziął sobie taką ladacznicę, która tylko poluje na tytuły” – zadrwił.

Wtedy Lorna uciekła.

Pamiętał, jak szukał jej z bijącym sercem, żeby ją odnaleźć, żeby się z nią ożenić. I być taki szczęśliwy, żeby ojciec zrozumiał swój błąd. Zmusił się, by przerwać te wspomnienia, zanim napłynie reszta.

Spojrzał na Sophie, niemal niewidoczną w ciemności.

– To niemożliwe.

– Dlaczego? – To dziwne, jak jej głos otulał go w ciemności. Zaciekawiony. Kojący.

– Bo ona nie żyje.

Podskoczyła na te słowa. Usłyszał szelest jej sukni, poczuł ciepło jej ciała.

– Wielki Boże – szepnęła i nagle poczuł dotyk jej rąk. Spoczęły najpierw na udzie, ale cofnęła je jak oparzona. Pochwycił je, żałując, że nie widzi jej twarzy. A potem był za to wdzięczny losowi.

– Wielki Boże, King. Tak mi przykro.

Nie żyje i mój ojciec ją zabił.

Nie żyje i to ja ją zabiłem.

– Nie przejmuj się tak. To było dawno temu. Naprawdę, opowiedziałem ci to tylko dlatego, że dopytywałaś się, dlaczego nie odwiedzam domu.

– Ale teraz tam jedziesz.

– Bo ojciec... – zaczął, ale przerwał i zaśmiał się niewesoło. – Wystarczy powiedzieć, że chcę, by pamiętał, że nasz bezcenny ród umarł razem z nią.

Zapadło milczenie.

– Czy on... – Nie dokończyła pytania.

I tak na nie odpowiedział.

– Równie dobrze mógłby jej przystawić lufę do skroni.

Umilkła, rozważając te okropne słowa.

– A twoje szczęście? Nigdy już nie nadejdzie?

Głupia była, ta cała Sophie Talbot. Głupia i piękna. W życiu można mieć albo pieniądze, albo tytuł, albo szczęście. Nigdy wszystko naraz.

– Dla takich jak ja szczęście nie istnieje – odpowiedział.

– Nigdy nie byłeś szczęśliwy? – szepnęła.

Przez myśl przebiegło wspomnienie, przywołane Bóg wie skąd przez tę kobietę, która w niesamowity sposób potrafiła wyciągnąć na jaw wszystkie jego sekrety.

– Pamiętam chwilę z dzieciństwa, kiedy właśnie dostałem swojego pierwszego konia i pojechaliśmy razem z ojcem do kowala.

Mógł na tym poprzestać, ale w ciemnościach dobrze opowiadało się takie historie, więc mówił dalej:

– Kuł nasze konie w niewielkiej kuźni. Gorąco tam było jak w piekle. Ojciec długo z nim rozmawiał, więc wyszedłem na podwórko. W ziemi tkwił metalowy pręt, a na nim z pół tuzina podków.

– To taka gra – szepnęła.

– Od razu się w tym zorientowałem. Ale instynktownie wiedziałem, że to nie jest zabawa dla przyszłych książąt.

– Kiedyś ci pokażę, jak w to grać – powiedziała impulsywnie w ciemności. – Do diabła z tytułami.

Miał ochotę posadzić ją sobie na kolanach i całować do obłędu.

– Nie musisz. Nauczyłem się.

– Od kowala?

– Nie, od ojca.

Po chwili milczenia dodał:

– Tamtego dnia byłem szczęśliwy.

Poprawiła się na siedzeniu. Szelest sukni przeniósł go z powrotem do teraźniejszości. Już nie był małym chłopcem w kuźni. Był mężczyzną, który wiedział, do czego zdolny jest ojciec, jeśli syn nie spełnia jego oczekiwań. Napłynęło kolejne wspomnienie. Powóz podobny do tego, którym jechali, leżący na boku przy drodze. Rozpaczliwie zapragnął siedzieć w swojej dwukółce, pędzić przed siebie z wiatrem w zawody, tłumiąc myśli, które przybierały na sile z każdą milą przejechaną na północ.

Sophie poruszyła się znowu, jakby usłyszała jego myśli. Ciepła dłoń spoczęła na jego kolanie w zupełnie nieskromny sposób. Nieskromny, ale bardzo mile widziany, bo przegnał złe myśli.

Przesiadł się obok niej i splótł palce z jej palcami. Jej prosty dotyk był bardziej kuszący niż wszystko, czego do tej pory doświadczył.

Na moment wstrzymała oddech, a jego przeniknął przyjemny dreszcz. Pragnęła go tak samo, jak on jej.

– Sophie – szepnął.

– Tak? – odpowiedziała ledwie słyszalnym tchnieniem.

– Powiedziałaś, że chcesz poznać to w całej rozciągłości – mruknął jej do ucha, które pachniało miodem i korzeniami. – Miłość w całej rozciągłości.

Pogładził dłonią jej twarz, zaplątał palce we włosy.

– Chciałabyś, żebym cię wtajemniczył?

Skubnął ten policzek zębami, aż jęknęła z rozkoszy.

Ciemność była po jego stronie.

Odnalazł jej wargi swoimi i ucałował ją lekko, a potem przesunął je na szyję.

– Tylko żebyśmy się nie polubili – szepnęła albo raczej westchnęła.

– Nie bój się. Na pewno nie.

Kłamał jak z nut.

## 12. Nicpoń u władzy; cnota zagrożona raz jeszcze

Nie powinna na to pozwolić.

Przecież ten człowiek był legendarnym lowelasem. Mistrzem w rujnowaniu reputacji młodych dam. Ani razu nie poniósł konsekwencji za swoje czyny. Może dlatego, że były takie rozkoszne. Nie można przecież karać ludzi za talent.

Jednak mimo wszystko, nie powinna na to pozwolić.

Powinna mu powiedzieć, żeby przestał... przestał przeczesywać palcami jej włosy. Ale tak delikatnie pieściły skórę i gładziły materiał przyciasnej sukni... a wargi darzyły ją ciepłymi pocałunkami w szyję, gdy obiecywał, że pokaże jej miłość w całej rozciągłości.

Oczywiście, nie chodziło mu o prawdziwą miłość – tylko o jej cielesną, niepokojącą stronę. Tę, którą wyobrażała sobie od chwili, gdy brała kąpiel, a on stał o kilka stóp od niej, odwrócony szerokimi plecami. Kapała się, żałując, że to nie on ją myje.

Tę, której pragnęła od chwili, gdy pocałował ją w gospodzie. Chciała, by ten pocałunek trwał wiecznie.

Za to on nie zdradzał swych uczuć – aż do teraz, gdy zapadł zmrok i zaczęli rozmawiać szczerzej i bardziej otwarcie. Kiedy dotknęła go przypadkiem. Tylko że to nie był przypadek. Bardzo chciała, żeby jej dotknął. Kiedy wreszcie to zrobił, było cudownie. Odsunął wargi od jej ramienia i przyłożył je do ucha, a potem szepnął cicho, mrocznie i rozkosznie:

– Powiedz mi.

Posłał płatek jej ucha, żeby ją jeszcze bardziej oszołomić.

– Co mam ci powiedzieć?

– Mam ci pokazać, jak to jest?

Tak. Tak. Tak.

Przełknęła ślinę, wiedząc instynktownie, że jeśli powie „nie”, on posłucha. Szepnęła więc:

– Proszę.

Usłyszała uśmiech w jego odpowiedzi.

– Jaka grzeczna.

Odsunęła się od niego.

– Jestem wdzięczna za tę propozycję.

W jego śmiechu zabrzmiała obietnica czegoś cudownie grzesznego.

– To ja powinienem być wdzięczny, milady.

I nagle jego usta znowu pieściły jej wargi. Oszołomiona, poddała się, bo w ciemności wszystko wydawało się łatwiejsze i prostsze. Ukrywała ich przed całym światem. Tak jakby to miejsce, ta noc, ta podróż była tylko snem, który rozwieje się w świetle dnia.

Tak będzie.

Markiz Eversley nie był mężczyzną dla takich panienek jak Sophie. Nieciekawych i nieładnych. Ale w ciemności mogła udawać, że jest inaczej. Wspomnienia tej nocy wystarczą jej na całe życie.

– A czego szczególnie chciałabyś się dowiedzieć, Sophie? – Znowu szeptał jej do ucha, jednocześnie

gładząc palcami stanik jej sukni, tam, gdzie ściśnięte zbyt ciasnym gorsetem piersi wrywały się na wolność. – Co cię najbardziej ciekawi?

Policzki powinny jej pałać po tym pytaniu, ale ciemność dodała jej odwagi.

– Wszystko – szepnęła.

Zaśmiał się w odpowiedzi.

– Nie – skarcił ją, odsuwając dłoń, żeby się z nią podroczyć. – To nie wystarczy. Odpowiedz szczegółowo.

– Nie wiem... – W jej głosie zabrzmiało rozczarowanie. – Dotknij mnie tam jeszcze.

– Gdzie?

Wszędzie.

– Sophie – ponaglił ją jak szatan, wskazujący bramy piekieł.

– Kilka lat temu widziałam... – przerwana, przerażona, że chce mu coś takiego opowiedzieć.

Znieruchomiał.

– Nie przerywaj, kochanie. Co takiego widziałaś?

– Przypadkiem zobaczyłam stajennego. I służącą.

– I co dalej?

Potrząsnęła głową.

– Gdzie to było?

– Chciałam spokojnie poczytać.

– Gdzie?

– Padało i było zimno. W domu moje siostry plotkowały i rozprawiały o balach i sukniach... a w stajni było ciepło i cicho.

– Co tam zobaczyłaś? – przesuwając wargami po jej szyi, całując ją leniwie. Trudno jej było się skupić.

– Byłam na stryszku.

– A tam był stajenny? Ze służącą?

Nigdy przedtem nie słyszała takiego tonu w męskim głosie. Brak tchu... może podniecenie? Na tę myśl jej także zrobiło się gorąco. Jeszcze bardziej. Jakby to było możliwe.

– Nie – wyznała. – Byli w boksie.

– A ty podglądałaś ich z góry? – Połaskotał językiem jej zdrowie ramię.

– Nie chciałam. Szukałam tylko spokojnego miejsca, żeby sobie poczytać.

– Nie oceniam cię przecież. – Polizał – polizał! – jej skórę między ramieniem a dekoltem. Jej piersi wezbrały, jakby naprawdę chciały wydostać się na swobodę. – Chcę tylko sobie dokładnie wyobrazić, jak to było. Co widziałaś?

– Z początku nic – odpowiedziała. – Nie wiedziałam, że tam są. Gdybym...

– To byś od razu poszła. Jesteś grzeczną dziewczynką.

– Ale kiedy ich już usłyszałam...

– Nie mogłaś się oderwać – dopowiedział.

– Nawet dziewczynki bywają ciekawskie – zaczęła się bronić.

– Co tam zobaczyłaś, Sophie? – Jego dłoń wędrowała po udzie w dół, do kolana.

– Z początku niezbyt dużo. Patrzyłam w dół przez otwór na drabinę. Widziałam ich głowy. Całowali się.

Dotknął wargami jej ust i natychmiast się odsunął.

– W taki sposób?

Pokręciła głową w ciemności.

– Nie.

– Więc jak?

– Wiesz jak.

– Nie było mnie tam przecież – odpowiedział, a rozbawienie w jego głosie jeszcze bardziej ją pobudziło. – Pokaż mi to.

Bóg jeden wie, skąd znalazła odwagę, by to zrobić. Położyła ręce na jego ramionach, potem objęła jego szyję, przyciągnęła do siebie.

– W ten sposób.

Potem go pocałowała, przesuwając językiem po jego wargach, wsuwając go do ust, które miały smak wina. Miała nadzieję, że tak się to robi.

Jęknął i przyciągnął ją do siebie, uważając na zranione ramię. Usadował ją tak, że jej uda spoczęły na jego kolanach. Znalazł ręką skraj jej sukni i dotknął kostki, darząc ją ciepłą, cudowną pieśczołą.

Po chwili przerwał pocałunek.

– Tylko tyle widziałaś?

– Nie. To było bardziej... – Zamilkła, w nadziei że King podpowie jej to słowo i nie będzie musiała go używać. Ale nie pomógł jej. – ...bardziej erotyczne.

W odpowiedzi usłyszała gardłowy pomruk.

– Cudownie jest słyszeć to słowo z twoich warg.

– Erotycznie?

Pocałował ją mocno, głęboko, aż na moment straciła oddech.

– Co było takie erotyczne, Sophie?

Zagłębiła się we wspomnienia z nadzieją, że za chwilę przeżyje je na nowo. Z Kingiem.

– Rozpiął jej suknię.

– Chryste – stwierdził King. – Miałem nadzieję, że to zrobi.

Wstążki jej staniczka nagle się rozluźniły, uwalniając piersi. Westchnęła z ulgą, ale to było mało. Wcale jej nie dotknął. Z jakiegoś powodu obejmował dłońmi jej biodra. Poruszyła się, pragnąc jego dotyku.

– King – szepnęła.

Zamruczał znowu, ledwie słyszalnie.

– Co wtedy zrobił?

– Zaczął ją pieścić.

Poczuła dotyk palca pod piersiami, tak nieoczekiwany i upragniony, że o mało nie wyskoczyła ze skóry. Palec zataczał powolny krąg wokół jej piersi, paląc ciało żywym ogniem i pożądaniem.

– Tutaj?

– Nie.

Krąg zacieśnił się. Zbliżał się tam, gdzie chciała. Nie myślała, że ktoś kiedyś dotknie tego miejsca, które sama czasem pieściła w samotności, ciemną nocą.

Tym razem nie była już sama.

– Tutaj?

Potrząsnęła głową. Krąg jeszcze bardziej się zmniejszył. Pomyślała, że zaraz umrze z niecierpliwości.

– Tutaj?

– Nie.

Zatrzymał się.

– To gdzie? Pokaż mi.

Nie mogła uwierzyć, że spełnia jego polecenie. Wzięła jego dłoń w swoją i położyła ją tam, gdzie chciała. Natychmiast dał jej to, czego pragnęła, głaszcząc i skubiąc naprężony sutek, aż westchnęła z rozkoszy, przyciskając się do niego, błagając o...

– I co zrobił dalej? – spytał chrapliwie.

– Pocałował ją. Tutaj.

– Rozsądny człowiek – stwierdził King i dotyk jego ust zastąpił pieśczołą palca. Ssał jej pierś

łagodnie, jakby mieli całą wieczność na czułości. Może i tak było. Może pozwoli mu pieścić się tak długo, jak będzie chciał.

Wkrótce poniechał delikatności: przekornie skubnął sutek zębami. Krzyknęła i wsunęła dłonie w jego włosy, żeby go przytrzymać. Ale nie dał jej tego, czego pragnęła. Zamiast tego odsunął się i dmuchnął w to miejsce chłodnym powietrzem, a potem zajął się drugą piersią.

Naprężona, garnęła się do jego dotyku, do tych cudownych ust, do niego. Dawał jej to, czego żądała. Jego dłoń wędrowała coraz głębiej pod suknię, po udzie, aż wreszcie dotarła tam, gdzie chciała, gładząc ją delikatnie. Uniósł wtedy głowę i zapytał, w grzesznej, nieprzeniknionej ciemności:

– Co sobie wtedy pomyślałaś?

– Pomyślałam... – przerwała, zawstydzona wspomnieniem.

Wycisnął na jej szyi długi, czuły pocałunek.

– Może chciałaś być tam zamiast niej?

– Nie – odpowiedziała. – Chciałam... chciałam coś takiego poczuć. Chciałam, żeby ktoś był dla mnie taki czuły. Chciałam, żeby potraktował mnie w taki sposób.

Pocałował ją znowu, leniwie i głęboko.

– W taki?

Westchnęła.

– Tak. Potem on...

W ciszy jego palce gładziły ją powoli, spokojnie i kojąco.

Nie może mu przecież tego powiedzieć. Ale...

Było przecież ciemno, nikt ich nie widział, a kiedy dojadą do Mossband, pożegnają się na zawsze. Czemu by mu nie powiedzieć?

– Wtedy podniósł jej suknię.

Jego palce znieruchomiały na moment. Gdyby nie obserwowała go z taką uwagą, nawet by tego nie zauważyła. Nagle uświadomiła sobie własną moc. Mówiła więc dalej. Nie przypuszczała, że kiedykolwiek powie na głos coś takiego. Starła się przecież wyrzucić to wspomnienie z pamięci.

– A potem przed nią ukląkł.

Zaklął, ale w jego głosie brzmiał nabożny zachwyt.

– I co wtedy zrobił?

– Chyba wiesz – powiedziała, oszołomiona tym, co się działo.

– Wiem, co ja bym zrobił.

Opuścił jej stopy na podłogę, ukląkł i wtedy naprawdę ucieszyła się, że w powozie było tak ciemno. W przeciwnym razie do końca życia wstydziłaby się spojrzeć mu w oczu. Poczwała powiew zimnego powietrza, gdy uniósł jej suknię. Potem szeroko rozłożył jej nogi.

Zapiekiły ją policzki; nie miała na sobie bielizny, bo nie dało jej się założyć pod liberię. Chciała zsunąć nogi z powrotem, ale przytrzymał je siłą.

– Sophie? – spytał, jakby w jej imieniu zamknął się cały świat.

– Tak?

Pocałował ją pod kolanem. Aż podskoczyła ze zdziwienia, więc zaśmiał się cicho, a potem powiedział prosto w delikatną, wrażliwą skórę:

– Chcesz, żebym ci pokazał, jak to jest?

W całej rozciągłości.

– Czuję twój zapach i chcę zobaczyć, jak smakujesz. I pokazać ci, co stajenny zrobił tamtej służącej.

Znieruchomiała, gdy jego palce poruszyły się, ledwie ją muskając. Szeptał dalej:

– Jesteś taka ciepła. I na pewno wilgotna. Ale nie zrobię tego bez twojego pozwolenia.

Tak. Tak.

– A czy ty chcesz... – Przerwała. Wzięła się w garść... – Chcesz mi pokazać?

Westchnął gorąco. Cudownie było poczuć to na skórze.

– Nie wiem, czy chciałem czegokolwiek w życiu bardziej niż tego.

Poczuła skurcz w brzuchu i gdzieś głębiej, w bardziej intymnym miejscu.

– Zrobił to tak, że krzyczała – szepnęła, przywołując wspomnienie.

Znowu ten uroczy śmiech.

– Mam nadzieję. I z radością pokażę ci jak. Ale ty musisz być cicho, kochanie, bo stangret będzie miał przedstawienie.

Wziął głęboki oddech i powiedział:

– Dręczysz mnie jak nikt na świecie. Powiedz, że tego chcesz... Dam ci, czego pragniesz. Z nawiązką.

Tak. Tak.

Stała na skraju przepaści, wiedząc, że ta decyzja zmieni wszystko. Ale nie było powrotu. Chciała tego. W całej rozciągłości. Od nikogo innego.

– Tak – powiedziała w końcu. Zanim ucichł dźwięk jej głosu, King już tam był, rozchylając fałdki skóry, gładząc je i pieszcząc.

Jęknął.

– Jaka wilgotna – powiedział, okrywając pocałunkami delikatne wnętrze uda. – Wtedy też byłaś tak wilgotna? – spytał przewrotnie. – Na tym stryszku?

– Nie wiem – odpowiedziała.

– Nie wiesz? – zadrwił i za karę odsunął się od niej.

– Tak – poprawiła się. – Byłam wilgotna.

Rozłożył szeroko jej nogi. Zamknęła oczy, gdy ją tam dotykał – grzesznie, rozpustnie i cudownie. Znowu była wdzięczna losowi za tę ciemność, a jednocześnie pragnęła choć promyka światła.

– Dotykałaś się tam sama?

Potrząsnęła głową. Jej dłonie szukały go pośpiesznie. Dotknęła jego włosów.

– Nie.

Znowu przerwał. Zacisnęła palce.

– Naprawdę tak było. Ale...

Dmuchnął lekko w to miejsce.

– Ale?

Westchnęła, ale dalej brakowało jej powietrza. Wyznała prawdę:

– Ale chciałam.

Nagrodził jej prawdomówność, pieszcząc ją leniwie językiem, darząc obietnicą jeszcze większej przyjemności. Uniosła biodra, by mógł sięgnąć głębiej. Nie dbała o to, że zachowuje się jak ladacznica.

Pragnęła go.

King był szczodry. Jedną ręką ułatwił sobie dostęp, a drugą wsunął głęboko, aż w końcu jego dotyk przeszył ją niewysłowioną rozkoszą.

– King – szepnęła. Podniósł głowę.

– Powiedz mi, czego chcesz.

Potrząsnęła głową.

– Sama nie wiem.

Pieszczota jego języka odebrała jej resztki sił.

– Wiesz dobrze.

Dręczył ją, aż znowu wyszeptała jego imię.

– Wiem. Jeszcze – jęknęła.

Zaśmiał się w ciemności jak sam szatan.

– Jak sobie życzysz, milady.

I znowu się nią zajął.



Po chwili nie miała już żadnych oporów. A on robił wszystko, czego sobie życzyła.

Oddychała urywanie, aż w końcu wykrzyknęła jego imię.

Przerwał.

– Nie! – zaprotestowała.

Przycisnął ją do siedzenia i szepnął:

– Co ja mówiłem o byciu cicho? – Opuścił głowę i pocałował ją delikatnie. – Masz być cicho, Sophie.

Nie wolno hałasować.

Jego słowa jeszcze bardziej ją rozogniły. Ta prośba była niemożliwa do spełnienia.

– Mamy przestać? – zapytała, rozczarowana.

– Na litość boską! W żadnym wypadku.

Westchnęła z ulgą i rozkoszą, bo pocałował ją znowu.

– Bardzo chciałbym, żebyś krzyczała – powiedział między leniwymi, niezdolnie pobudzającymi liźnięciami. – Najchętniej zatrzymałbym powóz, ułożył cię pod gwiazdami i doprowadził do krzyku... a potem jeszcze i jeszcze raz.

Stłumiła jęk i zacisnęła palce na jego włosach.

– Proszę cię, King.

– Cicho – odezwał się prosto w nią. O mało nie oszalała. – A teraz uważaj.

Jego palce poruszyły się znowu, darząc ją słodką torturą. Gładząc i laskocząc.

– Nie może nas słyszeć.

Te słowa podnieciły ją jeszcze bardziej, a on wciąż pieścił ją palcami i na przemian nakazywał być cicho, rozbawiony jak mały chłopiec. Nigdy w swoim dwudziestoletnim życiu nie pragnęła niczego tak jak jego.

– Nie może usłyszeć – powtarzał, a jego ciepły oddech dręczył ją aż do bólu, na spółkę z palcami. –

Nie może usłyszeć twoich jęków ani tego, jak wołasz mnie po imieniu jak grzesznica w ciemności.

Pomyślała, że on był przecież większym grzesznikiem od niej.

Zmieniła zdanie już po chwili, gdy przytknął wargi do jej ciała. Rozłożyła szerzej nogi i gryzła się w wargi, by nie krzyczeć, kiedy masował ją coraz mocniej, dając jej to, czego tak pragnęła.

– Nie przerywaj – szeptała. – Błagam cię, King. Tylko nie przerywaj.

Nie przerwał, choć nieznośne napięcie wciąż rosło, a ona spadała w czarną pustkę jak bezwładna ofiara jego języka, warg i dotyku. Przyjmowała wszystko, jak popadnie, bez wahania.

Zakołysała się, kiedy powóz podskoczył w koleinach. Nagle napięcie rozładowało się rozkosznym, grzesznym dreszczem i zapomniała o wszystkim oprócz Kinga – jego pomruków, objęć i tych cudownych ust. Cudowne uczucie narastało jak fala, a on ją trzymał, pozwalając jej doznawać wszystkiego bez wahania. Bez wstydu.

Może to ciemność dodała jej odwagi. Powinna się przecież wstydzić. Damy nie zachowywały się tak jak ona. A jednak wcale się nie wstydziła, nawet kiedy przestał ją pieścić i dotykać. Obciągnął jej suknię i usiadł obok niej.

Przy nim łatwo było pozbyć się wstydu.

Ziewnęła, gdy objął ją i szepnął:

– Podobało ci się?

W całej rozciągłości.

Przytuliła się do niego, nie dbając o lekki ból w ramieniu. Zupełnie zapomniała o ranie. Powiedziała mu prawdę:

– Bardzo, ale to bardzo.

Zmienili konie, gdy dojechali do następnej oberży. King zostawił ją śpiącą na siedzeniu i przyniósł

wino, jedzenie i gorącą wodę na herbatę. Nie wypierał się sam przed sobą poczucia winy. Doskonale wiedział, że posunął się za daleko. Przecież jej rana dopiero niedawno zaczęła się goić. To było niegodne dżentelmena, a co gorsza, nieodpowiedzialne.

Do Cumbrii prowadziły trzy drogi. Był niemal pewny, że ludzie jej ojca wybrali najprostszą, a nie najszybszą, tak jak on z Sophie. Właściwie można by tu sobie pozwolić na nocleg. Wyspać się w normalnym łóżku. Wykąpać się. Zaczął sobie wyobrażać tę kąpiel. Wizja okazała się aż nazbyt kusząca.

Zaś co do łóżka – skoro z taką łatwością wykorzystał Sophie w powozie, lepiej nie myśleć o tym, co zrobiłby z nią w czystej pościeli... włosy rozsypane na poduszce, suknia w nieładzie, jego ręce na jej ciele.

Do diaska.

Jeśli się pospieszą, rano będą na zamku. Naturalnie, nie zamierzał zostawić ją po drodze w Mossband. Najpierw pojedą do zamku, gdzie będzie mogła bezpiecznie czekać na przyjazd ojca. A potem odjedzie razem z nim.

Nie był potworem, ale dobrze wiedział, że nie powinien się z nią żenić. Powtarzał to sobie, wracając do powozu z wiktuałami.

Sophie spała dalej. Gorset miała poluzowany, suknię wygniecioną. Kusiło go, by znowu obsypać ją pieszczotami.

Oczywiście, lepiej byłoby, gdyby pohamował się, zanim do tego wszystkiego doszło.

Ale był tylko człowiekiem. Cieleśną istotą, tak samo jak ona.

Cóż to było za wspaniałe ciało. Jaka szkoda, że nie może się z nią ożenić.

Postawił jedzenie w powozie, nie domykając drzwiczek, by trząśnięcie jej nie obudziło i poszedł pomóc przy zaprzęgnięciu świeżych koni.

Niczego przecież nie pragnął bardziej, niż rzucić ojcu w twarz, że ich książęcy ród skończy się na nim. Że nigdy się nie ożeni. Że nie będzie miał potomstwa.

Przez ponad dziesięć lat wyobrażał sobie reakcję ojca. Jego załamanie. Sam się o to prosił, prawda? Sam wygłosił te słowa. Że lepiej, by ród wygasł, niż gdyby King miał ożenić się z miłości. Więc dostanie to, czego chciał. Koniec rodu. To go dobije i King w końcu z nim wygra.

„Czy byłeś kiedykolwiek szczęśliwy?” – usłyszał w myśli słowa Sophie.

Jej naiwność była urocza, choć prawdopodobnie wiedziała, jak ulotne bywa szczęście. Przecież jej siostra wyszła za mąż w ogóle bez miłości. Mimo to Sophie w dalszym ciągu wierzyła w bajki. W to, że miłość zatriumfuje.

Przecież wciąż pamiętała o tym piekarczyku, z którym rozstała się ponad dziesięć lat temu. Trzeba jej się pozbyć, i to szybko.

Więc dlaczego do tej pory jej nie zostawił?

Z zamyślenia wyrwało go donośnie powitanie.

– Trzeba przyznać, że tempo masz niezłe, nawet bez dwukółki.

Znieruchomiał i policzył w pamięci dni podróży, a potem odwrócił się i spojrzał w zawadiackie oblicze księcia Warnicka, który przemierzał dziedziniec z błyskiem w oku i cygarem w zębach.

King skrzywił się.

– Powinieneś tu być trzy dni temu, a teraz tkwić samotnie w swojej lodowatej twierdzy.

– Ale tu mi się spodobało – odparł książę.

– Nie spodobało, a spodobała. Idę o zakład.

Szkot uśmiechnął się i szeroko rozłożył ręce.

– Ja też się jej podobam. Dlaczego miałbym ją rozczarować? A co z tobą? Co cię zatrzymało?

Zamiast odpowiedzi, King wziął od nowego stangreta uprzęż dla drugiego konia i zaczął go zaprzęgać.

– Tajemnica?

Dociągnął popręg.

Warnick dopytywał się dalej.

– Też spodobała ci się kobietka?

– Nie – wyrwało się Kingowi.

– Brzmi jak kłamstwo – zamruczał książę.

King rzucił mu mordercze spojrzenie.

– Kwestionujesz mój honor?

– Owszem, ale nie wybieram się na pojedynek, więc nie rzucaj mi rękawiczek, czy co tam wy w tej głupiej Anglii macie w zwyczaju.

Nie ma nic gorszego na świecie od aroganckiego Szkota.

– To nie twój powóz – przyczepił się w dodatku.

– Co za zmysł obserwacji.

– Dlaczego podróżujesz obcym powozem?

King westchnął, skrzyżował ramiona na piersi i odwrócił się do niego.

– A ty od kiedy wstąpiłeś do londyńskiej policji?

Warnick uniósł brew, solidnie pociągnął z cygara, rzucił je na ziemię i zdeptał czarnym buciozem.

– Nie podrzuciłbyś mnie do domu?

– Nie ma miejsca – warknął King przez zaciśnięte zęby, dobrze wiedząc, że Warnick nigdzie się nie wybiera.

– Och – prychnął Szkot. – To tylko parę godzin. Nawet nie będzie trzeba zmieniać koni.

– Nie ma miejsca – sprzeciwił się King.

– Ależ oczywiście, że jest. Mam wszystkie twoje koła, więc miejsca masz mnóstwo. Poza tym jestem mały.

Ten nieznośny Szkot miał oczywiście posturę jaskiniowca.

– Ciekawe, z której strony.

– Mimo wszystko... – Warnick bez ostrzeżenia otworzył drzwiczki.

King powinien się tego domyślić. Zaklął paskudnie, rzucił na ziemię pas pociągowy, który właśnie dopinał i skoczył ku niemu.

– Zamknij je.

Warnick usłuchał tak szybko, jakby w ogóle ich nie otwierał. Spojrzał na Kinga z wszystkowiedzącym uśmiechem.

– Więc jednak znalazłeś kobietę.

– To nie kobieta.

Warnick uniósł brew:

– Nie? Staniczek ma rozpięty i dość wyraźnie widać, że jednak nią jest.

King na sekundę odwrócił gniewny wzrok, wziął zamach i wymierzył cios pięścią w sam środek aroganckiej gęby Szkota.

– To za gapienie się na jej biust.

Książę złapał się za nos, z którego popłynęła krew.

– Do cholery, King, czy naprawdę musiałeś to robić?

King był przekonany, że tak. Sięgnął do kieszeni, wyjął chusteczkę i wytarł sobie rękę. Musi się postarać o jakiś koc dla niej. Żeby ją przykryć, gdy śpi. Podał chustkę przyjacielowi.

– Lubię cię, ale jak jesteś za granicą.

– Ja też cię lubię, kiedy jestem za granicą – odparł książę, przykładając płótno do nosa. – Pierwszy raz w życiu widzę cię w takich nerwach. To przez ojca? Czy przez dziewczynę?

Pewnie z obu powodów.

– Skądże.

Warnick parsknął z niedowierzaniem.

– Mają tu dwukólkę. Kup ją. Zrobimy sobie wyścig do domu. Rozładujesz trochę gniewu, zanim spotkasz się ostatni raz z ojcem.

Nigdy w życiu nie dostał lepszej propozycji. Wszystko by oddał za poczucie wolności, jakie obiecywała dwukółka. Znowu poczułby się na krawędzi życia, wiedząc, że tylko siła i umiejętności mogą go uratować. Poczułby, że panuje nad swoim życiem. Że wszystko jest w jego własnych rękach.

Po raz pierwszy w życiu nie chciał uciec przed przeszłością ani przed wspomnieniami. Nie chciał uniknąć jazdy powozem, tylko towarzystwa, jakie w nim czekało. I własnych pragnień, które to towarzystwo budziło. Nieświadomie spojrzął na powóz.

Księżę miał bystry wzrok.

– Odeślij dziewczynę tam, skąd przysłała.

– Nie mogę.

– Czemu?

Nie mogę jej zostawić.

Nie odpowiedział.

Warnick przyjrzał mu się uważnie.

– Aha.

Zapłonął w nim gniew.

– Co to miało znaczyć?

– Że ci się podoba ten twój lokajczyk.

W żadnym razie.

– Skąd wiedziałeś?

Warnick uśmiechnął się.

– Trochę wolno kojarzę, ale co zobaczę, tego nie zapomnę.

– Lepiej zapomnij, baranie. – King odwrócił się do konia.

– Dokąd ją wiesziesz?

Do zamku, żeby tam poczekała na swojego ojca i wróciła do Londynu. Czy miał inny wybór? Jeśli tu ją zostawi, dziewczyna może wpaść w łapy kogoś takiego jak Warnick.

Tylko jak ona będzie wyglądać w zamku? Pod starodawną kamienną fasadą, w tej okropnej pożyczonej sukni. Tak nie przystoi damie.

„Wolałbym, żebyś się w ogóle nie ożenił, niż wziął sobie jakąś ładacnicę, która poluje tylko na pieniądze”.

Znieruchomiał.

– Kto to jest? – dopytywał się Warnick.

Najmłodsza z Feralnych Siostrzyczek.

– Jest o wiele za mądra jak na ciebie. To oznacza kłopoty – ostrzegł go Warnick, nie zauważając, że King pogrzył się we własnych myślach. – Nie wolno się zadawać z mądrymi kobietami. Zawsze cię przechytrzą i zanim się zorientujesz, już będziesz żonaty.

King spojrzął na niego.

„Nie złapiesz mnie na męża”, obiecał jej, kiedy podejrzewał, że chce złapać utytułowanego arystokratę. Teraz wiedział, że ona jest inna. Spiskowanie nie leży w jej naturze. Co nie zmienia faktu, że jest jedną z sióstr Talbot.

Więc cała socjeta będzie przekonana, że dał się złapać.

Ojciec też.

To znaczy, że będzie musiał wygrać zakład z Sophie i udowodnić jej, że miłość do piekarza była tylko dziecięcym marzeniem. A potem zatrzyma ją przy sobie.

Na tę myśl zrobiło mu się bardzo przyjemnie. Postanowił o tym nie myśleć. Ostatni raz sprawdził uprząż i zwrócił się do nowego woźnicy:

– Do Mossband, co koń wyskoczy.

Stangret wspiął się na kozioł i wziął lejce.

Warnick ostrożnie obmacywał nos.

– Jestem pewien, że go złamałeś – poskarżył się.

– Nie przejmuj się. Będzie pasował do twojej krzywej gęby.

– Do tej pory nikt nie narzekał na moją urodę – mruknął książę.

– Wszystkie milczały ze strachu na sam twój widok.

King położył dłoń na klamce.

– Zostaniesz tutaj?

Książę wzruszył ramionami i spojrzał w stronę gospody.

– Dzień albo dwa. To smakowita bestyjka. Na pewno nie pozwolisz mi popatrzeć jeszcze raz? – Skinął głową ku powozowi.

King zrobił groźną minę, a Szkot ryknął serdecznym śmiechem. Po chwili jednak spoważniał.

– Posłuchaj dobrej rady, King. Pozbądź się jej, dopóki jeszcze możesz.

Markiz skinął głową, choć coś w tych słowach mu się nie spodobało.

– Oczywiście, że tak zrobię. Gdy tylko wykorzystam ją do moich celów – zapewnił go, energicznie otwierając drzwi.

## ***13. Masz babo placek? A może placków zabrakło?***

W powozie zapachniało świeżo upieczonym chlebem.

Ten zapach obudził w niej głód, a zaraz potem pożądanie. Od niepamiętnych czasów nie zjadła gorącego posiłku. Najpierw ucieczka, potem postrzał i pościg... w takich warunkach nie zwraca się uwagi na jedzenie.

Wczoraj, kiedy King wreszcie przyniósł do powozu jakieś sensowne jedzenie, nie miała czasu, by się nim nacieszyć, bo próbowała zupełnie czegoś innego. Wspomnienie poprzedniego wieczoru sprawiło, że usiadła sztywno wyprostowana. Uświadomiła sobie, jak wygląda. Na szczęście była okryta kocem, o czym zupełnie nie pamiętała.

Pewnie King ją przykrył.

Szybko zasznurowała gorset, osłaniając piersi przyciasną suknią. Dopiero wtedy rozejrzała się wokół. W pojeździe było szaro, co oznaczało, że niedawno wzeszło słońce. King siedział naprzeciwko niej. Powóz stał w miejscu.

Wyrzała przez okno, domyślając się, gdzie są. Okazało się, że ma rację, bo ujrzała nieopodal szereg niedużych ceglanych kamieniczek.

Przyjechali do Mossband.

Wszystko było tak jak przedtem: kupiec bławatny, rzeźnik i, naturalnie, piekarz.

Już nie spał. Pracował przy wypieku chleba.

Otworzyła drzwiczki i zeszła na stopień, który ktoś wcześniej przygotował, jakby w oczekiwaniu na jej przyjazd. Spojrzała na trawnik na środku miasteczka. Spoczywał na nim ogromny głaz, większy niż dom. Od północnej strony cały był porośnięty mchem i stąd wzięła się nazwa miasteczka.

Wzięła głęboki oddech, wdychając świeże powietrze i radując się blaskiem poranka.

– Czy wszystko jest takie, jak zapamiętałaś? – usłyszała ciche słowa. Odwróciła się. Stał oparty o powóz, bliżej niż się spodziewała. Czowała jego zapach, widziała ciemny zarost na policzku. Podróżowali bez postojów, więc nie zdążył się ogolić. Miała ochotę dotknąć tego zarostu.

Nie dotykaj tego, co nie twoje.

Nie za dnia. Nie tutaj, pod koniec podróży i pod koniec ich znajomości. Znajomości, która stała się zbyt zażyła.

Odchrząknęła i odpowiedziała:

– Wszystko jest dokładnie tak samo.

Spojrzała na domy, upajając się widokiem, za którym tęskniła przez długie lata.

Dostrzegła herbaciarnię, której wcześniej nie było, dokładnie na szczycie wzgórza, tam gdzie droga zakręcała za pubem.

– Z wyjątkiem herbaciarni.

Spojrzał na pub.

– Pod Łasicą i Dzięciołem? Naprawdę?

Roześmiała się.

– Moim zdaniem to bardzo twórcze.

– Śmieszne i tyle.

Potrząsnęła głową i wskazała na skałę na środku trawnika.

– Seleste kiedyś się na nią wspięła. Moja siostra – wyjaśniła, widząc, że nie wie, o kogo chodzi.

– Ta, o której nie rozmawialiśmy.

Skinęła głową.

– Miała wtedy osiem, może dziesięć lat. Kiedy już weszła na sam szczyt, przestraszyła się i nie umiała zejść.

– I co dalej?

– Ojciec przyszedł i ją uratował – odpowiedziała. Wspomnienie odżyło w jej pamięci z niezwykłą jasnością. – Kazał jej skoczyć prosto w jego ramiona.

– I zrobiła to?

Sophie roześmiała się.

– Oboje przewrócili się na ziemię.

Zawtórował jej jego niski, cichy śmiech.

– I co, zrozumiała lekcję?

Pokręciła głową.

– Skądże. Co gorsza, potem wszystkie chciałyśmy wspinać się na gład i bawić się z tatą.

Nagle ogarnął ją smutek, który nie całkiem rozumiała. Potrząsnęła głową, by go odegnąć. King wpatrywał się w nią.

– Ty też się wspięłaś?

Przeszła obok niego na drugą stronę powozu.

– Owszem.

– I skoczyłaś?

Zatrzymała się. Spuściła wzrok.

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo... – przerwała, bo nie chciała wypowiedzieć tego na głos. Nie chciała, żeby on to usłyszał. Zresztą i tak nieważne, co o niej myślał. Przecież już nigdy więcej nie zobaczy go na oczy.

– Sophie?

Odwróciła się. Uwielbiała, gdy wypowiadał jej imię. Przypominało jej to minioną noc. Dźwięk jego głosu w ciemności.

Nie powinna o tym myśleć, szczególnie przy ludziach. Za dnia. Przy nim, na oczach całego Mossband.

– Sophie.

Potrząsnęła głową, spoglądając przez ramię na gład.

– Za bardzo się bałam, żeby skoczyć.

Zapadła cisza. Pewnie ją teraz osądzał. Nie zmieniła się od tamtych czasów, prawda? Wciąż była bojaźliwa. Nieciekawa. Niezabawna. Zacisnęła zęby, przygotowując się na drwiącą odpowiedź.

– Aż do dzisiaj.

Spojrzała w jego piękne, zielone, spokojne oczy.

– Słucham?

– Dzisiaj już byś się nie bała. Dlatego tu przyjechaliśmy, prawda? Dlatego zakradłaś się do mojego powozu. Dlatego ukradłaś mi koła i dałaś się postrzelić. Dlatego uciekliśmy przed pościgiem. Po to, żebyś znalazła się tu dzisiaj. I żebyś mogła skoczyć z tej skały.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Jego słowa były tak stanowcze, że ją to zirytowało.

– Również po to, żebyś mogła wygrać nasz zakład. I znaleźć szczęście.

Spojrzała w stronę piekarni. Z komina wesoło unosił się dym. Doskonale wiedziała, że ten zakład był głupi. Nigdy go nie wygra. Ale będzie to logiczny koniec pewnego etapu. Wejdzie do piekarni, zobaczy się z Robbiem. Zostanie w Mossband i uwolni się od Londynu.

Wszystko się zmieni.

To będzie nowy początek.

To będzie wolność.

– A może rezygnujesz z zakładu?

Była wdzięczna za żartobliwy ton jego głosu. Za to, że sprowadził ją na ziemię. Że przypomniał jej, jaką kobietą chciała się stać. I jakie życie sobie obiecała.

Bez tytułów ani pretensji.

Bez Londynu.

I bez niego.

Wcale jej na nim nie zależało. Nawet go nie lubiła.

A już na pewno on jej nie lubił.

Nadszedł czas. Znalazła się w miejscu, gdzie nikogo nie znała. Nic tu jej nie trzymało. Sama znalazła drogę. Podjęła ten zakład, więc doprowadzi do rozstrzygnięcia. Owszem, może przegrać, ale nie wróci do Londynu.

Nie może przecież ciągle polegać na pomocy Kinga.

Ten człowiek nie jest dla niej.

Za bardzo się bałam, żeby skoczyć.

Aż do dzisiaj.

Robbie nie był aż tak ważny; po prostu musiała sama sobie udowodnić, że ma dość odwagi, by to zrobić. Sama. Udowodnić to Kingowi. Przecież on niedługo odjedzie, więc niech pamięta jej odwagę.

Niech ją ceni.

Niech zobaczy, jaka jest. Po raz ostatni.

Uśmiechnęła się dzielnie.

– Dlaczego mam zrezygnować, kiedy jestem tak blisko mojej księgarni?

Na widok jego zaskoczenia ogarnęła ją triumfalna radość. Nie przypuszczała, że się na to odważy. Konsekwentnie wróciła do powozu, żeby pozbierać swoje skromne rzeczy.

Postawiła koszyk na ziemi, wygładziła suknię i spytała:

– Jak wyglądam?

– Jakbyś jechała tym powozem przez dwadzieścia cztery godziny.

Wykrzywiła się do niego, podniosła koszyk i wyprostowała się.

– Nie powinnam cię o to pytać.

Postąpił o krok do przodu i dotknął dłonią jej twarzy. Założył jej pasmo ciemnych włosów za ucho. Przeszył ją dreszcz. Starła się udawać, że nic się nie dzieje, nawet wtedy gdy pogładził kciukiem policzek, ścierając jakąś niewidoczną smugę. Czubki palców dotknęły jej podbródka, przechyliły twarz ku niemu. Poczowała, jak pałają jej policzki pod jego nieugiętym spojrzeniem.

Stali tak długo, aż zaczęła się zastanawiać, czy King pocałuje ją raz jeszcze. Właściwie zaczęła o tym marzyć. Żeby pocałował ją na środku Mossband, wobec wszystkich mieszkańców.

– Nie zapomnij o przemywaniu rany.

W życiu nie pomyślałaby, że King powie coś takiego. Coś zakłuło ją w piersi na te troskliwe słowa.

– Nie zapomnę – odpowiedziała.

Podniosła koszyk na dowód, że zabrała balsam. Odsunął się, ale ona rozpaczliwie starała się odwlec ich pożegnanie.

– Wcale nie chciałam złapać cię na męża, wiesz?

To chyba było najważniejsze.



– Teraz już wiem – odpowiedział z uśmiechem na przystojnej twarzy. Na policzku zrobił mu się dołek. Miała ochotę go dotknąć, ale powiedziała tylko:

– Dziękuję. Za wszystko.

– Nie ma za co, Sophie.

To było wszystko. Skinęła głową.

– Do widzenia – powiedziała, niechętnie się z nim rozstając.

– Powodzenia – odparł. To jeszcze mniej jej się spodobało.

Wzięła głęboki oddech i przeszła przez ulicę, wmawiając sobie, że serce ściska jej się i wyłącznie ze zdenerwowania. Nie ma to nic wspólnego z pożegnaniem. Ani z Kingscotem. To znaczy, z markizem Eversley. Z człowiekiem, z którym spędziła prawie cały tydzień.

Przecież nawet nie darzyli się sympatią.

Weszła do piekarni. Dzwonek nad drzwiami zadźwięczał wesoło, jakby chciał przytaknąć, że w środku jest ciepło i pachnie cynamonem i miodem.

O tak wczesnej porze lady były jeszcze puste. Przez chwilę przyzwyczajała się do półmroku.

– Przepraszam panią, ale jeszcze nie mamy nic na sprzedaż – powiedział Robbie, pochylony nad wielkim piecem zajmującym środek pomieszczenia. Wyprostował się. Spojrzała mu w oczy, miłe i pełne ciepła – dokładnie takie, jak myślała. – Sophie?

Pamiętał ją.

Uzucie, którego nie potrafiła nazwać, ścisnęło jej pierś. Uśmiechnęła się.

– Robbie.

Dziwnie było wypowiedzieć to imię. Było obce. Nie na miejscu.

Wyszedł zza lady. Był w samej koszuli, wysoki i szeroki w barach. Blond włosy miał splecione w warkoczyk, a w brązowych oczach błyszczała radość.

– Nie mieliśmy pojęcia, co się z tobą dzieje! Oczywiście, czytamy gazety, ale nawet tu nie zajrzałaś!

Wyciągnął ramiona. Odsunęła się, zaskoczona jego bezpośredniością.

Znieruchomiał, wyczuwając niezręczność tej sytuacji.

– Przepraszam – powiedział. – Zapomniałem, że teraz jesteś damą.

Te słowa stworzyły dystans pomiędzy nimi. W jednej chwili stała się kimś z zewnątrz.

Potrząsnęła głową.

– Nie – odpowiedziała. – Po prostu mnie zaskoczyłeś.

– Zapewniam cię, że ja jestem bardziej zaskoczony od ciebie. – Rozejrzał się po piekarni, jakby czegoś na próżno szukał. – Nie mam tu surduta.

Poczuł się skrępowany jej obecnością, bo pracował w samej koszuli. Zrobiło jej się przykro. Machnęła ręką.

– Nie przejmuj się tym.

Odwrócił głowę. Zapadła cisza.

– Jest bardzo wcześnie – powiedział.

– Dopiero co przyjechałam.

– Z Londynu?

Przytaknęła.

– Razem z siostrami?

– Nie, jestem sama.

Zmarszczył brwi.

– Dlaczego?

Zastanawiała się przez chwilę i w końcu odpowiedziała:

– Chciałam wrócić do domu. – Przerwała, a gdy się nie odezwał, ciągnęła dalej: – Do miejsca, które dobrze znam. Do ludzi, na których mi zależy. Chciałam być szczęśliwa.

Potrząsnął głową.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

Dodała więc tylko:

– Nienawidzę Londynu.

Skinął głową, jakby wszystko stało się jasne, ale ona miała poczucie, że tak nie jest.

Włożył ręce do kieszeni, napinając szelki i zakołysał się na piętach. Jego wzrok wędrował po piekarni, aż w końcu padł na koszyk stojący na jednym ze stołów.

– Bułeczki jeszcze się chłodzą, ale masz może ochotę na herbatnika? Jesteś głodna? Są wczorajsze, ale wciąż dobre do jedzenia.

Wtedy zrozumiała.

To się nie może dobrze skończyć.

King powiedział jej dokładnie to samo, zanim zawarli ten głupi zakład. Wiedziała już wtedy, że ma rację, choć upierała się przy swoim. Rzeczywiście źle się skończyło. Wcale nie dlatego, że Robbie Lander nigdy nie zostanie jej mężem. Dlatego, że przez dziesięć lat to miejsce jednak się zmieniło.

Albo raczej to ona się zmieniła.

W każdym razie Mossband nie było już jej domem.

Wszechświat przychylił się do tej opinii, bo nagle zadźwięczał dzwonek nad drzwiami.

– Tato!

Obok niej przebiegła mała dziewczynka. Robbie pochylił się, złapał ją w ramiona i podniósł do góry.

– Dzień dobry, kociaczk. Daj mi buziaka.

Dziewczynka natychmiast spełniła jego prośbę, a potem odchyliła się do tyłu i powiedziała:

– Mama pozwoliła mi dzisiaj zjeść dwie bułeczki.

– Naprawdę? – spytał, spoglądając w stronę drzwi. – Aż dwie?

– Czasem trzeba obiecać to i owo, żeby skłonić małe dziewczynki do założenia butów – rozległ się czyjś głos za plecami Sophie.

Obróciła się jak fryga. W progu stała ładna, ciemnowłosa kobieta o zaróżowionych policzkach. Na biodrze trzymała dziecko – brązowookie jak Robbie, pyzate i szczęśliwe. Sophie pamiętała ten wyraz twarzy z własnego dzieciństwa.

To była jego rodzina.

„Myślisz, że umierał z tęsknoty za córką earla, która wyjechała dziesięć lat temu?”.

Oczywiście, że tak nie myślała.

Ale mimo wszystko, patrząc na tę kobietę, na to dziecko, czuła po prostu... zazdrość.

To był dom Robbiego.

Został w Mossband i prowadził szczęśliwe życie. Miał szczęśliwą żonę. I szczęśliwą rodzinę.

Wszystko to było dla Sophie zupełnie obce.

Żona odpowiedziała na jej spojrzenie miłym uśmiechem.

– Dzień dobry – powiedziała.

Sophie uśmiechnęła się do niej równie ciepło, mimo natłoku myśli w głowie.

– Jane, to jest lady Sophie, córka earla Wight – przedstawił ją Robbie. Postawił córkę na ziemi i umieścił na ladzie tacę pełną lepkich bułeczek.

Jane otworzyła szeroko oczy i dygnęła, a dziecko roześmiało się, zaskoczone nagłym ruchem.

– Witam, milady!

– Och, dajmy sobie spokój z formalnościami, pani Lander – odparła Sophie. Nazwisko kobiety z trudem przeszło jej przez gardło. – Proszę mnie nazywać po imieniu. Znałam pani męża, kiedy byliśmy oboje – tu spojrzała na dziewczynkę – w twoim wieku. Jak masz na imię? – spytała, pochylając się do

małej.

– Alice – odpowiedziała córka Robbiego, wpatrując się w tacę ze smakołykami.

Przełknęła ślinę.

– Pamiętam te bułeczki z dzieciństwa – powiedziała Sophie ze ściśniętym gardłem.

Wtedy była pewna siebie. Wstała pośpiesznie, powstrzymując łzy i odpędzając smutek, jaki w niej obudziła ta dziewczynka i ta szczęśliwa rodzina.

Myśląc o powrocie do Mossband, wyobrażała sobie różne rzeczy, ale nie przypuszczała, że ogarnie ją smutek. I poczucie samotności.

– Masz wspaniałą rodzinę, Robbie. To znaczy panie Lander.

– Prawda? – zaśmiał się wesoło.

Idealne życie.

– Bawiliśmy się razem z lady Sophie, gdy byliśmy małymi dziećmi – zwrócił się do żony, która z ciekawością spojrzała na gościa.

– Tak?

– Naprawdę – przytaknęła Sophie, czując przytłaczający ją ciężar.

Zapadła niezręczna cisza. Sophie zapragnęła jak najszybciej wyjść. Tylko że nie wiedziała, dokąd pójść. I co ze sobą zrobić.

– Tato – przypomniała dziewczynka, niezrażona obecnością obcej osoby. – Mama obiecała bułeczki.

Robbie spojrział na córkę.

– Jasne. Obietnica to obietnica.

Sama powiedziała coś podobnego do Kinga, kilka dni temu. Zdenerwowała się wtedy, bo tłumaczył jej, że powrót do Mossband to zły pomysł. Wiedziała już wtedy, że nie wyjdzie za Robbiego. Ale nie wyobrażała sobie, że będzie tak niepewna swojej przyszłości.

Serce zakołatało jej w piersi. Złapała mocniej koszyk i wzięła głęboki oddech.

– Macie dużo pracy. Ja... już pójdę.

Robbie spojrział jej w oczy, przekładając gorącą bułkę z tacy wyjętej z pieca.

– Zobaczymy się jeszcze?

To proste pytanie o mało jej nie załamało, bo uświadomiła sobie, że nie ma w Mossband nic do roboty – tak samo zresztą jak w Londynie.

Potrząsnęła głową.

– Nie mam pojęcia.

Jane zmarszczyła brwi.

– Czy zatrzymała się pani w mieście?

– Ja... – zamilkła, bo sama nie wiedziała, co robi. Gdzie zamieszka.

– Mieszka pani w pokojach nad pubem? – podpowiedziała jej ta genialna kobieta.

– Tak – skłamała Sophie, zadowolona z tego rozwiązania. Musiała przecież gdzieś zanoć. – Nad pubem.

– To świetnie – ucieszył się Robbie. – W takim razie jeszcze się zobaczymy.

– Przyjdę na bułeczki – odpowiedziała.

– Może weźmie pani teraz jedną? Na śniadanie? – zaproponowała Jane, podając jej przysmak.

W tym momencie Sophie znenawidziła te bułki. Kusiły obietnicą szczęścia, wspomnieniami, odbudową nowego życia.

Wcale ich nie chciała. Nie chciała też dziwnych uczuć, które w niej obudziły.

Stała więc na środku piekarni, gapiąc się na ciastko w ręce Jane i zastanawiając się, dlaczego najmądrzejsza z sióstr Talbot zachowuje się jak kompletna idiotka. I co ma teraz zrobić z resztą swego życia. Życia, które zacznie się po wyjściu z tej piekarni, prosto w rozdziawioną paszczę nieznannej przyszłości.

Jak to się wszystko skończy?

Pytanie Kinga napłynęło wraz z falą niepewności.

Nie miała pojęcia. Wiedziała tylko, że to nie będzie w Mossband.

Co ona narobiła?

Jej myślom zawtórował wesoły dzwoneczek nad drzwiami.

Do piekarni wszedł King i Sophie uświadomiła sobie, że zawsze może być jeszcze gorzej.

Markiz Eversley, cały w uśmiechach, postanowił odegrać rolę aroganckiego świadka jej porażki.

Jane otworzyła szeroko oczy. Jej usta przybrały kształt litery „o”. Sophie nie miała do niej o to pretensji, bo King zawsze wypełniał sobą miejsca, w których się pojawiał: bary, sypialnie, pojazdy. Również piekarnie.

– Dwie to za dużo – powiedziała.

– Skądże znowu, kochanie.

Pieszczotliwe słówko przykuło jej uwagę. Jane również je podchwyciła. Robbie także.

– Za dużo – powtórzyła z naciskiem.

Zignorował ją, czarując Jane swym uroczym uśmiechem.

– Milady uwielbia te bułeczki. Opowiadała mi o nich przez całą drogę z Londynu.

Wielki Boże. Znowu wszystko popsuł.

Przecież dla tych ludzi nie była żadną panią Matthew, była lady Sophie Talbot. Znali ją dobrze. I na pewno będą potem plotkować.

– Milordzie – zaczęła, nie wiedząc, co właściwie chce powiedzieć.

Nie słuchał. Wyciągnął rękę do Robbiego.

– A pan to pewnie ten słynny Robbie.

Robbie zrobił zakłopotaną minę.

– Tak jest.

King uśmiechnął się.

– Eversley. Markiz.

Oczy Robbiego stały się okrągłe jak spodki.

– Markiz! – Spojrzał na Sophie. – Czy ty...

– Jeszcze nie – zaśmiał się King, uprzedzając pytanie. – Niestety, przed ślubem chciała powrócić do Cumbrii. Ale przysięgła, że pobierzemy się zaraz po spotkaniu z moim ojcem, księciem Lyne.

Uniósł jej dłoń do ust i zagładając głęboko w oczy Sophie, ucałował końce jej palców.

– Szczerze mówiąc, mam już dość tego czekania. Powinienem się z nią ożenić w chwili, gdy pierwszy raz spotkaliśmy się pod tym żywopłotem, prawda, kochanie?

Sophie zignorowała przyspieszone bicie serca na te niezmiernie romantyczne słowa. Co za aktor. Godny londyńskiej sceny. O co mu chodziło? Co się z nią stanie, kiedy się nie pobiorą? Kiedy jej reputacja zostanie kompletnie zrujnowana po rozstaniu z markizem Eversley?

W odróżnieniu od niektórych dam, nie mogła przebierać w narzeczonych jak w ulęgałkach. Jedyny kandydat do jej ręki był tutaj. I był żonaty z Jane. I wypiekał bułeczki przy rynku.

Szczerze mówiąc, w ogóle nie był żadnym kandydatem.

Powinna być bardziej szczerą ze sobą.

Pewnie King myślał, że będzie mu wdzięczna za ratunek. Szkoda tylko, że postawił ją w tak kłopotliwej sytuacji.

Nie chciała, żeby zobaczył całą tę katastrofę. Nie chciała, by widział, że została sama. Bez domu. Bez żadnego celu w życiu.

Nie chciała, by miał satysfakcję.

Nie chciała, by ją krytykował.

Zaczerwieniła się ze wstydu.

Najlepiej byłoby, gdyby się stąd wyniósł.

Ale on świetnie się czuł w piekarni. Spojrzał na wniebowziętą Jane i powiedział:

– Sophie bardzo zależało na spotkaniu ze starym przyjacielem. – Pochylił się konspiracyjnie i dodał: –

Między nami mówiąc, miała tak wielką ochotę na wasze bułeczki, że nie pomyślała o mnie. Naturalnie, jesteśmy od dawna w podróży, więc jej wybaczam. Takie delikatne damy bardzo łatwo się męczą.

Sophie z trudem powstrzymała się, by nie przewrócić oczyma.

– Oczywiście, milordzie – powiedział Robbie, sięgając po drugą bułeczkę.

– Jesteś lordem? – spytała Alice. Pojawienie się arystokraty okazało się ciekawsze od śniadania.

– Owszem. – King pochylił się do niej. – Jak się masz, miss...

Alice nie rozumiała, o co chodzi, więc Sophie jej pomogła:

– Alice.

– Alice to piękne imię. Dla ślicznej młodej damy.

Alice wybuchnęła śmiechem.

– Nie jestem damą. Ona jest – odpowiedziała, patrząc na Sophie.

– To prawda – przytaknęła Jane. – A niedługo będzie markizą. A potem księżną.

Alice szeroko otworzyła oczy.

– Jezusiu!

– Alice! – skarciła ją Jane, rzucając Sophie przepraszające spojrzenie. – Mała rzadko widuje arystokratów.

Sophie uśmiechnęła się do Kinga, wściekła na siebie, że kiedy patrzy na niego z tą małą, zastanawia się, jak bawiłby się z innymi dziećmi. Z własnymi. Odepchnęła od siebie tę myśl.

– Też wolałabym ich rzadziej spotykać.

King zaśmiał się i wyprostował, doskonale odgrywając rolę kochającego narzeczonego.

Miała ochotę kopnąć go w łydkę i może by to zrobiła, gdyby nie przeszkodził jej Robbie, podając Kingowi paczkę z ciastkami.

– Dwie bułeczki, milordzie.

– Dziękuję. Jest szansa, żebyście się rozstali z trzecią? – spytał King, uśmiechając się do Sophie, wyraźnie zadowolony ze swego występu. – Stangret też pewnie będzie chciał.

– Na pewno – odpowiedziała, z trudem ukrywając irytację. Czy on stąd nigdy nie wyjdzie? – Jesteś bardzo miły.

Pochylił się i szepnął jej do ucha, tak głośno, że chyba całe miasto to słyszało.

– Tylko gdy jestem z tobą.

Mimo wszystko zarumieniła się, ku swemu niezadowoleniu. Żal jej było, że to nieprawda. Żal – to mało. Była na niego wściekła.

– Dziękuję – powiedział do Jane, która pakowała bułki, a potem ku zdumieniu wszystkich dodał: – Zapraszam was na weselne śniadanie. Jako przyjaciół Sophie i moich gości.

Wstyd i niepewność Sophie zmieniły się w otwarty gniew. Nie przeszkadzały jej docinki, ale to było bezczelne, jawne kłamstwo. Nie będzie przecież żadnego śniadania. Za parę minut rozstaną się na zawsze.

– Naprawdę musimy już iść, milordzie. Państwo Lander dopiero rozpoczynają dzień.

– Ja też! – wtrąciła Alice.

– Alice też – potwierdziła Sophie, wdzięczna małej za pomoc.

King przykucnął, żeby porozmawiać z dziewczynką, tak jakby markizowie zawsze zwracali uwagę na dzieci:

– Przepraszam, że zająłem ci tyle czasu, panno Alice.

Dziewczynka skinęła głową.

– Mama obiecała mi dwie bułeczki – wyjaśniła z uśmiechem.

Sophie przekłęta swoje ściśnięte ze wzruszenia serce. Przecież to normalne zareagować na taką czułość dla dziecka. To była urocza scenka.

Szczególnie z jego udziałem.

Co za bzdura.

– Milordzie – powiedziała.

Wstał.

– Prowadź, milady.

Wyszła więc na ulicę, a potem, gdy znaleźli się za osłoną powozu, odwróciła się i zorientowała, że King idzie za nią krok w krok. Stała tuż przy nim, nos w nos, zmrużyła oczy i warknęła:

– Pewnie uważasz, że to bardzo zabawne?

Uniósł brwi, udając niewiniątko.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

Szepnęła wściekle, świadoma, że nieopodal czeka stangret.

– Dokładnie wiesz, o co mi chodzi. Wszedłeś tam i upokorzyłeś mnie kompletnie.

– Upokorzyłem? Pomogłem ci zaręczyć się z markizem. I zostać księżną!

Zamrugnęła. Chyba zwariował. To było jedyne wytłumaczenie. Albo to, albo był zwyczajnie okrutny.

– Tylko że to wszystko jest oszustwem! Co ze mną będzie, jeśli się ze mną nie ożenisz? Kiedy będę tylko jedną z kobiet odrzuconych przez markiza Eversley? Zdaję sobie sprawę, że zrujnowałeś już reputację niejednej damy, ty draniu, ale to nie daje ci prawa, żeby i mnie tak potraktować.

– Jeśli już rozmawiamy o konkretach, to twoja reputacja legła w ruinie w chwili, kiedy wdziałaś liberię i wykradłaś się z balu w moim powozie.

Miał rację.

– Nie interesują mnie konkrety.

Uśmiechnął się z przekąsem.

– Oczywiście.

– Pewnie masz świetną zabawę? Kolejna stuprocentowa wygrana. Możesz ją dopisać do wszystkich życiowych sukcesów. – Otworzył usta, by się bronić, ale nie pozwoliła mu się odezwać, tylko ciągnęła wściekle: – Oczywiście, że bawisz się doskonale, bo cieszyły cię wszystkie moje błędy od początku naszej znajomości. Przez ostatnie dni bez przerwy robiłeś sobie ze mnie żarty, więc czemu nie skorzystać z ostatniej okazji?

Odsunęła się, szeroko rozkładając ramiona.

– Nie przeszkadzaj sobie, Wasza Wysokość. O to właśnie ci chodzi? Chcesz mi pokazać, jak bardzo się myliłam, od samego początku? Chcesz zrobić ze mnie kompletną idiotkę?

– Nie.

Nie zwróciła uwagi na odpowiedź.

– Nie musiałeś tak się starać być miły dla tej małej, uśmiechać się do żony, dogadywać się z Robbiem. I tak czułam się jak idiotka. Myślisz, że nie zrozumiałam swojego błędu? Powinnam zostać w Mayfair. Wykluczenie z towarzystwa było przynajmniej czymś do przewidzenia. A może chcesz to teraz ode mnie usłyszeć? Proszę: wygrałeś. – Splunęła. – Bierz swoją wygraną. Gratulacje. Niestety, nie mam nic miłego do powiedzenia na twój temat. Nie dziś. I w ogóle nigdy. Żegnam.

Z gniewnym sapnięciem odwróciła się, by pójść do pubu, wynająć pokój i pozbyć się na zawsze jego towarzystwa.

– Nie obwiniaj mnie za to – odpowiedział.

Zatrzymała się jak wryta, a potem odwróciła do niego.

– Przez cały czas robiłem tylko to, czego chciałaś. – Podszedł do niej. – To ty chciałaś wyjechać z Londynu. A kto chciał wrócić do Mossband, tak jakby to było życie odpowiednie dla ciebie? Jakby dziesięć lat wśród bogatej, utytułowanej londyńskiej socjety można było oddać za jedną lepłą bułeczkę.

– Nic o mnie nie wiesz – skłamała.

– Wiem, że wymyśliłaś sobie tego chłopaka.

Uniosła brwi.

– Wymyśliłam? Przecież go widziałeś, milordzie. Jest z krwi i kości.

– Wymyśliłaś sobie idealnego partnera, piekarza, który umiera z tęsknoty za tobą. Nie wiem tylko po co, bo on w żadnym razie nie byłby dla ciebie odpowiedni i bardzo dobrze o tym wiesz. Do diabła, ja też o tym wiem, chociaż pierwszy raz widziałem go na oczy.

– Chciałam... – przerwała.

Podszedł jeszcze bliżej.

– Dokończ. Czego chciałaś, Sophie?

– Niczego.

Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę. Byli tak blisko, że widziała srebrzysto-szare plamki w jego pięknych, zielonych oczach. A potem dodał:

– Kłamczucha.

– Lepiej być kłamczuchą niż idiotką – odparła. – Po prostu musiałeś pokazać, że masz rację. Nie mogłeś zostawić mnie w spokoju. Musiałeś udowodnić, że się myliłam. Że nie znajdę tu wymarzonego domu.

– Chciałem się tylko upewnić, czy wszystko jest w porządku – wycedził z irytacją. – Pomyślałem, że będziesz wdzięczna, mogąc pokazać Robbiemu, jak dobrze ułożyło ci się życie. Lepiej niż się spodziewano.

– Oczywiście. Utkwiłam w Mossband bez pieniędzy. Nie mam pojęcia, co ze sobą zrobić. – Przerwała, a potem dodała cicho: – Myślałam, że będę tu mile widziana. Myślałam, że... – Znowu umilkła, więc podrzucił:

– Że co?

– Że będę szczęśliwa.

Tylko że zamiast szczęścia poczuła się samotna jak nigdy w życiu.

– Myślałam, że wreszcie trafię do domu. I będę wolna. – Potrząsnęła głową. – Ale to nie jest dom. Nie wiem, co to jest.

– Przykro mi, Sophie.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Nie przejmuj się. I nie kłam. Możliwe, że działałam pochopnie i jestem głupia, ale do tej pory mi nie skłamałaś. Przynajmniej tyle.

Łzy napłynęły jej do oczu. Bez wahania wziął ją w objęcia, nie dbając o to, że byli na środku miasteczka.

Jej też to nie obchodziło.

Wtulona w niego rozpłakała się na dobre z żalu i rozczarowania. Wiedziała, że wszystko popsuka i może już nigdy tego nie naprawi.

Pozwolił jej płakać i pocieszał ją cicho, szepcząc, że wszystko będzie dobrze. Na moment uwierzyła nawet, że to poczucie bezpieczeństwa nigdy jej nie opuści. Był taki ciepły. Taki ciepły i dobry. Gdyby go nie znała lepiej, czułaby się jak w raju.

Tylko że szybko wróciła do rzeczywistości. On nigdy nie będzie jej.

Odsunęła się, wyprostowała i otarła łzy.

Gdy na niego spojrzała, okazało się, że jest mu tak samo głupio, jak jej.

– Za bardzo polegam na tobie, milordzie. Otaczałeś mnie niezwykłą opieką podczas całej tej eskapady. Ale to już koniec. Wynajmę sobie pokój nad gospodą. Kiedy przyjadą po mnie ludzie ojca, wrócę z nimi. Ta cała wyprawa była pomyłką.

– Bujda – odpowiedział cicho. Zaskoczył ją tym. – To było marzenie. Marzenie o życiu, jakie

chciałabyś mieć. Przecież wciąż jeszcze możesz być wolna.

Obserwował ją przez dłuższą chwilę. Potem pokręcił głową.

– Nie będziesz przecież mieszkać nad pubem.

– Nie mam wyboru.

– Pojedziesz ze mną do Lyne. Do zamku.

Ogarnęło ją zakłopotanie i... chyba pożądanie, choć nigdy by się do tego nie przyznała.

– Po co?

Wsadził ręce do kieszeni i zakołysał się na piętach.

– Mogę ci podać co najmniej dwa dobre powody. Po pierwsze, będziesz bezpieczna, do chwili, kiedy obmyślisz, co chcesz robić dalej. Nie po to uciekaliśmy przed ludźmi twojego ojca, żebyś musiała po takim drobnym potknięciu od razu zmieniać decyzję.

To wcale nie była drobna potyczka, tylko koszmarne pomyłka.

– A drugi powód?

– Mam dla ciebie propozycję. Nie zabierze ci dużo czasu, a możesz na niej wiele zyskać.

Zmarszczyła brwi.

– Poświęć mi kilka dni, a ja dam ci dość pieniędzy, żebyś mogła sobie kupić za nie to twoje upragnione szczęście.

Zamrugła. Propozycja była kusząca.

– Ale mnie jest potrzebna duża kwota.

– Na szczęście dla ciebie, mam bardzo dużo pieniędzy. A niedługo będę miał jeszcze więcej.

– Dasz mi tyle, żebym nie musiała nigdy wracać do Londynu?

Pochylił głowę.

– Jeśli tak sobie zażyczysz. Dość, żebyś mogła kupić sobie księgarnię. Gdzie tylko zechcesz.

Wciąż miała wątpliwości.

– Dlaczego chcesz mi pomóc?

Przez chwilę miała nadzieję, że King powie coś miłego. Że zaczął ją lubić. Nadzieja buchnęła szybkim, groźnym płomieniem. Ale jego odpowiedź była w zupełnie innym tonie.

– Bo jesteś moją idealną zemstą.

Zmrużyła oczy, czując, jak narasta w niej przerażenie.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– To bardzo proste. – Otworzył drzwi do powozu i wskazał gestem, by wsiadła. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo zabolą ją jego następne słowa. – Przedstawię cię ojcu. Jako moją przyszłą żonę.

Znieruchomiała.

– Nie mówisz chyba poważnie.

– Owszem. Przez cały zeszły tydzień udawaliśmy małżeństwo; zaręczyny nie będą dużo trudniejsze.

Zresztą, już zaczęliśmy.

– Powiedziałaś to Robbiemu nie ze względu na mnie, tylko ze względu na siebie!

Potrząsnął głową.

– Ze względu na nas. To będzie bardzo dobre dla nas obojga.

Serce jej się ścisnęło na te słowa, ale zignorowała to.

– Namawiasz mnie, żebym okłamała księcia.

– Mojego ojca.

Zamrugła.

– Myślałam, że chcesz go przekonać, że się nigdy nie ożenisz.

– Bo się nie ożenię – odpowiedział. – Nie zamierzam się przecież z tobą żenić.

Nie powinno ją to tak zboleć. Przecież ani przez chwilę nie sugerował, że łączy ich coś więcej niż wspólna podróż.



Za wyjątkiem ostatniej nocy spędzonej w powozie.

Odsunęła od siebie tę myśl. Przecież i tak nie miała ochoty za niego wychodzić. No, ale mimo wszystko...

– Nie rozumiem, jakim cudem kobiety uważają cię za uroczonego człowieka.

Powtórzył, jakby to coś wyjaśniało:

– Nie zamierzam się z nikim żenić, Sophie. Wiesz o tym.

– Czy to znaczy, że zmieniłeś zdanie? Chcesz, żeby umierający starzec poczuł się lepiej? – zapytała, choć z góry znała odpowiedź.

– Nie.

Jesteś moją idealną zemstą.

– Bo jestem jedną z Feralnych Sióstr. Niech Bóg broni kogokolwiek z fortuną i tytułem żenić się z Talbotką.

Znieruchomiał na te słowa. Ciekawe, czy zauważył jej irytację. I ból.

– Sophie...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

– Nie, nie. Oczywiście. Twój wspaniały, arystokratyczny ojciec będzie bez wątpienia wstrząśnięty, że upadłeś tak nisko, by się ze mną ożenić. Jestem nisko urodzona, z prostej rodziny i brak mi klasy. Mój ojciec wygrał tytuł w karty, co w najlepszym razie czyni nas uzurpatorami tytułu i przywilejów.

– On wierzy w takie rzeczy.

– Tak jak i jego syn.

Otworzył szeroko oczy, a potem zmrużył je w gniewie.

– Nie wiesz, o czym mówisz!

– Nie? – spytała w nagłym przypiływie odwagi. – Myślę, że dokładnie wiem, o czym mówię. To nie troska o moją przyszłość cię tu trzyma. To nie z dobrego serca wszedłeś do tej piekarni, żeby mnie uratować. Nie proponujesz mi tego, bo chcesz, żebym była wolna.

– Nieprawda.

– Czyżby? Czy gdybym była inną kobietą, o lepszej reputacji i bardziej błękitnej krwi, złożyłbyś mi taką propozycję? – przerwała. On także milczał. – Oczywiście, że nie, bo taka kobieta nie rozdrażniłaby twojego ojca tak jak ja.

– Sophie. – King miał przynajmniej tyle wyczucia, że posmutniał.

Nie życzyła sobie tego.

– Z drugiej strony, przed nią nie stanęłaby taka szansa, jak przede mną. Nie wychowano mnie po to, żebym dobrze wyszła za mąż, lordzie Eversley. Nikt mi nie dał po urodzeniu srebrnej łyżeczki, która zmienia was w wyniosłych bufonów. Świetnie! Chcesz przedstawić ojcu Smolucha? To będziesz miał Smolucha!

Chwyciła framugę powozu i wskoczyła do środka, nie czekając, aż King jej pomoże.

## **14. Królewski nicpoń i węglarka: Wojna? Czy coś więcej?**

**Bez** wahania wsiadł za nią, zamykając ich oboje w ciasnym wnętrzu powozu. Poczekał, aż ruszą w drogę, a potem odezwał się z gniewem, irytacją i niemałym zakłopotaniem:

– Zdaje mi się, milady – zaczął, przeciągając jej tytuł, żeby ją rozdrażnić – że zapomniałaś, ile dla ciebie zrobiłem przez ten tydzień.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Oświeć mnie.

– Być może zechcesz zauważyć, że miałem własne plany. Jechałem na północ w sprawie niecierpiącej zwłoki.

Uniosła brew.

– Owszem. Aby wymierzyć ostateczną karę ojcu leżącemu na łożu śmierci. Jakże szlachetnie.

– Gdybyś знаła mojego ojca...

– Ale nie znam – odparła nonszalancko, sięgnęła do koszyka leżącego obok niej i wyjęła książkę. –

Szczerze mówiąc, milordzie, aktualnie nie darzę cię szczególną sympatią, więc jeśli chcesz zdobyć moje współczucie, to zachowaj swoje opowiadki na bardziej sprzyjający moment.

Żadna kobieta nie potrafiła go tak doprowadzić do szału jak ona.

– Dawałem ci wszystko, czego tylko chciałaś, przywiozłem cię do tego cholernego Mossband, zamiast zapakować cię w powóz do Londynu, kiedy tylko odkryłem twoją obecność. Powinienem cię potraktować jak bagaż. Zamiast tego chroniłem cię przed pogonią twojego tatusia. Aha, i jeszcze jedno. Uratowałem twoje cholerne życie.

– Szczerze mówiąc, trudno uwierzyć, żeby życie Smolucha warte było aż takiej fatygi. – Spokojnie otworzyła książkę. – Wybacz, że naraziłam cię na stratę czasu.

Rozsiadł się wygodnie i spojrzał na nią.

Do jasnej cholery. Przecież nic nie stracił. W żadnym wypadku. Szczerze mówiąc, za nic nie oddałby ani jednej chwili z minionego tygodnia. Choć Sophie była najtrudniejszą kobietą na całym bożym świecie.

– Sophie – zaczął, chcąc ją ułagodzić.

Nic z tego. Przewróciła kartkę i powiedziała chłodno:

– Nie martw się, milordzie. Twój umierający ojciec będzie pełen niesmaku. Sprawię, że będzie niecierpliwie wyczekiwał śmierci. A kiedy dostaniesz swoją idealną zemstę, natychmiast się rozstaniemy. Bez żalu.

Wpatrywał się w nią długą chwilę, a potem odpowiedział cicho:

– Wiesz, że tobą nie gardzę.

Przewróciła kolejną stronę.

– Za to, że jestem zbyt wielką prostaczką jak na twój perfekcyjny styl życia? I że w głowie się nie mieści, że mogłabym być normalną żoną? Aż trudno zrozumieć, jak ty się nie brzydzisz oddychać tym

samym powietrzem, co ja.

Cholera. Nie o to mu chodziło.

– Nie uważam cię za prostaczkę.

Zaczęła gniewnie kartkować książkę.

– Trudno w to uwierzyć, bo przez cały czas naszej znajomości wypominałeś mi mój prostacki wygląd.

– Znowu przewróciła kartkę. – Moją prostacką przeszłość. – I następną. – Moją prostacką rodzinę. – Jeszcze jedną. – Mój prostacki charakter. – Kartka za kartką. – Naprawdę, milordzie, nie sposób było tego ująć wyraźniej. Byłeś tak dosadny, że uznałam cię za kompletnego durnia.

Znieruchomiał.

– Jak mnie nazwałaś?

– Jestem pewna, że nie uskarżasz się na wady słuchu.

Znowu przewróciła kartkę.

Pochylił się i wyrwał jej książkę z rąk.

Posłała mu gniewne spojrzenie, skrzyżowała ręce na piersi i splunęła.

– Będę szczęśliwa, gdy wysiądę w końcu z tego powozu.

– Nie mam pojęcia czemu – odparował. – Ja go polubiłem.

Nie zabrzmiało to aż tak sarkastycznie, jak chciał. W rzeczy samej, całkiem go polubił. To była najlepsza podróż od czasu wyjazdu do Londynu. Lepsza od wszystkich przejazdów z dzieciństwa. Tylko że powóz nie miał nic do rzeczy.

To ona wszystko zmieniała.

Myśl ta niezbyt go uszczęśliwiła. Wcale nie chciał czuć się dobrze w jej obecności.

Ta podróż nie miała być miłą, tylko bolesną. Dla ojca. Jechał do domu, by być świadkiem jego śmierci. By go ostatecznie ukarać za manipulowanie życiem syna. Sophie miała być tylko środkiem do celu, niczym więcej.

Nie mogła być niczym więcej.

W jego życiu nie było na to miejsca.

Nie była jego problemem.

A szkoda.

Westchnął, zły i zirytowany, i poprawił się na siedzeniu. Rzeczywiście, wyszedł na durnia. Obrażał ją od samego początku, choć wcale na to nie zasługiwała. Zasługiwała na kogoś lepszego niż on. Myśl ta tłukła mu się po głowie, gdy powóz nieubłaganie toczył się do Lyne.

Sophie zasługiwała na lepszy los.

Spojrzał na nią. Siedziała wyprostowana jak kołek. Mijały minuty, a on wpatrywał się w nią w tej okropnej sukni. Będzie musiał znaleźć jakąś krawcową. Kupi jej całą szafę sukni.

Tylko że w pobliżu nie było żadnej krawcowej.

Pośle po nią do Edynburga. Nawet do Londynu, jeżeli będzie trzeba.

I buty. Każe zrobić dla niej z sześć par na miarę, ze skóry i zamszu, wedle najnowszej mody. Jedna para będzie sznurowana, do pół łydki.

Takie mu się podobają.

Wyobraził sobie, jak będzie rozsznurowywał taki bucik, a potem odegnał tę myśl od siebie. Nigdy nie widział jej w porządnej sukni, tylko albo w liberii, albo w niedopasowanych, cudzych sukienkach. Pewnie na tym balu u hrabiny miała jakąś normalną suknię, ale on był wtedy zajęty schodzeniem po trejażu i ucieczką, więc niezbyt dobrze jej się przyjrzał.

Zapatrzył się tam, gdzie dekolt przysłaniał jej piersi, potem prześliznął się wzrokiem wzdłuż długiej szyi, po policzku i różowych wargach.

Zrobił z siebie durnia.

I to pewnie nie raz. Nie pamiętał, że tańczyli ze sobą na jakimś balu. Trudno sobie wyobrazić, że jej

nie zapamiętał. Nie zapamiętał jej dotyku ani tego kuszącego ciała w jego ramionach. Nie zapamiętał, że pachniała mydłem i słońcem. Nie zapamiętał jej mądrych uwag, dowcipnych ripost i odwagi, z jaką stawała wobec świata.

Chryste. Po tym, co przeżyli, już nigdy jej nie zapomni.

Nawet kiedy ona zapomni o nim i zbuduje sobie nowe, własne życie. Nawet kiedy on zapewni jej szczęście, o którym tak marzyła.

Nigdy jej nie zapomni.

Przepraszam... tak bardzo chciał powiedzieć to do niej. Zacząć od nowa. Wyznaczyć inne role w tej szalonej podróży – nie mężczyzny i pasażerki na gapę, nie damy i jej pomocnika, tylko po prostu Kinga i Sophie... takimi, jakimi naprawdę są.

Oczywiście, to było niemożliwe.

Sophie znienawidziła go szczerze. A on nigdy nie będzie jej godny.

Nie było w niej nic prostackiego.

Powinien jej to powiedzieć od razu. Albo teraz. Zanim skręcą na podjazd zamku Lyne i okazja przeminie.

Tylko że ona jest teraz tak wściekła, że na pewno mu nie uwierzy. Może tak będzie najlepiej. Dobrze, że ją tak rozgniewał, bo będzie mogła odejść od niego bez żalu. Będzie nawet tego chciała.

Powóz zjechał z głównej drogi. King wyjrzał przez okno, świadom, że coraz bardziej zbliżają się do zamku – miejsca, które zdominowało jego przeszłość i przyszłość. Gdzie ojciec być może leżał już w trumnie.

Spojrzał na Sophie, która nagle wydała mu się bezpieczną przystanią w czas sztormu.

– Jesteśmy już prawie na miejscu.

Wygładziła suknię.

– Przed spotkaniem z twoim ojcem muszę się wykapać i przebrać. Wprawdzie rozumiem, że ta suknia doprowadziłaby go do szału, zgodnie z twoim życzeniem, ale nie zamierzam go powitać w źle dopasowanej odzieży, która wygląda, jakbym jej nie zmieniała przez tydzień. Nawet Talbotka wie, jak się zachowywać w obecności książąt.

Skinął głową.

– Mam nadzieję, że będziesz też mogła się wyspać. Powinnaś wypić swoje zioła.

Gdyby nie był w nią tak wpatrzony, nie zauważyłby, że na moment wstrzymała oddech. Oddałby fortunę, żeby poznać jej myśli.

Tylko że ona odwróciła się do okna, jakby Kinga nie było w pojeździe. Skręcili raz i drugi i na horyzoncie pojawił się zamek. Jego serce zabiło mocniej i szybciej na widok szarych kamiennych murów. Powóz zatrzymał się przed domem, w którym spędził całe dzieciństwo.

Nie potrafił nazwać uczucia, jakie go ogarnęło. Chyba to był smutek.

Popatrzył na Sophie. Miał ochotę powiedzieć jej, jak mu jest przykro.

Zamiast tego otworzył drzwiczki i wysiadł na spotkanie z wielkim behemotem. Ogarnęły go wspomnienia: zapach zielonych wzgórz Cumbrii, które rozciągały się aż do rzeki Esk z jednej strony i do granicy ze Szkocją z drugiej; pozostałości Muru Hadriana, które dla dziecka wydawały się strome jak góry; ciepłe jedzenie i serdeczne słowa Agnes, zamkowej gospodyni, która była namiastką pani tych włości i namiastką jego matki; ojciec, surowy i uważny, mający tylko jeden cel w życiu: wychować przyszłego księcia.

I Lorna. Złotowłosa, blada, pełna obietnic: miłości, przyszłości, życia ponad tytułami i majątkami. Szczęścia.

Byli tacy młodzi. Nie zdawał sobie sprawy, że żadna z tych obietnic się nigdy nie spełni.

Odsunął od siebie wspomnienia. Objął Sophie w pasie, by pomóc jej wysiąść. Popatrzyła na kamienne mury zamku, a potem na niego.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

Troszczyła się o niego nawet teraz, gdy była tak zirytowana. Wziął głęboki oddech, który do tej pory wstrzymywał. Spojrzał w jej błękitne, gniewne oczy. Przez chwilę zastanawiał się, co by zrobiła, gdyby pochylił się i pocałował te różane usta. Pragnął tego pocałunku od świtu. Długo smakowałby delikatną, miękką skórę, przypominając sobie jej smak. Wypełniając pustkę, jaką zostawiły wspomnienia z młodości.

Wiedział, że nie powinien całować jej w tym miejscu, gdzie wspomnienia wzały się w starodawne mury. Puścił ją więc.

– Mniej więcej tak, jak się spodziewałem – odpowiedział.

Do wtóru jego słowom rozległ się przenikliwy okrzyk. Odwrócił się i spostrzegł w oddali wielkiego siwego konia i sforę psów. Zmrużył oczy, by rozpoznać jeźdźca. Był wysoki, siwowłosy, a jego rumiane policzki emanowały energią.

To niemożliwe.

– Cholera – szepnął.

– Kto to jest? – spytała Sophie. Jej cichy głos tuż przy jego ramieniu byłby dla niego miłą niespodzianką w innych okolicznościach. Poczuli się jak ktoś jej bliski.

Teraz był zbyt wściekły, żeby cieszyć się czymkolwiek.

– To jest księżę Lyne.

– Twój ojciec?

– Nie inaczej.

– Nie wygląda na umierającego – stwierdziła. Był niemal pewny, że dosłyszał w jej głosie zadowolenie.

– Księżę życzy sobie twojego towarzystwa przy kolacji.

Sophie stała w drugim końcu swojego pokoju i podziwiała wspaniały widok przez okno.

Po przyjeździe wykapała się, a potem przespała większą część dnia we wspaniałym, cudownie wygodnym łóżku. Kiedy się obudziła, ujrzała wybór sukni, bez wątpienia pożyczonych od kogoś. Kilka nawet na nią pasowało.

Pokojówka pomogła jej się ubrać, a potem zostawiła samą. Z okna widać było labirynt, a za nim łagodne wzgórza Północy w blasku letniego słońca. Właśnie zastanawiała się, co robić dalej, kiedy King zastukał do drzwi i wszedł, zanim zdążyła odpowiedzieć.

Odwróciła się do niego, z tym samym gniewem, który ogarnął ją rano, kiedy King dał jej do zrozumienia, że jest dla niego tylko skandalistką i niczym więcej.

W dalszym ciągu starała się traktować to obojętnie i zapomnieć o poprzednim wieczorze, o tym, jak King ją całował, pieścił i szeptał jej imię w ciemności.

Spojrzała mu w oczy, zła, że na jego widok serce mocniej zabiło jej w piersi.

– Tylko mojego?

Oparł się o framugę.

– Niestety nie. Chce nas widzieć oboje.

Spojrzał na jej zranione ramię.

– Dobrze się czujesz?

Uśmiechnęła się tak promiennie i fałszywie, że siostry byłyby z niej dumne.

– Właśnie zaproszono mnie na kolację w towarzystwie dwóch mężczyzn, którzy mną gardzą, więc od razu poczułam się lepiej.

Spojrzał wymownie.

– Chodziło mi o twoje ramię. Poza tym, nie gardzę tobą.

Zignorowała tę ostatnią uwagę.

– Zioła i miód przynoszą dobre efekty.

– Kąpałaś się?

Zarumieniała się.

– Wprowadź to nie twoja sprawa, ale tak.

– To moja sprawa.

– Bo jeśli umrę, to nie uda ci się zemsta?

Zmrużył oczy.

– Nie obchodzą mnie twoje docinki.

Kolejny uśmiech.

– A ja tak się staram, żeby moje sprawy choć trochę cię obeszły.

Zbliżyła się do niego.

– Czy powiedziałaś ojcu, że przyjechałaś z jedną z Feralnych Sióstr?

Spojrzał na korytarz i wszedł do środka, zamykając drzwi.

– Jeszcze nie – odparł cicho. – Ale wkrótce sam się zorientuje.

– Pasuję do roli? – spytała, wiedząc, że zdziałała tyle, ile mogła, bez kosmetyków swoich sióstr pod ręką.

– Wyglądasz pięknie.

Z wielkim skupieniem zmarszczyła brwi.

– Jesteś pewny? Takie kobiety jak ja nie bardzo wiedzą, jak się zachować na kolacji u księcia. Zbyt prostacko nas wychowano.

Zaklął pod nosem.

– Przestań.

Zamrugwała.

– Co takiego?

– Ponizac się.

– Do głowy by mi to nie przyszło.

– Owszem, właśnie ci przyszło. Wcale nie uważasz się za gorszą ode mnie. Równie dobrze mogłabyś twierdzić, że zaraz rozłożysz skrzydełka i odleciec. Doskonale wiesz, że jesteś lepsza od większości z nas.

Otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć, ale zaraz je zamknęła, uderzona nieoczekiwanymi słowami. Kim jest ten człowiek, który najpierw ją obraża, by po chwili zrobić coś dokładnie odwrotnego?

– Zasługujesz na lepsze towarzystwo niż nasze – mruknął na koniec.

– To akurat jest prawda.

Szkoda tylko, że tak trudno w to uwierzyć.

– Zastanawiałam się nad naszą umową – dodała. Podeszła do lustra i zrobiła całe przedstawienie, szczypiąc się w policzki, by poróżnowiały. Widziała, jak Sesily stosuje ten sposób przed wyjściem do swoich adoratorów. Tłumaczyła, że mężczyźni lubią, kiedy kobieta wygląda, jakby przed chwilą o nich śniła.

Paradoksalnie, zrobiłaby wszystko, żeby Kingowi nie przyszło do głowy coś takiego.

Obserwował ją w lustrze ze swego miejsca pod drzwiami, więc ostentacyjnie poprawiła dekolt, żeby przyciągnąć jego uwagę do swych obfitych piersi, które i tak niemal wylewały się z sukni. Chciał mieć Smolucha, będzie miał Smolucha.

– Tylko nie mów, że się wycofujesz – odpowiedział.

– Nie odważyłabym się. Talbotki dotrzymują słowa. Ale pomyślałam sobie, że mając pieniądze ojca, nie potrzebuję twoich. Wolałabym, żebyś mi dał coś innego.

Zmarszczył brwi tak szybko, że chyba tego nie zauważyła, gdyby nie wpatrywała się w niego z taką

uwagą.

– Co masz na myśli?

Zagryzła wargi raz i drugi, żeby poczerwieniały i lekko opuchły. Tak. Sesily byłaby bardzo dumna.

– Chciałabym, żebyś zrujnował moją reputację.

– Co to ma znaczyć, do diabła?

– Jesteś w tym mistrzem, milordzie. Podejrzewam, że doskonale wiesz, o co chodzi.

Podszedł do niej i odezwał się dużo cichszym, gardłowym głosem:

– Jak dokładnie chciałabyś, żebym cię zrujnował?

– A jak rujnujesz inne? – Otworzył szeroko oczy, więc machnęła ręką. – Nieważne. Przez ostatni tydzień byliśmy cały czas sam na sam, bez przyzwoitki, a ostatniej nocy...

– Nie rób tego – powiedział.

Spojrzała na niego. Naprawdę spojrzała, po raz pierwszy od rozmowy w Mossband. Coś w jego wzroku nie pozwoliło jej dokończyć zdania na temat poprzedniej nocy. Kazało jej uwierzyć, że ta noc coś dla niego znaczyła. Tak samo jak dla niej.

– W każdym razie chcę być tak zrujnowana, żeby nikt nie mógł się ze mną ożenić. Wtedy będę mogła zacząć nowe życie. Założę księgarnię w jakimś spokojnym miejscu i będę niezależna. Wolna.

– Wolna od czego? – zapytał.

– Od tego wszystkiego – odpowiedziała, nie potrafiąc ukryć prawdy w swoim głosie. – Od plotek. Od arystokracji. Od wszystkiego, czym gardzę.

– Ode mnie.

Nie.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, co do siebie czujemy.

Milczał przez chwilę. Ciekawa była, co myśli.

„Przecież nawet się nie lubimy”. Chciała mu przypomnieć te słowa.

Sobie też.

Przerwał milczenie i sam jej o tym przypomniał.

– Umowa stoi. Zniszczę twoją reputację publicznie, jeśli tego chcesz.

Tak jest. Chcę wolności, która się z tym wiąże.

Skinął głową.

– Rozegraj to dobrze, lady Sophie, a rozstaniemy się, zanim się zorientujesz, że byliśmy ze sobą.

Tylko że ona już się w tym zorientowała. Poprzedniego dnia, kiedy pędzili powozem, byle dalej od gospody Pod Czyżykiem, a potem ostatniej nocy, kiedy całował ją tak, że o mało co nie zwariowała z rozkoszy. I dziś rano, kiedy zranił ją bezmyślnie i boleśnie.

Byli ze sobą i budziło w niej to jednocześnie szczęście i niechęć. Strzepnęła suknię.

– Czy już czas na kolację?

Przesunął spojrzeniem po ciemnoniebieskiej, niemal fioletowej tkaninie.

– Pięknie ci w tym kolorze.

Zmusiła się, by się nie zarumienić, ale bez skutku. Odwróciła wzrok.

– Ten odcień nazywa się królewskim.

W sam raz dla Kinga.

Spojrzała na niego. On także ją obserwował.

– Jest piękna, może tylko trochę za krótka.

Oczywiście, znowu ją obraził.

– No cóż, tym razem również nie miałam wielkiego wyboru. Zresztą, niezbyt mi zależy na oszołomieniu towarzystwa dziś wieczór.

– Chętnie zobaczyłbym cię w sukni, która na ciebie pasuje. Zaslugujesz na to. Tylko to chciałem

powiedzieć.

W jego słowach brzmiało autentyczne zaskoczenie. Rozzłościła się, że jednak nie chciał jej obrazić i że ją to uszczęśliwiło. Jego słowa też ją rozzłościły.

Przeszła przez pokój, zachowując idealne wyprostowaną sylwetkę i stanęła ledwie o kilka cali od niego.

– Nie masz pojęcia, na co ja zasługuję.

Na moment stracił rezon, ale potem powiedział:

– Na pewno na coś lepszego niż na to.

Oddech zamarł jej w piersiach na te słowa, które nie brzmiały jak docinek, tylko szczerą, otwartą uwagę. Przypomniała sobie, że nie może traktować go jak bliskiej osoby, której słowa coś znaczą. Nie może sobie wyobrazić, że jemu na niej zależy. Że ją docenia. Wydarzenia dzisiejszego poranka dowiodły, że tak nie jest. Wcześniejsza rozmowa też to potwierdzała. Przeszła obok niego i otworzyła drzwi.

– Im prędzej rozpoczniemy tę grę, tym prędzej ją skończymy.

Odwrócił się, ale nie ruszył za nią od razu. Mierząc ją spojrzeniem, przypomniał:

– Pamiętaj, Sophie: bez współpracy nie ma deprawacji.

Posłała mu swój najbardziej olśniewający uśmiech i przytaknęła.

– Pełna współpraca.

Poszli długimi, ciemnymi zamkowymi korytarzami ku schodom, zeszli do jasno oświetlonego holu, a potem do jadalni – ogromnej kamiennej sali udekorowanej starożytnymi zbrojami i średniowiecznymi gobelinami. Blask olbrzymich żyrandoli oświetlał najdłuższy stół, jaki Sophie widziała w życiu. Na ciężkich krzesłach z wysokimi oparciami na pewno mogłoby przy nim zasiąść ze czterdzieści albo nawet pięćdziesiąt osób. Tę salę urządzono po to, by wywoływała respekt. Sophie zatrzymała się przy drzwiach.

King w jednej chwili znalazł się przy niej. Ujął ją pod ramię, domyślając się, co czuje.

– On nie bez powodu wybrał tę salę – szepnął tak cicho, że ledwie go dosłyszała. – Chce cię zastraszyć. Nie pozwól na to.

Przez chwilę miała wrażenie, że chce ją pocieszyć. Dodać jej poczucia wartości, zagubionego w tej bezdusznej, kamiennej pustce. Ale zaraz się z tego otrząsnęła. King po prostu nie chce oddać ojcu przewagi. Zrobi wszystko, żeby wygrać, włącznie z pochlebstwami.

Uśmiechnęła się i napięła ramiona, w ogóle nie dbając o księcia. Chciała tylko, by King nie zauważył, jak jej tu źle. Odpowiedziała cicho:

– Nie tak łatwo jest przestraszyć Talbotkę.

Po przeciwnej stronie stołu stał książę Lyne, wysoki i przystojny pomimo srebrnej siwizny na skroniach i zmarszczek w kącikach zielonych oczu, o identycznym odcieniu jak u Kinga.

Wskazał im miejsca do siedzenia w połowie stołu, gdzie przy krzesłach czekali już lokaje. Przez cały czas lustrował ich wzrokiem.

– Witam. Siadajcie.

To nie była prośba, tylko polecenie. Żadnych ceremonii przy powitaniu. Nawet cienia uprzejmości.

Sophie najchętniej zawróciłaby od razu i wyszła, ale mimo wszystko usłuchała.

King odezwał się:

– Nie masz ochoty zapoznać się z lady Sophie?

– Mam wrażenie, że porozmawiamy ze sobą po posiłku, prawda?

Kiedy książę to powiedział, Sophie właśnie podchodziła do stołu. Jego słowa były chłodne i co najmniej obojętne. W zasadzie skrajnie niegrzeczne. Zirytowana tym, ku zdumieniu wszystkich wyminęła lokaja, który już jej odsuwał krzesło. Książę otworzył szeroko oczy.

– Po co to odwlekać, Wasza Wysokość? – wygłosiła z szerokim uśmiechem, który podpatrzyła u Seleste. Oszalał nawet najtwardszych arystokratów. Wyciągnęła do niego rękę i opadła w



perfekcyjnym dygu. – Lady Sophie Talbot. *Enchanté*.

Francuski podbija serca ludzi, powtarzała Seleste.

Ale nie serce księcia Lyne. Spojrzał na nią z góry.

– No cóż, Aloysiusie, pewnie wielką dumą napawa cię fakt, że twój gość ma takie same maniery jak ty.

Sophie wyprostowała się, siłą woli odpędzając zakłopotanie. Talbotki nie wstydzą się niczego. Jej siostry w ogóle by się nie przejęły niechęcią tego człowieka.

Poza tym nic w tej sytuacji nie dotyczyło jej osobiście. Ten pojedynek rozgrywali tylko King z ojcem. Ona była pionkiem. Gdyby stała się niewidzialna, wydarzenia potoczyłyby się tak samo.

Ignorując ich obu, usiadła na swoim miejscu.

Podano jej zupę z porcelanowej wazy. Nie nalał jej lokaj, tylko piękna starsza kobieta, która, sądząc z wyglądu, była zamkową gospodynią.

Księżę obrócił się na pięcie i zasiadł u szczytu stołu, lustrując Sophie zimnym spojrzeniem.

– Talbot. Chyba znałem pani ojca.

– Wiele osób w Cumbrii go zna.

Kobieta przeszła na drugą stronę stołu, by obsłużyć Kinga.

– Witaj, Agnes – rzekł.

Obdarzyła go ciepłym uśmiechem.

– Witaj w domu, milordzie.

Uśmiechnął się w odpowiedzi. Sophie rzadko kiedy widywała taką otwartość na jego twarzy.

– Przynajmniej ty dajesz mi odczuć, że jestem w domu.

Położyła dłoń na jego ramieniu tak ulotnym gestem, że Sophie nie była do końca pewna, czy to się w ogóle zdarzyło.

– Ma dryg do znajdowania węgla – powiedział ostro księżę. Sophie spojrzała na niego. W dalszym ciągu mówił o jej ojcu.

– Nie jestem pewna, czy to talent – odpowiedziała. – Po prostu pracuje ciężiej od wszystkich znanych mi osób.

Doskonale wiedziała, że arystokracja nie ceni ciężkiej pracy. Od dziecka się o tym przekonywała. Przypomniała sobie, jak kiedyś na balu grupka arystokratycznych dam naigrawała się z rąk jej ojca – takich prostackich, popękanych od wiatru i pokrytych odciskami.

– Powinien nosić rękawiczki, kiedy bywa w Londynie – wydziwiała jedna z nich.

– W ogóle nie powinien bywać w Londynie, w rękawiczkach, czy bez – odpowiedziała inna i wszystkie wybuchnęły śmiechem.

Sophie znenawidziła ich za te słowa. Za obelgi. Za to, że bardziej ceniły wygląd niż pracę. I snobizm niż honor.

– Ma dryg do węgla – upierał się księżę. – I do robienia kariery. – Przerwał na chwilę. – Jego córki także, jak widać.

Sophie spojrzała na Kinga. Wbijał wzrok w księcia, który dodał:

– Mogłeś napisać, że przyjedziesz w towarzystwie.

King pociągnął solidny łyk wina.

– Mogłeś napisać, że nie jesteś umierający – odpowiedział.

Księżę posłał mu lodowate spojrzenie.

– Nie chciałem cię rozczarować.

Sophie obserwowała na zmianę ich uparte, zacięte twarze. King zaśmiał się ironicznie.

– Powiniennem to odgadnąć. Rozczarowanie to nieodłączna część mojej spuścizny po tobie.

Sophie szeroko rozwarła oczy na te gorzkie słowa.

Księżę nawet nie drgnął.

– Pomyślałem, że jeśli ci doniosą, że mój czas się kończy, to wrócisz. Musimy porozmawiać. Już czas.

King wzniósł kielich w toaście.

– Więc wróciłem. Syn marnotrawny. – Spojrzał na Sophie. – I córka.

Z tyłu rozległo się ciche sapnięcie. Odwróciła się. Za nią stała gospodyni, chłonąc całą scenę szeroko otwartymi oczyma.

Księżę poprawił się na krześle.

– A więc jesteście małżeństwem.

– Narzeczeństwem – poprawiła Sophie natychmiast. Nie pozwoli, żeby ci dwaj mężczyźni wpakowali ją jeszcze głębiej w całą tę kabałę.

– Na razie – dodał King, posyłając jej uwodzicielski uśmiech.

Księżę również się napił, przez dłuższą chwilę smakując wino.

– Więc taki był twój plan, co? Wrócić do domu ze Smoluchem u boku?

Sophie odłożyła łyżkę. Nie powinny jej zaskoczyć te słowa i przezwisko, ale jednak ją zabolowały. Księżę wyraźnie nie bawił się w ceregiele, w odróżnieniu od reszty arystokracji. Choć jego słowa były odpychające, przynajmniej powiedział je na głos, otwarcie i bez zakłopotania. Spodobało jej się to.

Tym bardziej, że nie było w nich tajonej satysfakcji, z którą tak często wypowiadano jej imię.

King znieruchomiał, bez wątpienia zaskoczony i zirytowany, że księżę w parę minut przejrzał jego idiotyczny plan. Skłamałaby, udając, że nie sprawiło jej to przyjemności. Ktoś tak arogancki jak markiz Eversley bez wątpienia zasługiwał, by mu od czasu do czasu utarło nosa. Ponieważ księżę odkrył ich plan, uznała, że nie wiąże jej już umowa i może robić, co chce. Z radością przyjmie na siebie odium swoich sióstr i ich reputacji, jeśli dzięki temu zostanie świadkiem porażki Kinga.

Trzasnął pięścią w stół, aż zadzwoniły naczynia. Spojrzała na niego, zdziwiona, że postanowił zdwoić wysiłki i w dalszym ciągu traktować ją jak kogoś ważnego dla siebie.

– Nazwij ją tak jeszcze raz, a nie odpowiadam za swoje czyny. – Na to na pewno nie była przygotowana. – Nie pozwolę ci na powtórkę. Nie pozwolę ci przegnać mojej drugiej wybranki.

Drugiej wybranki.

Sophie wzięła głęboki oddech.

– Tak więc od razu przechodzimy do sedna sprawy – stwierdził księżę, gestem polecając, by lokaj dolał mu wina. – Twoja najdroższa ukochana.

Zwrócił się do Sophie.

– Naturalnie, nie chodzi o panią.

Nie odwróciła wzroku od Kinga. Pomimo milczenia, nie potrafił ukryć swoich emocji.

Ciekawe, że kilka dni wcześniej tłumaczył jej, że miłość to nie bajka ani poezja.

Nie pytała, w jaki sposób księżę skrzywdził jego wybrankę, ale i tak jej odpowiedział:

„Równie dobrze mógłby jej przystawić lufę do skroni”.

Wielki Boże.

Nieświadom jej myśli, księżę odezwał się znowu, drwiąc ze swego syna.

– Porozmawiajmy o tej. Też ją tak kochasz? – I machnął ręką w jej stronę.

To był błąd.

Znieruchomiała na moment, kiedy w końcu to do niej dotarło. Nie życzyła sobie tego wszystkiego. Nie chciała jego udawanej miłości. Nie chciała gry. Spojrzała na twarz Kinga, ściągniętą cichym gniewem. Zrozumiała, że w ogóle mu na niej nie zależy. Ta cała podróż, te wszystkie chwile wesołości, troski i niezaprzeczonej czułości były niczym w porównaniu z jego uczuciem do tamtej kobiety, która odeszła dawno temu.

Pożądał też Sophie, ale to uczucie bladło wobec pragnienia zemsty.

Miała ochotę powiedzieć mu tę prawdę.

Uwolnić ich oboje z więzów kłamstw, które ich pętały.

Uwolnić siebie.

Może gdyby pozwolił jej odejść, znalazłaby w końcu szczęście. Wiedziała jednak, że tak się nie stanie i w sumie nie winiła go za to. To miejsce musi być dla niego pełne strasznych wspomnień. Nienawidziła go, że wciągną ją w tę wariacką rozgrywkę, ale z drugiej strony... rozumiała go.

Sophie wiedziała, jak mało kto, do czego może doprowadzić desperacja.

– Nie trzymaj biedaczki w niepewności, Aloysiusie – drwił książę, przeciągając słowa.

King spojrział na nią. Czas na moment wstrzymał bieg. Słyszała bicie własnego serca, wiedząc, że nie wolno jej uwierzyć w jego słowa. Nie chciała, żeby wyznał jej miłość. Pierwszy raz w życiu usłyszałaby te słowa i nie zniosłaby, gdyby były kłamliwe.

Z drugiej strony, nie chciała, by zaprzeczył.

Nie chciała być pionkiem w jego grze.

Chciała być czymś więcej.

Czymś więcej, niż jej proponował.

– Lady Sophie bardzo dobrze wie, co do niej czuję.

Ta niby-pochwała zabolą ją bardziej niż wszystkie arystokratyczne drwiny, jakie słyszała w życiu. Zrozumiała, że trzeba z tym skończyć.

Już nie obchodziły ją żadne umowy – nie w tej chwili. Chciała czegoś innego. Czegoś więcej.

Nie miała ochoty na dalsze rozgrywki, na bycie świadkiem tej walki dwóch potężnych mężczyzn, którzy nie mieli pojęcia, co tak naprawdę liczy się w życiu.

W związku z tym, wierna swej reputacji Talbotki, postawiła na uczciwość, a nie na etykietę.

Złożyła serwetkę w idealny prostokąt i wstała.

Obydwaj wstali razem z nią, a te ich śmieszne maniery dodały znaczenia jej gestowi. Zagryzła wargi, by nie wybuchnąć śmiechem i pochylając głowę, zwróciła się do księcia Lyne:

– Obawiam się, że straciłam apetyt, Wasza Wysokość.

– Nie dziwię się – odparł beznamiętnie.

– Odchodzę.

– Pójdę z tobą – odpowiedział King, ruszając w jej stronę. – Nie musimy jeść w towarzystwie księcia. Jeśli on ciebie nie akceptuje.

Naturalnie, w duszy pewnie się cieszył z reakcji ojca. O to przecież chodziło.

Żaden z nich jej nie akceptował. Ani ojciec, ani syn.

– Nie. – To samotne słowo poniosło się echem po sali jak wystrzał. – Odchodzę – powtórzyła. – Sama.

Znowu ruszył ku niej, pośpiesznie i zdecydowanie.

– Nie musisz być sama – powiedział stanowczo i dziwnie otwarcie. – On nie stanie między nami, ukochana – dodał miękko.

To ostatnie, czułe słówko przeważało szalę.

Ależ kosztowny błąd popełniła.

Podniosła rękę, zatrzymując go na miejscu.

– On nie stoi między nami – odpowiedziała spokojnie, chłodno i szczerze. – On nie jest problemem.

– Ty także nie jesteś problemem.

– Ja doskonale wiem, kto tu jest problemem.

Wyglądał, jakby dostał chochlą w sam czubek przystojnej głowy, ale wcale jej to nie rozbawiło. Skupiła się na tym, by powstrzymać łzy i wymaszerować z sali, zachowując idealnie prostą sylwetkę.

## 15. *Sophie smutna.* *Słodczyce niosą ukojenie*

Sophie stała się mistrzynią w wywoływaniu skandali przy wyjściu i pakowaniu się przez to w sytuacje bez wyjścia.

Nie mogła wrócić do swego apartamentu, bo nie chciała, by ją tam odszukano i nie mogła opuścić zamku, bo był środek nocy i nie wiedziałyby, gdzie się podziać. Książę Lyne pewnie nie byłby szczęśliwy, gdyby zaanektowała jeden z jego powozów. Pewnie uznalby to za kradzież.

Poszła więc prosto za nosem, kierując się głodem i trafiła do jedyne miejsce, które emanowało ciepłem w takich domach jak ten. Do kuchni.

Było tam ciepło, jasno i miło jak w każdej kuchni na świecie. Na środku stały dwa długie stoły. Jeden zastawiono smakowitym jedzeniem: upieczoną na złoto gęsią, zielonymi młodymi szparagami, piramidą ziemniaków z rozmarynem, jagnięciną w ziołach, galaretką miętową i stosem ciastek z truskawkami, które pachniały w całym pomieszczeniu.

Ponieważ od wielu dni nie zjadła porządnego posiłku, jedzenie powinno przykuć całą jej uwagę, ale w takich kuchniach stół zastawiony jedzeniem przygotowanym dla państwa nie był najważniejszy. Nie, najbardziej pociągał ją drugi stół, przy którym siedziała służba jedząca własny posiłek, nie tak wyszukany jak książęcy.

To śmiech tych ludzi ją tu przyciągnął. Stanęła na palcach, żeby zobaczyć, co jedzą. Pierozki, pomyślała z zazdrością.

Półksiężyce nadziane mięsem, warzywami i ziemniakami ułożono w stosy na kilku półmiskach, które królowały na stole. Jedząc, wszyscy gorączkowo plotkowali: o tym, jak rozgniewał się książę, o powrocie markiza i o damie, którą ze sobą przywiózł. O niej.

– Czy są bardzo zakochani?

– On na pewno. Przywiózł ją przecież do domu. Jakby już było po wszystkim.

– Nie ma nawet przyzwoitki – szepnął ktoś.

– Kochają się, to pewne.

Sophie miała nadzieję, że dziewczyna, która to powiedziała, nie zamierza się zakładać.

– A ty się na tym doskonale znasz, Katie – wtrąciła się kobieta, która przedtem obsługiwała ich w jadalni, a teraz postawiła na stole dzban pełny ale. Agnes.

Katie wzruszyła ramionami.

– Tak mówią. – Odwróciła się do gospodyni. – Pracuje tu pani od zawsze, pani Graycote. Czy kiedykolwiek ktoś choćby wspomniał o tym, że markiz chce się żenić?

– Tylko w brukowcach – poparł ją ktoś trzeci. – On raczej rozbija małżeństwa, niż je zawiera.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Agnes pokręciła głową. Przez drzwi po przeciwnej stronie wszedł lokaj. Spojrzała na niego.

– Podawać następne danie?

Skinął głową.

– Dama wyszła, a panowie nie rozmawiają ze sobą.

Agnes wskazała na gęś.

– W milczeniu dobrze się je.

– I może jedząc, nie pozabijają się nawzajem, prawda?

Sophie uznała, że lokaj ma absolutną rację, ale Agnes była innego zdania. Skarciła go spojrzeniem.

– Kiedy będę chciała znać twoje zdanie, to cię zapytam, Peter.

Lokaj spuścił głowę i poszedł po półmisek z gęsią, jak mu polecono. Wzrok Agnes padł na Sophie, ledwie widoczną w półmroku przy drzwiach. Właśnie chciała odejść, ale gdy starsza kobieta ją dostrzegła, posłała jej miły uśmiech, choć wyraźnie się zdziwiła jej obecnością.

Rozmowa przy stole trwała w najlepsze. Nikt nie zauważył tej milczącej wymiany zdań.

– Odeszła od stołu?

– A sam byś tego nie zrobił?

Sophie o mało nie wybuchnęła śmiechem. Pewnie, każdy rozsądny człowiek by sobie stamtąd poszedł.

– Pewnie – padła odpowiedź. – Ale nawet ja wiem, że od książęcego stołu się nie odchodzi.

– Szczególnie kiedy siedzi tam dwóch książąt.

Na moment zapadła cisza. Potem ktoś spytał:

– Kim ona jest?

Młody człowiek odpowiedział:

– Markiz przedstawił ją jako swoją przyszłą żonę. Jakaś arystokratka.

Oczywiście, nic z tego nie było prawdą.

– Pomagałam jej ubrać się do kolacji – odezwała się pokojówka, która jej wcześniej usługiwała. – Nie wygląda na arystokratkę. Jest ranna w ramię. I bardzo wysoka.

– Wzrost nie gra roli – sprzeciwił się ktoś.

– Ale rana owszem. Ma jakieś imię?

Sophie przyzwyczaiła się przez ostatnich dziesięć lat, że o niej bez przerwy plotkują, ale zawsze byli to arystokraci. Nigdy nie podsłuchiwała rozmów służących, więc było to dla niej całkiem nowe doświadczenie. Uświadomiła sobie, że nie należy do żadnej z tych grup – nie pasuje ani na pokoje, ani do kuchni.

Zaburczało jej w brzuchu.

Tu przynajmniej może się najeść razem z plotkarzami.

– Owszem, ma imię – powiedziała, wchodząc w krąg światła. Natychmiast zapadła cisza. Roześmiałyby się z ich zdziwionych min, gdyby nie zależało jej na miłym towarzystwie. Chciała posiedzieć w tej kuchni, z ludźmi, którzy byli stokroć bardziej otwarci niż wszyscy jej znajomi z ostatnich dziesięciu lat. – A ponieważ wstała od stołu, zanim skończyła zupę, zdradzi jej wam za parę pierożków.

Wszyscy na moment znieruchomieli, jakby te słowa dotarły do nich gdzieś z góry, a nie z ust kobiety w niedopasowanej sukni. Potem napięcie opadło i biesiadnicy zaczęli się przesuwać na ławie, żeby zrobić dla niej miejsce. Gdy tylko usiadła, pojawił się przed nią talerz z ciepłym pierożkiem.

– Z kurczakiem i warzywami – wyjaśniła siedząca obok służąca. – Są jeszcze z wieprzowiną.

– Cudownie – odpowiedziała Sophie. Przełamała pieroga na pół. Z wnętrza buchnął obłoczek pary i przepyszny zapach. Ślina napłynęła jej do ust, ale powstrzymała się i zanim ugryzła kęs, przedstawiła się wszystkim: – Jestem Sophie Talbot.

Jej własne westchnienie zadowolenia niemal zagłuszyło szepty dziewcząt siedzących na końcu stołu. Jedna z nich wykrzyknęła:

– Pani jest Smoluchem!

Sophie znieruchomiała.

– Ginny, nie wolno tak do niej mówić – napomniała ją inna. – To niegrzeczne.

Ginny zrobiła pokorną minę.

Sophie przełknęła i wskazała na dzbanek z ale stojący przy końcu stołu.

– Możecie mi nalać?

Mężczyzna siedzący obok natychmiast napełnił cynowy kubek i posłał go ku niej po stole. Odrobina złotego płynu wylała się na blat, kiedy chwyciła go w rękę. Napiła się. I zebrała się na odwagę.

– Niektórzy naprawdę nazywają mnie Smoluchem.

– Bo pani ojciec wydobywa węgiel – wyjaśniła Ginny.

– Skąd wiesz? – spytał jakiś młody chłopak.

Ginny zarumieniła się.

– Czytam gazety.

– Brukowce to nie gazety – napomniała ją Agnes.

Wszyscy roześmiali się chórem i Ginny pochyliła głowę ze wstydu. Sophie zrobiło jej się szkoda, więc powiedziała między kęsami:

– Są ciekawsze od poważnych gazet, prawda? – Uśmiechnęła się, bo Ginny natychmiast podniosła głowę. – Jestem najmłodsza z całej piątki – dodała.

– Z pięciu pańienek Talbot – wyjaśniła służąca pozostałym. – Córek Jacka Talbota, który jest stąd, z Cumbrii. Tak jak my!

– Tylko że ona jest damą, więc nie do końca jest taka jak my – ostudził ją mężczyzna z końca stołu.

Dziwny jest ten świat, w którym człowiek najpierw okazuje się nie dość dobry dla książąt, a po chwili za dobry dla wszystkich pozostałych ludzi.

I nie ma własnego domu.

Zignorowała tę myśl.

– Szczerze mówiąc, różnica jest niewielka – powiedziała Sophie. – Mój ojciec zna się na węglu tak jak przed nim mój dziadek i pradziadek.

– Mój brat pracuje w kopalni – pochwalił się ktoś.

Skinęła głową.

– Więc mój ojciec jest taki, jak twój brat. Jedyna różnica polega na tym, że miał szczęście i kupił ziemię, na której znajdują się jedne z najbogatszych złóż w całej Brytanii.

Wszyscy szeroko pootwierali oczy, kiedy jej elegancki londyński akcent zniknął i zastąpił go dialekt z północy. Zaczęła opowiadać historię, którą słyszała tysiąc razy jako dziecko.

– Kopał i odpalał dynamit przez wiele dni, aż natrafił na coś przydatnego. Nie tylko dla niego, ale dla londyńskich arystokratów.

– Widzisz? To nie arystokratka! – wykrzyknęła jedna ze służących.

Sophie potrzęsnęła głową.

– Nie. Wychowałam się w Mossband.

– Właśnie, że pani nią jest – upierał się mężczyzna z końca stołu. – Bo tytułujemy panią milady i wyjdzie pani za książęcego syna.

Niekoniecznie. Odsunęła od siebie rozczarowanie, wypięła łyk ale i uśmiechnęła się do niego.

– Mój ojciec ma nie tylko dryg do węgla, ale i szczęście w kartach.

– Pisali, że regent przegrał w faro, ale przy tym coś wygrał: nowego earla! – ogłosiła Ginny takim szeptem, że słychać go było w całym zamku.

Sophie puściła do niej oczko, czując się przy tym stole jak prawdziwa Talbotka. Świetnie się bawiła. Jej siostry pewnie by przyklasnęły.

– Ano, tak mówią.

Wtedy posypały się pytania: o jej życie, siostry, adoratorów, ojca i o to, w jaki sposób zostali arystokratami. Odpowiadała na wszystkie. Na wyścigi napełniano jej talerz i kufel. Od jedzenia i piwa zrobiło jej się ciepło i miło. Uświadomiła sobie, że po raz pierwszy od wieków mówi to, co myśli, zamiast starannie preparowanych półprawd.

Wtedy Ginny, która chyba wiedziała wszystko o niej i o jej siostrach, zadała następne pytanie:

– Czy to prawda, że pani wepchnęła księcia Haven do jeziora u hrabiny Liverpool? A teraz adoruje panią markiz Eversley. Ale pani ma szczęście, że pani jest taka sławna!

Sophie zmarszczyła brwi.

– Gazety szybko do was dochodzą.

Ginny uśmiechnęła się.

– Dzisiaj ją dostałam i zdążyłam przeczytać przed kolacją.

– To nie było jezioro, tylko sadzawka. Woda sięgała mu ledwie do kolan.

– Wszystko jedno! Jest pani gwiazdą brukowców! – westchnęła Ginny. – Szczęściara z pani.

Sophie wcale się tak nie czuła. Miała wrażenie, że nigdy już nie wróci do domu. Nawet nie wiedziała, gdzie jest jej dom. Jeśli go w ogóle miała.

– Jak czuje się dziewczyna z Mossband, kiedy zaleca się do niej markiz?

– I to bardzo przystojny markiz – wtrąciła jedna z dziewcząt, wywołując chichoty kobiet i cierpiętnicze westchnienia mężczyzn.

Sophie zamyśliła się. Jak się z tym czuła?

W ogóle się nie czuła, bo to nie były żadne zaloty, tylko zwykła umowa. Nie było o czym marzyć. Tak naprawdę, wcale nie chciała zamieszkać w Mossband do końca życia. Nie myślała, że Robbie będzie na nią czekał. Nawet gdyby tak było, wcale by za niego nie wyszła. A King... nigdy nie będzie jej mężem. Ani nawet narzeczonym. A teraz, po tej katastrofalnej kolacji, która skończyła się, zanim zaczęła się na dobre...

Przecież nawet się nie lubimy.

Ile razy powtarzali sobie te słowa?

Ile razy próbowała sama siebie przekonać, że to prawda?

Nieważne, że niekiedy mało brakowało, żeby go polubić. Szczególnie kiedy ją całował. Kiedy stanął u jej boku, żeby ją bronić, choć robił to dla własnej korzyści. Kiedy ją przytulał w powozie, gdy została ranna. Kiedy wykradł ją sprzed nosa pogoni. I kiedy stanął w drzwiach piekarni.

Tak naprawdę wcale nie byli zaręczeni i nigdy nie wezmą ślubu.

Niezależnie od tego, jak bardzo by tego chciała.

Ta myśl ją zaskoczyła. Przecież tego wcale nie chciała. Tylko czy na pewno?

Podniosła wzrok i skupiła się na tej części pytania, na którą mogła szczerze odpowiedzieć.

– To prawda. Jest bardzo przystojny.

– Chociaż tyle we mnie widzisz.

Zamknęła oczy, marząc, by podłoga kuchni w Lyne nagle się zapadła i pochłonęła ją na wieki. Oczywiście, był tutaj. Oczywiście, wszystko słyszał. Bezgranicznie zakłopotana, wbiła wzrok we własne kolana.

– Przepraszam, że przerywam ten przemiły posiłek – zwrócił się King do zebranych, którzy natychmiast zerwali się na równe nogi, zapewniając go, że nic nie szkodzi i wcale im nie przerwał. Może podać mu coś do jedzenia? Albo kufel ale? – Dziękuję – odpowiedział czarująco. – Chciałbym po prostu spędzić trochę czasu z lady Sophie, jeśli wolno.

Spojrzała w jego rozbawioną twarz. Nie była pewna, czy ma na to ochotę. Nie zasłużył sobie na jej towarzystwo. Chyba wyczuł jej wahanie, bo zamiast naciskać, zainteresował się jedzeniem ze stołu obok. Wybrał dwa ciastka, położył je na talerzyku i ozdobił bitą śmietaną. Potem odwrócił się, oblizując palce.

– To zachowanie niegodne arystokraty – powiedziała natychmiast i dopiero potem zastanowiła się, że to chyba ale przez nią przemawia.

Uniósł kącik ust w pokornym uśmiešku.

– Podobnie jak moje wcześniejsze wyskoki. Wybaczysz mi?

Nie były to najzgrabniejsze przeprosiny świata.

Mimo to, policzki jej pokraśniały na te słowa, jeszcze zanim pokazał jej talerzyk z ciastkami.

– Tutejsi ludzie dają dobrze jeść, ale ja mam ciastka. Może cię skuszą i pójdziesz ze mną?

Jedna ze służących westchnęła.

Sophie pohamowała się, żeby nie zrobić tego samego.

Spojrzała na talerzyk. Ciastka wyglądały bardzo apetycznie.

– Dobrze. – Wstała i wygładziła suknię. – Ale tylko dla ciastek.

Uśmiechnął się, przykładając dłoń do serca.

– Oczywiście. Nie spodziewam się niczego więcej.

Wzięła od niego talerzyk, a on ujął ją pod rękę i poprowadził do drzwi. Zanim wyszła, odwróciła się i powiedziała:

– Dziękuję wszystkim za przemiłą kolację.

Byli zaskoczeni jej zachowaniem. Agnes odpowiedziała:

– To my dziękujemy, milady. Zapraszamy do nas, kiedy tylko zechcesz.

Kiedy znaleźli się w półmroku korytarza, King powiedział:

– Lubię, kiedy się uśmiechasz. Przy mnie robisz to zbyt rzadko.

Spojrzała na niego.

– Od chwili naszego spotkania miałam niewiele powodów do śmiechu.

– Chciałbym to zmienić.

Podniosła talerzyk.

– Ciastka z truskawkami to dobry prognostyk.

Nie spuszczał z niej wzroku.

– Myślę, że stać mnie na więcej.

Odwrócił się i ruszył przed siebie, przez mroczne korytarze, w górę po schodach, a potem przez masywne drzwi wiodące do jednego ze skrzydeł zamku.

Poszła za nim, choć niezbyt miała na to ochotę. A może wręcz przeciwnie – bardzo tego chciała.

Ten człowiek przyprawiał ją o zawrót głowy.

– Dokąd idziemy?

Zatrzymał się przed ciężkimi drzwiami i odwrócił się do niej.

– Zjeść deser.

Coś w jego głosie i spojrzeniu przyprawiło Sophie o bicie serca. To nie był ten sam King, którego zdążyła już poznać.

– To jest biblioteka. Chcesz ją obejrzeć?

Skrzywiła się.

– Przekupujesz mnie książkami.

– To skutkuje?

Popatrzyła na drzwi.

– Być może.

Uśmiechnął się półgębkiem. Na jego policzku pojawił się dołeczek.

– Przekonajmy się, dobrze? – spytał i otworzył drzwi do największej, najpiękniejszej biblioteki, jaką widziała w życiu. Ściany ogromnej, dwupiętrowej sali obiegał pomost z przepięknie kutego żelaza. Przed nimi czekały leżanki i olbrzymi kominek.

Wszędzie były książki; wydawało jej się, że rzędy półek ciągnęły się całymi milami, wypełniając pomieszczenie od podłogi do sufitu. Wszędzie pyszniły się ciemnoczerwone, zielone, brązowe i granatowe grzbiety woluminów. Więcej książek niż człowiek zdoła przeczytać przez całe życie.

Ale zawsze można spróbować.

Weszła do środka i obeszła powoli salę, zastanawiając się, jak długo będzie musiała skupiać się na rozmowie, zanim King da jej spokój i pozwoli zagłębić się między te półki.



– To jest... – umilkła, oszołomiona.

Po chwili milczenia podpowiedział:

– To jest...?

Spojrzała na niego z uśmiechem.

– Poskutkowało.

Zaśmiała się.

– To świetnie.

Zamknął za nimi drzwi i usadowił się w wielkim skórzanym fotelu na środku, obok stosu ogromnych tomów. Postawił talerzyk na szerokim oparciu i wskazał ręką półki.

– Wiem, że masz wielką ochotę trochę się rozejrzeć, kochanie. Wolna droga.

Błyskawicznie ruszyła z miejsca i bez wahania wspięła się na żelazny pomost.

– Zawsze marzyłam o bibliotece – powiedziała. Palce ją swędziały, by dotknąć nieskazitelnych grzbietów książek z wyższych półek.

– Myślałem, że chcesz mieć księgiarnię – powiedział z dołu.

– To też. Myślę, że ojciec zgodziłby się na księgiarnię. W końcu to jakaś inwestycja.

– W odróżnieniu od biblioteki?

Potrząsnęła głową, gładząc pozłocaną, wytłaczaną okładkę poezji Milтона, na którą właśnie trafiła.

– Biblioteka to luksus.

– Ale twój ojciec jest niezmiernie bogaty. Myślałem, że stać go, by ci zafundować bibliotekę i księgiarnię.

– Zawsze chętnie kupował mi książki. Tylko że matka... – przerwała, wruszając ramionami. – Książki ją nie obchodzą.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Spojrzała na niego z góry i na moment zapomniała o książkach, zafascynowana magnetycznym spojrzeniem jego zielonych oczu.

– Musiałam je przed nią chować.

– Dlaczego?

– Mężczyźni nie lubią, kiedy kobieta ma własne zdanie – powtórzyła słowa, które bez przerwy słyszała od matki. – Myślę, że winiła książki za to, że skłaniają do myślenia.

– Miała rację. Pod warunkiem, że to mądre książki.

– Nie jestem pewna, czyby się z tobą zgodziła. Pomimo wszystkich przeczytanych przeze mnie książek jestem jedyną z jej córek, która wylądowała daleko na północy z kulą w ramieniu i w towarzystwie nieżonatego markiza.

– Twoja obecna sytuacja nie ma nic wspólnego z kształcącymi pozycjami na temat kamieniarstwa.

Zaśmiała się, gładząc ręką rząd oprawionych w skórę grzbietów.

– Jesteś tego pewny?

– Absolutnie. Każda przeczytana książka czyni cię dużo lepszą.

Oparła się dłońmi o żelazną balustradę, wychyliła i spojrzała na niego.

– Gdybyś był jedną z Feralnych Sióstr, matka wrywałaby sobie włosy z rozpacz. Za nic nie znalazłbyś męża, chyba że zdarzyłby się cud.

– Co za bzdury – odpowiedział. – Ze wszystkich kobiet, które znam, ty jesteś najlepszym materiałem na żonę.

Znieruchomiała.

– Naprawdę tak myślisz?

– Oczywiście. – Skosztował ciastka, jakby ta rozmowa była zupełnie zdawkowa.

– To znaczy, kiedy ktoś się już przekona, że nie staram się złapać go na męża.

– Właśnie – potwierdził z uśmiechem.

Nagle zakręciło jej się w głowie. Pewnie przez to piwo. Tak, to przez ale.

Nie przez niego.

– Dlaczego?

To ale kazało jej zadać to pytanie. Ale i dzieląca ich odległość, która dodała jej odwagi jak nigdy przedtem.

– Dlaczego niby masz nie nadawać się na żonę? – Nie odpowiedziała. – Jesteś bardzo inteligentna, mądra, odważna i dumna.

Świetnie, pomyślała Sophie. Zupełnie jak dobry koń. Albo pies.

Ale on wtedy dodał:

– I do tego piękna.

– Nie jestem piękna – zaprzeczyła i od razu pożałowała, że to powiedziała. Zapragnęła nagle zniknąć, wtopić się w książki za swoimi plecami i nigdy nie wrócić.

Nic z tego.

– Owszem, jesteś piękna.

Potrząsnęła głową, wściekła, że coś ściska ją w piersi ze wstydu. Nie chciała rozmawiać o swojej urodzie, a raczej o jej braku. Żadna brzydula nie lubi poruszać takich tematów, szczególnie z tak przystojnym mężczyzną.

Wielki Boże. Przecież on słyszał, jak nazwała go przystojnym.

Przełknęła ślinę, marząc, by to wszystko się skończyło.

– Sophie?

Spojrzała na niego.

Nie każ mi odpowiadać.

Nie każ mi wymieniać powodów, z których nigdy nie będziesz mój.

To ale podpowiadało jej te myśli. Przecież wcale jej na nim nie zależało.

Za wyjątkiem paru momentów w życiu. Na przykład, kiedy zaproponował jej te ciastka. Pokazał swoją magiczną bibliotekę. I powiedział, że jest piękna. I sprawił, że chciała w to wierzyć.

W takich momentach zależało jej, i to bardzo.

– Tych ciastek ubywa. Honor każe mi o tym wspomnieć.

Poczuła falę ulgi, po której napłynęło dużo bardziej niebezpieczne uczucie. Natychmiast pożałowała, że nie są gdzie indziej. Albo że nie są kimś innym. Osobami, które nie mają innych zmartwień poza truskawkowymi ciastkami.

Spojrzała w dół. Wyciągnął się wygodnie w skórzanym fotelu i podniósł talerzyk jak misę ofiarną. Może dzisiaj skończy się na ciastkach.

Nagle otworzyła szeroko oczy.

– Zjadłeś moje!

– Zdawało mi się, że go nie chciałaś.

– Oczywiście, że chciałam, złodzieju ciastek!

Wykrzywił się.

– To dlaczego wspięłaś się tam na górę?

No właśnie.

W sekundę była na dole. Wyrwała mu talerzyk z ręki.

– Przecież ono jest do połowy zjedzone.

– Lepsze to niż nic – powiedział, demonstracyjnie otwierając leżącą obok książkę.

– Przestań! – wykrzyknęła, zgorszona.

Zatrzymał się w pół gestu, spoglądając na nią ze zdziwieniem.

– O co ci chodzi?

– Twoje palce! Są lepkie od śmietany. Nie dotykaj tej książki!

– Można by pomyśleć, że byłem o krok od morderstwa.

– Owszem – przytaknęła. – Ta książka została na wieki uśmietaniona.

Szeroko rozłożył ręce.

– Racja. Niech Bóg nas broni uśmietaniać książki.

Usiadła w fotelu naprzeciwko i skosztowała pozostałego ciastka, z rozkosznym westchnieniem smakując świeży owoc i śmietankę.

– Delicje – powiedziała.

– To prawda – odparł ciszej niż przedtem.

Podniosła wzrok. Wpatrywał się w jej usta, jakby chciał zamienić rozkosze podniebienia na inne przyjemności.

– Masz ochotę? – spytała.

– Ogromną.

Nie była pewna, czy wciąż rozmawiają o jedzeniu. Wyciągnęła ku niemu talerzyk, ale potrząsnął głową.

– Jesteś pewny?

– Dlaczego książki?

Uniosła brwi.

– Słucham?

– Dlaczego cię tak pociągają?

Odstawiła talerzyk, wytarła palce w suknię i sięgnęła po najbliższy, oprawny w skórę tom. Podała mu go.

– Weź.

– I co teraz?

– Powąchaj.

Przekrzywił głowę. Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Mówię serio.

Podniósł książkę do nosa i wciągnął powietrze.

– Nie tak – poprawiła. – Naprawdę ją powąchaj.

Uniósł brew, ale usłuchał.

– Co czujesz? – spytała.

– Skóra i atrament?

Potrząsnęła głową.

– Szczęście. Tak właśnie pachną książki. Szczęściem. Dlatego zawsze chciałam mieć księgarnię. Co może być lepszego w życiu niż sprzedawanie ludziom szczęścia?

Wpatrywał się w nią długo, aż poczuła się nieswojo i zajęła się ciastkiem. Dopiero wtedy odezwał się cichym głosem.

– Nie powiedziałaś, czy mi wybaczasz.

Zaskoczyła ją zmiana tematu.

– Proszę?

– Czy wybaczasz mi moje zachowanie. Przy kolacji.

Skubała ciastko. Zjadła samą truskawkę, żeby zyskać na czasie. On tymczasem mówił dalej.

– To, jak cię traktowałem od wyjazdu z Mossband. Tamtą noc w powozie.

Spojrzała na niego.

– W powozie nie zrobiłeś nic złego.

Zaśmiał się niewesoło.

– Zrobiłem ze sto niegodnych rzeczy, Sophie.

– Tak, ale żadna z nich mnie nie zasmuciła.

Powiedziała to bezwiednie, a potem już było za późno. Zrobiła z siebie delikatną damulkę. Odstawiła talerz i wstała.

– Przepraszam.

Wyprostował się natychmiast.

– Nie waź się przeproszać. Po raz pierwszy od wielu lat ktoś odważył się wygarnąć mi prawdę prosto w oczy. Ja... – zawahał się. – Chryste, Sophie. Tak mi przykro.

– To nie było... – Pokręciła głową.

– Przestań. Było. – Wstał i podszedł do niej. – Jestem idiotą. Sama mi to powiedziałaś, pamiętasz?

– Nie powinnam tego mówić.

– Czy zachowałem się jak idiota?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Owszem. To prawda.

– Więc byłem idiotą.

– A dzisiaj zachowałeś się jeszcze gorzej.

– To prawda. Żałuję tego.

– Miałam ochotę oblać cię zupą.

Uniósł brew.

– Nareszcie zaczynasz być ze mną szczerą.

Uśmiechnęła się.

– To smak wolności.

Zaśmiał się, ale zaraz spoważniał.

– Wybaczysz mi?

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę.

– Wybaczam.

Odetchnął głęboko, jakby do tej pory wstrzymywał oddech. Wyciągnął rękę, pogłaskał ją po policzku, założył jej pasmo włosów za ucho.

– Nie chciałem cię zranić.

Przełknęła ślinę, czując jego ciepły dotyk.

– Nie powinienem cię tu przywozić – mówił cicho. Posmutniała, do chwili, gdy nie dodał: – Jesteś za dobra, żeby tu być. Z takimi mężczyznami jak my.

Westchnęła.

– To nieprawda.

– Nie wiesz, jaki jestem – odpowiedział.

– To mi pokaż – szepnęła. Nagle zapragnęła, żeby opowiedział jej coś więcej o tym zamku. I o urodzonych w nim mężczyznach.

Zamiast tego wpatrywał się w jej wargi. Pogładził kciukiem jej policzek.

– Masz śmietanę na ustach.

– To z ciastek.

Uniosła dłoń, ale uprzedził jej ruch i złapał ją za przegub, zanim zdążyła się wytrzeć.

– Nie – szepnął, przysuwając się bliżej. Poczła zapach mydła i korzeni. – Ja się tym zajmę.

Zamarła, nie wiedząc, co się stanie, ale gotowa na wszystko. I nagle był przy niej, poczuła jego wargi na swoich, język zlizujący słodką śmietankę. Nigdy w życiu nie przeżyła czegoś tak skandalicznego.

Czegoś tak...

– Mmm – zamruczał cicho, podnosząc głowę. – Delicje.

A więc nie miał wtedy na myśli ciastek.

Bezwiednie objęła go za szyję i wsunęła palce w jego czarne włosy.

– Pokaż mi – powtórzyła, ale tym razem nie chciała słów. Pragnęła, by wziął, co zechce. Chociaż tym

razem to ona władczo chwyciła jego wargi swoimi.

## 16. Biblioteczna rozpusta w Lyne

Pocałowała go.

Może potrafiłby poprzestać na jednym pocałunku. Chciał tylko przypomnieć sobie jej smak i nie wywoływać dalszych skandali. Ale ona sama go pocałowała: spojrzała na niego, przyciągnęła jego głowę i szepnęła mu do ucha dwa słowa.

Do licha, przecież był mężczyzną.

Żaden mężczyzna nie oparłby się tej kobiecie.

Więc oddał jej pocałunek, głębiej i mocniej. Otoczył ją ramionami i podniósł do góry, a ona objęła go za szyję i poddała się pieszczocie.

Za pierwszym razem, całując ją, nasłuchiwał, co się dzieje we wspólnej izbie pubu Pod Czyżykiem. Za drugim razem jej nie widział. Tym razem za żadne skarby nie przegapi ani jednej chwili.

Była miękka i słodka. Szeroko otworzyła oczy i pisnęła, gdy uniósł ją do góry i nie przerywając pocałunku, zaniósł na wielki skórzany fotel, w którym przedtem siedział i obserwował ją na podeście, starając się nie uronić ani odrobiny tego, co odsłaniała przykrótka suknia. Powiedział jej wtedy, że jest piękna, a ona mu nie uwierzyła. Chryste Panie.

Nagle poczuł, że musi odzyskać jej zaufanie. Odsunął się, przerywając pocałunek. Sophie westchnęła, rozczarowana, więc znowu ją pocałował. Dopasowała się do niego idealnie, przyjmując jego prowadzenie, otwierając się przed nim, udowadniając, że pragnie go równie mocno, jak on jej.

Tylko że on pragnął czegoś jeszcze. Czegoś równie ważnego. Oderwał się od niej.

– Sophie...

Otworzyła oczy, ciemniejsze niż wcześniej. Zmieniły się, gdy jej dotknął. Gdy ją pocałował. Gdy był blisko.

Poczuł się o wiele silniejszy niż kiedykolwiek w życiu. Pieniądze, tytuł, dziedzictwo – to wszystko było mniej ważne. W jej obecności czuł coś więcej. Postanowił, że nie będą się kochać. Nie robi tego. Nie może jej zrujnować. Zasługiwała na kogoś lepszego. Na kogoś, kto ją pokocha i kto się z nią ożeni.

A on jeden jedyny raz w życiu pójdzie za głosem honoru. Dla tej kobiety, która tyle razy zachowała się honorowo.

– Jesteś taka piękna – powiedział, wiedząc, że te słowa są nazbyt szczerze. Jest w nich za wiele uwielbienia. Brzmią, jakby wypowiadał je uczeń. Ale tak właśnie czuł się w jej obecności.

Co ona z nim zrobiła?

Zesztywniała w jego ramionach i zerwała się, by wstać. Pochwyił ją, uniemożliwiając ucieczkę.

– Dokąd się wybierasz, najmilsza? Jeszcze ze sobą nie skończyliśmy.

Potrząsnęła głową i odsunęła go od siebie.

– Przestań.

Puścił ją więc. Wstała, a on ujął ją za rękę. Zgodziła się na to, choć spoglądała w bok, unikając jego wzroku.

– Sophie... – zaczął i umilkł, szukając właściwych słów.

– Nie jestem jedną z twoich kobiet. Nie jestem taka, jak one.

– Moich kobiet?

Nie spodobały mu się te słowa.

Popatrzyła na ich splecione ze sobą palce.

– Nie musisz kłamać.

Tylko że to nie było kłamstwo. Wcale nie chciał jej kłamać. Chciał, żeby usłyszała prawdę.

– To nie...

Westchnęła.

– Przestań, King. Myślisz, że nie słyszę, co o mnie mówią? Że kiedy się rodziłam, zabrakło urody? Że moje siostry są ładne, miłe i uzdolnione, w odróżnieniu ode mnie? – Spojrzała na niego. – Nie jestem piękna. Dobrze o tym wiesz. Sam mi to wcześniej powiedziałeś.

Ależ był wtedy idiotą. Beznadziejnym, ślepym idiotą.

Mówiła dalej.

– Miło mi, że teraz mówisz co innego, i chyba rozumiem powody, ale twoje kłamstwa wcale mnie nie uszczęśliwiają bardziej niż to – wskazała ręką na nich oboje. – Szczerze mówiąc, czuję się przez to gorzej. – Puściła jego rękę.

Nie wiedział, jak się bronić. Przecież nie powiedział tego, żeby chętniej poszła z nim do łóżka. To była prawda. Miał ochotę złapać ją za ramiona i potrząsnąć, żeby wrócił jej rozum. Chciał jej powtarzać te słowa tak długo, aż w nie uwierzy. Aż sama dostrzeże w sobie piękno. Ale ona wcale tego nie pragnęła.

A on chciał, żeby miała wszystko, czego zapragnie.

Zawsze.

Dobry Boże. Zawsze.

To słowo oplątało go swoją mocą, sprawiając, że coś ścisnęło mu się w piersi. Znowu sięgnął po jej dłoń. Nie cofnęła jej.

– Spójrz na mnie, Sophie.

Zrobiła to, a w jej oczach dostrzegł ostrożność. Obiecał sobie, że któregoś pięknego dnia dopadnie człowieka, który wpędził ją w takie kompleksy.

– Nie zamierzam ci powtarzać, że jesteś piękna.

Ostrożność ustąpiła uldze i chyba smutkowi, ale zniknął tak szybko, że King nie był pewny, czy w ogóle się pojawił.

Uniósł jej dłoń do ust i ucałował kostki palców.

– Powiem jasno. To nie oznacza, że pozwolę ci opuścić zamek Lyne w przekonaniu, że jesteś mniej niż piękna.

Zarumieniła się i odwróciła wzrok.

– Nadejdzie taki dzień, że ci to powiem, a ty nie spuścisz oczu.

– W takim razie powinieneś się pospieszyć.

– Dlaczego?

– Bo wyjadę stąd, gdy tylko przyjedzie po mnie ojciec – odpowiedziała. Te słowa zrobiły na nim większe wrażenie, niż można by przypuszczać. – Szczerze mówiąc, powinieneś się cieszyć z tego powodu, bo gdyby wiedzieli o naszej umowie, zaciągnęliby cię przed ołtarz szybciej, niż ci się zdaje.

Nie chciał, by wyjechała. Chciał, żeby została tutaj.

Na zawsze.

Nie na zawsze. To było niemożliwe. To równałoby się miłości. Nie byłaby bez niej szczęśliwa. W całej rozciągłości. A on nie chciał miłości.

Nigdy więcej.

Nawet z tą kobietą, która jakimś sposobem z każdym kolejnym dniem wydawała mu się doskonalsza. Miała ostry język, była inteligentna i tak dowcipna, że najchętniej spędziłby życie na rozmowach z nią.

Była fantastyczna, mimo że on zachowywał się w jej towarzystwie jak kompletny idiota.

– Potraktowałem cię obrzydliwie – wyznał.

Potrząsnęła głową, więc z powrotem posadził ją sobie na kolanach.

– Uratowałeś mi życie – powiedziała cicho, pozwalając mu się przytulić.

– Sprawilem ci smutek – szepnął jej do ucha, prosto w brązowe loki, które na nie opadły. Smutek to takie proste i niszczące słowo. Miało o wiele większą moc niż jego wyrafinowane odpowiedniki. Zranił ją, a ona mimo to się nie poddała.

– Nieraz bywałam smutna, milordzie. I nieraz będę.

To mu się nie spodobało.

– Chciałbym to wszystko cofnąć.

Uśmiechnęła się.

– To niemożliwe. Jesteśmy tu i teraz. Twój ojciec i cała służba wierzą, że się zaręczyliśmy. Podobnie jak wszyscy mieszkańcy Mossband. Oprócz tego różne osoby na trasie naszej podróży są przekonane, że jesteśmy małżeństwem. I mamy na nazwisko Matthew.

Ależ on namieszał...

– Jeśli się dobrze zastanowić – dodała – to gdybym chciała cię zaprzęgnąć w małżeńskie jarzmo, nie można by tego zrobić lepiej.

Zaśmiał się z tego staromodnego zwrotu.

– Małżeńskie jarzmo?

– Bardzo niewygodne.

– Wcale nie – odpowiedział. – Ale ja się po prostu do tego nie nadaję.

Jego słowa sprawiły, że oboje spoważnieli. W jej oczach dojrzał niewypowiedziane pytanie: Dlaczego?

Pokaż mi, poprosiła go wcześniej, kiedy jej powiedział, że jest za dobra, żeby tu być. Nagle gorąco zapragnął komuś powiedzieć, dlaczego taki jest. Opowiedzieć o swej przeszłości.

Mógłby to powiedzieć właśnie jej.

Mógłby to jej pokazać.

Znowu splótł palce z jej palcami, pogładził kciukiem miękką skórę i z rozczuleniem spojrzął na kilka piegów przy samym przegubie.

– Wyjechałem stąd, gdy miałem osiemnaście lat.

Znieruchomiała na jego kolanach, ale się nie odezwała. Nie poganiała go, obawiając się, że zmieni zdanie. Niczego nie pragnęła bardziej, niż usłyszeć tę historię.

– Latem wróciłem do domu ze szkoły na wakacje. Jak każdy chłopiec w tym wieku, nie znosiłem spokoju. Chciałem pić i...

Uśmiechnęła się.

– Nie musisz mi tłumaczyć, o czym marzą osiemnastoletni chłopcy.

Na jego prawym policzku pojawił się dołeczek.

– Co ty możesz wiedzieć o osiemnastolatkach?

– Wystarczająco, żeby zrozumieć, że picie nie było najgorszą rzeczą, o której marzyłeś tamtego lata.

– Byłem już za duży, żeby łowić ryby w strumieniu i wałkonić się całymi dniami.

Wyobraziła go sobie: młodszego, szczuplejszego, trochę inaczej zbudowanego, o gładszej, mniej zdecydowanej twarzy. Przystojny, ale nie aż tak, jak teraz. Dzieciak, z którego wyrośnie dojrzały mężczyzna. Uśmiechnęła się szeroko i wtuliła w jego ramiona.

– Chętnie poszłabym z tobą na ryby.

Spojrzął na nią zaskoczony.

– Zabiorę cię.

– A nie jesteś przypadkiem na to za stary? – zazartowała.



Potrząsnął głową.

– Teraz jestem już na tyle dojrzały, że wątkonienie się całymi dniami wcale nie wydaje mi się najgorszym rozwiązaniem. Szczególnie w odpowiednim towarzystwie.

Czyżby chodziło mu o nią? Naprawdę poszłaby z nim na te ryby. Rozpaliliby ognisko na brzegu i przez cały wieczór opowiadałby jej o swoim życiu.

Rozmarzyła się na tę myśl, ale wiedziała, że nic z tego nie będzie.

– Była dojarką – powiedział zamyślony, takim tonem jakby nie do końca wierzył w swoje słowa. – Mleczarką. Jakbyśmy byli postaciami z obrazu dawnego holenderskiego mistrza. Jej ojciec prowadził mleczarnię w majątku na wschód od nas, a ona zajmowała się krowami.

Sophie nie roześmiała się.

– Ile miała lat?

– Szesnaście.

– A jak ty...

Umilkła, ale wiedział, o co chciała zapytać.

Podniósł jej dłoń do ust i ucałował. Przeszył ją dreszcz rozkoszy. King opuścił jej dłoń i podjął opowieść:

– Krowa jej uciekła i dotarła aż do zamkowych terenów. Ona przyszła jej szukać.

Przerwał i dodał cicho:

– To było jak w szekspirowskiej sztuce. Była najpiękniejszą osobą, jaką widziałem w życiu.

Sophie westchnęła cicho. Jak łatwo jest uwierzyć w takie słowa, kiedy nie dotyczyły jej samej.

– Jak wyglądała?

– Była blondynką i miała różaną cerę, gładką jak śmietanka – odpowiedział, a ona wyobraziła sobie młodą dziewczynę o łagodnych oczach. – W chwili, kiedy na mnie spojrzała, cała brudna i ubłocona po tych poszukiwaniach, zapragnąłem otoczyć ją opieką.

Uwierzyła w to bez trudu, szybko przypominając sobie, jak zaatakował jej napastnika, jak od razu wmieszał się w bójkę.

– Czy potrzebowała opieki?

– Takie odniosłem wrażenie – odpowiedział, zatopiony we wspomnieniach. – Wydawała mi się bardzo krucha. Jak drogocenne cacko. – Spojrzał Sophie w oczy. – Od razu zapragnąłem się z nią ożenić.

Nie była przygotowana na gorące ukłucie zazdrości, jakie odczuła po tych słowach.

Ani na pytania, które zaczęły ją dręczyć.

– I co dalej?

– Spędziliśmy razem całe lato na sekretnych spotkaniach i ukrywaniu się przed naszymi ojcami. Przekazywaliśmy sobie wiadomości przez stajennych, a szczególnie jednego z nich, któremu sownie płaciłem za fatygę. Bała się, że jej ojciec nas nakryje.

Sophie skinęła głową bez słowa.

– Tak bardzo się bała, że zaczęła mnie błagać, żebyśmy w tajemnicy wzięli ślub. Chciała, żebyśmy uciekli przez granicę i zostali pobłogosławieni przez pierwszego napotkanego kowala<sup>[1]</sup>. Żeby to już było za nami. Powiniennem jej wtedy posłuchać.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Bo nie chciałem się ukrywać. Uważałem, że jeśli mam się żenić, powinno to się odbyć na oczach całego świata. A przynajmniej całej Anglii. Uczynię ją markizą. Kiedyś będzie księżną. To żaden wstyd. Nie chciałem, żeby zrobił się z tego skandal. Kochałem ją.

– Ożeniłbyś się z nią – powiedziała cicho. W porównaniu z czymś takim tytuły nie miały żadnego znaczenia. Byle tylko zostać z nim na zawsze.

Na zawsze.

Te słowa sprawiły, że serce się jej ścisnęło z żalu, bo wiedziała, co zaraz usłyszy. Zazdrościła tej

dziewczynię, która tak dawno skradła mu serce i nie zostawiła nic dla Sophie.

Choć pewnie i tak by nic z tego nie wyszło, z braku niezbędnych umiejętności.

Zaśmiał się niewesoło.

– Naturalnie, byłem młody i głupi. I walczyłem z wiatrakami.

Wyczuwała jego frustrację. Oddychał bardziej urywanie, na szyi wystąpiły żyły, szczęka się napięła, a usta zacisnęły ponuro. Instynktownie dotknęła jego twarzy, gładząc kciukiem wydatne kości policzkowe.

Przez chwilę jakby nie zauważył tej pieszczoty, ale potem spojrzał jej w oczy i przycisnął jej dłoń swoją. Później ucałował jej palce i mówił dalej.

– Był wtedy tysiąc osiemset osiemnasty rok. Król pogrążył się w szaleństwie, a regent w pijaństwie, szulerce i urządzaniu skandalicznych przyjęć. Wojna się skończyła i nadszedł czas, by mój ojciec porzucił głupie myśli na temat tytułu oraz błękitnej krwi i zrozumiał, że w tym świecie jest także miejsce na miłość.

Sophie nie potrafiła powstrzymać smutnego uśmiechu. Serce miała w gardle. Przecież w świecie naprawdę jest miejsce na miłość. Tylko życie arystokratów daleko odbiega od normalności; nikt utytułowany nie zaakceptuje mleczarki w roli księżnej. Miała wrażenie, że King usłyszał jej myśli.

– Byłem młody i zawsze wszystko mi było wolno.

Uniosła brew.

– Zgodnie z twoim królewskim imieniem.

Roześmiał się cicho. Pomyślała, że pomimo całego tragizmu tamtej sytuacji, King był tu i teraz. Cały i zdrowy. I należał do niej.

Wcale nie.

Na razie jest mój, poprawiła się. Na krótką chwilę.

– Królom nikt się nie sprzeciwia.

Na moment zapadła cisza. Zrobiło jej się zimno, bo domyślała się, że zaraz ta idylliczna historia zmieni się w tragedię.

– Przywodziłem ją tutaj, do tej koszarnej jadalni. Ojciec siedział u szczytu tego beznadziejnie długiego stołu. Agnes podała swoją słynną pieczoną gęś. Przedstawiłem ojcu Lornę jak grzecznego chłopczyka. Nawet teraz słyszę mój stremowany głos. Serce tłukło mi się w piersi.

Serce Sophie także zabiło szybciej. Nie miała pojęcia, że tej nocy wszystko odbyło się tak samo. Że King obmyślił to wszystko, by ukarać ojca za grzechy przeszłości w tej samej sali, w której je popełniono.

– Postawiłem ją przed obliczem ojca i przedstawiłem jako moją przyszłą żonę.

Wielki Boże.

Sophie, postawiona w takiej samej sytuacji, była przynajmniej przygotowana na to, że wydarzenia przybiorą zły obrót. Ale nie Lorna. Biedaczka nie miała pojęcia, co może się zdarzyć. Na pewno trzęsała się jak osika na widok potężnego księcia, którego Sophie miała okazję poznać.

Sophie przycisnęła dłoń do serca, jakby chciała je osłonić przed dalszym ciągiem tej opowieści.

– Co się potem stało?

– Rozdarł ją na strzępy. Nigdy w życiu nie widziałem, żeby mężczyzna tak okropnie potraktował kobietę, niezależnie od jej pozycji. – King, zapatrzony w przeszłość, potrząsnął głową. – Przegnał ją z tej jadalni, krzycząc, że nigdy się na to nie zgodzi, że ona nigdy nie zostanie księżną, że jest żebraczką, łowczynią tytułów i że dla kariery zrobi wszystko.

„Ma dryg do robienia kariery”, powiedział księżę o jej ojcu.

– Karierowiczostwo to najgorszy grzech.

– Niewybaczalny – zgodził się King. – W piekle jest specjalnie miejsce dla takich ludzi.

Sophie nie mogła się doczekać dalszego ciągu opowieści.

– Więc wyjechaliście – podpowiedziała.

– Powinniśmy to zrobić. Powiniennem złapać Lornę za rękę i uciec razem z nią. Od razu. Powiniennem ją zabrać za granicę i wziąć ślub, tak jak chciała. Gretna Green jest tuż za miedzą – powiedział. – Ale się powstrzymałem. Zawiozłem ją do domu. Żeby się wyspała we własnym łóżku. Pomyślałem, że przez ten czas zorganizuję pieniądze i przygotuję nas do podróży, z której wrócimy dopiero po śmierci ojca, kiedy zostanie księciem. Chciałem obmyślić plan, pojechać do niej z samego rana i zacząć działać.

Skinęła głową.

– Bardzo rozsądnie.

Spojrzał na nią. Oczy miał smutne, pełne żalu i poczucia winy.

– Ale nic z tego nie wyszło. Nie przypuszczałem, że zwróci się do swojego ojca.

Sophie otworzyła szeroko oczy.

– Co się stało?

– Księżę Lyne późną nocą odwiedził go w jednej z mleczarni i opowiedział mu, co się wydarzyło. Powiedział jasno, że jeśli Lorna postawi stopę na jego ziemi, ukarze ich oboje za wdzieranie się na cudzą posiadłość.

Sophie otworzyła usta ze zdziwienia.

– Co wtedy zrobił jej ojciec?

King potrząsnął głową.

– Przybiegła do mnie przerażona, w podartej sukni, z zakrwawionymi ustami. Rzuciła się mi w ramiona i błagała o ratunek. Wciąż pamiętam, jak dygotała. Wsadziłem ją do powozu. Jej ojciec nas ścigał. Jego śladem pędził mój ojciec, którego się najbardziej baliśmy.

Sophie zaczęła się domyślać, jak to się skończy. Przerażona, złapała go mocno za rękę, jakby chciała powstrzymać tok wydarzeń.

– Powoziłem. Ona była w środku. Padał deszcz, było ciemno, a drogi... – zawahał się. – No cóż, po tej tygodniowej podróży sama wiesz, jak tu się jeździ.

– King – szepnęła, ściskając jego dłoń.

– Za szybko wszedłem w zakręt.

Pokręciła głową.

– To nie była twoja wina.

– Konie były źle dobrane. Za bardzo się spieszyłem przy zaprzęgnięciu, byłem nieuważny.

Dlatego za każdym razem tak troskliwie sprawdzał całą uprzęż.

– Byłeś dzieckiem – powiedziała, ściskając jego dłoń coraz mocniej i mocniej, aż jej kostki pobieleły.

Teraz on potrząsnął głową.

– Niestety, nie byłem dzieckiem. Miałem osiemnaście lat. Ludzie w tym wieku dziedziczą majątki. Zostają członkami parlamentu. Polegała na mnie. A ja nie potrafiłem jej obronić.

Uniosła jego dłoń do ust i okryła ją pocałunkami.

– Nie – szepnęła. – Nie i jeszcze raz nie.

– Powóz się przewrócił. Wpadliśmy razem z końmi do rowu, niecałą milę stąd. Nie wiem nawet, czy udało nam się przejechać przez granicę.

Znowu potrząsnął głową.

– Chyba nie.

– Czy ty...

Spojrzał na nią.

– Nic mi się nie stało. Parę siniaków. Nic poważnego.

– A... – Sophie nie była w stanie wymówić jej imienia.

– Krzyczała – powiedział cicho. Wiedziała, że przeniósł się myślami na tamtą deszczową drogę. – Słyszałem ją, kiedy powóz się przechylał, ale gdy się zatrzymaliśmy, zapadła cisza. Nie odzywała się. Wstałem, zacząłem szarpać drzwiczki, ale... – Sophie przycisnęła dłoń do ust. Łzy popłynęły jej po

policzkach, gdy wyobrażała sobie, jak wołał ukochaną kobietę. – ...powóz przewrócił się tak, że je zablokował. Nie mogłem się dostać do środka. Była tam uwięziona. Nie słyszałem jej. W końcu wybiłem okno.

Spojrzał na swoje ręce i poruszył palcami, jakby sprawdzał, czy wciąż jeszcze są poranione szkłem.

Sophie nigdy w życiu nie słyszała czegoś tak strasznego. Zapłakana, zapatrzona w niego, słuchała dalej.

– Umarła w tym cholernym powozie i to ja ją zabiłem.

Nic dziwnego, że nienawidził powozów.

– Dlatego ścigasz się dwukółkami – podsumowała. – Chcesz się ukarać za przeszłość. Ryzykujesz własne życie.

Odparł tylko:

– Mówiłem ci, że zginęła z rąk mojego ojca. Równie dobrze mógłby przystawić jej lufę do skroni.

Kiwnęła głową, nie wiedząc, co powiedzieć.

– To nie jego nienawiść ją zabiła. To moja miłość.

Wtedy ujęła jego przystojną, posmutniałą twarz w dłonie i zmusiła, by spojrzał jej prosto w oczy, a potem zapewniła:

– To był wypadek.

– Nie powinienem...

– Byłeś dzieckiem, chciałeś jak najlepiej. Myślałeś, że się uda. Nie zabiłeś jej.

– Zabiłem.

To wyznanie ją poraziło. Nagle zachowanie Kinga stało się dla niej jasne. Zrobiła jedyną rzecz, która mogła ukoić ból ich serc. Przyciągnęła jego twarz do siebie i pocałowała go – na początku lekko i z wahaniem, jakby obawiała się, że odepchnie ją jak intruza. Rozchyliła usta raz, drugi i trzeci, a potem musnęła językiem jego wargę. Westchnął i otoczył ją ramionami.

Oddał jej pocałunek, pieścił ją, głaskał i całował, a później jęknął, przejął prowadzenie i wziął ją w posiadanie. To było cudowne.

Ciepłe, wilgotne wargi wędrowały po jej szyi. Wsunęła palce w jego włosy i prowadziła go w miejsca, których przedtem nikt nigdy nie pieścił. Liznął językiem obojczyk, a jego ręce powędrowały ku dekolтови jej sukni i pośpiesznie, gniewnie, zabrały się do rozsznurowywania gorsetu.

Zatracili się w tym, zapomnieli o opanowaniu i samokontroli. Jego ręce i wargi kusily, głaskały i obiecywały, a ona drżała z rozkoszy.

Ogarnęło ich czyste, niepoahamowane pożądanie.

Pożądanie kogoś, kto rozumiał.

I nie oceniał.

I pragnął.

Sophie rozumiała to lepiej niż ktokolwiek inny.

Po chwili stanik sukni opadł. King ujął jej piersi w dłonie, zakołysał i pogładził je kciukami.

– Jesteś cudowna – powiedział.

Uwierzyła mu, bo pochylił się i zaczął ssać różany sutek, pieszcząc go wargami i językiem. Nie mogła usiedzieć na jego kolanach, więc przesunął się tak, że uklękła nad nim. Za każdym razem, kiedy jego język zataczał koło wokół sutka, kiedy palce głaskały jej skórę, kiedy zielone oczy wpatrywały się w nią z oddaniem, miała wrażenie, że jest obiektem niemal modlitewnej czci.

Pragnęła tego. Teraz i na zawsze.

– Tak – szepnęła.

Uwolnił ją na chwilę.

– Co tak?

– Wszystko. Cokolwiek zechcesz.

Dmuchał ciepłym powietrzem w miejsce, które pragnęło go najbardziej.

– Czego dokładnie chcesz, Sophie?

Pogładziła jego włosy, zachwycona ich miękkością.

– Chcę, żebyś to zrobił językiem.

Była pewna, że kiedyś będzie się wstydzić tych słów. Damy tak na pewno nie mówią. Ale na razie nic ją to nie obchodziło.

Jęknął i dał jej to, czego chciała. Rozkoszne, długie liźnięcia, które doprowadzały ją do szaleństwa.

– Jesteś dla mnie zagrożeniem...

– Jakim? – spytała z uśmiechem.

Wsunął palce w jej włosy, szpilki rozsypały się po podłodze biblioteki. Jej loki otoczyły ich oboje. Spojrzał jej głęboko w oczy.

– Sprawiasz, że pragnę...

Opadła niżej. Poczwała, jaki jest twardy i naprężony. Wydał gardłowy odgłos. Ogarnęło ją upajające poczucie własnej mocy.

– Czego pragniesz? – powtórzyła jego własne słowa, zaskoczona swoim niskim, pełnym pożądania głosem.

W jego bliskości stawała się inną kobietą.

Wziął w posiadanie jej usta. Pocałunek był tak głęboki, że kiedy się skończył, oboje oddychali urywanie.

– Sprawiasz, że pragnę – odpowiedział po prostu. – Chryste Panie. Po prostu sprawiasz, że pragnę, Sophie.

Te słowa poruszyły ją równie głęboko, jak pocałunek.

Skinęła głową.

– Ja też pragnę.

Wszystkiego, co mógł jej dać. W całej rozciągłości. Nawet jeśli to tylko resztki po kimś. Weźmie jej bez zastanowienia.

Zamknął oczy.

– Psiakrew – zaklął cicho i przejmująco. Sophie znieruchomiała, bo usiadł i zaczął pośpiesznie podciągać jej stanik. Co takiego zrobiła?

– King? – zapytała, gdy ciasno sznurował gorset. Wpadła w panikę. Czy zrobiła coś złego? – Co się stało?

Kiedy była ubrana, spojrział jej w oczy. Uspokoiła się, bo w jego wzroku wciąż lśniło pożądanie. Panował nad nim, ale było tam na pewno.

– Dlaczego przestałeś?

– Przepraszam – powiedział niskim, cichym, pełnym pożądania głosem.

– Za to, że przestałeś? – Spojrzała na niego, kompletnie nie rozumiejąc, o co mu chodziło. – Nie musisz przepraszać.

– Właśnie, że tak. Za to wszystko. Za wszystko, co ci zrobiłem i powiedziałem. Za to, że przywiozłem cię tutaj. I za to, co chciałem zrobić przed chwilą.

– Mnie było całkiem dobrze.

Westchnął chrapliwie.

– W tym rzecz.

– Naprawdę? – Szeroko otworzyła oczy.

Wstał i opuścił jej stopy na podłogę.

– Oczywiście, że chciałem, by było ci dobrze. Ale to... – przerwał i znowu cicho zaklął. – Chryste. Mnie też było dobrze. Aż za dobrze. Mnie nie powinno być dobrze, Sophie. Szczególnie z tobą. A tobie nie powinno być dobrze ze mną.

Za późno.

Zmarszczyła brwi.

– Dlaczego nie?

Zacząła szukać jakiejś obrony.

– Przecież obiecałeś, że zniszczysz moją reputację, prawda? To się właśnie tak robi, nieprawdaż?

Popatrzył na nią gniewnie, z irytacją i zarazem ze smutkiem. A potem złamał jej serce.

– Nie będę się z tobą kochać, Sophie. Ani dzisiaj, ani nigdy.

## 17. Kiedyś król, wkrótce księżę

Przez cały następny dzień włóczył się po zamku, starając się unikać Sophie i zarazem mając nadzieję, że ją spotka. Że znowu odczuje tę nieprawdopodobną ulgę, jaka go ogarnęła, gdy powiedział jej prawdę o Lornie, a ona nie wybiegła z krzykiem z pokoju. Szkoda, że tę ulgę stłumiło poczucie winy, gdy rozczarował ją, odmawiając miłości.

Po południu znowu znalazł się w bibliotece. Zasiadł w tym samym fotelu, co poprzedniej nocy, popijał scotcha i zadreślał się wspomnieniem Sophie, wędrującej po bibliotece, radosnej i ciekawskiej, zajadającej swoje ciastko. Pomyślał, że teraz zawsze będzie ją tak pamiętał: gawędzącą wesoło ze służbą, zachwycającą się ciastkami, siedzącą naprzeciw niego w jadalni.

Była namiętna, silna i doskonała. Jakimś cudem powstrzymał się, by jej nie wziąć w tym fotelu, pomiędzy bibliotecznymi półkami, by nie kochać się z nią raz po raz, do utraty zmysłów i pamięci, ale to była jedna z najtrudniejszych rzeczy w jego życiu.

Rozstanie z nią było jeszcze trudniejsze.

Właśnie to go przerażało.

Był dżentelmenem, więc nie powinno go dręczyć poczucie winy. Przecież nie zniszczył jej reputacji, pomimo tej głupiej umowy. Przecież o to chodziło, prawda? Jak każdy porządny mężczyzna starał się bronić jej cnoty. Ale i tak czuł się winny, choć nie miało to nic wspólnego z seksem.

Nie nadawał się dla niej. I dlatego cierpiał.

Nie będzie w stanie dać jej miłości, której tak pragnęła. Na którą zasługiwała. Najlepiej byłoby odwieźć ją z powrotem do tej gospody w Mossband, jakby się nigdy nie spotkali.

Przecież i tak nigdy o niej nie zapomni.

Pociągnął solidny łyk. Poczucie winy ustąpiło miejsca wściekłości.

Jakim trzeba było być durkiem, żeby ją tu przywieźć, odsłonić przed nią swoje demony. I zwodzić marzeniami, które nigdy się nie spełnią.

Nawet jeśli się z nią ożeni, nigdy jej nie pokocha.

Zrobił to już raz. I patrzcie, do czego to doprowadziło. Tkwiał tu teraz sam. Pijany. W bibliotece.

– Milordzie?

King spojrzął na drzwi, w których stała Agnes. Agnes, która zawsze była po jego stronie. Zastępowała mu matkę, a on traktował ją jak przyjaciółkę, a nie jak służącą. Była jedyną osobą na świecie, która mogła spoglądać na niego z podziwem i pogardą jednocześnie.

– Wejdz, Agnes. – Gestem zaprosił ją, by usiadła naprzeciwko. – Opowiedz mi, co tu się działo przez ostatnich dziesięć lat.

Podeszła bliżej, ale nie usiadła.

– Jesteś pijany?

– Pracuję nad tym.

Przyglądała mu się przez krótką chwilę, a potem powiedziała:

– Ojciec chce cię widzieć.

– Ale ja nie chcę widzieć jego.

– Nie masz wyboru, Aloysiusie.

– Nikt mnie tak nie nazywa – mruknął.

– No cóż, ja na pewno nie będę cię nazywać Kingiem – odparła sucho i stanowczo. – Mam jednego króla i na tym koniec.

– No i oprócz tego jeszcze monarchę w Londynie – dokuczył jej.

– Alkohol przez ciebie przemawia. W przeciwnym razie natarłabym ci uszu za te słowa.

Spojrzał w jej ładną twarz. Czas był dla niej życzliwy, pewnie w odróżnieniu od ojca.

– Jestem już za duży na reprimendy, Nessie. Ludzie w moim wieku nie muszą się już korzyć przed rodzicami.

Zmrużyła brązowe oczy.

– Ojca możesz sobie nie szanować. Ale mnie musisz. Pijany czy trzeźwy. Bez różnicy.

To go otrzeźwiło.

Agnes była dla niego najlepszą towarzyszką dzieciństwa. Zastępowała mu matkę i była zawsze troskliwa, zawsze uczciwa, zawsze na miejscu. Była wtedy młoda i śliczna. I zawsze miała czas, by się z nim pobawić. To ona pokazywała mu sekrety i tajne zakamarki zamku. Kiedy skreślił rękę w nadgarstku po upadku ze schodów, to ona wzięła go na ręce i obiecała, że wszystko będzie dobrze. Zawsze mówiła mu prawdę i nieraz czuł się potem jak ostatni idiota.

Tak jak teraz.

– Przepraszam.

Skinęła głową.

– Skoro już jesteśmy przy tym temacie, może spróbowałbyś okazać nieco szacunku swojej przyszłej żonie?

Na to jest już za późno.

– Ona nie zostanie moją żoną.

Agnes uniosła brew.

– Czy to znaczy, że wrócił jej rozsądek i odjechała?

Nie wiedzieć czemu, nie.

Postanowił jednak, że nie będzie jej tu trzymał wbrew jej życzeniu i zmuszał do odgrywania roli, na którą nie miała ochoty. Zwolni ją z umowy jak najszybciej. Jeszcze dziś. Kiedy tylko ją zobaczy.

Wtedy ona odjedzie.

– Niedługo odjedzie – powiedział, nienawidząc tych słów.

– Wiesz, że to będzie wyłącznie twoja wina.

– Wiem.

Doskonale to wiedział. Pozbędzie się jej, jak wszystkich innych kobiet, które się nim choć trochę interesowały. Tylko że z innymi szło mu to łatwiej. Uśmiech, skradziony pocałunek, obietnica, że znajdzie kogoś lepszego... Ideał. Wymarzonego kochanka.

Nie życzył sobie, żeby Sophie znalazła kogoś lepszego.

Sam chciał się stać lepszemu... dla niej.

Tylko nie wiedział jak.

Szlag by to trafił.

– Nienawidzę tego miejsca.

– Dlaczego?

Westchnął, oparł głowę na fotelu i zamknął oczy.



– Bo czuję się tu jak dziecko. Kiedy tu mieszkałem, też się tak czułem. Czepiałem się twojej spódnicy, nie wiedząc, co robić dalej. Różnica jest tylko taka, że teraz mało mnie obchodzi, co ludzie powiedzą.

Obserwowała go uważnie.

– Nie jestem pewna, czy to prawda.

Oczywiście, miała rację. Bardzo mu zależało na opinii ojca. Chciał, żeby nim gardził. Wstał, zirytowany tą myślą.

– Kiedy zostanę księciem, zetrę to miejsce z powierzchni ziemi. Razem ze wszystkimi wspomnieniami.

Podszedł do niskiego stolika, nalał sobie pełną szklanę.

– Prowadź. Zabierz mnie do pana tego zamku, abym mógł wysłuchać jego poleceń i odejść w spokoju.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, załatwimy sprawę i nigdy więcej się nie zobaczymy.

Dawno by już wyjechał, gdyby nie Sophie.

– On wcale nie jest taki niegodziwy, jak ci się wydaje.

Rzucił jej ostre spojrzenie.

– Z całym szacunkiem, nie jesteś jego synem.

– Nie – odpowiedziała. – Ale prowadzę mu dom, od kiedy się urodziłeś. Byłam świadkiem twojego odjazdu tamtej nocy. A potem byłam tu przez wszystkie pozostałe noce, aż do dziś.

– Od kiedy doprowadził do tego, że zabiłem moją ukochaną.

Agnes zatrzymała się jak wryta.

Do tej pory King z nikim nie rozmawiał na ten temat, a teraz powiedział te słowa dwukrotnie w ciągu ostatniej doby. Zwierzył się Sophie i coś się w nim odblokowało.

– O co chodzi? – spytał.

Potrząsnęła głową i ruszyła przed siebie.

– Obiecałam twojemu ojcu, że cię przyprowadzę.

– Sam pójdę, Agnes.

– On się chyba boi, że wyjedziesz, jeśli zostawię cię samemu sobie.

Gdyby nie Sophie, dawno by już wyjechał.

– Nie myli się. Przyjechałem tylko po to, żeby mu powiedzieć, że nasz ród zakończy się na mnie.

– Myślisz, że ta urocza dziewczyna nie będzie chciała dzieci?

Będzie chciała. I będzie cudowną matką. Ale to nie będą moje dzieci.

Kto inny będzie ich tatą. Ktoś, kto ją pokocha, kto będzie jej godny, kto będzie podziwiał ją i tę cholerną księgarnię zapchaną książkami, które tylko ona przeczyta. Księgarnię, którą podaruje jej King. Po to, żeby znalazła szczęście. I miłość.

Właśnie dlatego zrywał zaręczyny innych kobiet. Żeby dać im szansę na odnalezienie prawdziwej miłości.

Szansę, jakiej Lorna nigdy nie dostała.

Sophie będzie to dane.

Nieważne, że dostawał szału na myśl, że ona może zakochać się w innym.

– Wysłuchaj, co on ma do powiedzenia, zanim wyjedziesz – powiedziała Agnes. – Jesteś mi to winien.

– Za co?

Spojrzała na niego. Choć minęło piętnaście lat i była nadal piękna, postarzała się w tych kamiennych murach.

– Za te wszystkie lata, przez które się o ciebie martwiłam.

Zawsze był rozczarowaniem dla wszystkich kobiet, na których mu zależało.

Gdy stanęli pod drzwiami gabinetu ojca, spojrzał na nie i przypomniał sobie, jak w dzieciństwie nieraz stał w tym samym miejscu, z bijącym sercem, bojąc się, co powie mężczyzna siedzący za biurkiem.

Teraz nie było w nim dziecięcego niepokoju.

Agnes podniosła rękę, żeby zastukać.

Zatrzymał ją.

– Nie.

Nacisnął kławkę i wszedł do środka.

Książę Lyne stał przy wykuszowym oknie, z którego roztaczał się widok na cały majątek. Odwrócił się, słysząc skrzypienie drzwi. Był odziany w nieskazitelny, granatowy surdut, buty do kolan z kozłej skóry i idealnie wyprasowany fontaż.

– Można by przypuszczać, że będąc tak daleko od Londynu, zrezygnujesz z oficjalnych strojów – powiedział King.

Książę posłał mu długie, uważne, pogardliwe spojrzenie.

– Można by się spodziewać, że pomimo tej odległości przypomnisz sobie o manierach i nie będziesz pokazywał mi się pijany w środku dnia.

King nie czekał, aż ojciec poleci mu, by usiadł. Usadowił się wygodnie na najbliższym fotelu, z satysfakcją obserwując irytację starszego pana.

– Okazało się, że alkohol pomaga uporać się z niechęcią, jaką budzi we mnie to miejsce.

– W dzieciństwie nie budziło w tobie nienawiści.

– Nie znałem prawdy.

– A jaka to prawda?

King pociągnął łyk.

– To miejsce robi z nas potwory.

Książę podszedł i usiadł naprzeciw niego. Wciąż był wysoki i zadbany, pociągający dla kobiet mimo podeszłego wieku. Rzeczywiście, mocno postarzał się przez tych piętnaście lat. Kiedyś tylko skronie miał przyprószone siwizną; teraz pobielały mu wszystkie włosy. Wokół ust i oczu pojawiły się zmarszczki. Słyszał od kogoś, że to oznaki pogodnej natury. Na pewno nie u ojca.

– Dobrze wyglądasz – powiedział książę. – Dorosłeś.

King napił się.

– Po co mnie tu wezwałeś?

– Musimy porozmawiać.

– Przysłałeś mi wiadomość, że umierasz.

Lyne machnął ręką.

– Wszyscy po trochu umieramy, nieprawdaż?

King rzucił mu gniewne spojrzenie.

– Niektórzy trochę za wolno.

Książę poprawił się na fotelu.

– Pewnie myślisz, że sobie na to zasłużyłem.

– Wiem, że zasłużyłeś na coś gorszego – odpalił King. Po chwili milczenia dodał: – Nie będę cię więcej prosił, Wasza Wysokość. Albo powiesz mi, po co mnie wezwałeś, albo wyjeżdżam. Następnym razem przyjadę, dopiero gdy zostanę panem tego miejsca.

– Mogę za tobą pojechać do Londynu.

– Unikałem cię przez piętnaście lat, Wasza Wysokość. Londyn to duże miasto.

– Będzie ci trudno, jeśli podejmę na nowo książęce obowiązki.

– Musiałbyś zająć swoje miejsce w parlamencie. Reszta Izby Lordów będzie zachwycona, że w końcu zacząłeś szanować swój tytuł. – Popatrzył na ojca. – Szczerze mówiąc, to dziwne, że człowiek, który z takim zacięciem bronił swego rodu przed domieszką złej krwi, wymiguje się przed tak poważnymi obowiązkami. Ile razy byłeś w Londynie przez ostatnich piętnaście lat? Z sześć?

– Mam powody, by trzymać się z dala.

– Na pewno bardzo ważne – parsknął King.

– Jedne bardziej, inne mniej. – Książę odetchnął głęboko. – Nie powinienem zostawiać cię samego na tak długo.

King uniósł brew.

– Zostawiać mnie?

Książę zacisnął dłonie w pięści.

– Byłeś młody, bezczelny i nic nie wiedziałeś o świecie. Za każdym razem, gdy wracałem, nie chciałeś się ze mną widzieć. Posyłałeś zawsze tę krótką, pełną urazy wiadomość: „Nasz ród zakończy się na mnie”. Nie powinienem na to pozwolić.

– Więc uważasz, że wszystko, co robiłem od chwili wygnania, działało się za twoim przyzwoleniem? To śmieszne.

Lyne posłał mu to samo spojrzenie zielonych oczu, którym King szachował niezliczone osoby. Nie spodobało mu się to.

– Owszem, wszystko to działało się za moim pozwoleniem. Napełniałem twoje kufry pieniędzmi, dawałem ci konie, dostałeś rezydencję w Mayfair, dwukółkę, którą gnałeś po drogach na złamanie karku, zanim ją rozbiłeś, powóz, którego nigdy nie używałeś.

King wyprostował się, wściekły, że ojciec przypisuje sobie wszystkie jego sukcesy.

– Przez ten czas wartość tych pieniędzy dwunastokrotnie wzrosła. Dom jest pusty, czeka na ciebie na Park Lane. Konie nie żyją. Owszem, dwukółka się rozbiła. Tak jak tamten powóz. – Spojrzał na ojca, mrużąc oczy. – Żyłem na twój koszt, dopóki nie stanąłem na nogi. I nigdy nie prosiłem o więcej. Nawet o szylinga. Można by pomyśleć, że nie będziesz mi tego wszystkiego wyliczał. Można by pomyśleć, że potraktujesz to jako zadośćuczynienie za śmierć dziewczyny, która pochodziła z tak niskich sfer, że uznałeś ją za niepotrzebną.

– Więc znowu do tego dochodzimy.

– Tak jest.

Książę wyprostował się.

– Nie byłem narzędziem jej śmierci.

Dziwnie to zabrzmiało. King pomyślał, że ojciec chce w ten sposób wymigać się od odpowiedzialności.

– Nie. Ja nim byłem i dzięki ci uprzejmie za wyjaśnienie tej sytuacji.

– Ty też nim nie byłeś.

King uniósł dłoń

– To ja trzymałem lejce, Wasza Wysokość. Słyszałem jej krzyk. Byłem tam, gdy zamilkła. Trzymałem ją w ramionach.

– I będziesz dźwigał ten krzyż. Każdy ma swój.

King przecesał włosy dłońmi, z trudem ukrywając wściekłość i frustrację.

– Po co mnie tu wezwałeś?

– Zaproponowałem jej pieniądze – powiedział książę. – Tej dojarce.

– Żeby ode mnie odeszła. Nigdy mi tego nie powiedziała, ale jakoś mnie to nie dziwi.

– Nie jestem z tego dumny, ale nie było innego sposobu, by upewnić się, że nie zależy jej na tytule. Ani na pieniądzach. Że nie jest karierowiczką.

King wybuchnął śmiechem.

– Mam teraz uwierzyć, że chciałeś sprawdzić, czy ona mnie kocha?

Spojrzenie księcia powędrowało ku ścianie za jego plecami.

– Możesz wierzyć lub nie, ale to jest prawda.

– To bujda i sam dobrze o tym wiesz. Przez całe życie pyszniłeś się naszą błękitną krwią, podkreślając znaczenie dobrego nazwiska i rodu. Jeśli proponowałeś jej pieniądze, to tylko po to, żeby ode mnie

odeszła. Pewnie jej ojcu też zapłaciłeś.

– Owszem. – Księżę skinął głową.

– On je przyjął. A ona uciekła do mnie. Bo mnie kochała. Pieniądze nie wystarczyły, by zerwać nasz związek.

– Żadne ich nie przyjęło – odparł książę. – I rzeczywiście, pieniądze nie wystarczyły. To, co ty im zaoferowałaś, było większą pokusą. Było dużo cenniejsze. Nawet o tym nie marzyli... i nagle pojawiło się w zasięgu ręki.

Zaniepokoiły go te słowa. Rzeczywiście, ona od samego początku chciała uciec. Za granicę. Do Szkocji. King parł do ślubu w kościele, w Anglii. Na oczach całego świata. Zgodziła się na to. Ale czy na pewno?

– Nie powiedziała ci o pieniądzach, bo wiedziała, że jeśli to zrobi, przyjdiesz do mnie i wywołasz awanturę. A ja wtedy powiem ci prawdę. Bała się, że mi uwierzysz. Więc powiedziała ci coś innego.

King pokręcił głową.

– To nieprawda.

– Mylisz się. – Te słowa padły od strony drzwi, w których wciąż stała Agnes jak wartownik na straży.

– Nawet ciebie namówił do kłamstwa? – spytał. Zdradziła go. Na tę myśl ogarnął go gorący gniew.

– Ona nie kłamie – odezwał się książę.

– Gdy umarła, jej ojciec przybył do zamku, Aloysiusie – ciągnęła Agnes. – To było już po twoim zniknięciu. Był załamany. Powiedział nam prawdę. Od samego początku zależało im na tytule książęcym. Obojgu.

King potrząsnął głową.

– Nieprawda. Bała się go. Mówiła, że ojciec ją ściga. Że jeśli ją dopadnie, to ją zabije. I że on boi się ciebie.

– Wcale się mnie nie bał. Wydawało mu się, że jego córka będzie jak Anna Boleyn. Splunął mi w twarz i rozdarł jej suknię. Wymierzył jej policzek, rozcinając wargę. I przysiągł mi, że ona przed wschodem słońca zostanie następną markizą Eversley.

King doskonale pamiętał tę suknię, rozdartą przy szyi. Niemal widział zakrwawione usta. Odsunął od siebie to wspomnienie. Ojciec kłamał. Jak zwykle.

– Dlaczego ich nie zatrzymałeś?

– Pojechałem do Rivendel. Do hrabiego, u którego pracował ojciec Lorny. Myślałem, że mi pomoże. – Książę roześmiał się z własnej głupoty. – Ale twoja dziewczyna i jej ojciec mieli tytuł książęcy na wyciągnięcie ręki. Postawili wszystko na jedną kartę. Kiedy wróciłem do domu, już odjechałeś. Powozem. Razem z nią.

Książę umilkł.

– Wtedy nauczyłem się, że arystokracja nic nie wskóra przeciwko sile woli.

Wyobraźnia podsuwała Kingowi jedno wspomnienie za drugim. Jej łzy, błagania, oczy pełne strachu. Te oczy. Musiałyby być najlepszą aktorką w całej Brytanii. Albo czegoś pragnąć nad życie.

Nie mogła przecież kłamać...

To by znaczyło, że wszystko, co zdarzyło się tamtego lata, miłość tej dziewczyny, marzenia o wspólnym życiu – było wytworem jego wyobraźni. Co za koszmar. Nie, to niemożliwe. Tylko że słowa ojca posiały ziarno wątpliwości, które dziwnie szybko się rozrastało. Czy to możliwe, że jedyna miłość, w którą uwierzył, była kłamstwem? Czy to możliwe, że cierpiał z powodu zdrady, a nie miłości?

Kim w takim razie był?

Wstał, chcąc jak najszybciej opuścić gabinet. Pozbyć się ojca. Pozbyć się Agnes, której nigdy nie podejrzewałby o zdradę. Powiedział oskarżająco:

– Oboje mnie okłamujecie.

– Nazwij ją jeszcze raz kłamczuchą, a noga twoja więcej nie postanie w tym domu. – W głosie księcia

brzmiała zimna furia. – Mnie możesz obrażać do woli, ale Agnes zawsze stała po twojej stronie, od urodzenia. Nie masz prawa źle o niej mówić.

Kiedy indziej byłby zdumiony ojcowskim wybuchem gniewu, ale dzisiaj nic go to nie obchodziło. Odparł gniewnie:

– To nic nie zmienia. Ten zamek zrobił z nas potwory. Nasz ród zakończy się na mnie, tak jak ci obiecałem.

– A żona, którą mi przedstawiłeś? Jej życzenia się nie liczą?

Sophie.

– Nie mów mi, że wierzysz w jej miłość do mnie. Jest przecież Talbotką.

Książę nawet nie drgnął.

– Po tym, co zobaczyłem wczoraj wieczór, myślę, że jej na tobie zależy. Twoja dojarka nigdy by nie odeszła od stołu tak jak ta Talbotka.

Idealna, nietknięta Sophie, która pragnęła szczęścia i szczerości. Sophie, której trzeba jak najszybciej zapewnić wymarzone życie. King był wściekły, że musi o niej rozmawiać w tym miejscu, z tym człowiekiem, po tym wszystkim, co od niego usłyszał.

Dawno temu on też wierzył w miłość.

Nawet jej pragnął. Ale utracił swą jedyną ukochaną, a teraz nawet tę prawdę przesłoniły kłamstwa.

– W takim razie jej pragnienie również się nie spełni, tak samo jak moje.

W tej sytuacji mógł się trzymać tylko jednej prawdy.

To miejsce. Ten ród. Zakończy się na nim.

Nawet jeśli będzie musiał rozstać się z Sophie.

Nawet jeśli na myśl o tym ogarnia go rozpacz.

Zacisnął zęby ze złości, niedowierzania i innych emocji, zbyt skomplikowanych, by o nich myśleć.

– Po co ja tu przyjechałem? – spytał po raz ostatni, tonem pełnym goryczy.

– Jesteś moim synem – odpowiedział po prostu książę. W jego oczach błyszczało coś, czego King nie miał ochoty nazywać. – Jesteś moim synem i był taki czas, gdy byłeś moją radością. Powinieneś poznać prawdę. Co więcej, powinieneś zaznać szczęścia. – Książę przerwał. Wyglądał dużo starzej niż przedtem. – Do diabła z dumą.

Te słowa były najgorszym ciosem.

King mógł na nie odpowiedzieć tylko w jeden sposób. Wyszedł z gabinetu bez słowa i skierował się do jedyne miejsce, które obiecywało ukojenie. Do labiryntu.

Gnany gniewem i desperacją przemierzał kręte ścieżki. Każdy zakręt niósł wspomnienia z dzieciństwa, przypominał jego pomyłki. Szeptał o przeszłości, przed którą King uciekał od kilkunastu lat. Szedł bez wahania, jakby drogę miał zapisaną w genach. Był Tezeuszem ścigającym Minotaura, a w jego głowie i sercu płonęło pragnienie walki.

Tylko że w środku labiryntu nie było żadnego potwora.

Siedziała tam Sophie.

Labirynt w Lyne był tak wspaniały, jak go zapamiętała.

Przysiadła na brzegu bogato zdobionej, marmurowej fontanny w jego środku. Na jej kolanach leżała książka, ale Sophie nawet na nią nie spojrzała. Zbierała odwagę, by wyjechać z zamku.

Przez większość dnia penetrowała zakamarki labiryntu. Poszukiwanie fontanny zajmowało jej umysł do tego stopnia, że myśli o Kingu nie przyprawiały ją już o szaleństwo. Naturalnie, sporo myślała o jego dzieciństwie i o tym, że labirynt był jego ulubionym miejscem zabaw. O tym, że pewnie często się tu

chował, żeby wymigać się od różnych rzeczy. Ponieważ sama często stroniła od różnych sytuacji, w pełni doceniała labirynt jako azyl.

Poprzedniego wieczoru odprowadził ją do sypialni, która sąsiadowała z jego pokojami; można było się do nich dostać przez wewnętrzne drzwi. Udało jej się nie zaprotestować na głos przeciwko jego decyzji, by pozostawić ją nietkniętą. Świetnie nauczyła się ukrywać przed nim swoje uczucia.

Naturalnie, gdy zamknęła drzwi sypialni i zdmuchnęła świece przy łóżku, rozplakała się nie tylko z tęsknoty za jego dotykiem i słowami, lecz także z żalu, jaki obudziła w niej opowieść Kinga. Współczuła jemu i jego ukochanej.

Poza tym było jej żal siebie samej.

Żałowała, że tak bardzo go pragnie, że chce słuchać jego opowieści, wyznań i prawd. Nieważne. Jej marzenia się nigdy nie spełnią, bo on nigdy nie zaryzykuje. Nie pokocha innej.

Dobrze, że schowała się przed światem w tym zagmatwanym labiryncie. Tu odnajdzie odwagę i zapomni o swoich uczuciach do niego. Odejdzie z wysoko podniesioną głową i zbuduje sobie inne życie.

Ale nigdy nie będzie w nim innego mężczyzny.

Właśnie to sobie uświadomiła. Dla Sophie Talbot, najmłodszej córki węglarza z północy, liczył się jedynie markiz Eversley. Tylko że nigdy go nie dostanie.

Dlatego postanowiła wyjechać.

Powie mu to, gdy go spotka.

Zanurzyła palce w chłodnej wodzie, przyglądając się wspaniałemu pojedynekowi marmurowych rzeźb. Minotaur oko w oko z Tezeuszem, otoczeni kaskadami wody. Coś w sposobie przedstawienia tych dwóch postaci sprawiło, że współczuła bykogłowemu potworowi – był pionkiem w cudzej grze. Jego narodziny miały być karą dla matki. To niesprawiedliwe, że musiał spędzić całe życie w samotności, nawet jeśli mitologiczny labirynt był równie piękny jak ten.

– Zapamiętałaś drogę.

Gwałtownie wyciągnęła dłoń z wody. Znalazł ją pierwszy.

Oddychając urywanie, odwróciła się do Kinga, który stał w wejściu do swojej kryjówki.

– Ja tylko...

– Ukrywałaś się przede mną.

Uśmiechnęła się, ale w duchu była na siebie zła, że jego widok aż tak ją zabolął. Nawet z cieniem zarostu, włosami w nieładzie, z rękawami podwiniętymi do łokci, King wciąż robił na niej wrażenie. Może nawet tym większe, bo miała okazję zobaczyć, jaki jest poza Londynem. Jakim widywałaby go codziennie, gdyby czas i przestrzeń nie sprzysięgły się przeciwko nim.

Znowu zapatrzyła się w wodę.

– Bardziej przed wyobrażeniem niż przed rzeczywistą osobą, jeśli to cię pocieszy.

Uśmiechnął się lekko.

– To jakaś różnica?

– Wyobrażenie jest bardziej niepokojące.

– Szkoda. Wolałbym cię niepokoić osobiście.

I tak był wystarczająco niepokojący. Gdyby jego słowa zmieniły się w czyn, chyba uciekłyby stąd z krzykiem. Na razie tylko wstała i wytarła dłoń w suknię.

– Jeśli chciałeś się tu przede mną ukryć, milordzie, chętnie zostawię cię w spokoju.

Była zaskoczona, gdy przez chwilę w milczeniu zastanawiał się nad jej propozycją.

Zaskoczona i urażona.

Przecież to on ją obraził. To on stwierdził, że nie ma dla nich żadnej przyszłości. Więc dlaczego ona miałaby stąd odejść?

Przecież przyszła tu pierwsza.

Ale jego chyba nie interesowała zasada starszeństwa.

W każdym razie zmienił zdanie.

– Zostań – powiedział cicho. – Zostań i dotrzyмай mi towarzystwa.

Coś w tych słowach sprawiło, że usiadła i odwróciła się do niego, żałując, że nie są bliżej siebie. Że nie widzi zieleni jego oczu. Że nie może odczytać kryjących się w nich emocji.

– Proszę cię – dodał nieznośnie cicho.

Coś się musiało stać.

– Milordzie, czy wszystko jest w porządku? – zapytała.

Udał, że nie słyszy pytania. Usiadł nieopodal na niskiej kamiennej ławie, zwrócony twarzą do Sophie i do fontanny. Wyciągnął długie nogi i skrzyżował w kostkach. Ręce również skrzyżował. W polu jej widzenia pojawiły się gołe, opalone, muskularne przedramiona, których nie sposób było zignorować. Wskazał podbródkiem książkę na jej kolanach.

– Dalej czytasz o pozycjach?

Zupełnie zapomniała, że ma ze sobą książkę. Zaciśnęła na niej palce i odpowiedziała z wymuszonym uśmiechem:

– A co, masz ochotę posłuchać kolejnego fragmentu?

Nie uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Może trudno uwierzyć, ale nawet pozycje mnie w tej chwili nie interesują.

Spojrzała na książkę.

– To nie jest tamta książka o kamieniarstwie.

– A co to jest?

Nie pamiętała. Musiała spojrzeć na tytuł.

– Mity greckie.

– Ciekawa?

– Pełno tam różnych adonisów, złodziejasków i innych nicponi.

– Brzmi fascynująco.

– Jeśli ktoś lubi czytać o tym, jak się niszczy kobiecą reputację.

– A ty lubisz?

Owszem.

Zamilkła, zastanawiając się nad pytaniem i odpowiedzią.

– Lubię ciebie.

– Myślałem, że się nie lubimy?

Potrząsnęła głową.

– Zmieniłam zdanie.

Wstał i podszedł do niej. Wtedy dokończyła:

– Choć pewnie nie powinnam.

Usiadł obok niej na obrzeżu fontanny. Podniósł dłoń i założył jej pasmo włosów za ucho.

– Nie powinnaś – zgodził się cicho. – Nie zniszczę twojej reputacji, Sophie.

– Przecież zawarliśmy umowę – przypomniała.

– Żadne z nas jej nie dotrzymało.

– Bardzo dobrze się mną opiekujesz – upierała się. Zmarszczył brwi, nie rozumiejąc o co chodzi, więc wyjaśniła: – Powiedziałam coś miłego na twój temat. Zgodnie z umową. Więc jej dotrzymałam.

Zamknął oczy na dłuższą chwilę. Kiedy je otworzył, zaśniły intensywną zielenią.

– Ja mimo to nie dotrzymam warunków. Nie zniszczę twojej reputacji.

Teraz ona zmarszczyła brwi.

– Dlaczego nie? Nie miałeś takich oporów z innymi kobietami.

Milczał, więc naciskała dalej.

– Na przykład z Marcellą.

Milczał. Coś się tu nie zgadzało. Zawsze miała takie poczucie, gdy przypominała sobie tę scenę pod pałacykiem hrabiny Liverpool. Marcella wesoło machała ręką z góry, jakby była bardzo zadowolona, że King odchodzi, a ona musi sobie poradzić z konsekwencjami skandalu.

– Żadnej z nich nie zrujnowałeś, prawda?

Uniósł brew.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Bo widziałam twarz Marcelli, kiedy od niej odchodziłeś. Kiedy wyjrzała z okna, żeby ci podziękować.

Spojrzał w wodę, przesunął palcami po jej powierzchni.

– Może spodobała jej się schadzka.

Sophie zmrużyła oczy.

– Nie sądzę.

– No cóż, czuje się tym trochę urażony.

Zignorowała tę próbę zmiany tematu.

– Mam wrażenie, że to wcale nie była schadzka. Zgadza się?

Pochylił głowę.

– Owszem.

Zmarszczyła brwi.

– W takim razie po co ta wariacka ucieczka? Po co było drażnić earla?

Zamilkła, bo nagle wszystko zrozumiała.

– Jasne. Teraz Marcella wyjdzie za kogoś innego.

Skinął głową.

– O ile pamiętam, za właściciela magazynu męskiej mody Hoff i Chawton. W zamian obiecał mi tyle fontazi i krawatów, ile zapragnę.

– Ojciec Marcelli nie będzie się temu sprzeciwiał.

– Jeszcze będzie wdzięczny, że w tej sytuacji ktoś chce się ożenić z jego córką. Do tego pan Hoff jest bardzo bogaty.

Sophie roześmiała się.

– Zapewniłeś jej małżeństwo, o jakim pewnie nawet nie mogła marzyć.

– Przysięgała, że się kochają.

– A inne kobiety? – spytała Sophie. – Czy też były zakochane w innych mężczyznach?

– Wszystkie, co do jednej.

Przypomniała sobie, jak im zazdrościła, kiedy o nich rozmawiali podczas podróży.

– Zrujnowałeś je, żeby mogły znaleźć szczęście.

– Trzeba je było popchnąć we właściwą stronę.

– Powinnam to wcześniej zrozumieć – powiedziała. – Gdyby między wami coś było, nigdy by im to...

– umilkła. Tego nie wolno jej było powiedzieć.

– Co takiego?

– Nic.

– Nic z tego, lady Sophie – upierał się. – Właśnie zaczęło się robić ciekawie.

Westchnęła głęboko, znużona kłamstwami. Postanowiła powiedzieć mu prawdę.

– Gdyby coś między wami było, nie potrafiłyby się z tobą tak łatwo rozstać.

Znieruchomiał, gdy to powiedziała.

– Marcella nie pożegnałaby cię tak beztrąsko.

Wyjął rękę z wody i dotknął jej policzka chłodnymi, mokrymi palcami. Zamknęła oczy, rozkoszując się



tym doznaniem.

– Bardzo trudno jest się z tobą rozstać – szepnęła.

Po długiej chwili milczenia zapytał.

– Naprawdę tego chcesz? Rozstać się ze mną?

Nie.

Nigdy.

King spojrział na stojącą za nimi rzeźbę.

– Co wiesz o Minotaurze?

Zaskoczyło ją to pytanie. Powiodła wzrokiem za spojrzeniem Kinga, skierowanym na piękną marmurową postać nagiego mężczyzny z głową byka.

– Wiem, że został zamknięty w labiryncie.

– Trzymano go w środku niemożliwego do przejścia labiryntu. Rozwiązanie знаła tylko jedna osoba.

– Ariadna – powiedziała.

Uniósł brew.

Zarumieniła się.

– Coś tam czytałam.

Ujął jej rękę i odwrócił ją wnętrzem dłoni do góry. Zanurzył palec w wodzie i zatoczył chłodny krąg na jej skórze.

– Jako jedyna osoba, znająca sekrety labiryntu, Ariadna co roku składała Minotaurowi w ofierze dziewicę, by zadowolić bogów.

– Okrutne zadanie – powiedziała Sophie.

– Ojciec jej to nakazał, bo była dla niego zbyt cenna, żeby mogła robić co innego – wyjaśnił King, przesuwając palcem wzdłuż linii na jej dłoniach, jakby uczył się jej własnego tajemnego labiryntu. – Była niezbędna przy tych ceremoniach, więc nie mogła opuścić domu. Poza tym pielęgnowano w niej przekonanie, że jest nic niewarta i niegodna tego, co dzieje się poza labiryntem.

Sophie uniosła brew.

– A była tego godna?

Spojrzał na nią z bliska zielonymi oczyma.

– Bardziej niż jej się wydawało. Była piękna ponad wszelkie wyobrażenie, mądra i dobra.

Wrażenie zaparło jej dech w piersiach, a King mówił dalej.

– Minotaur ani razu jej nie zaatakował. Mówiono, że się w niej kochał.

Nie mówił o niej. Chyba zwariowała.

Odchrząknęła.

– Według niektórych po prostu rozumiał, że dzięki niej dostaje regularne posiłki.

– Dasz mi opowiedzieć tę historię do końca? Czy będziesz sobie robić żarty? – zirytował się King.

Położyła rękę na sercu.

– Gorąco przepraszam. Wybacz, milordzie. Słucham w napięciu.

– Za trzecim razem, kiedy składano ofiarę, do labiryntu wszedł Tezeusz.

Spojrzała na rzeźbę.

– Już czuję, że będą kłopoty.

– Przysiągł, że zabije Minotaura, a Ariadna zgodziła się pokazać mu drogę przez labirynt.

Wyrwała mu dłoń, bo jego dotyk ją drażnił.

– Była dość okrutna, zważywszy na uczucia Minotaura.

– Z miłości robi się dziwne rzeczy.

Bardo dobrze to wiedziała.

– Zakochała się w Tezeuszu?

Gdy King skinął głową, dodała:

– Zdecydowanie narobił wszystkim kłopotów. I to okropnych.

Przytaknął i dodał:

– Poprowadziła więc swego kochanka do środka labiryntu, gdzie stoczył walkę z Minoturem.

– O życie – podsunęła

– Widzisz? Nie słuchałaś uważnie. Tezeusz walczył o życie. Ale Minotaur o Ariadnę – wyjaśnił, kręcąc głową.

Słyszac to, Sophie zamarła. Wpatrzona w niego, słuchała dalej.

– Walczył, by być z nią w świecie, z którego nie mógł uciec. Zgodził się na długie lata samotności, jeśli dzięki temu mógł się z nią widywać, choćby na chwilę. Żył tylko dla niej. Gdyby ją mu odebrano, życie nie miałoby dla niego sensu. Była jedyną osobą na świecie, która go rozumiała.

Sophie oddychała coraz szybciej. Pochyliła się ku niemu, słuchając z uwagą.

– Jedyną osobą, którą kochał.

– Tragiczne... – westchnęła.

– Ale Tezeusz nie miał szansy na wygraną. Minotaur był silniejszy niż dziesięciu ludzi – opowiadał, wpatrując się w nią czujnie. – Tezeusz miał ze sobą miecz Egeusza, jedyną broń, która mogła zabić Minotaura, ale w trakcie walki miecz upadł na ziemię.

Wskazał na rzeźbę. Rzeczywiście, pod stopami obu postaci leżał marmurowy miecz.

– Minotaur by wygrał, gdyby nie Ariadna, która podniosła broń i oddała ją Tezeuszowi.

Sophie potrzęsła głową.

– Biedny potwór.

– Zdradzony – podsumował King szorstko. – Zdradzony przez ukochaną kobietę. Podobno gdy zobaczył, że wybrała Tezeusza, położył się i dał się zabić. Myślę, że cios miecza bolał go mniej, niż rana zadana przez Ariadnę.

Potrzęsła głową. Łzy spływały jej po policzkach.

– Co za straszna opowieść.

Podniósł dłoń i osuszył jej policzki.

– Śmierć była prawdopodobnie najlepszym wyjściem. I tak nigdy nie uwolniłby się z labiryntu.

Po długiej chwili ciężkiego milczenia opuścił rękę.

– Zawsze byłem po stronie Minotaura.

Wiedziała, że nie powinna, że robi błąd, ale mimo to położyła rękę na jego ciepłym ramieniu, pragnąc, by na nią spojrział. Nie zrobił tego, więc stanęła tuż przed nim, aż jej suknia otarła się o jego kolana. Mimo to nie podniósł wzroku. Spoglądał na wprost, jakby jej tam nie było, zapatrzony w swoją opowieść. Albo w coś innego.

– King – szepnęła. Dopiero wtedy spojrział w jej oczy rozdzierająco smutnym wzrokiem. Bez wahania położyła dłoń na jego jedwabistych, czarnych włosach. – Co się stało?

Zamknął oczy, słysząc to pytanie. A potem zrobił coś, czego nie przewidziała. Objął ją w talii, z całej siły przycisnął twarz do jej brzucha i wziął głęboki oddech.

Gładziła go po głowie obiema rękami. Pragnęła go całą sobą, chciała, by powiedział jej wszystko, i sama pragnęła opowiedzieć mu o swoich uczuciach.

A powinna przecież powiedzieć tylko, że wyjeżdża.

Tylko że teraz, w tej chwili, kiedy się w nią wtulił, wcale nie chciała wyjechać. Najchętniej zostałaby tu na zawsze.

– King – szepnęła.

Potrzęsła głową.

– Pragnę cię do szaleństwa, Sophie.

Jej serce zatrzymało się na moment.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Pragnąłem cię od samego początku, wiesz? Od chwili, kiedy o mało co nie trafiłem cię w głowę butem.

– Wcale nie – odpowiedziała ze smutnym uśmiechem.

Spojrzał na nią spod oka.

– No, może nie od razu. Ale na pewno tej nocy, kiedy nakryłem cię w stajni, jak popijałaś z Warnickiem.

– W liberii twojego lokaja?

– Aha! Więc przyznajesz, że to był mój lokaj.

– Skądże znowu – zaśmiała się, szczęśliwa z jego bliskości. Szczęśliwa, bo zakochana.

Wzięła głęboki oddech.

– King, co się...

– Ona wcale mnie nie kochała – powiedział cicho.

– Kto taki? – spytała, marszcząc brwi.

– Lorna. Zależało jej tylko na książęcym tytule.

Nie mogła w to uwierzyć, po tym wszystkim, co opowiedział jej o tej dziewczynie.

– Skąd wiesz?

– Wiem.

Puścił ją i odsunął się nieco.

– Nasz ród skończy się na mnie – szepnął. – To była nie tylko zemsta, ale także pokuta. Przysiągłem, że się nie ożenię, bo nie chciałem zdradzić pamięci dziewczyny, którą kiedyś kochałem.

Serce Sophie ścisnęło się z bólu. Łzy paliły ją pod powiekami, gdy słuchała jego opowieści o zdradzie.

– Ale teraz... zrozumiałem, że chciała wyjść za mnie dla pieniędzy. Dla tytułu. Dla bezpieczeństwa. Okłamała mnie.

Odwrócił się i ruszył w stronę jednej ze ścieżek. Zanim wszedł w labirynt, odwrócił się i bez słowa zapatrzył w Sophie, wzrokiem pełnym gniewu, rozczarowania i ogromnego smutku.

– Myślałem, że kochała mnie tylko ze względu na mnie samego. Ona jedna. Teraz znam prawdę. Nikt nigdy mnie nie chciał.

Sophie nie zawahała się ani chwili. Ruszyła ku niemu, pchana pragnieniem, by powiedzieć mu wszystko. Przecież ona go pragnęła. Gorąco.

– To nieprawda – szepnęła.

Zrozumiał. W jego wzroku błysnęła dzikość. Stał się myśliwym. A ona zwierzyną.

– Nie mogę cię pokochać – powiedział.

Skinęła głową. Po jej policzku spłynęła jedna jedyna łza.

– Wiem.

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżała. Chcę, żebyś została. Zatrzymam cię tutaj, w środku labiryntu. Choć to jest chyba najgorsza rzecz, jaką mógłbym ci zrobić.

– Nie przeżyłabym twojej zdrady.

Wtedy podszedł do niej szybkim, zdecydowanym krokiem. Uniósł jej twarz i zajrzał w oczy.

– Nie chcę, żebyś stąd wyjechała. Zostań.

– I co wtedy? Co stanie się z moim życiem, jeśli zostanę?

Słowa ledwie przechodziły przez jej zaciśnięte z bólu gardło. Znała odpowiedź. Wiedziała, że on nigdy nie da jej tego, czego pragnęła. Pragnęła tego od zawsze, tylko do tej pory sama siebie nie rozumiała.

On nigdy jej nie pokocha. Nie ożeni się z nią. Nigdy nie będą mieli dzieci, choć w wyobraźni widziała

je wyraźnie: małe, ciemnowłose cherubinki o jego zielonych oczach i dołeczkach w roześmianych buziach.

Nie pytał o to, co sobie wyobraża. Czego pragnie. Sam to wiedział.

– Sophie – powiedział, a ona wyczuła prawdę w jego głosie. Wolała, żeby jej nie ubierał w słowa.

Zamiast tego pogładziła go po policzku, a potem przyciągnęła do siebie.

– Jutro – szepnęła. – Może zapomnijmy o całym świecie do jutra.

– Dobrze – odpowiedział, zawierając w tym krótkim słowie modlitwę, obietnicę i przekleństwo. –

Dobrze – powtórzył. – Do jutra.

Wziął ją w ramiona i zaniósł z powrotem do fontanny.

Wtedy zrozumiała: to miejsce i ten mężczyzna – to jest jej dom. Na zawsze.

## ***18. Kochankowie w labiryncie Lyne!***

Wiedział, że to błąd i że będzie najgorszym łotrem na świecie, jeśli weźmie to, co ona mu daje. Nie zasługiwał na nią.

Ona też zasługiwała na kogoś nieskończenie lepszego.

Ale ta świadomość wcale mu nie przeszkodziła.

Wręcz przeciwnie, popchnęła go do działania. Pragnął jej coraz bardziej – dlatego, że nie powinien jej tykać. Przecież wytyczył sobie drogę, długą i prostą, tak by nic go nie rozpraszało. Nie było tam miejsca na emocje, które budziła, na piękno, które jej towarzyszyło, ani na obietnice. Wzywała go spoza labiryntu, kusząc obietnicą czegoś więcej, sprawiając, że niemal zapomniał, jakie ma być jego życie.

„Co stanie się z moim życiem, jeśli zostanę?”

To było retoryczne pytanie: dobrze wiedziała, że on nie da jej tego, czego pragnęła.

Nie da jej miłości.

A Sophie pragnęła miłości. Czystej, swobodnej, dawanej szczerze, bez oglądania się na cokolwiek. Chciała małżeństwa, dzieci, szczęścia i wszystkich obietnic, jakie miłość niesie ze sobą.

Potrafił sobie wyobrazić takie życie. Stojące w rzędzie dziewczynki, błękitnookie i brązowowłose, rozkochane w książkach i ciastkach z truskawkami. Śmiałyby się do niego tam samo jak ich matka, szczęśliwe i pełne nadziei.

Przez chwilę pozwolił sobie uwierzyć, że to możliwe.

Ale przecież ona pragnęła miłości, a on nie potrafi jej dać.

Nie miał jej już w sobie. Więc te dzieci nigdy nie będą jego.

Posadził ją na obrzeżu fontanny i ukląkł przed nią, jakby była Ariadną, a on Minotaurem. Klęcząc u jej stóp, oddawał jej cześć, adorował ją, choć wiedział, że ona nie przeżyje w labiryncie, a on poza nim.

– Opowiedz mi, co wydarzyło się wczoraj wieczorem – powiedział cicho, spoglądając na jej twarz, trzymając w dłoniach skraj jej sukni.

– Co... – wstrzymała oddech, gdy dotknął palcami kostek jej nóg. – Co takiego?

– Byłem wściekły. Wściekły, że musiałem przestać – wyznał.

Zacisnęła wargi w cienką kreskę.

– Ja też byłam wściekła, że przestałeś.

Jego dłonie znalazły się pod spódnicą, podnosząc ją coraz wyżej i wyżej, aż nad kolana. Przycisnął wargi do jej miękkiego uda, zataczając językiem małe kółka, zachwycony, gdy westchnęła z zaskoczenia i przyjemności.

– Dzisiaj też będę wściekły, że będę musiał przestać – szepnął prosto w jej skórę.

Poczuł jej dotyk na głowie; palce błędziły w jego włosach, gdy całował uda, podciągając suknię coraz wyżej; zasypał gorącymi pocałunkami delikatne, nietknięte ciało, którego nikt przed nim nie oglądał.

– King – westchnęła. – Ja cię nie będę powstrzymywać.

Zamknął oczy i rozsunął jej uda, żeby zrobić miejsce dla siebie. Jeszcze raz pocałował miękkie ciało,

aż jęknęła z zachwytu, zacisnęła palce i przyciągnęła go do siebie.

Była wspaniała.

Uśmiechnął się prosto w nią, skubiąc zębami to intymne, nietknięte miejsce.

– Nie powstrzymasz mnie od całowania?

Ku jego zachwytowi rozsunęła uda szerzej.

– Nie – szepnęła.

Pogładził ją wyżej, dotykając miękkich kędziorów, które do tej pory kryły się przed jego wzrokiem.

– Szerzej – zażądał. – Otwórz się dla mnie.

Usłyszała, otwierając się dla jego dotyku i spojrzenia. Przysiadł na piętach i podziwiał ją, cudowną i różową, gotową na jego przyjęcie.

To znaczy, na pocałunki.

Spojrzał w jej twarz i zachwyciły go jej rozplamione policzki. Jak wspaniale, że nawet wstyd jej nie powstrzymał.

– Szerzej – zażądał znowu.

Do diaska, znowu usłyszała, aż ślinka nabiegła mu do ust.

– Chryste Panie – szepnął, sięgając ku niej. Delikatnie przeczesał palcami kędziory, aż znalazł źródło wilgotnego ciepła. – Jesteś najpiękniejszym stworzeniem, jakie widziałem w życiu.

Odwróciła wzrok.

– To nieprawda.

Zirytował się, że mu nie uwierzyła.

– Wiem, że miałem ci tego więcej nie mówić i poszukać innych komplementów, ale nie potrafię.

Znowu ukląkł, zaglądając w jej oczy.

– Jesteś piękna, Sophie. Piękniejsza, niż sobie wyobrażasz.

Zanim zdążyła zaprzeczyć, zamknął jej usta długim, dekadencckim pocałunkiem, jakby mieli całą wieczność, by poznawać się nawzajem. Jakby w labiryncie czas stanął w miejscu. Ten pocałunek był jak wyprawa badawcza, długa, nieśpieszna podróż języka, zębów i warg, przerywana westchnieniami, jękami i pomrukami, które obiecywały więcej, niż się zdarzy.

Bo przecież nie mógł zniszczyć jej cnoty.

Nawet gdyby go to zabiło.

Przerwał pocałunek, musnął wargami jej policzek, dotknął miękkiej skóry za uszami i szepnął:

– To prawda.

Westchnęła, ale nie wiedział, czy mu uwierzyła.

– Chcę cię mieć nagą, na tej trawie, pod słońcem i niebem, obok tej rzeźby... żebyś była tylko dla mnie. Chcę poznać cię całą, dowiedzieć się, jak jęczysz, gdy szczytujesz, dziko, gorączkowo i pięknie...

Possał płatek jej ucha, aż westchnęła z rozkoszy. Jej dłonie wędrowały coraz niżej po jego torsie.

– King – szepnęła.

Ujął jedną z nich i poprowadził tam ku naprężonej wypukłości, która napierała na tkaninę spodni, jakby chciała się wyrwać na wolność.

– Zobacz, co mi robisz – szepnął. – Doprowadzasz mnie do szaleństwa. Chciałbym cię wziąć tutaj, na ziemi, i kochać tak długo, aż nie zostanie nic, tylko my i ten labirynt.

Jej ciekawskie palce badały to miejsce.

– Tak – odpowiedziała bez wahania i przyłożyła tam dłoń. Zapragnął jej pokazać, co może zrobić, by naprawdę oszalał.

Zamiast tego pokręcił głową i odsunął ją od siebie.

– Nie. Nie mogę cię skrzywdzić, Sophie.

Zmarszczyła brwi.

– Przecież...

– Nie chodzi o mnie, kochanie, tylko o ciebie.

Potrząsnęła głowę.

– Ja tego chcę. Dla nas obojga.

Nie mógł na to pozwolić, bo wtedy na pewno nie pozwoliliby jej wyjechać.

Nie chcąc o tym myśleć, zwrócił się znowu ku różowości między jej nogami. Rozchylił jej wargi, wystawiając ją na promienie słońca i wiatr, zachwycając się jej ciepłem, miękkością i zapachem.

– Jesteś taka wilgotna – zdziwił się, zanurzając w nią palec i radując się jej reakcją. Wygięła się ku niemu, pragnąc więcej. On też tego pragnął. – Muszę cię spróbować... – szepnął. Rozsunął szerzej jej nogi i zagłębił się w nią, pieszcząc ją językiem, zachwycając się jej bliskością, ciepłem i westchnieniami. Prowadziła go ku sobie, nieświadoma, co robi. Odchylił się i dmuchnął w to miejsce długim strumieniem powietrza, wywołując jęk rozkoszy.

Znowu wsunęła palce w jego włosy, przyciągnęła go do siebie, do swego pulsującego ciała, by smakował ją raz za razem, by się w niej zatracił. Spełnił jej życzenie, aż gorączkowo zakołysała biodrami, oddychając coraz szybciej, prężąc się, by dotrzeć do szczytu, by zaznać ulgi.

Ale zanim tam się znalazła, zatrzymał się i odsunął, wiedząc, że zachowuje się jak idiota. Rozczarowana szepnęła jego imię. Przycisnął więc wargi do jedwabistego uda, aż się trochę uspokoiła. Spojrzał na nią, w oczy lśniące pożądaniem i czymś jeszcze bardziej prymitywnym – czystą żądzą.

– Moje biedactwo – drażnił się z nią, czując jej smak na swoich wargach, szepcząc te słowa prosto w nią.

– King – jęknęła. – Co ty wyprawiasz?

– Chcę porozmawiać.

Szeroko otworzyła oczy.

– Porozmawiać?

– Powiedz mi, czego pragniesz.

– Pragnę...

– Czego?

Potrząsnęła głowę.

– Nie mogę.

Pochylił się i polizał ją długo, powoli, aż westchnęła z rozkoszy.

– Proszę cię.

– Lubię, kiedy mnie błagasz, kochanie. Czego jeszcze chcesz?

– Tego.

Dmuchał gorącym powietrzem prosto w jej rozpalone ciało.

– Czego dokładnie?

– Nie każ mi tego mówić – szepnęła.

– Dlaczego? – drażnił się z nią. – Bo damy nie mówią takich rzeczy?

Jej gardłowy śmiech zachwyił go jeszcze bardziej.

– Damy zdecydowanie nie mówią takich rzeczy.

– Spróbuj.

– Pragnę... – Umilkła na długą chwilę, więc myślał, że nic już nie powie, nawet gdy znalazł się blisko od miejsca, które pragnęło go najbardziej. Gdzie i on pragnął być. Wtedy się odezwała, a trzy słowa, które wypowiedziała, kompletnie go rozbiły. – Pragnę twojej rozkoszy.

Odsunął się, spojrzął w jej oczy i zobaczył tam prawdę. Nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

Pochyliła się, zbliżyła ku niemu twarz.

– Pragnę wszystkiego, czego ty będziesz pragnął, King.

Dotknęła jego warg swoimi w długim, czułym pocałunku. Potem uniosła głowę i rzekła:

– Nie rozumiesz? Moja rozkosz jest twoją rozkoszą. Jestem twoja.

To było to.

Wziął ją w posiadanie pocałunkiem, rozkosznym i pełnym obietnic.

– Jesteś moja – potwierdził, jakby jej słowa pomogły mu się otworzyć. Może rzeczywiście tak było.

Na pewno zachwiały jego samokontrolą. Rozпалиły pożądanie. – Jesteś moja – szeptał wśród pocałunków. – Moja.

– Twoja – potwierdziła, gdy pocałunek się skończył, a King zaczął pieścić ją między udami.

– Oddałaś mi się – szepnął, pragnąc jej ponad wszystko.

Jej palce prowadziły go do wewnątrz.

– Tak. Jestem twoja – szepnęła.

Wtedy zaczął ją pieścić językiem, wkładając w tę pieśczętę całe swe pożądanie, rozpacz, podziw i gniew. Gniew, że nie będzie mógł z nią zostać na zawsze. Że nie spotkali się wiele lat wcześniej. Że jej miłość nie wystarczy, by go uleczyć. Całował ją bez końca, pieścił ją wargami, chcąc ją nagrodzić za szczerłość i zarazem ukarać za to, jak wiele wiedziała o jego pożądaniu. Za to, jak go wykorzystywała.

Za to, że był tym zachwycony.

Grał na niej palcami i językiem jak wirtuoz, aż wykrzyknęła ku niebu, słońcu, fontannie i labiryntowi jego imię, a potem powtarzała bez końca, jak litanię i jak broń to jedno słowo, które było jak błogosławieństwo i zagłada zarazem:

– Twoja.

Jego.

Nie pozwolił jej odpocząć, pozostał w tym pulsującym, obolałym miejscu, gdzie pragnęła go najbardziej, pieścił ją, aż wybuchła w niej rozkosz, a ona wykrzyczała to jedno słowo.

Twoja.

Pozostał z nią, aż wróciła na ziemię, do labiryntu... jak Ariadna do swego Minotaura, władna zniszczyć go swym dotykiem.

Twoja.

Przez resztę życia będzie słyszał to słowo i jej głos.

Twoja.

Prawda i zarazem kłamstwo.

Oczywiście, nigdy nie będzie jego. Nie będzie jego, bo wtedy on byłby jej. Musiałby pokochać ją tak, jak na to zasługiwała. A to się nigdy nie zdarzy.

Uniósł głowę, by jej to powiedzieć, ale jej senny, zadowolony uśmiech kusił go ponad wszelkie wyobrażenie. A potem odezwała się, niweczając jego zamiary:

– A twoja rozkosz? Nie chcesz jej?

Te łagodne słowa były twardsze i potężniejsze niż najmocniejsze ciosy, które zniósł na bokserskim ringu.

Pewnie, że chciał. Rozpaczliwie. Jak nigdy. Ale nie mógł po nią sięgnąć. Nie chciał.

Zasługiwała na coś lepszego.

– Nie – skłamał, spokojny i zdystansowany, nienawidząc się za te słowa. – Nie chcę.

Gdyby Sophie miała wszystkie pieniądze całej brytyjskiej Korony, postawiłaby je na to, że King weźmie ją tu, przy tej fontannie, mając na świadka jedynie błękitne niebo Cumbrii.

Przegrałaby ten zakład.

Naturalnie, rozczarowania można się było spodziewać. Miała nadzieję, że King będzie się z nią kochać bez ograniczeń, a jego odmowa nie była miła. W jego ramionach czuła się wspaniale i chciała czegoś



więcej. Chciała dzielić z nim rozkosz.

Jednak nie była przygotowana na samotność. Na poczucie, że bez niego jest tylko pustka. Że bez jego dotyku, bez jego bliskości może nie przeżyć ani jednego dnia.

Że bez niego przestanie istnieć

Ta myśl ją przeraziła.

Nie spodziewała się czegoś takiego. Nigdy w życiu. Nie myślała, że będzie kogoś tak bardzo pragnąć, marzyć o wspólnej przyszłości. Marzyć o tym, by codziennie, przez resztę życia, oglądać jego twarz.

Naturalnie, marzyła o szczęściu. O małżeństwie, rodzinie i spokojnym, cichym życiu. Nie myślała, że pokocha kogoś tak bardzo, że odrzucenie sprawi jej ból.

Nie planowała miłości.

Wiedziała, że dla wielu ludzi miłość to przyjemne doświadczenie, coś ładnego – jak róże, gołębie, pudełka z czekoladkami i tak dalej. Co za durnie. Miłość do markiza Eversley nie miała nic wspólnego z przyjemnością.

Odchrząknęła, wyprostowała się, opuściła suknię, na jedną nieznośną chwilę okrywając nią jego dłonie. Odsunęła się od dotyku.

– Rozumiem.

Przesunął dłonią po jej kostce. Drgnęła, mając uczucie, że od tego dotyku coś w niej pękło. Miała ochotę wskoczyć do fontanny, by go z siebie zmyć, albo rzucić się w ramiona Kinga i błagać, by kochał ją dalej. Na szczęście udało jej się opanować. Odsunęła się jeszcze dalej, jakby wydarzenia tego popołudnia były zupełnie banalne. Jakby nie musiała pośpiesznie osłaniać się przed bólem, który King jej tak bezmyślnie zadawał.

– Rozumiem – powiedziała jeszcze raz. Pożałowała, że się odezwała. Lepiej byłoby milczeć.

Odsunęła się od niego.

Dlaczego dalej klęczał? Dlaczego nie wstał? Dlaczego ciągle jeszcze tu był?

Dlaczego marmurowy Minotaur nie ożył i nie pożarł ich obojga?

Wstał w końcu, rozłożył szeroko ramiona i ruszył ku niej. Podniosła rękę, by go powstrzymać.

– Sophie, wytłumaczę ci to.

Wielki Boże. Za nic nie chciała słuchać żadnych tłumaczeń. Cofnęła się, spoglądając w stronę wyjścia. Nagle znalazł się tak blisko, że zasłonił jej widok.

– Sophie, nie mogę cię zrujnować – powiedział, zbliżając się jeszcze bardziej. Znowu musiała się cofnąć.

– Rozumiem – powiedziała po raz trzeci. Tak bardzo chciała znaleźć się z dala od niego, że o mało się nie przewróciła. – Rozumiem.

Wielki Boże. Czy naprawdę muszę ciągle powtarzać te słowa?

– Chyba jednak nie rozumiesz. Naprawdę zasługujesz na więcej.

Dotknęła plecami kolczastego, nieprzyjemnego żywopłotu. A on w dalszym ciągu się zbliżał. W końcu podniósł rękę i założył jej pasmo włosów za ucho. Potem odezwał się cicho:

– Nie rozumiesz, że zasługujesz na kogoś, kto się z tobą ożeni?

Zamknęła oczy. Wiedziała, że się z nią nie ożeni. Nie była głupia. A on udawał mądrzejszego. Nie musiał znowu o tym wspominać, prawda?

– Rozumiem.

Zdaje się, że już nigdy nie będzie w stanie powiedzieć niczego innego. Świetnie. Z tego wszystkiego kompletnie zgłupiała.

– Chryste Panie, Sophie, przestań to powtarzać. Zasługujesz na kogoś, kto cię pokocha.

Powinna natychmiast opuścić ten labirynt. Tę posiadłość. Tego człowieka.

Zanim jeszcze raz powtórzy „rozumiam”.

Albo, co gorsza, gdy w ogóle oduczy się mówić.

Skinęła głową, skrzyżowała ramiona na piersi, odsunęła go i bez słowa zagłębiła się w ścieżki labiryntu. Kiedy indziej może byłaby dumna ze swoich wyprostowanych dumnie ramion i zdecydowanego kroku. Teraz nic nie widziała przez łzy i mało ją obchodził własny wygląd.

Zaklął znowu za jej plecami.

Nie odwróciła się. Nie mogła. Gdyby zaczęła znowu z nim rozmawiać, zrobiłaby z siebie jeszcze większą idiotkę. Żeby zachować resztki dumy, rzuciła tylko:

– Wyjeżdżam do Mossband.

Po długiej chwili milczenia zapytał tylko:

– Kiedy?

– Jak najprędzej – odpowiedziała.

Skinął głową.

– Jutro kupimy ci księgarnię. Skontaktuję się z prawnikiem mojego ojca. Będziesz miała dość pieniędzy, by pędzić tam szczęśliwe życie.

Nie obchodziła ją księgarnia. Ani Mossband. Szczerze mówiąc, w ogóle nie widziała swojej przyszłości w tym miasteczku. Nie może mieszkać tak blisko tego zamku i związanym z nim wspomnień. Tak blisko niego. Wzięła głęboki oddech.

– Nie zamierzam czekać do jutra.

– Sophie – odezwał się cicho. Był bliżej, niż się spodziewała. Rozdrażnił ją dźwięk własnego imienia na jego wargach. – Popatrz na mnie.

Odwróciła się, nie potrafiąc mu się sprzeciwić. Był nieprawdopodobnie przystojny. Zbyt piękny dla niej. Zbyt idealny.

Na tę myśl przełknęła ślinę.

– Muszę wyjechać. Zaraz. Dzisiaj – powiedziała tylko.

Wpatrywał się w nią tak długo, że chyba chciał ją pocałować. Pragnęła tego. Ale znenawidziłaby go, gdyby to zrobił.

Zamiast tego wyciągnął do niej rękę, ciepłą i zbrązowiałą od słońca.

Spojrzała na nią, przełykając łzy. A on pochwycił jej dłoń. Szarpnęła się, by się wyrwać, choć jego dotyk był cudowny. Nie puścił, tylko poprowadził ją przez labirynt. Szli w milczeniu aż do wyjścia. Zatrzymał się i ujął jej twarz w dłonie.

– Przepraszam cię – powiedział. – Przepraszam, że nie jestem taki, jak byś chciała.

Pokręciła głową. Łzy znowu zakręciły jej się w oczach. Dość tego.

– To ty nic nie rozumiesz. Zawsze wystarczałeś mi taki, jakim jesteś.

Wtedy pocałował ją po raz ostatni. Przywarła do niego, przelewając wszystkie swe uczucia w tę pieszczotę.

Pragnienie, smutek, namiętność.

Miłość.

Ale on nigdy się o tym nie dowie.

Odsunął się od niej i zaprosił gestem, by pierwsza wyszła z labiryntu. By wkroczyła w prawdziwe życie, opuszczając to magiczne, mityczne miejsce.

Zrobiła pierwszy krok w rzeczywistość. King szedł krok w krok za nią, powoli stając się odległym wspomnieniem.

Jedynym wspomnieniem, które coś znaczyło w jej życiu.

Niemal natychmiast usłyszała konie – nieznośny tętent poszóstnego zaprzęgu i turkot powozu zajeżdżającego galopem pod zamek.

Odwrócili się jednocześnie w tamtą stronę, osłaniając oczy przed blaskiem popołudniowego słońca,

odbijającego się od ścian powozu.

Połączanego powozu.

Połączanego powozu poprzedzanego przez forysiów.

– Do diaska – szepnęła Sophie.

Powóz zatrzymał się na podjeździe, a jeden z forysiów natychmiast zeskoczył z konia, by otworzyć drzwiczki pasażerom, którzy wysypali się na trawnik jak stadko owieczek.

Wyjątkowo dobrze ubranych owieczek, w jedwabnych sukniach, z ekstrawaganckimi fryzurami zdobnymi w pióra i – czyżby? – ptasie klatki.

– Przepuście mnie! – zawołała jedna z nich, podbiegła do różanego krzewu i złożyła mu podróżną ofiarę.

– Niech zgadnę. To na pewno jest Sesily – powiedział markiz głosem szorstkim jak piasek. Tylko dureń nie odgadłby, kto zajechał tym kiczowatym powozem.

– Wszystko stracone!

Sophie ledwie zamknęła drzwi zamkowego salonu, gdy dramatyczny okrzyk jej matki uruchomił kakofonię przerażonych pisków:

– Odrzucono wszystkie nasze zaproszenia na wieś – oświadczyła księżna.

– Derek się do mnie w ogóle nie odzywa – powiedziała rzeczowo Sesily, otwierając torebkę i wyciągając z niej buteleczkę soli trzeźwiących. – Łajdak zniknął jeszcze przed końcem tamtego balu.

– Sesily! Nie wyrażaj się. Widzisz? Wszystko stracone! – wykrzyknęła hrabina Wight i opadła na fotel. Sesily podała jej sole, a hrabina zaciągnęła się nimi głęboko. – Dosłownie wszystko!

– Wygnano nas! – Seleste usiadła na fotelu, rozkładając malowniczo kaskadę różowych falban. – Jesteśmy w Cumbrii! Na końcu świata!

Kiedy oparła się o zagłówek, jedna ze strzał wbitych w jej koafiurę zaczepiła o brokatową tkaninę. Szarpnęła się do przodu z lekkim okrzykiem, a strzała upadła na podłogę.

Szczerze mówiąc, ucieczka w przebraniu lokaja, strzelanina na trakcie i udawanie zaręczyn z mężczyzną, który nie zamierzał jej poślubić, nie były ani w połowie tak wyczerpujące, jak popołudnie z rodziną Talbotów. Właściwie nawet nie popołudnie. Jego pierwszych trzydzieści sekund.

– A o tym, co się dzieje z Seraphiną, nie będziemy ci nawet mówić – dodała Sesily, odczepiając z czubka głowy ptasią klatkę.

Choć Sophie kusilo, by zadrwić z jej uczesania, natychmiast spojrzała na najstarszą siostrę, jedyną z dam, która do tej pory nie odezwała się ani słowem. Stała przy ogromnym oknie, przyglądając się zamkowym ogrodom.

– Co się dzieje?

Sera machnęła ręką.

– Nic nowego.

– Oczywiście, że nie! – wykrzyknęła matka, wstając. – Księżę nie wpuszcza jej do domu! Powiedział, że po tym, co zrobiłaś, nie chce mieć nic wspólnego z żadną z nas! A ona przecież jest z nim w ciąży!

Sophie wpatrywała się w siostrę.

– Do diaska. Czy to prawda?

– Sophie, nie wyrażaj się!

Sera znowu machnęła ręką.

– To nie twoja wina, Sophie. I tak by się to zdarzyło, nie wcześniej, to później. – Spojrzała jej w oczy. – A co z tobą? Wszystko w porządku?

– Oczywiście – skłamała Sophie. Serce jej pękało, ale nie przegnał jej własny mąż, gdy była w ciąży, więc o czym tu było gadać?

Sera przyglądała jej się dłuższą chwilę i jak zwykle dostrzegła więcej niż reszta rodziny.

– Nie przejmuj się, Sophie. To nie przez ciebie.

– Właśnie, że przez nią, do cholery – wtrąciła się Sesily.

– Sesily, nie wyrażaj się! – zirytowała się matka.

– Mamo, w tej sytuacji można tylko kląć!

Zwróciła się do Sophie.

– Wszystkie na tym ucierpiałyśmy. Derek ze mną nie rozmawia. Jest zależny od poparcia arystokratów.

A dzięki tobie właśnie je stracił. – Westchnęła. – Nigdy się ze mną nie ożeni.

Według Sophie nie była to żadna strata, ale wołała tego nie mówić na głos.

– To samo z lordem Clare. Nie był u mnie od tygodnia – powiedziała Seleste, wyraźnie zrozpaczona utratą swego hrabiego. Sięgnęła za dekolt i wyjęła złożoną kartkę papieru. – Zaczęliśmy pisać do siebie listy miłosne. To nawet dość romantyczne, naturalnie pod warunkiem, że wkrótce sytuacja się poprawi.

– Pomyśl o jej dobrych stronach – zażartowała Seline. – Na piśmie trudniej jest się pokłócić.

Sesily parsknęła śmiechem.

– Jeżeli komukolwiek to się uda, to właśnie Seleste i milordowi. – Spojrzała na siostrę. – Udało wam się kiedykolwiek wytrzymać dobę bez kłótni?

– Oczywiście – potwierdziła Seleste. – W tym tygodniu.

Seline uśmiechnęła się złośliwie.

– No to masz dowód. Może powinniście zacząć siebie unikać.

– Nie każdy jest Landrym, który potrafi wspinać się po trejżach jak powój – odgryzła się Seleste.

Seline zaśmiała się na wzmiankę o swoim wybranku.

– Mark w ten sposób zachowuje ostrożność – wyjaśniła Sophie, nalewając scotcha do szklanek stojących na kredensie i podając je wszystkim. – Za nic nie wejdzie frontowymi drzwiami.

– On chyba nie musi się przejmować niczyją opinią? – spytała Sophie.

Mark Landry miał więcej pieniędzy niż cała reszta Londynu i w ogóle nie interesowało go arystokratyczne towarzystwo. To zadziwiające, że zaczął troszczyć się o swoją reputację.

– Haven jest potężny – odpowiedziała Sesily, biorąc szklankę od Seline.

– Bardziej niż nam się wydawało. I jest naprawdę wściekły. Arystokracja zaczyna odchodzić od Landry'ego na korzyść Tattersalla. Nie chcą od niego kupować koni, bo jest z tobą powiązany. Derekowi też pewnie grozili tym samym, ale on w odróżnieniu od Landy'ego jest śmierdzącym tchórzem.

– Sesily! – warknęła hrabina.

– Taka jest prawda – odpowiedziała jej córka. – Nie dam mu szansy na powrót po tym wszystkim. Co za zdrajca. – Wzniosła toast w stronę Seline. – Ale ty powinnaś zatrzymać sobie Marka. Jest miłutki.

– Chciałabym – odpowiedziała Seline, a potem odwróciła się do Sophie. – Ale on czeka, aż naprawisz sytuację.

– Musisz wszystko naprawić! – wykrzyknęła matka.

Sophie spoglądała na nie po kolei.

– Ale jak mam to zrobić?

Na to pytanie nikt nie miał gotowej odpowiedzi.

– Kto by pomyślał, że jesteś taką skandalistką? – zadumała się Sesily i usiadła w fotelu przy kominku.

– Najpierw wepchnęłaś Havena do sadzawki, a potem uciekłaś z Eversleyem.

– Wcale nie uciekłam z Eversleyem – sprostowała Sophie.

– Ależ oczywiście, że tak! – sprzeciwiła się matka.

– To nie była ucieczka! Pomyliłam powozy.

– Jasne. Tylko wytłumacz to brukowcom. Na pewno wszystko sprostują – zaśmiała się Sesily. –

Zawsze próbują tak wszystko poplątać, żeby nikt nie doszedł prawdy.

– Nie bądź niemiła, Sesily – uspokajała ją Seraphina.

– Wszystkie jesteśmy podenerwowane – odpowiedziała Sesily. – A ty najbardziej. Czy mam ci przypomnieć, że ty i twoje dziecko aktualnie jesteście bezdomni?

– To nie może być prawda – wtrąciła się Sophie.

– Nie? – zapytała Seline. – Czy to znaczy, że planujesz poślubić swojego markiza i uratować nas wszystkich?

To pozornie obojętne pytanie przypomniało Sophie o tym, co zaszło przed przyjazdem, i o tym, że King nigdy jej nie pokocha. Nigdy nie będzie jej. A ona zdecydowała się na rozstanie. Całe życie będzie żałować, że wszystko nie ułożyło im się inaczej.

Potrząsnęła głową i z trudem przełknęła ślinę.

– Nie wyjdę za niego.

– To co tu w ogóle robisz? – zdziwiła się Seleste. – Będziesz tu mieszkać jako jego kochanka?

– To nie jest żadne rozwiązanie – stwierdziła Seline.

– Dyskrecja jest niezbędna! – zawołała hrabina.

Sophie rozmarzyła się na chwilę, ale zaraz się zreflektowała. Gdyby chciał zrobić z niej swoją kochankę, zgodziłaby się. Zdecydowałaby się na wszystko, byle tylko z nim być. Choć przez krótki czas.

Zgodziłaby się zostać w zamku albo pojechać do Londynu, zostać z nim na zawsze albo choćby na jedno popołudnie.

Kocham go.

Naprawdę, ze wszystkich uczuć, jakie mogą się obudzić w ludzkim sercu, miłość jest najgorsza.

Odwróciła wzrok od swojej rodziny.

– Kiedy przyjechałyście, właśnie wybierałam się do Mossband. Miał mnie odwiedzić do gospody.

Sesily jęknęła:

– Jesteśmy zgubieni!

Hrabina jeszcze raz dramatycznie osunęła się na szezlong.

– Wiedziałam, że te wszystkie książki w końcu ci zaszkodzą!

Żadna z sióstr nie stanęła w jej obronie, więc Sophie postanowiła zbyć temat milczeniem.

– Szczerze mówiąc, nasza reputacja była dość wątpliwa od samego początku – zauważyła.

– Ale przynajmniej dostawaliśmy zaproszenia! A twoje siostry miały zalotników! – odparła hrabina.

Seline zmarszczyła brwi, po raz pierwszy od przyjazdu.

– Mark już mnie nie będzie chciał, prawda?

Sophie z trudem pohamowała irytację.

– Och, na litość boską – powiedziała. – Przecież to wcale nie było aż tak skandaliczne. Na przykład księżna Lamont upozorowała własną śmierć, wyszła za mąż za swojego domniemanego zabójcę, a mimo to towarzystwo za nią szaleje.

– Ona nie obraziła arystokracji publicznie!

– Oczywiście. To o wiele gorsze niż zrujnować komuś życie. Jak ci wszyscy bogacze błękitnej krwi dojdą do siebie po moich obelgach?

– Zniszczą nam życie! – odparła twardo Sesily. Jej zwykłe, sardoniczne poczucie humoru ustąpiło miejsca chłodnej szczerości. – Jak myślisz, po co tu przyjechałyśmy? Straciłyśmy wszystkich naszych adoratorów! Przez ciebie!

– Raczej wszystkie zostałyście źle potraktowane przez mężczyzn, którzy nie znaleźliby w sobie moralnego kręgosłupa, nawet gdyby dostali weń kopniaka!

– Tak, ale oni chcieli się żenić! – wykrzyknęła matka. – Chcieli też wziąć cię na utrzymanie, Sophie, jako mile widzianą starą pannę.

– Taką przyszłość dla mnie widzieliście? Miałam być starą panną? Skazaną na mieszkanie w jakiejś wieży? Z dala od życia?

– A jakie życie ty dla siebie planowałaś? – spytała Sesily.

– To nie było miłe – odpowiedziała Sophie.

W salonie zapadła cisza.

– Przepraszam. Ale zrozum, Sophie, to jest bolesne dla nas wszystkich.

– Nie chciałam, żebyście musiały cierpieć konsekwencje mojej...

– Pomyłki – dokończyła Seleste.

Tylko że to nie była pomyłka. W ciągu tych dziesięciu dni, które upłynęły od czasu wieczornego balu u hrabiny Liverpool, Sophie przeżyła więcej emocji niż przez całe życie. Spojrzała na siostry.

– Nigdy nie chciałam być dla was ciężarem.

Ani wcześniej, a już na pewno nie teraz.

– Musisz jednak przyznać, że było to całkiem realne – powiedziała hrabina tonem, który złagodził trochę bolesną wymowę jej słów. – Nie jesteś najbardziej...

– ...atrakcyjnym towarem... – podjęła Sesily.

– ...w tej rodzinie – dokończyła Seline.

Ani piękna, ani urocza, ani atrakcyjna.

Niezabawna.

Tylko że w ciągu ostatnich dni to wszystko się zmieniło. Wcale nie dlatego, że postrzelili ją bandyci i że się przebrała za lokaja. I nie dlatego, że sprzedała cały powóz kół do dwukółki i uciekała przed pogonią ojca. Nawet nie dlatego, że o mało nie straciła cnoty w labiryncie.

Dlatego, że się zakochała w Kingu.

Dlatego, że karmił ją truskawkowymi ciastkami, całował do utraty rozumu i dał jej na moment ujrzyć życie, jakiego sobie nawet nie wyobrażała. Bo przez chwilę pozwolił jej myśleć, że jest kimś więcej niż Sophie Talbot, najmłodszą i najmniej interesującą ze Smoluchów.

Tylko że wtedy przyjechały siostry z matką i trzeba było wrócić do rzeczywistości. Sophie postanowiła, że przedtem powie im całą prawdę.

Popatrzyła na siostry i wygarnęła:

– Jeśli was nie chcą ze względu na mnie, to znaczy, że są nic niewarci.

– Tak? – odparowała Seline, gotowa bronić swego adoratora. – Czy to znaczy, że Eversley, który cię nie chce, też jest nic niewart?

To wcale nie było to samo. Odsunął ją nie dlatego, że wepchnęła Havena do sadzawki. Wręcz przeciwnie, gdy tylko się o tym dowiedział, stanął po jej stronie.

Był wart... wart wszystkiego.

– Zrobiłaś to celowo – złościła się Sesily. – Nigdy nie chciałaś być arystokratką. Więc teraz pociągnęłaś nas wszystkie za sobą z powrotem do bagna. Spójrz, jakie jesteśmy wyczerpane i pomięte po tej podróży. I to dokąd? Do Cumbrii!

– Tu jest pięknie – odpowiedziała Sophie.

– Jeśli ktoś lubi owce – odparowała Sesily.

– Albo zieleń – dodała Seleste.

– To nie Londyn – westchnęła Seline.

– Naprawdę, powinni nas przezwać „marudy” a nie „smoluchy”.

– Szczególnie ciebie, Sophie.

Tę ostatnią odpowiedź wygłosiła Seraphina. Zaskoczona Sophie odwróciła się do niej. Jej najstarsza siostra mówiła cicho, ale stanowczo i zarazem serdecznie.

– Wiesz, jak się poczułyśmy, kiedy wróciłyśmy z balu do domu i dowiedziałyśmy się, że gdzieś zniknęłaś? Na potwierdzenie miałyśmy tylko wiadomość od lokaja przebranego w odzież stajennego. Byłyśmy z ciebie niesamowicie dumne. Odwróciłaś się od świata, na którym ci nie zależało. Pomyślałam

wtedy, że to wspaniale. One też, tylko że się do tego nigdy nie przyznają.

– Owszem, ja się przyznam – wtrąciła Sesily. – Zawsze pierwsza stawałaś w naszej obronie. Więc i ja cię broniłam.

– Ja też – dodała Seline. – Mark stwierdził, że jesteś cholernie niezależna.

– Seline, nie wyrażaj się.

– To on tak powiedział, mamó.

– No cóż, jego skarcić nie mogę.

Sophie uśmiechnęła się. Tęskniła za siostrami. I za matką.

Za całą swoją stukniętą rodziną.

– Ale nie było łatwo zachować tę dumę, kiedy cały Londyn się od nas odwrócił. Nie spodziewaliśmy się, że arystokraci po prostu nas wygnają. Dla ciebie to pewnie brzmi jak bajka, Sophie. Ale...

– ...dla nas nie – dokończyła Seleste.

Sophie oczywiście zdawała sobie z tego sprawę. W odróżnieniu od niej były najszcześniejsze w świecie przyjęć, tytułów i zaproszeń do zamku Windsor.

Westchnęła.

– Przepraszam, że narobiłam tyle kłopotów. Ale sądząc po tym, co wypisują brukowce, wystarczy poczekać do końca lata. Wtedy wrócicie do Londynu beze mnie. Arystokracja szybko zapomni, że miałyście jeszcze jedną siostrę i wasi adoratorzy powrócą. Nawet jeśli nie, to wszystkie jesteście młode, piękne i niesamowicie bogate. Znajdziecie innych. Takich, którzy naprawdę na was zasługują.

Zapadła cisza.

– Nie wierzycie w to? – spytała, spoglądając na nie po kolei. – Zapewniam was, dalej będziecie piękne, pomimo mojego skandalicznego zachowania. Poproszę ojca o mój posag i zniknę. Wszystko będzie dobrze.

Zwróciła się do Seline:

– Zawsze mówisz, że jesteśmy jak koty. Przeżyjemy to. Bez trudu.

– Nawet koty mają określoną liczbę żywotów<sup>[2]</sup> – odpowiedziała hrabina ze smutkiem. Tak jak wtedy, na balu. Kiedy wszystko się zmieniło.

– Uroda to nie problem – odezwała się spokojnie Sera ze swego miejsca na uboczu grupy. – Słuchaj, Sophie...

– Tylko kasa – dobiegł je głos od drzwi, które ktoś otworzył po cichu. Wstrzymała oddech na widok ojca, który stał w nich zakurzony, spocony, jeszcze z palcatem w dłoni.

– Tata. Przyjechałeś.

Dopiero wtedy zrozumiała, że musiało się zdarzyć coś strasznego. Jack Talbot nie należał do ludzi, którzy bez powodu podróżują po całej Anglii w towarzystwie żony i córek. Sophie ogarnęło złe przeczucie. Pomyślała, że ten dzień jest najważniejszy w jej życiu. Właśnie dziś rozstała się z Kingiem. Właśnie dziś ojciec sprawił, że wszystko się zmieniło.

Spojrzał na resztę dziewcząt.

– Idźcie do pokojów, panienki.

Usłuchały, wędrując barwną, rozgadaną grupką do pokojów, które najprawdopodobniej przygotowywano dla gości pierwszy raz od wielu długich lat. Gdyby przyjazd ojca nie był dla niej takim szokiem, ubawiłaby się na myśl, że książe Lyne będzie musiał stawić czoła Feralnym Siostrzyczkom.

Kiedy zostali sami, spytała:

– Czemu przyjechałeś, tato?

– Przyjechałem, bo sam sobie z tym nie poradzę – odpowiedział.

Zamrugła.

– Tato, wiesz równie dobrze jak ja, że socjeta za niespełna tydzień znajdzie sobie nowy obiekt pogardy. Pewnie już tak się stało.

– Owszem, ale nie Haven.

– Haven jest durniem.

– To święta prawda, kociaczk, ale jest też księciem. To on trzyma rzemienie sakiewki.

Ściągnęła brwi.

– A ty jesteś Jack Talbot. Jesteś bogatszy niż oni wszyscy razem wzięci.

Zamilkł na chwilę.

– Ale oni są mi do tego niezbędni, Sophie. Zawarłem tę umowę, żeby dostać tytuł, na którym tak zależało waszej matce. Oni inwestują, ja wydobywam węgiel. A wy wszystkie zostajecie damami. Bez szlachty jestem niczym. A ty skutecznie posłałaś ich wszystkich do diabła. Sam bym tego lepiej nie zrobił.

Sophie ogarnął strach. Oczywiście, to wszystko było logicznie. Tytułów nie rozdaje się ot tak bez żadnych warunków.

– Myślałam, że to był zakład...

Uśmiechnął się.

– Owszem, ale regent stawiał warunki. A ja je przyjąłem.

– Przestali inwestować?

– Wszyscy wycofali fundusze. Haven cieszył się z tego jak dziecko. Trzynastu z nich przysłało mi zawiadomienia jeszcze przed zachodem słońca po twoich igraszkach. Pozostali zrobili to rano.

Zamilkł na długą chwilę. Kiedy do niej podszedł, pierwszy raz w życiu zauważyła, że się postarzał.

– Chcesz swój posag? Chcesz wolności? – Potrząsnął głową. – Chętnie bym ci to dał. Ale nie będzie żadnego posagu, kociaczk. Nie dam rady utrzymać twojej matki i siostr, kupować im sukien, połączanych powozów i tych... – spojrzał na pobliski stolik. – Do diabła, dlaczego one zakładają sobie klatki na głowę?

Uśmiechnęła się smętnie.

– Na szczęście bez ptaków w środku.

– Nie mów tego przy Sesily, bo będę musiał wysupłać pieniądze na ziarno.

Pokręciła głową.

– Tato, myślałam, że jesteśmy...

– Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, jak szybko forsa potrafi uciekać przez próg, kociaczk. Szczególnie kiedy szlachta chce cię załatwić.

Otworzył ramiona, a ona schroniła się w jego objęciach. Pachniał skórą i końmi jak w dzieciństwie, kiedy liczyła się tylko uczciwość. Jack Talbot zawsze był wyjątkowy jak prawdziwy bohater. Rozumiał jej miłość do książek i pragnienie, by przeżyć coś więcej niż bale wśród arystokracji. Przez całe życie nigdy nie prosił jej o pomoc.

Siostrą może potrafiłaby odmówić, ale ojcu nigdy. Nigdy nie dramatyzował. Jeśli martwił się o przyszłość rodziny, to znaczy, że miał powody.

Ucałował ją w czoło.

– Byłem z ciebie dumny, gdy stanęłaś po stronie siostry. Gdy walczyłaś o siebie – szepnął. – Ale teraz... trzymają nas za jaja.

Odsunęła się, spoglądając w jego brązowe oczy.

– Haven zachował się obrzydliwie.

– Najchętniej stłukłbym go na kwaśne jabłko, kwiatuszku. Uwierz mi. Tylko że zrobiłaś to publicznie. Na oczach jego ludzi. Skompromitowałaś go przy wszystkich.

„Zniszczę was”.

Słowa, które Haven wypowiedział w oranżerii, wróciły do niej jak echo. A ona się z nim droczyła. „Spróbuj”, powiedziała.

Więc spróbował. Bez wahania. Nazwisko i tytuł sprawiły, że był od nich po wielokroć potężniejszy.

Potrząsnęła głową.



– Nie pomyślałam.

– Więc pomyśl teraz – powiedział.

Owszem, Jack Talbot otrzymał tytuł earla Wight, ale nigdy nie urodził mu się syn, więc przyszłość jego pięciu córek była niepewna, jeśli nie wyjdą za mąż. Właściwie były bez przyszłości. Szczególnie teraz, kiedy Sophie ją zniszczyła.

Spojrzała na ojca.

– Co ja narobiłam...

Uśmiechnął się blado.

– Zadziałałaś pochopnie, moja miła. Broniłaś siostry w konkretnej sytuacji, nie myśląc długoterminowo. Teraz za to płacimy.

Wiedziała, czego będzie chciał, zanim o tym wspomniał.

Później, kiedy wspominała tamte chwile, zawsze w duchu przyznawała, że to było największe marzenie jej życia.

– Jak mamy z tego wybrnąć? – spytała.

Ojciec milczał długo, zanim w końcu odpowiedział:

– Eversley.

## 19. Sekrety alkowy i pałacowe wyznania

Późno w nocy, gdy w całym zamku zapanował spokój, Sophie siedziała na łóżku i czekała, aż w jej głowie też zapadnie cisza.

Była ubrana w jedną z pięknych matinek Sesily. Jasnozieloną tkaninę zdobiły pióra i perełki; jedwabna koszula nocna i pantofle były w tym samym kolorze.

Cała ta kreacja wydawała jej się bardziej mundurem niż ubraniem do snu. Za chwilę miała się nią posłużyć tak, jak kobiety robiły to od wieków – ruszyć do boju o męża.

Odpychając od siebie niesmak na tę myśl, patrzyła na drzwi do pokoju Kinga. Zrobiła wszystko, co mogła, by opóźnić tę chwilę. Wykąpała się, zmieniła opatrunek na ramieniu, wysuszyła włosy przy ogniu, wyszczotkowała je do błysku. O tej porze był już na pewno w łóżku, pewnie spał i wcale o niej nie myślał.

Od przyjazdu jej rodziny prawie wcale nie rozmawiali. Zostawił ich niemal natychmiast, pewnie zadowolony, że jego zobowiązania dobiegły końca. Zjedli kolację tylko z nim, bo księcia nigdzie nie było. Siostry chętnie wypełniały niezręczną ciszę ploteczkami z Londynu.

King milczał, odpowiadał tylko na pytania, które kierowano bezpośrednio do niego. Dziewczęta znały go dobrze i wołały go nie zaczepiać. W pewnym momencie, gdy matka zapytała, dlaczego podróż zajęła im tyle czasu, King spojrzał na Sophie, jakby zdziwiony, że nie wiedziała o postrzale i rekonwalescencji w Sprotbrough.

Sophie nie miała czasu, by o tym rozmawiać, a poza tym kula w ramieniu była niczym w porównaniu z cierpieniem, przez jakie przeszła jej rodzina. I tym, które zamierzała sprawić Kingowi.

Wpatrywała się w niego przy kolacji, zapamiętując jego twarz, oczy, wargi, gdy mówił. Chciała zapisać w pamięci wszystkie te ulotne momenty, zanim wszystko się zmieni. Zanim nocą zapuka do jego drzwi.

Jeśli wystarczy jej odwagi.

Jeśli wystarczy ochoty.

Może on nie będzie chciał.

Ta myśl przyniosła jej ulgę. Wtedy rodzina będzie musiała poszukać innego sposobu, a ona będzie mogła wyjechać i zacząć nowe życie. Nigdy nie wróci do Londynu. Ani do Mossband. Zniknie, a oni wszyscy będą sobie mogli układać przyszłość bez niej.

On też.

A ja będę musiała żyć bez niego.

Nigdy go nie zobaczę, nigdy nie dotknę, nigdy nie będę blisko niego...

Co za tortura.

Położyła dłoń na mahoniowych drzwiach i oparła się o nie czołem. Oddychała głęboko. Już miała położyć dłoń na klamce, kiedy ktoś zastukał do drzwi z korytarza.

Otworzyła je i zdziwiła się na widok Seraphiny, lekko zaspanej, z dłonią przyłożoną do brzucha.

– Nie wiedziałam, czy cię jeszcze zastanę.

Sophie odsunęła się i wpuściła ją do pokoju.

– Trochę... zwlekałam.

Jej najstarsza siostra stanęła na środku i odwróciła się do niej.

– Kochasz go?

Pytanie było tak zaskakujące, że Sophie dopiero po chwili znalazła odpowiedź:

– Czemu pytasz?

– Jeśli nie, nie rób tego.

Sophie potrząsnęła głową.

– Myślisz, że znajdę jakiegoś innego, który będzie mnie chciał?

– Myślę, że nie powinnaś wychodzić za kogoś, kto o ciebie nie dba.

– Łatwo ci mówić. To, co zrobię, nie będzie miało wpływu na twoją przyszłość.

Usiadły obie na krawędzi łózka.

– Tak mi przykro, Sera. Gdybym nie...

Sera ujęła jej dłoń i mocno ścisnęła.

– Broniłaś mnie. Nikt inny tego nie zrobił.

Zamyśliły się obie. Sera zachichotała.

– Zasłużył sobie na to.

– Zasłużył na coś gorszego – odpowiedziała Sophie.

Chichot przeszedł w śmiech.

– Wylądował na tyłku, w samym środku sadzawki!

– Biedne rybki! – zaśmiewała się Sophie.

– Pewnie do końca życia nie będzie chciał na nie patrzeć. Tylko że kucharz jest Francuzem, a *poisson* to jego specjalność!

Śmiały się długo, ocierając łzy. Potem spoważniały. Sophie spojrzała na siostrę.

– Zrobiłabym to raz jeszcze – wyznała.

Dzięki temu, co się zdarzyło, poznała Kinga. Za nic nie chciałyby tego zmienić.

Sera ścisnęła jej rękę i skinęła głową, a potem zapytała jeszcze raz:

– Kochasz go?

Łzy powróciły, ale tym razem nie ze śmiechu.

– Tak – szepnęła. – Do szaleństwa.

Nie myślała, że można aż tak kogoś pokochać.

„Okłamała mnie”, powiedział niedawno. Był zrozpaczony. Załamany.

Nie mogę mu tego zrobić.

Nie mogę go okłamać. Byłabym potworem. Ariadną w labiryncie, niezasługującą na niego. A tak bardzo chcę na niego zasłużyć.

Sera ujęła jej dłonie w swoje i powiedziała na głos, jakby czytała jej w myślach:

– Nie wolno ci tego zrobić.

– Co się wtedy z wami stanie? Z Sesily, Seleste i Seline? Co z tatą?

Sera uśmiechnęła się.

– My potrafimy się wspinać po wszystkich jak powój. Myślisz, że jedna ostra zima nam przeszkodzi?

– Ty możesz tak mówić.

Seraphina skinęła głową.

– Owszem. Bo moje życie jest wykute w kamieniu. Jestem księżną Haven. I noszę w sobie przyszłego księcia.

Sophie obserwowała jej nagle posmutniałą twarz.

– Właśnie dlatego uważam, że jeśli go kochasz, powinnaś mu to powiedzieć. – Potrząsnęła głową. – Ja nigdy tego nie powiedziałam Havenowi. Zobacz, w jaki galimatias się przez to wpakowałam.

Uniosła dłonie Sophie do ust i szepnęła prosto w nie:

– Powiedz mu to, Sophie. Daj sobie szansę na odrobinę szczęścia.

Sophie potrząsnęła głową.

– On nie chce miłości.

– Może nie wie, że już ją dostał.

W oczach Sery lśniły łzy.

– Ja nigdy tego nie powiedziałam, Sophie. A kiedy pomyślałam, że powinnam... to już go straciłam.

Wzięła głęboki oddech.

– Ojciec zbyt dużo od ciebie wymaga. Owszem, może go to uratuje. Może uratuje Sesily, Seleste i Seline. Zostaniesz markizą i księżną. Ten tytuł może pomóc nam wszystkim. Ale Eversley znienawidzi cię za to.

Sophie nie mogła znieść tej myśli. Ale co by się wtedy stało z jej rodziną?

– Nie obronisz nas wszystkich, Sophie. Wcześniej czy później znowu coś się zdarzy.

Sophie popatrzyła na swoją najstarszą siostrę, z którą zawsze czuła najbliższą więź.

– Kocham was.

Sera przytuliła ją i zamknęła w ciasnym uścisku.

– Wiem. Wszyscy to wiemy. Jak myślisz, dlaczego do ciebie przyjechaliśmy? Ale jego też kochasz. Zmienawidzisz się na zawsze, jeśli teraz zastawisz na niego pułapkę. Ja to wiem najlepiej.

Nie chciała tego.

Chciała, żeby jej pragnął. Tak gorąco, jak ona pragnęła jego.

Nie może tego zrobić. Nawet dla rodziny.

Musi być jakiś inny sposób.

– Sophie... proszę cię. Powiedz mu, że go kochasz i zobacz, co z tego wyniknie.

Sophie spojrzała na drzwi, za którymi spał King, z nadzieją i przerażeniem zarazem.

– A jeśli mnie wyśmieje?

– To wepchnę go do najbliższej sadzawki – obiecała Seraphine.

Sophie zaśmiała się niewesoło.

– A jeśli...

„Nie mogę cię pokochać”.

– A jeśli on mnie nie kocha?

Sera milczała przez chwilę, a potem spytała:

– A jeśli cię kocha?

Sophie skinęła głową.

– Jeśli nie kocha... będę musiała wyjechać. Mama i ojciec...

– Pomogę ci.

– Za co?

– Bycie księżną Haven ma pewne plusy – powiedziała Sera z uśmiechem. – Pomogę ci. Pojedziesz, dokąd będziesz chciała. Do Walii. Na Hebrydy. Do Ameryki. Gdzie tylko zechcesz.

Daleko stąd. Daleko od niego.

Wolna od niego.

Jakby to było możliwe.

Sophie skinęła głową.

– Jutro.

– Jutro.

Wstała, wiedząc, że King nie będzie jej na zawsze. Ale jej wystarczy choćby jedna noc.

Poprawiła pasek matynki i spojrzała na pióra i brokaty.

– Ten strój jest po prostu śmieszny.

Sera zaśmiała się cicho.

– Sesily powiedziała ci, że twoje piersi wyglądają w nim wspaniale. – Wyciągnęła spinki z włosów Sophie i ułożyła je na ramionach. Potem spojrzała jej w oczy. – Nawet się nie zorientuje, co go trafiło.

– Sera – zawołała Sophie za wychodzącą siostrą.

Seraphina odwróciła się.

Sophie nie wiedziała, co powiedzieć, ale Sera i tak zrozumiała. Pogładziła swój brzuch obronnym gestem.

– Powiedz mu to. Niech się dzieje, co chce.

Sophie skinęła głową.

Zrobi to. Dla siostry. I dla siebie.

Drzwi zamknęły się z cichym trzaśnięciem. Sophie w jednej chwili znalazła się po przeciwnej stronie pokoju, tam gdzie stała przed wizytą siostry. Nigdy w życiu tak się nie bała. Jeśli nie zapuka od razu, straci resztki odwagi.

A jeśli mnie nie kocha?

A jeśli kocha?

Wzięła głęboki oddech i zastukała w szorstkie drewno.

Drzwi otworzyły się natychmiast, jakby King cały czas czekał na nią po drugiej stronie. Krzyknęła cicho ze zdziwienia. Uniósł brew.

– Przestraszyłem cię?

– Owszem, trochę – przyznała, wpatrując się w jego ciemne loki opadające w nieładzie na czoło. Podwinął rękawy do łokci. Był boso. Wyglądał tak atrakcyjnie, że zaparło jej dech w piersiach.

To dla mnie za wiele.

Nie jestem dla niego dość dobra.

– Wiesz, że kiedy ktoś puka, to zwykle otwierają mu drzwi? – zażartował bez troski i Sophie od razu poczuła się lepiej. Przecież dobrze znała tego mężczyznę. Spędziła z nim ładnych parę dni.

– A ty wiesz, że większość ludzi nie sterczy pod drzwiami, czekając, aż ktoś zapuka, prawda? – zadrwiła.

– Większość ludzi nie mieszka z tobą przez drzwi. – Serce zabiło jej mocniej na te słowa. King złustrował ją wzrokiem od stóp do głów. – Chryste Panie. Wiem, że nie wolno mi tego mówić, ale jesteś piękna, Sophie.

Tym razem jakimś cudem mu uwierzyła.

Spojrzała na matinkę.

– Pożyczyłam ją od Sesily.

– Nie chodzi mi o szlafrok.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc spytała:

– Czekałeś na mnie?

– Miałem po prostu nadzieję.

Zmarszczyła brwi.

Na co on mógł mieć nadzieję? Przecież już się z nią pożegnał. Powiedział jej wyraźnie, że nie mogą ze sobą być.

– Ale po południu powiedziałeś...

– Wiem, co powiedziałem. Dlaczego zastukałaś? – spytał po chwili milczenia.

Powodów było mnóstwo, ale tylko jeden się liczył.

„Powiedz mu”.

– Ja... – Nie przechodziło jej to przez gardło. – Ja... wyjadę jutro.

Skinął głową.

– Domyśliłem się, że twoja rodzina nie zamierza u nas zamieszkać.

– Twojemu ojcu pewnie by się to nie spodobało.

– Więc ma to pewne dobre strony.

Zapadła cisza.

„Powiedz mu”.

Wzięła głęboki oddech.

– Chciałam ci powiedzieć...

Wielki Boże. Ależ to było trudne.

– Co takiego?

Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy. Jej wzrok padł na zaciśniętą w pięść dłoń opartą na udzie.

Kostki palców mu pobielwały, jakby ją kurczowo zaciskał. Spróbowała jeszcze raz.

– Chciałam ci powiedzieć...

Chciałam powiedzieć, że chyba nie będę umiała żyć bez ciebie.

Chciałam powiedzieć, że zawsze będę twoja.

Chciałam powiedzieć...

– Sophie... – To była bardziej odpowiedź niż pytanie.

Spojrzała prosto w jego zielone oczy, które wpatrywały się w nią ze skupieniem.

– Chciałam ci powiedzieć, że cię kocham.

Zapadła kompletna cisza. King znieruchomiał, ale nie odwrócił wzroku.

Serce Sophie przestało bić. Gdyby nie jej ogniście zaczerwienione policzki, mogłoby się wydawać, że nic się nie wydarzyło.

Nie potrafiła znieść tej ciszy, więc zaczęła gorączkowo tłumaczyć:

– Wyjeżdżam jutro. Nie wracam do Londynu. Wcześniej... mówiliśmy, że ta noc może być nasza.

Wiem, co mówiłam przedtem... że nie wytrzymam z tobą ani chwili dłużej, ale zmieniłam zdanie. Kiedyś spytałeś mnie, jak to wszystko się skończy. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. A wiem, że tej nocy... – ucichła, a potem dokończyła szeptem: – Tej nocy mogę być z tobą szczęśliwa.

Odezwał się w końcu, szorstkim, mrocznym głosem:

– Powtórz to.

Przestąpiła z nogi na nogę, niepewna jak dziecko.

– Proszę cię, Sophie. Powtórz – powiedział błagalnie.

Nie mogła mu się oprzeć.

– Kocham cię – szepnęła.

Zaciśnięta pięść rozluźniła się. Wyciągnął ku niej ręce, wsunął je w jej włosy, przyciągnął ją ku sobie i zamknął jej usta gorącym, szaleńczym pocałunkiem, od którego zaparło jej dech w piersiach.

– Jeszcze raz.

– Kocham cię – powtórzyła. Pocałował ją znowu, głaszcząc dłońmi jej plecy. Potem przyciągnął ją do siebie i podniósł do góry, zachęcając, by otoczyła go nogami. Zamknął drzwi jednym kopniakiem muskularnej nogi.

Zaniósł ją na swoje łóżko i położył się razem z nią na miękkim materacu. Cudownie było czuć jego ciężar między udami. Westchnęła z rozkoszy, że wreszcie znalazł się tam, gdzie chciała, gdzie pragnęła go czuć od wielu dni. Okrywał pocałunkami jej twarz i szyję, mówiąc gorączkowo:

– Chryste, Sophie... Nie powinienem tego chcieć... Nie powinienem brać... To niemożliwe, że mnie pragniesz.

Sophie pragnęła tylko jego.

– Nie powinienem przyjmować tej miłości – szeptał między narkotycznymi pocałunkami, rozwiązując pasek jej matynki i pieszcząc delikatną skórę na szyi. – Nigdy nie będę wystarczająco dobry, żeby na nią zasłużyć. – Umilkł, spojrzawszy jej w oczy i dokończył: – Ale bardzo jej pragnę.

– Więc jest twoja. – Z tymi słowami pochyliła się, chwyciła zębami jego wargę i zaczęła ją ssać, aż jęknął i dał jej upragniony pocałunek. – Tak samo jak ja.

Zaklął, jakby to było błogosławieństwo i odrzucił pasek na bok.

– Nigdy nie widziałem cię nago – powiedział, pracowicie rozpinając perłowe guziki nocnej koszuli. – Chcę cię taką zobaczyć. Zanim wyjedziesz. Zanim odnajdziesz życie lepsze od tego, które mogę ci dać. Będę się przez to smażył w piekle na wieki. Ale nic mnie to nie obchodzi. Chcę zobaczyć cię nago. Chcę cię adorować, aż zapomnisz o wszystkim, poza moim imieniem. Moim dotykiem.

Ona też tego pragnęła. Poczła rozkoszny dreszcz, gdy jedwab koszuli zsunął się z jej ciała, obnażając je dla niego. Odsunął się, usiadł, a ją ogarnął żal, że go przy niej nie ma. Poruszyła się, żeby usiąść i zakryć swoją nagość.

– Nie – powiedział, układając ją z powrotem na wyprasowanym prześcieradle, by rozkoszować się jej widokiem i dotykiem. Spojrzał na jej ramię. – Jak rana?

– Prawie o niej zapomniałam – odpowiedziała z uśmiechem.

– Kłamiesz – mruknął. – Zobaczymy, może uda mi się sprawić, żebyś naprawdę o niej zapomniała.

Jego dłonie przesunęły się po brzuchu ku udom. Pieszczota sprawiła, że rzeczywiście zapomniała o wszystkim.

– Jesteś taka piękna. Taka piękna.

Jego palce powędrowały ku pantofelkom. Zsunął się z łóżka i ukląkł u jej bosych stóp. Ujął jedną z nich w dłoń i pomasaował kciukiem podeszwę, aż Sophie zadygotała z nieoczekiwanej rozkoszy.

– Wciąż pamiętam cię w pantofelkach na tamtej drodze – powiedział cicho i pocałował ją w kostkę. Dekadencka rozkosz doprowadziła ją niemal do szaleństwa. – Było mi żal, że tak źle siebie traktujesz.

Zajął się drugą stopą. Pieścił ją w podobny sposób, aż potrzęsnęła głową.

– Nie bolą mnie już.

– Nie? – spytał, całując drugą kostkę. Musnął językiem wrażliwą skórę.

Westchnęła z zadowolenia.

– Cudownie się czuję.

– Dobrze – odpowiedział. – Tak ma być zawsze.

Rozkoszowała się pieszczotami i pragnęła go coraz bardziej. Chciała poznać go tak, jak on poznawał ją. Jeśli mają dla siebie tylko jedną noc, jej także należą się jakieś przyjemności. Usiadła, wsunęła palce w jego włosy i uniosła do góry jego twarz, ciągnąc go ku sobie, aż dotknęła długich, masykularnych ud i przesunęła dłonią po spodniach. Zaczęła rozplątywać troczki.

Chwycił ją za przeguby, ale nie dała się odsunąć.

– Nie – szepnęła. – Dzisiejsza noc jest także dla mnie.

Przyglądał jej się długo, a jego oczy z każdą sekundą stawały się ciemniejsze.

– Nie wiem, czy to wytrzymam.

– Będziesz musiał – odpowiedziała. – Ja też mam duszę odkrywcy.

Puścił jej dłonie, ukląkł nad nią i ściągnął koszulę przez głowę, odsłaniając tors godny renesansowego mistrza. Przesunęła palcami po umięśnionym ciele, zadowolona, że na moment wstrzymał oddech.

– Jesteś jak Dawid Michała Anioła. – Zachwyciła się, badając dotykiem wypukłości i zagłębienia twardych mięśni. – Jesteś doskonały.

Patrzył na nią, oddychając chrapliwie.

– Nie jestem doskonały. Ale dzięki tobie tak się czuję – szepnął.

Usiadła, by znaleźć się bliżej niego, by czuć jego ciepło, pieścić jego ciało. Dotknęła dłońmi mocnej, gorącej piersi. Wycisnęła pocałunek na jego skórze pokrytej włosami. Wsunął dłonie w jej włosy i przechylił jej twarz ku sobie.

– Nie wytrzymam już dłużej, kochanie.

Uśmiechnęła się, bo te słowa obudziły w niej poczucie mocy.

– Oczywiście, że wytrzymasz, milordzie. Nie zapominaj o swojej reputacji.

Jego śmiech przeszedł w jęk rozkoszy, gdy zaczęła rozpinąć mu spodnie.

– Ustaliliśmy przecież, że moja reputacja bardziej polega na plotkach niż rzeczywistości – odpowiedział.

Jej niedoświadczone palce walczyły z guzikami. Zaklął, a ona na chwilę zamarła.

– Sophie. To nie jest dobry pomysł.

– Właśnie, że tak. – Sprzeciwiła się, zdziwiona własną odwagą. – Teraz moja kolej.

Obserwował ją, unosząc brew.

– Raczej moja.

– Zobaczymy. – Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Pochylił się i pocałował ją szaleńczo. Potem szepnął:

– Jesteś niesamowita.

Zarumieniła się i rozkazała odważnie:

– Zdejmij spodnie. Chciałam tego od tamtego wieczora w gospodzie, gdy stałeś na dwukółce w tych skórzanych bryczesach.

– Podobały ci się? – Zaśmiał się i wstał, by spełnić jej polecenie.

Doskonale pamiętała, jak opinały potężne mięśnie jego ud.

– Bardzo.

Szara wełna upadła na podłogę, odsłaniając umięśnione nogi. Wyglądały dużo lepiej niż w tych bryczesach.

Wtedy spostrzegła bliznę.

Była długa i szeroka. Brutalnie przecinała zagojone ciało, ciągnąc się przez całe lewe udo. Sophie wydała lekki okrzyk, wyobrażając sobie ból, jaki King musiał znieść.

Wyciągnęła rękę, a on się odsunął.

– Zapomniałem o tym – powiedział.

Kłamał. Takich rzeczy się nie zapomina.

– Jak to się stało?

– Powóz się przewrócił.

Zabijając jego ukochaną.

Nie. Nie ukochaną. Kobietę, która go zdradziła.

Kobietę, przez którą zrezygnował z miłości. Kobietę, przez którą Sophie nie może spełnić swego jedynego marzenia.

Wyciągnęła rękę, jakby jej dotyk mógł przegnać ból. Wiedziała jednak, że King nie przyjmie ani pociechy, ani litości. Zamknie się przed nią. Zamiast się nad nim uzalać, przysunęła się bliżej i skierowała wzrok w jego intymne miejsce.

– Ja też chcę cię widzieć nago.

Przyglądał jej się przez długą chwilę, a potem odsunął rękę, odsłaniając nabrzmiały, długi, wzniesiony mięsień.

Nie odwróciła wzroku, tylko powiedziała pierwszą rzecz, która jej przyszła do głowy:

– Tu nie wyglądasz jak *Dawid*.

Zaśmiał się i wyciągnął do niej rękę.

– Potraktuję to jako komplement – mruknął i przyciągnął do siebie jej nagie ciało.

– Czy mógłbyś się położyć? To by mi wiele ułatwiło – poprosiła. Ku jej zdumieniu, usłuchał. Ułożył się na plecach i uniósł ją, pomagając usiąść nad sobą okrakiem.

Spojrzała w dół, rozkoszując się jego męską urodą.

– Jesteś... – umilkła.

Ujął w dłonie jej piersi i zaczął bawić się stwardniałymi sutkami, aż westchnęła i zakołysała się nad nim. Jęknął.

W ten sposób niczego się nie nauczył. Pochwyliła jego dłonie.



– Przestań. Teraz moja kolej.

Uniósł brew.

– Nie życzysz sobie mojego dotyku?

– Owszem. Ale teraz wolę cię sama podotykać.

Westchnął długo i gardłowo, a potem założył sobie ręce pod głowę.

– Jestem cały twój, milady.

Zaczęła więc w skupieniu głaskać jego ramiona i pierś, pochylając się co chwila, by całować węzły mięśni na ramionach, ssać skórę na szyi, okrywać pocałunkami wypukłą pierś, aż zaczął dyszeć.

– Straszna z ciebie psotnica – jęknął. – Czuję cię nad sobą... jesteś taka gorąca i wilgotna.

Przycisnęła go sobą, zachwycona, że jest taki twardy i gorący.

– Czy to boli?

– Owszem – odpowiedział. – Ale to wspaniały ból.

– Jak?

Przyciągnął ją do siebie, by ją pocałować.

– Ależ jesteś ciekawska.

– Skoro mam jedną jedyną okazję... – przerwała. Nie chciała o tym myśleć. Wzięła się w garść. – Jak cię boli?

– Do szaleństwa. Za tobą.

Podniosła się, odsłaniając jego męskość.

– Mogę go dotknąć?

Zacisnął zęby.

– Powinienem ci zabronić – mruknął. – Powinienem zapakować cię z powrotem w tę śliczną koszulkę i odesłać do łóżka. Zanim będzie za późno.

Potrząsnęła głową.

– Nic z tego.

I dotknęła go mimo wszystko, darząc go długą, leniwą pieszczotą, bardzo zachwycona, że wstrzymał oddech i zamknął oczy.

– Zmieniłeś zdanie?

– Jeszcze raz. – To polecenie napełniło ją grzeszną rozkoszą.

– W taki sposób?

King otworzył zielone oczy. Nigdy jeszcze tak na nią nie patrzył. Ujął jej dłonie i poprowadził je, pokazując, jak to się robi. Pieściła go, a on rósł i stawał się coraz twardszy.

Coraz piękniejszy.

Nie mogła oderwać od niego wzroku, nawet gdy szepnęła:

– To, co mi robiłeś... ustami...

Jego jęk poniósł się echem w cichej sypialni.

– Tak?

– Chcę... – Nie kończąc zdania, odsunęła się i pochyliła, całując twardy, gorący drąg mięśni. Jęknął pod jej dotykiem. Uniosła głowę.

– Czy tak...

– Tak jest doskonale – powiedział, więc pochyliła się znowu, wzięła go do ust i zaczęła ssać, zachwycona, że na nią napiera, porusza się, pokazuje, czego chce i powtarza jej imię jak modlitwę:

– Sophie... kochanie... tak...

Uczyła się jego smaku i dotyku, oczarowana tym, że może dać mu tyle rozkoszy. Włożyła całą swoją miłość w tę pieszczotę, żeby zrozumiał, że nigdy nie będzie miała innego mężczyzny poza nim.

Niezbyt długo się nią cieszyła, bo wsunął dłonie w jej włosy i uniósł jej głowę.

– Przestań – powiedział, siadając. Objął ją i posadził na sobie, a potem zamknął jej wargi długim,

rozkoszonym pocałunkiem. – Przestań – powtórzył.

– Czy ci się nie...

Położył ją na plecach i ułożył się między jej udami. Ujął jej twarz w dłonie i pocałował jeszcze raz.

– Bardzo. Słowo honoru, nigdy w życiu nic mi się bardziej nie podobało.

Dotknął jej czoła swoim, zamykając oczy.

– Ale teraz idź do swojego pokoju, kochanie. Nie możemy tego zrobić.

Nie.

Nie miała ochoty go zostawić. Dotknęła dłonią jego policzka.

– King.

Potrząsnął głową.

– Stałem pod tymi drzwiami cały wiek i przekonywałem sam siebie, że nie należysz do mnie. Że nie mogę cię mieć. Jeśli to zrobimy, Sophie...

Umilkł, a ona usłyszała w myślach mnóstwo różnych końcówek tego zdania.

Jeśli to zrobimy, nigdy sobie nie wybaczę.

Jeśli to zrobimy, stracisz reputację.

Jeśli to zrobimy, jutro i tak zostaniesz sama.

Pocałowała go delikatnie.

– Nic mnie to nie obchodzi. Pragnę tego.

– Pragniesz mnie.

– Kocham cię – wyznała. – Zawsze będę kochać tylko ciebie.

– Jak mogę ci odmówić czegokolwiek po takich słowach?

Uniosła biodra, ciekawa, jak to na niego wpłynie. Oczy mu pociemniały.

– Nie możesz mi tego odmówić.

– Sophie – szepnęła. Jego naprężona męskość odnalazła wilgotne, gorące miejsce, które tak bardzo tego pragnęło. Napał na nie delikatnie. Sophie przeszył dreszcz rozkoszy.

Dobry Boże.

– King, nie przerywaj.

Nie przerwał – zamiast tego wszedł głębiej, zakołysał się, by ją rozluźnić, a potem się zatrzymał.

Spojrzała na niego.

– Jesteś taka ciasna, kochanie. Nie boli cię?

Czuła się dziwnie, niepokojąco, cudowne i dekadenccko.

Potrząsnęła głową.

– Czy to wszystko?

Zaśmiał się i wycisnął na jej wargach długi pocałunek.

– Skądże.

– To poproszę więcej.

Dał jej to, czego pragnęła, wchodząc głębiej i głębiej, aż poczuła się pełna, jak nigdy w życiu. Był tak blisko niej. Przez tę krótką chwilę, przez tę jedną noc byli naprawdę razem. Nigdy tego nie zapomni. Kiedy ujdzie z niej ostatni oddech to właśnie z tym wspomnieniem. Ze wspomnieniem chwili, kiedy King należał do niej.

Na zawsze.

Z oczu popłynęły jej niechciane łzy. Znieruchomiał.

– Nie. Nie.

Zaczął się z niej wysuwać.

– Sophie, kochanie. Przepraszam.

– Nie! Nie przestawaj! – zawołała, obejmując go ciasno.

– Boli cię.

– Wcale nie.

Jego dotyk nie mógł sprawić jej bólu. Nigdy.

– Przecież widzę, kochanie. Ty płaczesz.

Potrząsnęła głowę.

– Nie boli mnie. Czuję się cudownie.

Pocałował ją, zaglądając głęboko w oczy.

– To co się dzieje?

Boli mnie to wszystko. Ta chwila. Boli mnie prawda. To, że tylko teraz jesteś mój.

Oczywiście, nie mogła mu tego powiedzieć, więc szepnęła tylko:

– Kocham cię.

Pocałował ją znowu. Sięgnął między nich, pieszcząc delikatne, czułe miejsce, gdzie byli połączeni.

– Mógłbym słuchać tego całe życie – powiedział, masując kciukiem jej napięte ciało. – Będziesz mi to powtarzać całą noc. Kiedy znajdziesz się na szczycie. Będę patrzeć na twoje wargi, kiedy w moich ramionach rozsypiesz się w nicość i kiedy poskładam cię z powrotem.

Powie mu wszystko, co tylko będzie chciał. Jego słowa dały jej poczucie wolności. Powtarzała swoje wyznanie bez końca jak modlitwę, gdy uniósł się nad nią i kołysał się powoli, leniwie, doprowadzając do szaleństwa jej ciało i umysł. To było spełnienie wszystkich jego obietnic. Wygięła się w łuk, pragnąc dojść do szczytu. Spojrzała mu w oczy, błagając o rozkosz, którą tylko on mógł jej dać.

– Kocham cię – szepnęła. Jej słowa jeszcze bardziej pobudziły ich oboje. King kochał się z nią szybciej, głębiej, mocniej, aż zapomniała o wszystkim poza jego imieniem, dotykiem i miłością.

– Spójrz na mnie, Sophie. Chcę cię widzieć.

Ledwie to zrobiła, wzniosła się na szczyt fali, a potem zanurzyła się w głębinach rozkoszy, powtarzając jego imię, gdy razem osiągnęli spełnienie.

To było wspaniałe.

Stoczył się z niej, nie wypuszczając jej z objęć i uważając na opatrunek. Pogładził jej zdrowe ramię.

– Sophie... – szepnął i umilkł, jakby chciał, żeby jej imię otoczyło ich oboje w ciszy i ciemności sypialni.

Był cudowny.

Westchnęła i przytuliła się do niego. Ucałował czule jej głowę.

Było im ze sobą wspaniale.

Ale nigdy nie będą razem.

Ta myśl przypominała jej o smutnej rzeczywistości. Mężczyzna, który tulił ją w ramionach, nigdy jej nie pokocha. Ma inne plany życiowe. Planu, w których nie ma miejsca na miłość.

Być może wcześniej, przed tą nocą, potrafiłaby żyć bez miłości. Teraz wszystko się zmieniło.

Więc wyjedzie. Jeszcze tej nocy. W ciemności.

Do diabła z rodziną i planami złapania markiza Eversley na męża. Nie zamknie go w tej pułapce.

Może za niego wyjść tylko z miłości. A to się nigdy nie zdarzy. Więc znajdzie sposób, by się stąd wydostać i do śmierci żyć wspomnieniami tej nocy. Pamiętając, jaką rozkosz sprawiło jej wyznanie prawdy. Wyznanie miłości. I to jej na pewno wystarczy.

Co za bzdura.

Wysunęła się z jego ramion.

Na pewno mi to wystarczy, powiedziała, nie dopuszczając do siebie prawdy.

Musi mi wystarczyć.

## 20. Podbój

Ożeni się z nią.

Powinien jej to powiedzieć, zanim zaczęli się kochać. Zanim zniszczył jej reputację. Ale te chwile, kiedy oddała mu wszystko, nie prosząc w zamian o tytuł, były dla niego bezcenne.

Nie zależało jej na tytule.

Nie chciała nazwiska ani fortuny, tylko jego samego.

Kochała go.

Kiedy to powiedziała, odsłoniła się przed nim cała przyszłość. Wiedział, że weźmie ją tu, w tym łóżku, gdzie marzył o niej godzinami, zamiast spać. Wiedział, że weźmie jej dziewictwo i całą przyszłość.

Wiedział, że wezmą ślub.

Kochała go.

Chciał, żeby powtarzała to bez końca, choć tej nocy usłyszał to już po wielekroć. Chyba nigdy go nie znudzą te słowa.

Sophie Talbot go kocha.

Kiedy mu to powiedziała, zapragnął jej gorąco, bez wahania. Nawet jeśli nie będzie mógł jej dać w zamian miłości.

Wiedział, że to samolubne, aroganckie i pożądlive, ale w jej słowach czuć było szczerłość. W jej spojrzeniu, w jej dotyku była prawda.

Więc zapragnął tego wszystkiego dla siebie.

Na zawsze.

Wziął ją więc bez wahania. Nie powiedział jej prawdy – że jeśli to zrobią, to się z nią ożeni. Obawiał się, że by go zatrzymała, zażądałaby w zamian za to jego miłości.

Więc dopuścił się tego okropnego oszustwa.

Teraz będzie musiała za niego wyjść. Wprawdzie dawno temu umówili się, że on zniszczy jej reputację, ale po tym, co zaszło między nimi, nigdy nie pozwoli jej od siebie odejść.

Nigdy.

Kiedy leżeli spokojnie w łóżku, w blasku świec, kiedy czuł dotyk jej skóry na ciele, kiedy oddychali oboje coraz wolniej, rozkoszując się bliskością, pomyślał, że powinien jej o tym wszystkim powiedzieć.

Oświadczyć się jej.

Zasługiwała na oświadczyzny.

Mógłby zrobić to w wielkim stylu – na letnim jarmarku w Mossband, podczas balu maskowego, publicznie, z pierścionkiem.

Tylko że ona nie życzyłaby sobie takiej ekstrawagancji.

Westchnęła w jego ramionach, a on ucałował ją w czoło.

Zabierze ją znowu do labiryntu. Zabiorą ze sobą talerzyk truskawkowych ciastek i koc.

Pojedzie do Mossband i kupi koszyk bułeczek od Robbiego.

Uśmiechnął się w ciemnościach. Jego dama lubi słodyczne.

Z radością będzie ją nimi karmił przez resztę życia.

Powie jej wtedy, że choć nie może jej obiecać miłości, chętnie da jej całą resztę. Zrobi wszystko, żeby była szczęśliwa. Ona się na to zgodzi, bo przecież go kocha. Zjedzą te łakocie, a potem on położy ją na kocu, rozbierze do naga i scałuje słodycz z jej warg, mając na świadków tylko niebo i słońce.

Potem mogą szybko pojechać do Szkocji i jutro o tej porze będą już małżeństwem.

Będzie ją miał tylko dla siebie.

Na zawsze.

Znieruchomiała w jego ramionach a potem odsunęła się na skraj łóżka. Dokąd się wybierała? Przecież to mężczyźni zwykle odchodzą w środku nocy. Miał przecież plany. Pocałunki, pieszczoty. Słowa miłości.

A ona chciała odejść.

Złapał ją za rękę, zanim zdążyła uciec.

– Dokąd idziesz?

Sięgnęła po matinkę, okryła się nią.

– Ja...

– Nie potrzebujesz szlafroka, Sophie – powiedział, wkładając w te słowa całe swoje pożądanie. – Ja cię ogrzeję.

Zawstydzona, pochyliła głowę.

– Nikt nie może nas przyłapać.

– Nie przyłapią nas – zapewnił i przyciągnął ją do siebie. To nieważne, czy ich przyłapią, czy nie. Przecież i tak wezmą ślub.

Załoczył jej za ucho pasmo pięknych, brązowych włosów, pogładził kciukiem policzek. Była najpiękniejszą kobietą, jaką widział w życiu.

– Zostań – szepnął, kradnąc jej całusa. – Zostań, kochanie.

Westchnęła, ale i tak się odsunęła.

– Nie mogę – wykrztusiła z trudem. – Taka była umowa. Jedna noc.

Oczywiście, ale to było przedtem. Zanim wyznała mu miłość.

Zanim się kochali.

Nie wyobrażała sobie chyba, że pozwoli jej odejść. Nie wyobrażała sobie, że jedna noc wystarczy. A jednak odchodzi, pomimo wszystko.

– Dokąd idziesz?

Spojrzała mu w oczy.

– Daleko. Daleko stąd.

Daleko ode mnie.

– A gdybym poprosił cię, żebyś została? Co wtedy?

Potrząsnęła głową.

– Nie mogę. To dla mnie za wiele.

W jej słowach był smutek, żal i cierpienie. Zrozumiał, że odchodzi dlatego, że on nie da jej tego, czego pragnęła.

Być może tak będzie, mimo jego najlepszych chęci.

Może nie jest dla niej odpowiednim mężczyzną.

Ale przynajmniej spróbuje być jej godny. Przez całe życie będzie starał się ją uszczęśliwić.

Sophie ruszyła do drzwi, więc poszedł za nią.

– Sophie, zaczekaj!

Potrząsnęła głową. Przysięgłby, że w jej oczach lśniły łzy.

Trzeba było zmienić plan. Nie oświadczy jej się jutro, tylko teraz. Nie zniesie jej smutku, nawet przez chwilę.

Kocha ją.

Wielki Boże.

Zatrzymał się w pół kroku na tę myśl. Kochał ją. Nigdy jej nie zrani i nie pozwoli, by ktokolwiek inny ją skrzywdził. Zrobiłby dla niej wszystko.

Na zawsze.

Powinna się o tym natychmiast dowiedzieć.

– Sophie, zaczekaj – zawołał, nie mogąc ukryć radości w głosie.

Sophie otworzyła drzwi na oścież, żeby przed nim uciec. On ją zaraz złapie, zabierze z powrotem do łóżka i powie, jak bardzo ją kocha. Będzie to powtarzał, tak jak ona wcześniej.

Aż ona uwierzy jemu, tak jak on uwierzył jej.

Oświadczy jej się, ona się zgodzi, potwierdzą to słodkim pocałunkiem i będą się kochać, aż wzejdzie słońce i pomaluje jej ciało na złoto.

Ona go kocha.

Tylko że nagle znieruchomiła, z przerażeniem wpatrując się w coś w swojej sypialni.

King zatrzymał się, czując, jak ogarnia go strach.

– Nie – powiedziała, potrząsając głową. – Nie – powtórzyła głośniej. – Zmieniłam zdanie.

Zmieniła zdanie.

Przez próg przeszedł Jack Talbot. Jego wzrok powędrował w stronę łóżka, a potem powrócił do Kinga.

Kompletnie nagiego.

Hrabia uniósł brew.

– Eversley.

King patrzył tylko na Sophie.

– Zmieniłaś zdanie? Na jaki temat?

– Zniszczyłaś jej reputację – powiedział ojciec.

Zrozumiał wszystko. Ogarnął go gniew i ból. Wypluł w odpowiedzi:

– Całkiem chętnie przyczyniła się do tego zniszczenia.

W jej błękitnych oczach załśnił ból. Prawie w niego uwierzył.

– King... ja tego nie chcę.

– Ale przedtem chciałaś, prawda? Schwyłałaś mnie w pułapkę.

Zdradzony przez kobietę, którą pokochał.

Potrząsnęła głową.

– Nie chciałam. Przysięgam.

– Chciałaś mnie złapać na męża – powtórzył przez zaciśnięte gardło.

Przypomniał sobie inną kobietę. Inny czas. Inną miłość, która nie była miłością.

– Chciałaś być księżną.

– Nie chciałam. Chciałam odejść. – Słyszał rozpacz w jej głosie. Wydawała się taka szczerą. –

Powiedziałam ci, że odchodzę!

– Owszem, ale po to, żeby nas przyłapano.

– Nie! – krzyknęła.

– Okłamałaś mnie.

Wcale nie chciała odejść. Zaplanowała tę ostatnią noc. Wcale go nie kochała.

– Okłamałaś mnie.

Otworzyła szeroko oczy, słysząc gniew w jego słowach.

– Nieprawda – odpowiedziała, wyciągając ku niemu ramiona.

Odsunął się. Nie wiadomo, co by się stało, gdyby go dotknęła. Nigdy w życiu nie był taki załamany. Nawet tamtej nocy, gdy zmarła Lorna. Nigdy nie kochał Lorny tak jak Sophie. Ta myśl była boleśniejsza

od najgorszego uderzenia.

– Chciałaś za mnie wyjść.

Przełknęła ślinę.

– Nie – odpowiedziała.

Usłyszał kłamstwo w jej głosie.

– Nie kłam! – ryknął.

Jej ojciec stanął między nimi.

– Krzyknij na nią raz jeszcze, a nie dożyjesz ślubu.

– Zastawiłeś pułapkę na kolejnego księcia, użyłeś córki jako przynęty, a teraz biegiesz jej na pomoc?

King nie miał okazji podkreślić wagi tego pytania ciosem pięści prosto w twarz swojego przyszłego teścia, bo Sophie także krzyknęła:

– To prawda! Chciałam za ciebie wyjść!

Nie powinien być tym wstrząśnięty, a jednak był. Wcześniej słyszał w jej głosie kłamstwo, ale miał nadzieję, że się mylił.

A ja chciałem się z tobą ożenić, pomyślał...

Ależ byłem idiotą. Zdradziła mnie jak Ariadna Minotaura w labiryncie. A ja, tak samo jak ten głupi potwór, nie miałem o tym pojęcia.

– Tak, chciałam za ciebie wyjść. Jak każda kobieta z odrobiną oleju w głowie. Jesteś... idealny – dodała. W jej oczach lśniły łzy. Każde jej słowo załamywało go coraz bardziej. – Nie musisz się ze mną żenić. Pomyśl o wszystkich innych, przecież z żadną nie wzięłeś ślubu.

Bo żadnej z nich nie zrujnował. Nawet ich nie dotknął. Nie wiedział, jak miękka jest ich skóra, nie widział włosów rozrzuconych na poduszce, nie widział warg, czerwonych i kuszących, słodkich od ciastek i opuchniętych od pocałunku.

Przyglądał się jej długo.

– Może nie jesteś najładniejsza ani najbardziej atrakcyjna, ale na pewno jesteś najniebezpieczniejsza z was wszystkich, prawda, Sophie? – spytał i znenawidził samego siebie za to, co powiedział.

Pewnie będzie nienawidził się coraz bardziej za to wszystko, co jej będzie mówił przez całe ich małżeństwo.

Postanowił, że ukarze ją tak, jak ona jego. Da jej wszystko, czego pragnęła, a potem w jednej chwili jej to odbierze.

Spojrzał na swego przyszłego teścia.

– Będziecie mieli ten swój wymarzony ślub – powiedział, odwracając się, by pójść po pióro i papier.  
– A teraz wynocha.

Następnego popołudnia King kazał jej się stawić na zamkowym podjeździe.

Sophie przyszła starannie uczesana i ubrana w piękną ciemnofioletową suknię pożyczoną od Seleste. Siostra przysięgała, że suknia – nieco ciaśniejsza, niżby Sophie chciała – na pewno zwróci uwagę Kinga. Spódnice uszyto z cudownej satyny, głęboki dekolt odsłaniał szyję Sophie, a jedwabne pantofelki pasowały kolorem do tkaniny.

Też były trochę przyciasne, ale Sophie postanowiła zrobić wszystko, by przekonać Kinga, że nie kłamała. Wcisnęła się więc w suknię i pantofelki, uznając, że to jest cena, którą trzeba zapłacić. Może, jeśli mu się spodoba jej wygląd, pozwoli jej wyjaśnić, co się stało. Dlaczego przyszła do niego w nocy. Dlaczego odeszła.

Może pozwoli jej wyjechać.

Uwolni ją od siebie. Wtedy będzie mógł poznać inną kobietę. Taką, której uwierzy.

Czekał na nią, stojąc w dwukółce. Dwa dobrane maścią, ładne kare konie niecierpliwie grzebały w kurzu podjazdu. Spojrzała na niego. Miał zaciśnięte szczęki, a czapka zsunięta na czoło zacieniała mu twarz. Trzymał w dłoni lejce.

– Twoja dwukółka wróciła.

– Ale bez zapasowych kół – powiedział, nie patrząc na nią.

– Przykro mi – odparła z nagłym poczuciem winy.

– Twoje przeprosiny są mi zbędne, lady Sophie – rzekł chłodno, skracając lejce. – Wsiadaj, musimy wszystko załatwić przed zmrokiem.

Była dopiero trzecia.

– Dokąd jedziemy?

Dopiero wtedy spojrzał na nią zimnym, nieruchomym, obcym wzrokiem.

– Wsiadaj, milady.

Ten człowiek był nieznajomy i mówił obcym jej głosem. Ogarnął ją smutek i całkiem spora irytacja. Poszukała wzrokiem stopnia, po którym mogłaby się wspiąć do dwukółki. Nigdzie go nie było. King nawet nie wyciągnął ręki, by jej pomóc.

Spojrzała na niego, a on wyzywająco uniósł brew.

Postanowiła, że się nie wycofa. Nie teraz. Uniosła wysoko spódnicę – wyżej niż wypadało to prawdziwej damie – pokazując łydki i kolana. Chwyciła solidne koło i podciągnęła się, by stanąć obok niego. Nic nie powiedział, tylko poruszył lejcami. Konie ruszyły.

Po długim milczeniu Sophie uznała, że to idealny moment na wyjaśnienia.

– Przepraszam.

Nie odezwał się.

– Nie chciałam tego. Nic mnie nie obchodzi, że jesteś markizem. I że masz zostać księciem. Domyślam się, że mi nie wierzysz, ale wszystko, co ci powiedziałam, jest prawdą. Nie chciałam wracać do Londynu, nie chciałam wychodzić za arystokratę.

A potem zakochałam się w tobie. Chciała mu to powiedzieć, ale nie zniósłaby jego niedowierzania. Zresztą, trudno go było za to winić.

– Zniszczyłam moją rodzinę – tłumaczyła. – Seraphinę jej księżę wygnał z domu. Ojciec stracił utytułowanych inwestorów. Tylko dlatego, że zadziałałam bez zastanowienia. To prawda, przez chwilę myślałam o tym, żeby złapać cię na męża. Ale tylko dlatego, że tak bardzo cię pragnę. To nie miało nic wspólnego z tytułem ani z moją rodziną. Tylko z tym, że tak bardzo cię pragnę. Na zawsze.

– Nie wypowiadaj przy mnie tego słowa – odpowiedział lodowato. – Dla nas nie ma „na zawsze”. Żadne z nas na to nie zasługuje.

Zabolały ją te słowa, ale nie pozwoliła sobie na płacz. Zapatrzyła się na drogę wiodącą przez szkockie pagórki.

– Kiedy wczoraj zastukałam do drzwi...

Chciałam ci powiedzieć, że cię kocham. Znowu to przemilczała.

– ...zmieniłam zdanie. Nie chciałam za ciebie wychodzić. Nie chciałam cię sobą obciążać.

– I nie obciążysz – odpowiedział gniewnie. – Nie martw się o to.

Nie dbała o chłodną pewność w jego słowach.

– Dokąd jedziemy?

Nie odpowiedział, tylko skręcił w boczną drogę, a potem w podjazd wiodący do wielkiego kamiennego zamku, który wyglądał jak żywcem wyjęty z opowieści o rycerzach Okrągłego Stołu.

Przed zamkiem czekał gotów do drogi powóz zaprzężony w szóstkę koni, jakby ktoś przed chwilą przyjechał. King zatrzymał za nim dwukółkę, wyskoczył i załomotał do drzwi. W chwilę później drzwi otworzyły się i stanął w nich księżę Warnick z młodą kobietą ubraną w zielono-czarną kratę.

Warnick serdecznie poklepał Kinga po plecach, a potem podszedł do Sophie, żeby pomóc jej wysiąść z



powoziku i odezwał się do niej z uśmiechem:

– Lady Sophie, widzę, że twój przyszły mąż już cię zaniedbuje.

Sophie zamruła.

– Przyszły mąż?

Warnick przechylił głowę i spojrzał na nią z ciekawością, a potem odwrócił się do Kinga:

– Nie oświadczyłeś się jej? Teraz już na to trochę za późno, prawda?

King nawet na nią nie spojrzał.

– Wie, że bierzemy ślub. Udaje nieśmiałą.

Sophie zmusiła się do uśmiechu.

– Oczywiście – powiedziała, robiąc dobrą minę do złej gry. – Po prostu nie wiedziałam, że Wasza Wysokość też już wie.

Roześmiał się.

– Szkockie prawo jest dość swobodne, ale w sprawach świadków jesteśmy stanowczy. Dobrze o tym wiem jako wasz celebrant.

– Nasz celebrant?

– Tak jest! Proszę się nie martwić. Byłem na paru ślubach i dzisiejszy potraktuję z całą powagą.

– Dzisiejszy – powtórzyła.

– Tak.

– Dzisiaj bierzemy ślub?

– *Aye* – przytaknął potężny Szkot z uśmiechem. – Po cóż innego King przywiózłby cię dziś, pani, do Szkocji?

– Naturalnie. Po cóż by innego? – odpowiedziała machinalnie.

Miała ochotę krzyknąć.

– Piękna z ciebie, lady, panna młoda, jeśli wolno powiedzieć – ciągnął książkę, jakby sytuacja była zupełnie zwyczajna. – Naturalnie, ostatnim razem, gdy się wiedzieliśmy, byłaś ubrana dużo bardziej... interesująco.

– Zamknij się, Warnick – warknął King.

Sophie przyknęła oczy, zapominając o zakłopotaniu i urazie na wieść o tym, że zaraz weźmie ślub.

– Mamy wziąć ślub tutaj. W posiadłości księcia.

Warnick spojrzał na potężną twierdzę.

– Owszem. Niestety, ten zamek nie jest najpiękniejszym z moich domów.

– Nie będziemy wchodzić do środka – wyjaśnił King. – Szkoci rozumieją pośpiech w sprawach małżeńskich jak nikt inny na świecie.

Spojrzał na odzianą w tartan dziewczynę.

– Rozumiem, że jest pani naszym drugim świadkiem?

– *Aye*, milordzie – przytaknęła.

– Jak ma pani na imię? – spytał, obniżając głos o oktawę.

– Catherine.

Uśmiechnął się do niej, a Sophie zabiło serce na widok dołeczków, które pojawiły się w jego przystojnej twarzy.

– Catherine, możesz nazywać mnie King.

Odpowiedziała miłym uśmiechem, a Sophie miała ochotę wymierzyć mu solidny policzek.

King zwrócił się do Warnicka, który uważnie obserwował tę scenę.

– Miejmy to już za sobą.

Warnick skinął głową.

– Myślę, że możemy pominąć początek, z apostrofą do „najmilszych”.

– Słusznie – przytaknął King.

– Nie wiem – mruknęła Sophie. – Catherine wygląda na całkiem miłą osobę.

Warnick uniósł czarne brwi, spoglądając na Kinga.

– Niech będzie „najmilsy”.

King uśmiechnął się ironicznie.

– Jak sobie życzy moja narzeczona.

– Najmilsy – zaintonował książę. – Zebraliśmy się tutaj, aby połączyć tego mężczyznę – wskazał na Kinga – i tę kobietę – wskazał Sophie – świętym węzłem małżeńskim.

– Chwileczkę – powiedziała Sophie.

– Słucham, milady? – spytał książę z powagą.

– Mamy tu się pobrać?

– Tak jest – potwierdził King.

– Na podjeździe zamku księcia Warnicka?

– Och. Widzisz? Nie spodobał jej się zamek. Mówiłem, że moja twierdza jest o wiele ładniejsza.

– Nie chodzi o zamek. Jest piękny. Ale na podjeździe? Czy to nie może wyglądać jakoś... autentyczniej?

King wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, zanim powiedział:

– Gdybym zenił się z autentyczną narzeczoną, może postaralibyśmy się o coś lepszego.

– Jesteś okropny.

– Rzeczywiście. Na to wygląda. Świetnie do siebie pasujemy.

– Może powinniśmy poczekać i dokończyć ceremonię innym razem? – spytał książę, spoglądając to na jedno, to na drugie.

– Może – odpowiedziała.

Nie wyjdę za niego za mąż. Nie w ten sposób. Nie teraz, gdy jest wściekły.

Odwróciła się w stronę dwukółki, ale po kilku krokach nastąpiła na ostry kamień. Jęknęła z bólu i pochyliła się, by obejrzeć pantofelek.

– Najlepiej nigdy. Nie z lordem Eversleyem.

– Uważaj, jak chodzisz – skarcił ją King, patrząc na jej stopę. Po raz pierwszy od wyjazdu z Lyne okazał jakiegokolwiek emocje. Kipiał gniewem.

– Przepraszam, że nie przygotowałam się na ślub na żwirze. Ty powinieneś uważać, gdzie mnie zabierasz. Zniszczyłeś mi pantofelek.

Warnick wybuchnął śmiechem.

– Bierzemy ślub. Tutaj. I teraz – powiedział King, nie patrząc na nią, zimno i spokojnie. – Bierz się do roboty – mruknął do księcia.

Sophie odwróciła się do niego.

– Chyba nie zrozumiałaś, co powiedziałam – zaczęła. – Nie zamierzam...

Catherine przerwała jej, odzywając się ze swego miejsca w progu zamku.

– Już po wszystkim.

Popatrzyli na nią.

– Słucham? – zdziwiła się Sophie.

– Powiedziałam, że już jest po wszystkim.

Catherine wskazała na nią.

– Milady powiedziała: „Mamy tu się pobrać”. A lord: „Bierzemy ślub. Tutaj. I teraz”. Ja i Alec byliśmy świadkami.

Spojrzała na księcia.

– Słyszałeś to, prawda?

– Owszem – potwierdził Warnick, kompletnie zaskoczony. – To jest aż tak proste? Bez żadnych wzmianek o „najmilszych”?

Catherine wzruszyła ramionami.

– Liczy się związek, a nie sposób jego zawarcia.

Spojrzała na Sophie i Kinga.

– Już po wszystkim. Ogłosiliście swój zamiar przy nas, jako świadkach, więc jesteście małżeństwem.

Gratulacje.

To nie mogła być prawda.

Warnick uniósł brwi, a potem skinął głową.

– Racja.

– To było o wiele mniej bolesne, niż myślałem – stwierdził King.

– Nie! – wykrzyknęła. Jeśli już musi się z nim pobrać, niech to przynajmniej sprawia wrażenie ślubu.

Przecież tak nie może być.

Księżę spojrzał na nią.

– Nie chcesz za niego wychodzić?

– Nie w ten sposób – odpowiedziała.

– Nie ma innego sposobu – rzucił King. – Chcę to już mieć z głowy.

Spojrzała na niego. Nienawiść walczyła w niej o lepsze z miłością.

– Milady, czy ty chcesz być jego żoną? – spytał Warnick jeszcze raz, tym razem z powagą.

Nie odwróciła wzroku od Kinga nawet na chwilę. Nie mogła. I powiedziała prawdę. Złożyła przysięgę w tym zwariowanym miejscu.

– Tak.

W oczach Kinga błysnął szaleńczy gniew.

Złapał jakieś pudełko z dwukółki i zaniósł je do powozu.

Sophie uznała, że ma dwie możliwości.

Albo będzie stać tu, z księciem Warnickiem i tą całą Catherine, kimkolwiek ona jest, i patrzeć, jak King odjeżdża, albo powie mu prawdę. Całą, bez ogródek. Niech on wtedy sam zadecyduje, co robić.

Miesiąc temu wybrałaby pierwszą możliwość. Ale teraz była już inną Sophie, więc poszła za nim, nie dbając o to, że ich pierwsza małżeńska kłótnia odbędzie się od razu po ślubie. Którego zresztą prawie nie zauważyła.

– Nie chciałam tego – powiedziała. – Nie w ten sposób.

Nie prosiłam cię, żebyś się ze mną ożenił.

– Racja. Nawet przez moment nie prosiłaś.

Zamknęła oczy.

– Myślałam, że nie chcesz mnie sobie brać na głowę.

Podszedł do koni i sprawdził po kolei uprząż wszystkich sześciu pięknych, dobranych maścią kasztanów.

– Nie biorę – powiedział, odczepiając jeden z pasów i przypinając go z powrotem do powozu. – Wzięliśmy ślub, ale to nie znaczy, że będziemy się kiedykolwiek spotykać.

Zabolało ją to. Chciało jej się krzyczeć ze złości, że będzie go mieć tak blisko i zarazem tak niemożliwie daleko.

– Tak po prostu?

– Właśnie – odpowiedział, przechodząc do następnego konia. – Mam kilka domów, rozrzuconych po całej Anglii. Wybierz sobie jeden.

Patrzyła na niego bez słowa.

– Wybieram ten, w którym ty będziesz.

Jego ręce znieruchomiały na krótki, niemal niezauważalny moment.

– Chcesz zamek Lyne? Bierz. Ojciec będzie szczęśliwy z twojego towarzystwa. Zawsze marzył o takiej synowej.

– Nie chcę Lyne. Chcę być tam, gdzie ty. Dziś w zamku, jutro w Mayfair. Będę mieszkać razem z moim mężem, którego... – Nie dokończyła, ale i tak się domyślił, co chciała powiedzieć.

– Nie musisz już kłamać, Sophie. Twoje sny o małżeństwie się spełniły. Nie zwracaj mi głowy miłością. Straciłaś szansę na mieszkanie ze mną, kiedy skłamałaś i złapałaś mnie w pułapkę.

Zacięła zęby, żeby jakoś znieść ten cios.

– Planowałam odejść.

– A twój ojciec już czekał, żeby wszystko ujawnić. Plan poszedł wam jak po maśle.

– Nieprawda – odpowiedziała. – Planowałam wyjechać z zamku. Z Cumbrii. Chciałam od ciebie tylko jednej rzeczy, ale wiedziałam, że mi jej nie dasz.

– Jednak jakiś cudem ci się udało. Lady Eversley – niemal wypluł te słowa i przeszedł do następnego konia. – Markiza. Przyszła księżna. Rozegrałaś to po mistrzowsku.

– Nie chodziło mi o tytuł, King. Nie o małżeństwo. Chciałam tylko cię kochać.

King jeszcze raz obejrzał starannie całą uprzęż, potem obszedł konie i stanął tuż przy niej.

– Nigdy więcej mi tego nie mów. Mam dość twoich wyznań. Miłość to najgorsze kłamstwo.

– Ja nie kłamię – odpowiedziała. – Nigdy.

– Twoje kłamstwo było najgorsze ze wszystkich – powiedział z bólem w głosie. – Kiedy musiałem uporać się z prawdą o mojej przeszłości, ty dałaś mi oparcie. Skusiłaś mnie nadzieją przyszłości.

Rozpłakała się na to niespodziewane wyznanie.

– King – zaczęła.

Przerwał jej.

– Mogłaś mnie uleczyć – wyznał. – Kusilaś mnie pięknymi obietnicami. Dzięki tobie zacząłem mieć nadzieję, że znowu kogoś pokocham.

Wyciągnęła do niego ręce, ale odsunął się od niej i otworzył drzwi powozu.

– Wsiadaj.

Usłuchała, wdzięczna za prywatność, zadowolona, że wróci do Lyne. Może po drodze uda jej się go przekonać. Usiadła i czekała, aż King zajmie miejsce w powozie. Nawet nie drgnął. Nie zamierzał z nią jechać. Ogarnęła ją niepewność.

– Gdzie mnie wysyłasz?

– Do Londynu – odrzekł rzeczowo. – Czy nie tego chciałaś przez cały czas? Wrócić na łono socjety jako zwycięska bohaterka? Przyszła księżna Lyne?

Żal zacisnął jej żołądek. Przecież chciała czegoś zupełnie innego.

– Nigdy mi o to nie chodziło i dobrze o tym wiesz.

– No cóż, Sophie, widocznie dzisiaj żadne z nas nie dostaje tego, co by chciało.

Spojrzał jej prosto w oczy. W zielonych źrenicach zalśnił gniew.

– Ironia tej sytuacji polega na tym, że dałbym ci to, czego chciałaś, po dobremu. Błagałbym cię, żebyśmy zostali razem na zawsze, gdybyś się nie pośpieszyła i nie skradła tej obietnicy.

To był okrutny cios. Zanim zdążyła dojść do siebie, King zamknął drzwi i powóz ruszył w drogę.

King patrzył, jak powoli toczy się po podjeździe, kołyszac się na zakrętach. W końcu zniknął z widoku. Sophie zniknęła mu z widoku.

Został w Szkocji sam, tuż po ślubie, pełen gniewu... i nie tylko. To uczucie dziwnie przypominało smutek.

– To był najdziwniejszy ślub w moim życiu.

Warnick z cygarem w ręku oparł się o niski kamienny murek, będący jedyną pozostałością dawno zasypanej fosy. Bacznie obserwował Kinga.

– Chyba rzadko przy nich asystujesz, sądząc z tego, jak kiepsko ci poszło – odciął się King.

– Chciałem załatwić to z pompą. Żeby to była pamiętna okazja.

I tak nie zapomnę tego do końca życia. Co za koszmar.

Ożeniłem się z nią. Jest moją żoną.

Chryste Panie. Co ja zrobiłem.

– Można powiedzieć... – zaczął Warnick.

– Nic nie mów. – King nie był w stanie oderwać wzroku od pagórka, za którym przed chwilą zniknął powóz.

– Stary, zdaje się, że jesteś na mojej ziemi – zirytował się Szkot. – Zorganizowałem twój ślub. Dałem ci powóz i szóstkę moich najlepszych koni.

– Były źle zaprzężone – zaniepokoił się King. Myślał o niej, jak jedzie w powozie, na południe. Czy na pewno sprawdził uprzęż wszystkich sześciu?

– Były dobrze zaprzężone. Jesteś stuknięty.

– Czy w powozie było jedzenie? I woda?

– Wszystko, o co prosiłeś.

– A gorąca woda? – Będzie jej potrzebowała do zaparzenia ziół, które włożył do pudełka przywiezionego z Lyne. – I bandaże?

Może jej będą potrzebne.

– Miód też, tak jak prosiłeś. Dziwny zestaw, ale wszystko tam włożyliśmy. Będzie miała jak w domu.

Jak w domu.

To słowo wywołało obraz Sophie opartej o balustradę w bibliotece, spoglądającej na niego ze śmiechem. Siedzącej w kuchni i zajadającej pierożki ze służbą. Przycupniętej na obrzeżu fontanny, z książką w dłoni.

W jego łóżku, z oczyma błyszczącymi rozkoszą.

Rozkosz i te jej śliczne kłamstwa.

Przeczesał dłonią włosy, wściekły, że zagarnęła wszystkie jego myśli. Przecież już jej tu nie ma.

Popatrzył na Warnicka.

– Jestem gotów do następnego wyścigu.

Księżę uniósł czarne brwi.

– Będziesz gonił żonę?

King zaklął cicho i szpetnie.

– Na północ. Powiedzmy, do Inverness.

– To długi wyścig. Drogi są niebezpieczne.

Doskonale. To odwróci jego myśli od Sophie.

– Nie masz ochoty?

– Ja zawsze mam ochotę. – Nadał się Warnick. – W dodatku jesteś w takim stanie, że mam szansę na wygraną. Poślę chłopakom wiadomość. Kiedy chcesz wyruszyć?

– Jutro.

Byle dalej od tego miejsca i wspomnień.

Warnick spojrzał na dwukólkę.

– Widzę, że naprawiłeś swoją zabawkę.

King popatrzył na powozik. Kiedyś go kochał, teraz nienawidził, bo kojarzył mu się z Sophie.

– Nie pomogłeś mi w tym.

Księżę uśmiechnął się.

– Sprytnie postąpiła, sprzedając te koła.

– Nie należały do niej. To złodziejka.

– Myślisz, że o tym nie wiedziałem? Ale była bardzo przekonująca.

„Chciałam powiedzieć, że cię kocham”.

On też był o tym przekonany. Wierzył jej, jak nigdy w życiu.

W tej cholernejdwukółce było pełno wspomnień o Sophie. O tym, jak się założyli o koła. Jaka minę

zrobiła, gdy podkasła suknię i wsiadła do środka.

Zachował się jak kompletny idiota. Powinien jej pomóc.

Teraz, gdy miał wracać do zamku, wszystkie te myśli zaczęły psuć mu przyjemność z jazdy. Powozik przestał być bezpiecznym schronieniem, w którym było tylko miejsce na pęd i rywalizację. Zamiast tego wszystko przypominało mu Sophie i jej śliczne kłamstwa.

„Chcę tylko ciebie. Na zawsze”.

– Sprzedam ci ją – powiedział.

Warnick zamrugał.

– Dwukólkę?

– W tej chwili.

Książę wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę.

– Za ile?

Powozik był wart fortunę. Był robiony na zamówienie, miał specjalne, wysokie koła, idealnie wyważone resory, żeby był wygodny i dobrze się trzymał drogi podczas długich wyścigów. Ważył o wiele mniej niż inne. Zrobili go najlepsi fachowcy w całej Anglii, dokładnie według wskazówek Kinga.

Nie mógł na niego patrzeć.

Zniszczyła wszystko.

Potrząsnął głową.

– Za darmo. Już jej nie chcę.

Spojrzał na konie, a potem na księcia.

– Ale będę potrzebował siodła.

– Dajesz mi swoją dwukólkę? W zamian za siodło? – zdziwił się Warnick.

– Jeśli jej nie chcesz... – zaczął King.

– Nie, nie, biorę! – wykrzyknął książę z charakterystycznym akcentem. W jego głosie brzmiało zdziwienie.

– Dobra. – King wyprzągnął jednego z karych. – Odprowadź mi drugiego, jak będziesz miał czas.

Obaj stali w milczeniu, czekając, aż przyniosą im siodło ze stajni Warnicka. W końcu książę powiedział:

– Jeśli mogę...

– Chyba dałem ci jasno do zrozumienia, że sobie nie życzę.

Warnick wyraźnie nie dbał o życzenia Kinga.

– Nigdy w życiu nie widziałem, żeby mężczyzna upadł tak nisko z miłości.

– Nie kocham jej – warknął markiz.

Piramidalne kłamstwo.

– To kiepsko – mruknął Warnick, rozgniatając butem niedopałek cygara. – Bo ona cię kocha i to bardzo.

Zdradziła go. Dla tytułu. Dałby go jej z własnej woli. Bez wahania. Wraz z miłością.

– Miłość to nie wszystko.

Właśnie wtedy przyniesiono siodło. King pośpiesznie założył je na konia. Warnick przyglądał się mu w milczeniu, a potem powiedział:

– Może i tak, ale trudno mi w to uwierzyć, gdy patrzę na ciebie. I jak tak patrzę, to bardzo się cieszę, że udało mi się przed tym wszystkim uciec.

– Słusznie – odparł King, wskakując na siodło.

– Będzie chciała mieć dzieci, wiesz? – dodał książę. – One wszystkie tego chcą.

King zobaczył w wyobraźni te małe, błękitnookie dziewczynki. Te, które nigdy nie zjawią się na świecie.

A jednak miał rację.

„Nasz ród kończy się na mnie”.

– Powinna to sobie przemyśleć, zanim za mnie wyszła.

## 21. *Nieszczęśliwy markiz popełnia poważny błąd*

Wrócił do zamku o zmroku. Wszyscy mieszkańcy i goście rozeszli się do swoich pokoi. Na północy słońce latem zachodziło późno. Był zadowolony z ciszy i ciemności, bo zamierzał się upić. Jutro wyjedzie do swego domu w Yorkshire.

Biblioteka była oczywiście poza dyskusją, bo wypełniały ją wspomnienia o Sophie, więc skierował się do jedyne miejsce, w którym mógł liczyć na zapas porządnego scotcha. Do gabinetu ojca.

Nie spodziewał się, że zastanie tam jego właściciela.

A już na pewno nie spodziewał się, że w jego objęciach będzie Agnes.

Odsunęli się od siebie, gdy otworzył drzwi. Agnes odwróciła się tyłem. Wielki Boże. Sznurowała sobie stanik.

Boże.

King odwrócił się od tej sceny najszybciej, jak tylko potrafił.

– Ja... Chryste, przepraszam was.

Wtedy w pełni dotarło do niego, co przed chwilą zobaczył.

Jego ojciec *in flagranti* z Agnes.

Jego ojciec, książę, w ramionach zamkowej gospodyni.

– Już się możesz odwrócić, Aloysiusie – powiedziała cicho.

Spojrzał na nich oboje. Stali po przeciwnych stronach wielkiego weneckiego okna. Ojciec, siwowłosa i godny. Agnes, piękna jak zwykle.

Rzucił ojcu wściekłe spojrzenie.

– Co wy, do diabła, wyprawiacie?

Książę z krzywym uśmiechem uniósł brew.

– Kto jak kto, ale ty powinieneś to wiedzieć.

Agnes zarumieniła się.

– George – napomniała go.

King nie wierzył własnym uszom. Nigdy w życiu nie słyszał, by ktoś zwracał się do ojca tak nieoficjalnie, po imieniu. Szczerze mówiąc, sam musiał się chwilę zastanowić, żeby je sobie przypomnieć.

Agnes nie zawahała się ani na chwilę.

Ojciec odwrócił się i puścił do niej oczko.

– Nie jesteśmy dziećmi, Nessie. Nie powinien być taki zszokowany.

– Ale jestem – powiedział King. – Jak długo to... – Pokręcił głową i spojrzał na Agnes. – Od jak dawna on cię tak wykorzystuje?

Oboje wybuchnęli śmiechem, jakby powiedział świetny dowcip.

Jakby nie miał ochoty kogoś zamordować.

Jakby ten dzień nie był najgorszy w jego życiu.

– Ja nie żartuję – powiedział. – Co tu się, do diabła, dzieje?

– Ano, dom jest pełen gości, a Agnes upiera się, żebyśmy się chowali po kątach, zamiast powiedzieć



wszystkim prawdę.

Ojciec podszedł do barku i nalał dwie szklanki scotcha. Spojrzał na Kinga.

– Drinka?

King skinął głową. Patrzył oszołomiony, jak książę nalewa trzecią i podaje ją Agnes z ciepłym, nietypowym dla siebie uśmiechem. Dopiero potem podszedł do Kinga.

– Jaką prawdę? – spytał jego syn.

Książę spojrzał mu w oczy.

– Że kocham Agnes.

King byłby mniej zdziwiony, gdyby ojcu wyrosły skrzydła i zaczął latać w kółko pod sufitem.

– Od kiedy?

– Od zawsze.

Od zawsze.

Boże, jak on nienawidził tego słowa.

– Czyli od kiedy? – King napił się w nadziei, że alkohol przywróci mu rozsądek.

– Prawie od piętnastu lat – odpowiedziała Agnes, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem.

Spojrzał na ojca.

– Od piętnastu lat.

Ten odpowiedział spojrzeniem pełnym powagi.

– Od twojego wyjazdu.

Kinga ogarnął gniew, frustracja i zazdrość. Ojciec miał Agnes. On nie miał nikogo.

– Nie ożeniłeś się z nią.

– Przez większość tego czasu oświadczałem jej się codziennie.

Książę popatrzył na Agnes. Do diabła, w tym spojrzeniu była sama prawda. Oni się kochali.

– Ale mnie nie chce.

– Dlaczego, do diabła? – spytał King Agnes.

Książę podniósł ręce do góry.

– Powinieneś to sam rozumieć.

Agnes nie zwróciła na niego uwagi.

– Jestem gospodynią.

– Fakt. To o wiele lepsze niż bycie księżną – zadrwił King.

– A żebyś wiedział – odpowiedziała.

Nagle usłyszał głos Sophie, kiedy nocą, stojąc na środku drogi w tych swoich śmiesznych pantofelkach, rozniosła w puch całą arystokrację i jego przy okazji. „Uosabiasz wszystko, czego nienawidzę u arystokratów: arogancję, próżność i bezczelność... Naprawdę uważasz, że chcę cię złapać na męża?” – srożyła się, stojąc z nim nos w nos.

Agnes wyjaśniła:

– Nie chcę, żeby wszyscy pomyśleli, że go złapałam na męża. Że obciążam go sobą z jakiegoś głupiego powodu. Nie chcę, żeby socjeta mieszała się do naszych spraw.

– Niech się wszyscy powieszą, Nessie – rzekł ojciec, ruszając ku niej.

– Łatwo powiedzieć – odpowiedziała. Podniosła dłoń i pogładziła go po policzku. – Nie chcę za ciebie wychodzić, chcę cię tylko kochać. I to powinno nam wystarczyć.

Jej słowa uderzyły go jak obuchem. Znieruchomiał.

– Co ty powiedziałaś?

„Nie chciałam za ciebie wychodzić. Chciałam cię tylko kochać. Nie chcę cię sobą obciążać”.

– Aloysius?

Ile razy mu to powtarzała? Że nie chce małżeństwa. Nie chce przez to przechodzić. Ile razy on jej powiedział, że już nie ma wyboru?

Popełnił straszny błąd.

Spojrzał na ojca.

– Ale co z Lorną? Przegnałeś ją. Nie chciałeś, żebym się zenił z miłości.

– Przegnałem ją, bo chciała tylko twoich pieniędzy. Tytułu.

Ojciec wziął głęboki oddech i dodał:

– Nie przypuszczałem, że to się tak skończy. Nie chciałem śmierci tej dziewczyny. Nie chciałem, żebyś odszedł z domu.

Pociągnął solidny łyk scotcha, wbijając wzrok w dno szklanki.

– Targał tobą młodzińczy gniew, a ja byłem zbyt despotyczny. Pozwoliłem ci odjechać. Nie przypuszczałem, że będziesz taki...

– ...taki sam, jak ojciec – dokończyła Agnes. – Obaj jesteście dumni, uparci, nikogo nie chcecie słuchać.

King obserwował ojca. Wreszcie dopatrzył się pęknięć w tym posągu. Zrozumiał, że dzięki nim znikła zimna, nieruchoma fasada, pod którą ukrywał się żywy człowiek.

Księżę popatrzył na niego.

– Przywiozłeś ze sobą lady Sophie, żeby zrobić mi na złość. Więc spełniłem twoje oczekiwania. Ale jej nie zależy na twoim tytule – mówiąc to, spojrzał na Agnes.

Uśmiechnęła się.

– Założę się, że chodzi jej o coś dużo cenniejszego.

Chciałam cię tylko kochać.

A on wsadził ją do powozu i odesłał.

Spojrzał na ojca.

– Ożeniłem się z nią.

Skinął głową.

– Rozmawiałem wczoraj z jej ojcem. Powiedział, że przez nią stracił całkiem spore inwestycje. Chodziło, zdaje się, o Havena i jakieś jezioro?

– To była sadzawka z rybkami.

– Nieważne. Powiedział, że zmusił was do małżeństwa.

Nieprawda. Sophie sama to powiedziała: King mógł przecież odmówić. Był takim skandalistą, że nikt by się nie zdziwił.

Ale on chciał tego małżeństwa.

Chociaż miało być karą, tak naprawdę chciał ją mieć dla siebie.

Na zawsze.

– Ona tego nie chciała.

– Mądra dziewczyna. – Agnes spojrzała na księcia.

Była mądra. Nie zasługiwał na nią. Powinna dostać kogoś o wiele lepszego.

– Zmusiłem ją.

– Mądry chłopak – powiedział ojciec, spoglądając na Agnes. – Może powinienem dać na zapowiedzi bez twojej zgody. Wtedy musiałabyś za mnie wyjść.

King odstawił szklankę.

– Szkocja jest szybsza.

Księżę uniósł brew.

– Gretna Green?

– Podjazd zamku Warnicka. – Zamknął oczy. – Nawet nie złożyliśmy przysięgi małżeńskiej.

To nieprawda. Ona ją złożyła. Spojrzała mu prosto w oczy, dumna, silna i o wiele odważniejsza od niego. A potem powiedziała „tak”. Głośno, żeby wszyscy słyszeli. A on był na nią wściekły jak nigdy w życiu. Ależ zrobił z siebie durnia.

Ojciec spowaźniał.

– Popsułeś wszystko?

W noc poślubną podróżowała sama. Powozem. Powinni być razem.

– Wszystko.

– Ona cię kocha?

– Tak.

Powiedział to, jakby przekraczał próg. Nie miał czasu, by udawać, że da radę bez niej żyć. Że wytrzyma bez niej choć jeden dzień. Spojrzał na ojca i powiedział jedną, jedyną rzecz, która się dla niego liczyła.

– Ja też ją kocham.

Książę Lyne wskazał mu drzwi ruchem głowy.

– To napraw, co popsułeś. I to szybko.

King już gnał przed siebie.

Pędził pustymi, nocnymi drogami, zatrzymując się we wszystkich gospodach. W żadnej z nich nawet nie słyszeli o Sophie. Tracił nadzieję. Przypominał sobie wszystkie swoje błędy i ogarniała go coraz większa rozpacz. Pragnął odnaleźć ją i wszystko naprawić.

Jak to się skończy?

Mam nadzieję, że szczęśliwie.

Na pewno. Na pewno się uda. Odnajdzie ją. Odesłał ją od siebie zapłakaną, ale nie spocznie, póki jej nie odnajdzie. Pojedzie prosto do Londynu, jeśli będzie trzeba. Zrobi wszystko, by już nigdy więcej nie miała powodów do płaczu.

Pochylił się w siodle i po raz pierwszy od chwili, gdy uświadomił sobie, jak bardzo ją kocha, puścił wodze wyobraźni. Marzył, jak to będzie, gdy będzie miał ją całą dla siebie. Na zawsze. Widział ją w swoich ramionach, w łóżku, w domu pełnym książek, radości i dzieci. Ród nie skończy się na nim. Na pewno nie. Da jej dzieci – dziewczynki o słodkich twarzyczkach, zadziorne jak matka. Nie znał kobiety, która bardziej kochałaby przygody niż Sophie. Od chwili, gdy zeskoczył z tego trejażu, Sophie Talbot prowadziła go od przygody do przygody.

Tylko że to już nie jest Sophie Talbot.

Sophie, markiza Eversley.

Jego żona.

Jego miłość.

Do diabła, czy ja jej nigdy nie dogonię?

Ledwie to pomyślał, z dala dostrzegł powóz. Latarnie kołysały się w ciemności. Był duży, a sądząc po tętencie, ciągnęła go szóstka koni.

To ona.

Popędził konia, by wreszcie być z nią. Zdobyć ją na nowo.

By ją kochać.

Kupi jej kota. Czarnego. Z białymi łapkami i noskiem. Na przeprosiny.

Był coraz bliżej. Wyjeżdżając zza kolejnego zakrętu, dostrzegł herb klanu Warnicków.

– Sophie! – wykrzyknął, poganiając konia jeszcze raz. Za chwilę będzie już blisko, a potem ją odzyska.

Jeśli ona go zechce.

Ta myśl go zabolęła.

Na pewno go zechce. Zrobi wszystko, by ją odzyskać. Zatrzyma powóz i porwie ją na koniu jak

rozbójnik. Zabierze ją w jakieś piękne miejsce na pustkowiu i wszystko naprawi. Udowodni jej, że potrafi ją kochać jak nikt inny. Będzie to powtarzał przez całe życie.

– Lady Eversley! – zawołał tym razem, jakby chciał przekonać cały świat, że jednak na nią zasłużył.

Chciał już być z nią.

Na zawsze.

Powóz wszedł z kolejny zakręt i odległość od niego znowu zmalała. King znalazł się na tyle blisko, by usłyszeć złowróżbne stuknięcie przedniego wewnętrznego koła. Słyszał ten dźwięk już przedtem, tamtej nocy, tylko nie wiedział, co on oznacza.

Ogarnęło go przerażenie.

– Stać! – krzyknął, zmuszając konia do biegu ponad siły. – Wolniej! Zatrzymać powóz! – krzyczał z całych sił.

Za późno.

Zakręt był za ostry, powóz za duży i koło stuknęło po raz drugi.

– Nie! – krzyknął rozpaczliwie w nadziei, że stangret usłyszy, ale jego głos utonął w potężnym trzasku i kwiku koni, gdy powóz przechylił się na bok. Stangret zleciał z kozła, a powóz przewrócił się całkiem. Spłoszone konie ciągnęły go jeszcze przez długą chwilę, aż w końcu się zatrzymały. – Sophie! – krzyknął rozpaczliwie i zeskoczył z konia w biegu, by jak najszybciej być przy niej. – Nie! Nie! Nie! – powtarzał, biegnąc ku powozowi. Zdjął z wieszaka latarnię i szarpnął drzwi, modląc się, by znaleźć ją żywą.

Zrobię wszystko, byle tylko żyła.

– Żyj, najdroższa. Nie umieraj. Mam ci tyle do powiedzenia – szeptał w ciemność, jakby mógł ją tym do siebie przywołać. – Nie mogę cię utracić, Sophie. Nie teraz, kiedy cię właśnie odnalazłem. Jeszcze ze sobą nie skończyliśmy.

W środku było ciemno, więc podniósł latarnię wysoko.

– Niech żyje... Boże, błagam cię. Niech żyje.

Powtarzając tę litanię, spostrzegł jedwabną tkaninę – tę piękną, fioletową suknię, którą miała na sobie po południu.

Sophie nie było w powozie.

Ogarnęła go fala błogosławionej ulgi. Jego serce zaczęło znowu bić.

Sophie żyła.

Ale w ślad za tą myślą zaraz przyszła następna.

Sophie żyła. Ale odeszła od niego.

## 22. Żyli długo i nieszczęśliwie?

Sophie przepłakała kilka pierwszych godzin podróży. Łzy płynęły swobodnie, gdy rozpamiętywała każdą chwilę spędzoną razem z Kingiem, każdą ich rozmowę, każdy dotyk.

Gniew, jaki ukrywał przed nią tej nocy, gdy zjawiał się jej ojciec. King stał wtedy nagi i wściekły jak zdradzony Minotaur.

Tylko że ona go nie zdradziła.

Zrobiłaby wszystko, żeby zostać z nim w środku tego obłądnego labiryntu. Na zawsze. Ale żadne z nich nie zasługiwało na „na zawsze”.

Sam to powiedział, zanim wsadził ją do powozu Warnicka.

„Błagałbym cię, żebyśmy zostali razem na zawsze, gdybyś się nie pośpieszyła i nie skradła tej obietnicy”.

Łzy w końcu obeschły. Potem godzinami wyglądała przez okno, zapatrzona w wiejski krajobraz – owce, krowy i stogi siana. Potem zapadła noc i nic już nie było widać.

W tej ciemności odnalazła siłę.

I podjęła decyzję.

Zostawił jej sakiewkę z pieniędzmi, bandażę, maść i wyraźnie dał do zrozumienia, że nie chce jej nigdy więcej widzieć. Więc nie zobaczy.

Kiedy powóz zatrzymał się, by zmienić konie, tuż obok na podjeździe stanął pocztowy dylizans. Odjechał z nowym pasażerem w przebraniu stajennego.

Przecież nie mogła zaczynać nowego życia w ekstrawaganckiej sukni swojej siostry. Stangret Warnicka nawet nie zauważył, że zniknęła.

W dylizansie powoli robiło się jasno. Świt pomalował srebrzystą szarością jego wnętrze i twarze śpiących pasażerów. Sophie była ciekawa, dokąd jada. I dokąd ona ma jechać. Może wróci do Sprotbrough.

Natychmiast przypomniała sobie Kinga.

Jak wyjmował ją z wanny.

Jak całował w gospodzie.

Jak ukrył ją przed pogonią ojca.

Łzy znowu zakręciły jej się w oczach.

Nie. Sprotbrough to zły pomysł.

Dylizans zaczął zwalniać, więc przymknęła oczy, starając się przepędzić wspomnienie jego dotyku, kpiarskiego śmiechu, głębokiego, pięknego głosu, który szeptał jej imię.

Nigdy go nie zapomni.

– Sophie!

Podskoczyła do góry. To niemożliwe.

Pozostali pasażerowie zaczęli się budzić, a siedzący przy oknie mężczyzna odsunął zasłonkę, żeby

zobaczyć, skąd ten hałas. Wyprostował się czujnie.

– Nie jesteśmy w zajeździe.

Zamknęła oczy, bo powóz się zatrzymał.

– Czy to bandyci? – spytała jakaś kobieta. W jej głosie brzmiała panika.

– Chyba nie – odpowiedział mężczyzna. – Raczej jakiś wariat.

Sophie wyciągnęła szyję, by wyrzeć przez okno.

Serce zabiło jej jak młotem.

Wcale nie wyglądał jak wariat. Wyglądał wspaniale.

Ale znowu był wściekły.

– Sophie Talbot, wysiadaj z tego cholernego pudła, zanim sam tam wsiądę i cię wyciągnę!

Mężczyzna przy oknie trącił łokciem swoją sąsiadkę.

– Nazywa się pani Talbot?

Potrząsnęła głową.

Zapytał o to samo wszystkie kobiety po kolei, w ogóle nie zwracając uwagi na Sophie. Gdy wszystkie zaprzeczyły, otworzył okno i krzyknął:

– Nie ma tu w środku żadnej pani Talbot.

Potem spojrzął na kobiety.

– Nie wierzy mi.

Sophie zapadła się w siedzenie i opuściła czapkę na oczy, starając się być niezauważalna. Drzwi rozwarły się na oścież. Jej mąż dostrzegł ją natychmiast. Popatrzył na jej ubranie.

– Czy nikt w tym cholernym kraju nie patrzy na buty?

Spojrziała na przyciasne pantofelki.

– Żadne inne nie pasowały.

Mężczyzna przy oknie przyjrzał się uważnie.

– On jest kobietą!

– Owszem – przytaknął sucho King. – Co ja ci mówiłem o dylizansach, Sophie?

Skrzywiła się.

– Parę godzin temu wysłałeś mnie do Londynu, obiecując, że nigdy więcej się nie spotkamy, więc mało mnie obchodzi, co myślisz o pojazdach, którymi podróżuję.

– Aha. Kłótnia kochanków – stwierdziła wesoło siedząca obok niej kobieta.

– Nie jesteśmy kochankami – warknęła Sophie.

– Jeśli dogonił dylizans, żeby cię odnaleźć, to wkrótce będziecie – skomentował mężczyzna przy oknie, nasunął czapkę na oczy i poprawił się na siedzeniu.

Wcale nie.

– Co pan tam wie. Ja go w ogóle nie interesuję.

– Wysiadaj, Sophie.

– Rusz się, Sophie. Każdy z nas ma swoje sprawy do załatwienia – poparł go inny mężczyzna.

– Ja też! – zdenerwowała się.

King uniósł brew.

– Czyżby? A dokąd się wybierasz?

Jeszcze nie wiedziała. Ale nie zamierzała się do tego przyznać.

– Do Sprotbrough. Może jeszcze pamiętasz to miejsce. I tego przystojnego lekarza.

– Pamiętam, kochanie. Każdą chwilę.

– Nie nazywaj mnie tak.

– Dlaczego nie? Przecież cię kocham.

Zaparło jej dech z oburzenia. Co za bydlak.

– Wynoś się stąd – powiedziała cicho, wściekła, że musi to do niego powiedzieć. Tak, jakby tego

chciała.

– W tę albo we w tę, milordzie – powiedział stangret zza jego ramienia. – Muszę dojechać na czas.

Nie odwracając od niej oczu, spytał cicho:

– Mam wsiąść? Czy ty wsiądziesz?

– W razie czego mogę ją zastąpić – zgłosiła się jedna z kobiet.

– Wsiadaj, dziewczyno – zachęcił ją człowiek spod okna.

Nawet na niego nie spojrzała.

– Odesłałeś mnie.

– Bo byłem idiotą.

– Nie da się ukryć.

– Bardzo dobrze, kochanieńka – zachęciła ją sąsiadka. – Nie daj mu się.

King wyciągnął do niej silną dłoń.

– Proszę cię, Sophie. Mam ci dużo do powiedzenia. Wsiądź i wysłuchaj mnie, dobrze?

Wsiadła, ku niezmiernej wdzięczności stangreta. Wcale nie wiedziała, czy dobrze robi. Powóz natychmiast ruszył, zostawiając ją samą z Kingiem na wielkim północnym trakcie. Jedyнным świadkiem ich rozmowy miał być jego wierzchowiec.

Spojrzała na niego, gdy dylizans zniknął w dali.

– O co...

Uciszył ją pocałunkiem, długim, głębokim i tak błagalnym, że ją to zaniepokoiło. Niemal natychmiast zatraciła się w tej pieśczoce. Nie myślała, że King jeszcze kiedyś ją pocałuje.

Nie powinna mu na to pozwalać.

To niesprawiedliwe, że tak bardzo go pragnęła.

Gdy ją puścił, zobaczyła, że trzęsą mu się ręce. Ujęła je w swoje dłonie.

– King?

– Myślałem, że nie żyjesz – szepnął i znowu wziął w posiadanie jej usta, równie rozpaczliwie jak przedtem.

Odsunęła się.

– Co takiego? Po prostu wsiadłam do dylizansu, od tego się nie umiera.

– Powóz miał wypadek.

Otworzyła szeroko oczy, przypominając sobie, że King zawsze troskliwie sprawdzał uprząż koni, gdy wyruszał w podróż.

– Jak to?

– Koło pękło – powiedział. – Widziałem, jak się przewracają.

Potrząsnął głową.

– Nie mogłem nic pomóc. Mogłaś umrzeć.

Ścisnęła mocno jego ręce, wiedząc, że King znowu przeżywa najgorszy koszmar swego życia.

– Stangret?

– Nic mu się nie stało. Cudem.

– Dzięki Bogu.

– Mogłaś zginąć – powtórzył.

Dotknęła dłońmi jego policzków.

– Ale mam się świetnie – odpowiedziała.

– Mało brakowało, a bym cię stracił – mówił cicho, z rozpaczą. – Potem, kiedy się zorientowałem, że nie ma cię w powozie i że dzięki temu żyjesz, znowu cię straciłem.

Puściła jego dłonie i wzięła głęboki oddech, odsuwając się od niego i od tych słów.

Wyciągnął do niej ręce.

– Sophie...

Odsunęła się jeszcze dalej.

– Powiedziała ci, że cię kocham, a ty mnie odesłałeś.

Zaklął i przeczesał palcami włosy.

– Wiem. Zrobiłem błąd. Chryste Panie.

– Nie chciałam za ciebie wychodzić – powiedziała, zła na siebie za smutny ton głosu. – Nie w ten sposób.

– Wiem.

– Wcale nie jestem tego pewna.

Nie mogła na niego dłużej patrzeć. Odwróciła się i zapatrzyła w horyzont, tam gdzie zniknął dyliżans.

Znalazła się w pułapce.

Tak samo, jak on.

– Nie chcę być twoją żoną, King. Nie na takich warunkach. Dlatego wysiadłam z powozu.

Przerwała i spojrzała prosto w jego piękne, zielone oczy. Za bardzo go kochała, by zdecydować się na związek bez miłości. Bez zaufania.

– Powiedziała ci wszystko. Odśloniłam się. Ale moja miłość ci nie wystarczyła. Zaslługujesz na coś lepszego niż niechciane małżeństwo, które jest dla ciebie więzieniem.

Potrząsnęła głową i dodała:

– Ja też zasługuję na więcej.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie, nie wiedząc, dokąd idzie. Wiedziała tylko, że nie może z nim zostać.

Zawołał za nią:

– Ale ja go chcę.

Zamknęła oczy, ale się nie zatrzymała.

– Bóg jeden wie, że zasługujesz na więcej. Przykro mi, Sophie, ale nic z tego. Jesteś moją żoną. A ja cię pragnę. W całej rozciągłości. Nie masz pojęcia, jak bardzo. Byłem kompletnym idiotą. Powinienem cię posłuchać. Powinienem w ciebie uwierzyć.

Nie mogła się powstrzymać. Odwróciła się do niego.

Szedł ku niej i cały czas mówił:

– Powinienem ci się oświadczyć wczoraj w nocy. I dopiero potem się z tobą kochać. Ale ja, jak idiota, chciałem prawdziwych oświadczyń. Chciałem cię zaprowadzić do labiryntu, Kochanie. I zabrać też ciastka z truskawkami. Podobałoby ci się to?

Zatrzymał się przed nią.

– Owszem – odpowiedziała cicho.

– Zrobię to – przyrzekł. – Jak tylko będziemy w domu. Zaprowadzę cię tam. I zrobię to.

– Nie potrzebuję. Już jesteśmy po ślubie.

– Ale ja potrzebuję. Naprawdę. Daj mi rękę.

Zrobiła to, a potem ze zdziwieniem obserwowała, jak padł przed nią na kolana.

– Nie, King.

Ucałował jej dłonie.

– Nie mamy świadków, ale trudno. Kocham cię, Sophie Talbot. Kocham twoją urodę i mądrość i przysięgam przed tobą i Bogiem, i tym północnym traktem, że wczoraj chciałem się z tobą ożenić i dzisiaj też tego chcę i że będę tego chciał przez resztę naszego życia.

Z trudem mogła uwierzyć w tę nagłą odmianę.

– Uwierzyłeś mi? Nie chciałam cię złapać na męża.

Wstał i przytknął czoło do jej czoła.

– Byłem idiotą. Byłem rozgniewany, wstrząśnięty i... właściwie to ja chciałem cię złapać w pułapkę. A potem, jak ostatni głupiec, odesłałem cię od siebie.



Zamknął oczy.

– Patrzyłem, jak ten powóz się przewraca i... Chryste Panie, Sophie, ja sam wtedy umarłem. Nie wiem, co bym zrobił.

– Ale ja żyję. Zdaje się, że ratowanie mnie z opresji weszło ci w nawyk.

Ujął jej twarz w dłonie i zajrzał głęboko w oczy.

– Zawsze będę to robił.

Pocałował ją znowu i dodał:

– Odesłałem cię, bo byłem tobą przerażony. Przerażony uczuciami, jakie we mnie budzisz. Sprawiałaś, że zachciało mi się żyć. Odesłałem cię, bo bałem się, że nigdy nie będę na ciebie zasługiwał. Ale będę się starał, Sophie. Chcę cię kochać i chcę, żebyś ty mnie kochała. Chcę, żebyś nauczyła miłości nasze dzieci. Chcę, żebyśmy mieli całe stadko brązowowłosych, błękitnookich, zakochanych w książkach córeczek.

– Kochasz mnie?

Splótł palce z jej palcami i podniósł je do ust.

– Jak wariat.

Potrząsnęła głową.

– Nie myślałam, że tak się stanie. Nie myślałam, że w ogóle ktoś mnie pokocha. Szczerze mówiąc, specjalnie się tym nie przejmowałam. Miałam rodzinę i byłam szczęśliwa. Wtedy spotkałam ciebie. A ty wyróciłaś moje życie do góry nogami.

– Raczej ty moje.

Uśmiechnęła się.

– Chciałam tylko, żebyś mnie podwiózł do Mayfair.

– Żałujesz, że miałem inne plany?

Potrząsnęła głową.

– Ani trochę. Chociaż wolałabym, żeby wiązały się z mniejszymi emocjami w podróży.

– Racja. – Znowu skradł jej całusa. – Nigdy więcej nie puszcze cię w podróż dyliżansem.

– W moim życiu nic się nie działo, dopóki cię nie spotkałam – powiedziała.

– Nie wierzę.

– To prawda.

Wsunął dłonie w jej włosy i przyciągnął ją do siebie.

– Nigdy przedtem nie ukradłam nikomu lokaja.

Pocałowała go sama, spokojnie i czule.

– Złodziejka.

Teraz on ją pocałował.

– To się skończy szczęśliwie – przyrzekł jej cicho. Uwierzyła. – Powtórz to jeszcze raz – poprosił. – Chcę mieć pewność, że cię nie utraciłem.

– Kocham cię, mój mężu. – Po krótkiej chwili szepnęła: – A teraz ty to powiedz.

Powiedział. Powtarzał to tak długo, aż zapomniała, że kiedyś te słowa nie były prawdą.

## *Epilog. Niespodzianka dla Sophie*

*Listopad 1833 r.*

Czuję się nieswojo – powiedziała Sophie ze swego miejsca w dwukółce męża. – Dużo ludzi będzie nam się przyglądać?

– Raczej tak, zważywszy, że mamy wtorkowe popołudnie – odpowiedział sucho.

Zarumieniła się.

– To absurdalne.

– Powiem ci nowinę, żeby odwrócić twoją uwagę. Chcesz?

Odwróciła się do niego. Kochała jego śmiech.

– Czy ja wyglądam bardzo śmiesznie?

– Wyglądasz doskonale.

Ujął jej obleczoną w rękawiczkę dłoń i złożył na niej pocałunek.

– Dostałem dziś rano wiadomość z pięknego miasteczka Sprotbrough.

Wyprostowała się. Mary, John i Bess postanowili się tam osiedlić.

– Jaką?

– Twój doktor pisze, że Mary okazała się najlepszą pielęgniarką po tej stronie kanału, a John ma wyjątkowy talent do anatomii. Jak wiesz, ma też zwinne palce, więc doktor uważa, że kiedyś będzie z niego genialny chirurg. Bess doprowadza guwernantkę do szału.

Sophie uśmiechnęła się.

– A co u doktora?

– Jestem pewny, że ten wariat cieszy się każdą chwilą zamieszania, jakie go otacza.

– To wspaniale. Cała historia dobrze się dla wszystkich skończyła.

Miała nadzieję, że z czasem Mary stanie się dla doktora kimś więcej niż tylko pielęgniarką.

Dwukółka skręciła w lewo. Sophie podniosła ręce, by odsłonić oczy.

– Czy ta opaska jest naprawdę konieczna?

King przeszkodził jej w tym.

– Nie najlepiej radzisz sobie z rolą Smolucha.

– Nawet moje siostry nie paradowałyby przed całym Londynem w opasce na oczach.

– Sesily też nie?

– Może Sesily by się zgodziła.

Gdy Eversley i książę Lyne połączyli siły, by na powrót wprowadzić Jacka Talbota w krąg arystokracji, siostry Sophie triumfalnie wróciły do Londynu. Earl Clare i Mark Landry zostali mile powitani przez swoje wybranki, ale Derek Hawkins nie miał tego szczęścia.

Sesily zbiegła pędem do Dereka, gdy zajechał pod rezydencję Talbotów, a potem wygarnęła mu wszystkie jego przewiny na głos, przed całym Mayfair. Oczywiście, potem stała się ulubionym obiektem plotek.

Aż do dzisiaj.

– Jutro opiszą to wszystko w brukowcach – mruzczała Sophie. – Już widzę te tytuły.

– Sophie Oślepią?

Zaśmiała się.

– To za mało pikantne.

– W opasce poza alkową?

Zarumieniła się na tę interesującą, choć skandaliczną wizję.

– To dla odmiany za bardzo pikantne.

Zniżył głos.

– Chętnie ci pokażę dziś wieczór, jak to przyprawić.

– Teraz naprawdę żałuję, że jesteśmy na widoku – odpowiedziała równie cicho.

– Nie rozpraszaaj mnie, bo niespodzianka się nie uda – mruknał, zatrzymując powozik. – Jesteśmy na miejscu.

Sięgnęła do opaski.

– Czy mogę już...

– Jeszcze nie – odparł, wyskakując, zanim konie stanęły.

– King! – pisnęła. – Nie zostawisz mnie tu chyba samej na oczach całego świata!

Powozik ruszył, a on objął ją i szepnął gardłowym głosem:

– Nigdy. Nigdy w życiu cię nie zostawię.

Odwróciła się ku niemu i wtedy zdjął jej opaskę. Jego bliskość była kusząca, więc na pół świadomie spojrzała na jego usta.

Uśmiechnął się, a potem obiecał:

– Jak wejdziemy do środka, kochanie.

Spojrzała mu w oczy.

– Nicpoń z ciebie.

– A z ciebie to nie?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, odsunął się, podał jej dłoń i pomógł wysiąść na ulicę, gdzie stała gromadka gapiów. Pewnie większa część z nich zastanawiała się, czy już lecieć do najbliższego brukowca, czy jeszcze poczekać.

„Markiza Eversley zajechała w opasce na oczach pod jeden ze sklepów w dzielnicy St James. Przywiózł ją jej zwariowany, a raczej zakochany jak wariat, małżonek”.

Szybko zapomniała o plotkarskich, bo spostrzegła, że oczy jej męża lśnią z podniecenia. Potrząsnęła głową.

– Nic nie rozumiem. Gdzie jesteśmy? – Spojrzała na sklepowe wystawy. – Pod jakąś księgarnią?

– Tylko nie jakąś – powiedział i popatrzył na nią z arogancką dumą.

Spojrzała na wiszący nad ich głowami szyld:

Matthew i synowie.

Znieruchomiała na moment, a potem popatrzyła na niego, zaskoczona i uszczęśliwiona.

– Matthew?

Odpowiedział uśmiechem.

– Nasze pierwsze wspólne nazwisko.

Uniosła brew.

– Wspólne z moim lokajem.

– To był mój lokaj. Ale w sumie masz rację.

Matthew był teraz ich wspólnym lokajem, zatrudnionym w rezydencji w Mayfair.

Roześmiała się.

– Księgarnia.

– Chcesz wejść do środka?

Jeszcze nie skończył mówić, a już była przy drzwiach. Wyjął z kieszeni klucz i położył dłoń na klamce.

– Na razie jest pusta. Pomyślałem, że będziesz wołała sama wybrać książki.

Otworzył drzwi do ciemnego, cichego pomieszczenia, które wkrótce wypełni się tomami z całego świata.

Nie weszła, tylko stanęła w progu i rozkoszowała się widokiem ulicy.

– Jest idealna.

– Jeszcze nie byłaś w środku. – Uśmiechnął się szeroko.

Potrząsnęła głową.

– Nie muszę wchodzić. Jest idealna.

Dotknęła dłonią jego twarzy, zupełnie niepomna na fakt, że damy nie dotykają lordów publicznie. Nie dbała o nic, poza nim.

– Matthew i synowie. – Przechyliła głowę. – To chyba niewłaściwa nazwa.

– Możemy ją zmienić, jeśli ci się nie podoba – powiedział pośpiesznie. – Matthew się nie obrazi. Jest mu trochę nieswojo, że użyłem jego nazwiska.

– Nie o to chodzi.

Potrząsnęła głową, widząc, że King zaczyna się nieco irytować.

– Sophie, to nieważne. Nie chcesz wejść do środka?

Owszem, chciała, ale to był niepowtarzalny moment.

– Chcę – odpowiedziała z udawanym powątpiewaniem. – Ale w tej sytuacji jeszcze przez kilka miesięcy nie będzie wiadomo, czy to odpowiednia nazwa.

– Kogo obchodzi cholerna... – zaczął i nagle przerwał. – Miesiące?

Tera żona uśmiechnęła się szeroko.

Podszedł bliżej. Gdyby była prawdziwą damą, na pewno by się odsunęła. Ale bycie Talbotką niesie ze sobą pewne korzyści.

– Jaka ma być ta nazwa, Sophie?

Podobał jej się ten pomruk w jego głosie.

– No cóż – zaczęła. – Nie jestem pewna, ale co byś powiedział na „Matthew i Córki?”

Kiedy w brukowcach pojawiła się plotka o wydarzeniach tego wieczoru, tytuły wcale nie wspominały o opasce na oczach. Zamiast tego wszędzie opisano zakochanego markiza, który w porywie uczucia zapomniał o przyzwoitości i pocałował swoją żonę w biały dzień, na progu nowej księgarni w St. James. W dodatku potem wziął ją na ręce, przeniósł przez próg i mocnym kopniakiem zamknął drzwi.

## ***Od Autorki***

Inspiracją dla cyklu *Skandale i Nicponie* są współczesne plotki o celebrytach, którymi pasjonuje się większość czytelników, ze mną włącznie. Dziewiętnasty wiek był pod tym względem niezwykle podobny do naszych czasów. Wydawano wtedy mnóstwo plotkarskich czasopism, które były równie opiniotwórcze, jak obecnie. Wprawdzie pisemko „Skandale i Nicponie” jest tworem mojej wyobraźni, ale w czasach Sophie i Kinga było mnóstwo podobnych gazet. Jestem dłużniczką Publicznej Biblioteki Nowego Jorku i Biblioteki Brytyjskiej posiadających bogate zbiory takich gazetek. Jeśli chodzi o inne, mniej szokujące publikacje, to Peter Nicholson rzeczywiście napisał *Popularny i praktyczny traktat o murarstwie i kamieniarstwie* wydany w 1828, tekst, który idealnie nadawał się do dokuczania Kingowi podczas długiej podróży.

Gdy zaczynałam tę książkę, nie zamierzałam opisywać w niej strzelaniny. Ale Sophie jest w końcu Feralną Siostrą. Jestem bardzo zobowiązana doktorowi Danielowi Medelowi z wielu powodów, między innymi za to, że chętnie odpowiadał na moje panikarskie telefony z pytaniami o dziewiętnastowieczną medycynę i za to, że tylko od czasu do czasu straszyl mnie, że Sophie umrze.

Jak zwykle, wszystkie błędy są wyłącznie moją winą.

Ta książka byłaby niczym bez jej wspaniałej redaktorki Carrie Feron, cudownej Nicole Fischer i doskonałego zespołu z wydawnictwa Avon Books, na czele z Liate Stehlik, Shawnem Nichollsem, Pam Jaffee, Caroline Perny, Toblym McSmithem, Carlą Parker, Brianem Groganem, Frankiem Albanese, Eileen DeWald i Eleanor Mikucki. Jestem im ogromnie wdzięczna, podobnie jak mojemu agentowi Stevenowi Axelrodowi. To dzięki nim Sophie i King zaistnieli w druku.

Dziękuję Ally Carter za to, że dawno temu wymyśliła tytuł tej książki, oraz Lily Everett, Carrie Ryan, Sophie Jordan i Lindzie Francis Lee za wiarę we mnie i kibicowanie przy pisaniu. Nigdy się nie dowiecie, ile to dla mnie znaczyło i jak bardzo sobie cenię waszą przyjaźń.

Jak zwykle dziękuję tobie, Ericu, najlepszy złodziejaszku ciastek, jakiego znam.

## *Przypisy*

[1] W owych czasach szkockie prawo, w odróżnieniu od angielskiego, zezwalało na małżeństwa małoletnich bez zgody rodziców. Aby zawrzeć związek, wystarczyło znaleźć dowolną osobę pełniącą funkcję publiczną – na przykład kowala – i dwóch świadków (przyp. tłum.).

[2] Według angielskiego przysłowia każdy kot ma dziewięć żywotów (przyp. tłum.).

# Table of Contents

[Tytułowa](#)

[Redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[1. Wzburzone fale socjety](#)

[2. Ucieczka Eversleya. Hrabia wściekły z powodu despektu](#)

[3. Znalaziono suknię lady Sophie! Rodzina obawia się najgorszego](#)

[4. Smolarka porwana! Podejrzewamy pewnego nicponia!](#)

[5. Dylizans w opałach. Północny trakt drogą przez mękę](#)

[6. Sophie ranna. Trwają poszukiwania chirurga](#)

[7. Śpiąca królewna się budzi; całus niepotrzebny](#)

[8. Notatki brudasa: Pobudka... kąpiel... zakochanie?](#)

[9. Odnaleziona w Sprotbrough?](#)

[10. Chinina: lek na chorobę lokomocyjną](#)

[11. Sophie i Eversley: porwanie czy uwiedzenie?](#)

[12. Nicpoń u władzy; cnota zagrożona raz jeszcze](#)

[13. Masz babo placek? A może placeków zabrakło?](#)

[14. Królewski nicpoń i węglarka: Wojna? Czy coś więcej?](#)

[15. Sophie smutna. Słodczyce niosą ukojenie](#)

[16. Biblioteczna rozpusta w Lyne](#)

[17. Kiedyś król, wkrótce książę](#)

[18. Kochankowie w labiryncie Lyne!](#)

[19. Sekrety alkowy i pałacowe wyznania](#)

[20. Podbój](#)

[21. Nieszczęśliwy markiz popełnia poważny błąd](#)

[22. Żyli długo i nieszczęśliwie?](#)

[Epilog. Niespodzianka dla Sophie](#)

[Od Autorki](#)

[Przypisy](#)